



Agnieszka  
Jeż

Paulina  
Płatkowska

# Nie oddam szczęścia walkowerem

„Ja postawię dowódcę, że beta i matka prowadzący w porównaniu zycia ma prawo do nowego startu. Cięła, napisana z dużą lekkością i humorem kłódką. Szczęście, przesyła!”

Magdalena Michalska



Jeż Agnieszka i Płatkowska Paulina

Nie Oddam Szczęścia Walkowerem

*Powieść tę dedykujemy życiu za całą jego wspaniałą nieprzewidywalność*

Zanim zapytacie:  
wszystkie postaci występujące w książce  
– nawet pierwszoplanowe –  
są zmyślane.

2014

*Magda zaparkowała na ostatnim wolnym miejscu przy Grójeckiej opodal bazaru i rzuciła okiem na zegar na samochodowym wyświetlaczu. Uśmiechnęła się z zadowoleniem – półtorej godziny łowów! W wyciskaniu czasu do ostatniej kropli była mistrzynią. Chyba odkąd została mamą.*

*Hm, pojedynczą mamą.*

*Nieważne, nie psujmy jej nastroju.*

*Nie widziała niczego niewłaściwego, a już nie daj Bóg upokarzającego, w kupowaniu używanych ubrań. Przeciwnie: cały proceder uważała za szczytnie ekologiczny i humanitarny. Ludzie Ludziom, Oxfam, PCK, zrównoważone gospodarowanie i takie tam. Lubiła sobie wyobrazać tych, którzy nosili te ubrania jako pierwsi. Kupowali je w eleganckich sklepach bez czyhania na wyprzedaże, łączyli z innymi częściami garderoby w gustowne zestawy. Krzywi i prości, wysocy i niscy, filigranowi i grubi. Więcej czasu schodziło jej na wymyślaniu historyjek niż na faktycznym szukaniu ciuchów.*

*Jak odważna musiała być Angielka w rozmiarze 46, nosząca falbaniastą miniówkę?*

*Czy szykowny kostium w barwach korporacyjnych przyniósł komuś szczęście na rozmowie o pracę?*

*Półprzezroczysta bluzka, tak zwiewna, że jej prawie nie ma – czy randka w niej była udana?*

*Magda omiatała wzrokiem wieszaki, co rusz wkładając coś do koszyka.*

*W ciuchlandach pozwalała sobie na absolutną swobodę kreacji. Mierzyła ubrania, których nigdy nie rozważałaby za normalną cenę w zwykłych sklepach. Zbytkowe, kolorowe, koronkowe, z fantazyjnym żabotem, niespodziewaną plisą, irracjonalne. Aksamitny szlafrok, w którym mogłaby grać hrabinę. Sukienka znacznie za krótka do pracy. Kapelusz. A jeśli tuż za rogiem czeka ją nagła odmiana losu i sposobność zostania damą u boku ujmującego lorda?*

*Definitywnie warto mieć kapelusz.*

*W lustrze przymierzalni Magda stroiła odpowiednie do kreacji miny i ogłądała się ze wszystkich stron. Widok był z grubsza przyjemny. Niewysoka, mile pozaokrągłana we właściwych miejscach. Jakimś cudem letnia opalenizna jeszcze się jej trzymała.*

*Ubrania z koszyka i paru wieszaków po próbie lustra lądowały w stosie na tak lub w stosie na nie. Jeszcze tylko płaszcz i zwolni miejsce pochrzążkującej za zasłoną kolejnej łowczyni.*

*Płaszcz niestosownie rozłaził się na brzuchu. Co za licho?... Może czas dyskretnie powitać rozmiar M?... M – jak M-ama, M – M-agda-po-trzydziestce, M – M-ój-brzuszek-już-nie-taki-jak-kiedyś?...*

*Szkoda, bo bardzo fikuśny. Chociaż z drugiej strony?... Taki cienki płaszcz, może w sam raz na londyńską mżawkę, ale przed rodzimym listopadziszczem nijak nie ochroni.*

*Tak. To jest ten powód. Niepraktyczny. A nie przyciasny.*

*Ostatni rzut oka na siebie w płaszczu, poza nonszalantki z rękami w kieszeniach – a to co?*

*Funt! I to nie, jak ostatnio w Magdy życiu, funt kłaków – ale prawdziwa moneta w twardej walucie i kruszcu.*

*No, to się nazywa rekompensata! Magda uśmiechnęła się, i w duchu, i ciałem, i schowała monetę do kieszeni własnych spodni. Na szczęście – towar ostatnio nader deficytowy w życiu Magdy.*

*Lubiła takie znaki.*

*A oto druga i nie ostatnia osoba dramatu. Jagoda. Nieświadoma dziejących się za kotarą misteriów, lekko zniecierpliwiona, przestępowała z nogi na nogę. Ponieważ miała podzielną uwagę, kątem zielonego oka obserwowała się w przymglonym lustrze ochockiego lumpeksu, jednocześnie miotając pod nosem nieprzychylnie bliźniemu słowa. Jakaś kobieta utknęła w przymierzalni, zabierając tam naręczne ubrań, malowniczo teraz wystające zza ciężkiej aksamitnej kotary, także zapewne przybyłej z dostatniego europejskiego kraju.*

*Dobór ubrań był zaiste przedziwny: szlafrok (ręcznik może?) w kolorze fuksji w pełni rozkwitu, coś tiulowego i przezroczyściego w cielistej barwie (po co wkładać na siebie coś, czego nie będzie widać?), rondo kapelusza (do szlafroka czy bluzki ma pasować?) i jakieś falbany w ilości hurtowej i z bogatym kwietnym ornamentem.*

*Ależ rozrzut stylistyczny, zachnęła się Jagoda. Lekuchne podenerwowanie tylko po części było reakcją na odzieżową fantazję i brak poszanowania dla innych (czas! czas!) konkurencyjnej klientki lumpka. Po prawdzie to Jagoda często bywała rozdygotana – ot, taka konstrukcja psychofizyczna jej się trafiła.*

*Czuła się w tym przybytku tekstyliów wszelakich jakoś nie na miejscu. Już na pierwszy rzut oka widać było, że zakupy oferowanej tu konfekcji nie są dla niej przykrą koniecznością. Smukłe nogi były opięte przez szare legginsy*

*perfekcyjnie łączące dobrą jakościowo bawełnę z odpowiednią ilością wysokogatunkowej lycry. Od połowy uda legginsom towarzyszyła zwiewna, lecz pozwalająca się domyślić miłych dla oka kształtów środkowej i górnej części ciała tunika; również w odcieniach szarości. Do kompletu był wełniany paltocik, jakby żywcem wyjęty z lat 50. Stopy i łydki skryły się w zamszowych kozakach koloru zgniłej zieleni, która przyjemnie konweniowała z barwą oczu.*

*Tyle zobaczyłby postronny obserwator. Jagodzie stojącej karnie przed przymierzalnią Jagoda w lustrze jawiła się jednak ciut odmiennie. Niby szczupła, ale raczej chłopięco skrojona. Legginsy odkrywają, tunika zasłania – trudno się zdecydować, czy zanęcać, czy zniechęcać. Twarz z gatunku charakterystycznych; kształt nieprecyzowalny, bo maskowany chmurą rudawych loków, piegi wytrwale obecne, mimo że od słonecznych wakacyjnych dni minęły już ponad trzy miesiące. Doza aprobaty z nutą krytyki. Voilí, Jagoda!*

*Dzisiejszy pobyt w sklepie z używaną odzieżą był niezaplanowany. Jagoda po prostu nagle zapragnęła dotknąć prawdziwego życia. Po ośmiu godzinach w pracy, gdzie wszystko było cacy i uczesane jak z niemieckiego katalogu wysyłkowego, potrzebowała odmiany. Tutaj ją dostała. Ubrania z historią, jak ich byli właściciele – kolorowe, zmechacone, utrwalone naftaliną, barokowe, ascetyczne, markowe. Wybrała poncho tak kolorowe, że mogłoby wywołać atak epilepsji, szarą wełnianą szmizjerkę, seledynową bluzę dresową z kapturem i napisem Be like me oraz kamizelkę uplecioną z malutkich brązowych koralików. Jagoda nie była niewolnikiem jednego stylu, a manifestowanie siebie poprzez ubrania oscylowało między ekstrawertyzmem a introwertyzmem.*

*No, nareszcie, ileż można, czy te kobiety dzieci nie mają, nigdzie im się nie spieszy – złość w miarę płynnie zaczęła się zmieniać w nienatrętną ekscytację (czy łupy okażą się trafione?), gdy widoczne za kotarą ruchy pokazały mobilizację: zbieranie z podłogi rozrzuconych ubrań, wkładanie butów i wymarsz z przymierzalni. Ciężki od kurzu i wełnianych guzełków materiał uchylił się i...*

@ @ @

Data: 7.11.2014

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Temat: Wiosna jesienią

Jagodo Moja Najbliższa!

Przypadkowe spotkanie z Tobą przed paroma godzinami dało mi więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Jak to możliwe, że przestałyśmy się widywać na trzy? – nie! – cztery długie lata?!... Niełatwo po takiej przerwie jakby nigdy nic wejść w intensywny, szczerzy kontakt. W każdym razie nie od razu, z marszu. Trzeba było najpierw wypuścić ostrożne sondy, skomentować wzajemnie fryzury, zagadnąć o dzieci. Z powrotem się trochę oswoić – dokładnie tak, jak to zrobiłyśmy.

A jednak złapałam Cię raz czy dwa na badawczym spojrzeniu, jakbyś chciała migiem się rozeznąć, co się dzieje w mojej duszy, co *naprawdę* u mnie słyhać. Gdyby były gotowe bryki z dusz, chętnie byś zeń dziś skorzystała, prawda?

Najwyraźniej nie do końca udało mi się wyrzeć na Tobie wrażenie osoby szczęśliwej i spełnionej.

Z niechęcią przyznam: intuicja Cię nie zawiodła. Od pewnego czasu noszę w sobie wielki zamęt. Nasze nieoczekiwane spotkanie łupnęło mnie mocniej, niż dałam po sobie poznać. Była to zresztą bomba z opóźnionym zapłonem – dopiero w długiej (korki!) drodze do domu klarowała mi się piorunująca, przesywająca na wskroś myśl: muszę Ci wszystko wyznać. Tobie, przyjaciółce ze szkolnych lat, towarzyszce zabaw, sprzymierzeńcowi w dyskusjach. Obawiam się, że i Tobie zmacę tym spokój – za co z góry przepraszam... Czuję się źle, podle, nisko, a zarazem cudownie i wzniośle. Taki mętlik... Wiem, że to przez utratę wewnętrznego pokoju, zwanego także łaską... Tak długo się nie spotykałyśmy, moja historia stygnie... niech więc

będzie mejl.

Oddech.

Poznałam kogoś, kto nie zrobiwszy jeszcze nic, już wywrócił mi świat do góry nogami. Ma na imię Wiktor. Poznaliśmy się z ogłoszenia.

Motoryzacyjnego.

Ale po kolei.

Jesień tego roku mam istnie przełomową. Z największym wstydem wyznaję, że we wrześniu moje małżeństwo z Maciejem ostatecznie zakończyło się rozwodem. Pamiętasz, kiedyś, dawno wysłałam Ci zaproszenie (na ślub, nie na rozwód). To oczywiście jest moja życiowa porażka, ale też mam poczucie, że nie zaniechałam niczego, by uratować ten związek. Wybaczyłam zdrady i upokorzenia, prowadziłam z mężem długie rozmowy (także te trudne), wynajmowałam mediatora. Deklarowałam otwartość, powoływałam się na wartości. W końcu, po trzech latach rozłąki uznałam, że to droga donikąd. On wciąż mieszkał w Londynie, nie dając mi ani nadziei na powrót, ani żadnej gwarancji swej wierności. Żył już innym życiem, innymi podnietami. Z wolna stawał mi się coraz bardziej obcy. Doszło do tego, że małżeństwo trzymało się już tylko na świętej złotej nitce sakramentu. Złożyłam zatem dwa pozwy: w kurii metropolitalnej – o uznanie małżeństwa za nieważne; i w sądzie świeckim – o rozwód.

Pierwsza sprawa wciąż jest rozpatrywana. Druga odbyła się szast-prast i – wobec całkowitej obojętności Macieja na temat bycia czy też niebycia moim mężem – po półgodzinie zakończyła się gorzkim sukcesem. To jest – porażką.

To był wrzesień. W tym samym miesiącu posłałam Irenkę (znaną Ci na razie tylko ze zdjęć wysupłanych dzisiaj z portfela) do przedszkola (zaadaptowała się bardzo dobrze), a sama wróciłam do pracy. Nie mam jeszcze odwagi przyznać się tam do ostatnich zajść. W redakcji „On Żyje” otaczają mnie ludzie głęboko wierzący, prawi, nieskazitelni jak biel koszul z reklam. Nie jestem pewna, czy nie wyleciałabym stamtąd za takie złe życie.

Osobliwym prezentem rozwodowym od Macieja był samochód. Nie, nie, nic z salonu – ot, jego kilkuletni wóz z Wysp. Za stary jak na jego lanserskie potrzeby, a jednocześnie dużo nowszy od tego, którym jeździłam od studiów.

Kiedy wystawiłam na sprzedaż swoje stare auto, pośród różnych potencjalnych kupców pojawił się pan wytrwały ponad miarę. Dzwonił do mnie przez trzy tygodnie, wypytyjąc o motoszczegóły i próbując dopasować spotkanie celem oględzin.

Rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o moim samochodzie. Antykwariaty, muzyka, smaki... Głos dojrzały, radiowy, o pięknej barwie. Miło było go słuchać, mógł właściwie mówić obojętnie co. W końcu zaproponował spotkanie w serwisie Lexusa (!), żeby obejrzeć moje cacko.

Dopytałam, czy pamięta, że mowa o 12-letniej toyocie, którą zamierza sprawdzić w serwisie aut za pół miliona – a on na to, niezrażony, że tak.

Klient nasz pan. Odebrałam Irenkę z przedszkola, zaopatrzyłam w malowanki i pojechałam.

Był najbrzydszy z listopadowych dni. Popołudniowa szarówka, ohydna mżawka; błoto i wiatr.

Czekałyśmy na delikwenta w samochodzie. Naraz widzę kątem oka, że jakiś facet stoi przy aucie, pod parasolem, nieco z tyłu.

„Pewno to on” – pomyślałam i wysiadłam...

...wprost na mężczyznę onieśmielająco idealnego.

Na szczęście był *tak* idealny, że z miejsca uznałam, że to nie moja półka, i zachowałam się na wskroś naturalnie. Byłam absolutnie pewna, że widzę go po raz pierwszy – wiesz, uroda, którą na pewno bym zapamiętała. A on powiedział:

– Zmieniła pani kolor włosów...

Potem przyszedł mechanik z Lexusa, odziany nieomal w garnitur, i zaproponował, żeby zacząć od przejażdżki. A ideał – ale też w końcu



przecież klient! – mówi: proszę, niech pan jedzie, ja zostanę; potem mi pan opowie, jak chodzi.

I poszedł z nami kolorować malowanki.

Salon był luksusowy jak francuska restauracja.

Spędziłyśmy tak godzinę, podczas której starałam zachowywać się po matczynemu, godnie, nie zdradzając zainteresowania. Samochodu nie kupił (jakie auto wytrzymałoby presję takiego salonu?), pożegnaliśmy się, gawędząc jeszcze przez chwilę (deszcz zmienił się w ulewę, konieczny podkład do takich chwil).

Wsiadłam do samochodu i nie mogłam przestać się trząść. Potwornie, jak w febrze, musiałam się zmusić do trzymania kierownicy i uważności.

– Oho! – pomyślałam. Bo tak właśnie reaguję na zakochanie. Tak trzęsłam się dwanaście lat temu na pierwszej randce z późniejszym mężem.

Byłym mężem. Muszę w końcu przywyknąć.

Tego samego wieczoru zadzwonił i bardzo drżał mu głos. Chcąc podtrzymać tę rozmowę, pletliśmy androny o sztuce współczesnej – a do mnie uparcie wracała scena z *Annie Hall*, świeżo obejrzanej z Olą i Pawłem – kiedy on i ona popisują się erudycyjnymi dyrdymałami, a w podpisach jest to, co naprawdę myślą. Skojarzenie mnie śmieszyło, bo sztuki współczesnej nie cenię i nie lubię, a wymądrzałam się popisowo, myśląc, jak bardzo bym chciała, żeby mnie ten facet dotknął.

Dwa dni później zadzwonił znowu. I powiedział, że wtedy, w tym deszczu, myślał tylko o tym, żeby mnie pocałować.

Tej samej nocy wymieniliśmy pięćdziesiąt SMS-ów (Nie znoszę pisania SMS-ów).

Przez te dwa dni schudłam dwa kilo, bo motyle w brzuchu telepały jak latające młotki.

I tak na przemian – dzwonił, pisał SMS-y i mejle. Przyznał, że ma motyle

w żołądku, gdy o mnie myśli (więc *oni* też miewają?...), że nie może przestać myśleć, że się zakochał od pierwszego wejrzenia, że nigdy, przenigdy mu się coś takiego nie zdarzyło. Że gdyby ktoś kazał mu prędko wybrać, to ma przeczucie, że chciałby ze mną być do końca życia. Sam kolekcjonuje grafikę, nie ogląda telewizji, czyta książki, lubi góry i las, słucha Trójki. Brzmi znajomo? Toż to cała ja! Jest prawnikiem, wyniósł się z miasta do lasu, co dzień dojeżdża, pewnie niewiele dłużej niż ja z mojego osiedla na rubieżach.

To wszystko – na pan/pani. Bo przecież nie mieliśmy nawet okazji przejść na ty. Staroświeckie, acz urocze („Czy pani wie, że ma piękne dłonie?”).

I gdzie w tej historii przyczynek do ostracyzmu, do zamętu? Bo przecież domyślasz się, że nie mogło być za łatwo...

Otóż – jak mi wstyd, jak wstyd, gdy to piszę! – jest żonaty i ma dwóch synów.

Wciąż i wciąż szturcham w siebie do przebudzenia tę swoją słynną moralność, którą dotąd przecież nosiłam jak sztandar... Napisałam mu, że z zasady nie wchodzę w takie układy, że rodzina to świętość, że to mi śmierdzi świętokradztwem, że to, że tamto. A on odpisywał, że tak bardzo się cieszy, że „są jeszcze tacy ludzie”. I że on też czuje się potwornie, bo programowo nie kłamie, i tak mu z tym egzotycznie... a jednak dalej pisał i dzwonił.

To wszystko miało miejsce w poniedziałek, ledwie kilka dni temu.

Kim jestem w tym wszystkim, Droga Przyjaciółko? Tyle zmian, odkąd straciłyśmy kontakt... Już nie młoda mężatka, lecz trzydziestoletnia rozwódka z dzieckiem. Nie mieszkam w fajnej kamienicy w centrum, tylko na strzeżonym osiedlu na odludziu. Przegrałam to, co było dla mnie najważniejsze. A teraz ta historia. Czy to nareszcie nagroda za paroletni ból, smutek, za rany po zdradach męża – czy żenujący flirt? Wszak pewno jestem łatwym łupem, taka wyposzczona... Czy to po mnie widać?

Jagodo, błagam, bądź racjonalna i surowa do bólu – i powiedz mi coś na to wszystko.

Albo nie. Przytul.

Twoja niezmiennie

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 7.11.2014

Temat: Re: Wiosna jesienią

Malino, Malino Moja!

Jak się dziwnie porobiło...

Ale od początku. Bardzo się cieszę z naszego dzisiejszego spotkania. Cztery ostatnie lata coraz oszczędniejszych kontaktów nadrobiłyśmy w godzinę między wieszakami w ciuchlandzie. Nie tylko odjazdowe ubrania dostały od nas nowe życie – nasza nadwątlona przyjaźń też! Wstyd się przyznać, ale kiedy zobaczyłam Cię wychylającą się zza kotary przymierzalni, w pierwszym odruchu chciałam dać nogę ze sklepu. Głupio mi, że tak zapuściłam naszą znajomość. Oczywiście nasze następujące po sobie ciężę, porody, połogi i kolejne miesiące opieki nad potomstwem trochę tłumaczą ten stan zamknięcia się na świat. Tylko trochę jednak. Nie mam pojęcia, dlaczego poszłam w taki skrajny introwertyzm, ale nie mogłam się z niego wydobyć. Wiesz, sądziłam, że dzielenie się z kimś swoim nieszczęściem tylko mnie pognębi, a udawać już nie miałam siły. Co za głupota! Przeżywanie i szczęścia, i nieszczęścia z kimś innym, zwłaszcza ci

życzliwym i do ciebie podobnym, jest kojące. A w Tobie czuję pokrewną duszę. Teraz, po wczorajszej rozmowie i dzisiejszym mejlu – jeszcze bardziej. To tyle tytułem wstępu. I przeprosin.

A co do innych rzeczy...

Nie spodziewałam się, że tak szybko po rozwodzie otworzysz serce dla nowego mężczyzny. Ile to czasu minęło od chwili, gdy sędzia ogłosił Was niemężem i nieżoną? Miesiąc? Superekspres po prostu. Albo przeznaczenie. Cud właściwie, biorąc pod uwagę Twoje (moje zresztą też) doświadczenia z płcią przeciwną. Pamiętasz, jak kiedyś rozmawialiśmy, że poznać pana-wprost-idealnego to jak trafić szóstkę w totku. Nierealne – lepiej od razu obniżyć wymagania, przygotowując się na serię rozczarowań. A tymczasem – tadam! Ideał objawiony! Fakt, że chciał, teoretycznie przynajmniej, kupić Twoją doświadczoną życiem żabowatą toyotę (zieloną w dodatku!), jest niepokojącym elementem w tej układance, ale gdyby jeszcze miało się okazać, że jest bogaty, byłby to nadmiar szczęścia – nie do udźwignięcia.

Żonaty. Ha...! No i co mam Ci napisać? Tobie – chodzącej świętości, bywalczyńni pielgrzymek, najszczerzej wyznawczyńni wiary. Ja – zdecydowanie bez aureoli. No więc co? Że tak się nie godzi, że to grzech? Nie mnie to oceniać. Że na cudzym nieszczęściu szczęścia nie zbudujesz? Banał, choć nie bez racji. Że może zbyt wcześnie na nowego mężczyznę, gdy poprzedni dopiero przed chwilą został mocą urzędową wykreślony z Twojego życia? Że może to łajdak, kawał zbója, co omami i nabuja?

Wierz mi, Malino, bezradnie zawieszam ręce nad klawiaturą. Ja, która na co dzień radzi porzuconym, zdradzonym, codziennością znękanym czytelniczkom, jak żyć. Ja, poradnikowe pogotowie ratunkowe w „Być Kobieta”. Powinnam Ci z miejsca dać receptę na szczęście... Wiesz, że nigdy nie miałam w sobie moralizatorskiego zacięcia. A teraz mogłabym dodać: „Kto z was jest bez grzechu...”. A ja – tak, tak, nie do uwierzenia, bez grzechu nie jestem.

Wiesz, jak było. A raczej jak jest. Z zewnątrz idealne życie pani redaktor z dwójką uroczego potomstwa oraz mężem lekarzem. Dzieci już odrobinę odrośnięte, kontaktowe, rezolutne, dające morze miłości, ale i pozwalające na chwilę oddechu. I to wszystko w dekoracjach przytulnego domku z ogrodem

w stylu angielskim. Sielanka. Ale nie, niestety. Szewc bez butów chodzi – ustawiam czytelniczki do pionu, besztam, każę, daję rady nie od parady, wspieram rozumiejąco, do serca przytulam. A po godzinach – wszystko nie tak, nie tak, nie to... Pustka w sercu coraz większa, inne rejony ciała też niezaopiekowane...

Co się dzieje w takich sytuacjach? Bingo. I owszem – pojawił się ktoś. Znasz go zresztą. To... Jerzy. Tak, *ten* Jerzy. Nietrudno się domyślić, prawda? Nasi równolatkowie tak się nie nazywają.

Jak to się stało, zapytasz? Iskra, błysk, moment. Kilka dni temu był u mnie w pracy. Już nie jako szef działu prasy kobiecej w moim molochu wydawniczym, ale jako były przełożony. Dopełnianie ostatnich formalności, takie żegnanie się z firmą na raty. Zobaczyłam go na korytarzu. Poczułam zapach wetywerii – on i te perfumy są nierozłączni. Ucieszyłam się na jego widok niezrozumiale nieadekwatnie. W przyptywie emocji, zamiast ograniczyć się do wyćwiczonego uścisku dłoni, po życzliwym „dzień dobry” pocałowałam go w policzek. Dokładniej opisując płaszczyznę pocałunku, powinnam powiedzieć, że zaczął się on w prawych kącikach naszych ust. Subtelnie, acz wyczuwalnie przekroczył granicę standardowego powitalnego cmoknięcia. Odczułam delikatny wstrząs, mrowienie biegnące od warg w głąb ciała i rozgałęziające się na dwie odnogi, które przeniosły owe elektryczne wyładowania do głowy i brzucha. Momentalnie się ogarnęłam. Lubię to określenie – „ogarniać się” – stawiać na baczność członki i emocje.

– Widzę, że się za nami stęskniłeś – rzuciłam lekkim tonem, który miał przykryć efekt nieroztropnego powitania.

– Wypełniam ostatnie powinności. – Odchrząknięcie przed wygłoszeniem tego zdania dobitnie wskazywało, że Jerzy mniej sprawnie maskował zaskoczenie moim wylewnym gestem. Porozmawialiśmy przez chwilę; nic istotnego ani osobistego, kilka okrągłych zdań. Od trudu dalszej konwersacji wybawił mnie kolega z działu logistyki, z którym, jak się okazało, Jerzy był umówiony. Uśmiechnęłam się, wykonałam nieokreślony ruch głową i z ulgą zniknęłam za drzwiami swojego pokoju. Postanowiłam zająć się mejlami, które czekały w firmowej skrzynce, by wtłoczyć myśli w codzienną rutynę. Uprzejme odpowiedzi, do których dołączałam serdeczne pozdrowienia, nieco mnie ukoiliły. Po półgodzinie, gdy płynny stukot palców na klawiaturze

zadziałał jak medytacyjne skupienie, usłyszałam delikatne pukanie do drzwi. Jerzy. Już w kurtce, z laptopem pod pachą.

– Chciałem się pożegnać. – Uśmiechnął się.

– No tak... – wspięłam się na szczyty elokwencji.

– Będę pisał – dodał.

I wtedy świeżo odzyskany spokój się oddalił. Uśmiechnęłam się obcym, nieswoim uśmiechem, którego sama nie potrafiłabym zinterpretować. Twarz Jerzego wykonała podobny wysiłek mimiczny. Obrócił się i delikatnie zamknął za sobą drzwi. A ja już wiedziałam, że zwrotnica została przestawiona i mój los potoczy się innym torem...

Dlaczego tak nagle? Wszystko przez ten pocałunek. Jerzy zawsze mi się bardzo podobał: niski, niezwykle męski głos. Mocno szpakowate włosy obcięte na rekruta, co odejmuje mu lat i dodaje chłopięcego uroku. Młodzieńcza sylwetka, bystre spojrzenie, lekko ironiczny uśmiech. Przypomniałam sobie nasze pierwsze spotkanie. Moje ciało zareagowało wtedy podobnie jak przy korytarzowym pocałunku – dreszczem. Podobno należy słuchać tej intuicji, ponieważ płynie z doświadczenia i nie sposób nią manipulować.

Posłuchamy jej, Malino?

Całuję, rozdygotana

Twoja z powrotem

J.

PS. No i skąd wiedział, że zmieniałś kolor włosów?...

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 8.11.2014

Temat: Miłość kolektywna

Jagodo!

Dziękuję Ci za mejla intymnego, zaufanie, wsparcie.

Wyrzutów nie miej – tak się składało i już. Dobrze, że dałaś się jakoś odczarować.

„Ogarniać się” organicznie nie znoszę, jak każdego nadużywanego słowa! Każdy sadydzi dziś drugiemu dobre rady: „człowieku, ogarnij się!”. Nastolatki w tramwajach wyszeptują tonem zwierzeń do smartfonów: „taaaka jestem ostatnio nieogarnięta, muszę się ogaaarnąć...”. Jakieś pospolite ruszenie ogarniania.

Wolę panować nad sytuacją. Zawsze miałam skłonność do monarchii!

A więc Jerzy... Im dłużej o tym myślę, tym bardziej mi się wydaje naturalne, że do siebie łgniecie. On do Ciebie pasuje. Niewiele wiem o Twoim Piotrze, ale... – uch, nawet teraz, gdy to piszę, czuję taki zgrzyt. Wiesz, kobiety tak mówią o swoich mężach: *mój* Kamil, *mój* Krzysiek. Tymczasem Piotr... jest jakby *nie*-Twój... Oddzielne macie patrzenia na świat, oddzielne życia. Wybacz, jeśli Cię uraziłam.

Żadna z nas nie wie, jak się potoczą jej idiotyczne historie – ale cóż, spróbujemy przejść przez nie z godnością i... maksimum radości, prawda? Spróbujmy. A nuż się uda?... Koniecznie wspólnie – w zespół, oczywista!

Boże! Umówisz się z nim?...

Ściskam Cię najserdeczniej

M.

PS. Tak dobrze mu się ze mną rozmawiało przez telefon, że jeszcze przed spotkaniem poszukał w internecie moich zdjęć. Stąd wie, że włosy były brązowsze.

@ @ @

Od: jag

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Malino Droga,

tak, próbujmy. Co na końcu, to się okaże, ale teraz serce mówi: idź, no idź...

Powinnam Ci napisać, że nie wiem, czy się umówię, pokajac trochę, pobiczować, zachować minimum pozorów. Właściwie to myślałam, że mnie skrytykujesz za taki pomysł. Że będziesz chciała odwodzić od niecnego planu. Że potrzeba umoralniania okaże się silniejsza od wynikającej z przyjaźni akceptacji...

Wiesz, co w tej mieszance uczuć, jaką teraz przeżywam, w tym okrutnym zamęcie najbardziej mnie uderzyło? Fakt, że ten korytarzowy, trochę ukradkowy, całkowicie nieromantyczny, zważywszy na scenerię, pocałunek zmiękczył mi kolana i odurzył. *Pocałunek*. No dasz wiarę? Tęsknić za pocałunkami – jak nierozgarnięta dziewiętnastowieczna pensjonarka! Ale to zetknięcie ust było elektryzujące! Kula ciepła gwałtownie rozżarzyła się w moim brzuchu i zaczęła zataczać coraz szersze kręgi. Nie miała nic wspólnego z subtelnymi motylkami lub podrygami serca. „Płomienie w lędźwiach” – właśnie takiego zwrotu użyłam w myślach, próbując później określić swój stan, zamiast pomyśleć „gorąco mi *tam*” lub w ogóle nie myśleć, tylko poddać się nagłemu podekscytowaniu. Wyraz „lędźwie”



zawsze mnie onieśmielał; brzmi jakoś anatomicznie i nieprzyzwoicie, kojarzy mi się ze średniowiecznym erotyzmem, szczerym i nieskrępowanym rozpasaniem. Idealnie jednak pasował do sytuacji – określał ten fragment ciała, który dopraszał się mojej uwagi, wysyłając jasny sygnał, którego się nie spodziewałam i – jak próbował mnie szybko przekonać mój czujny jak zawsze umysł – nie chciałam. Na takim ciągłym przewijaniu filmu z tamtego popołudnia upłynął mi wieczór. A kiedy usiadłam przy biurku i otworzyłam laptop... Zobaczyłam mejl od Jerzego.

*Jagodo, Jagodo,*

*czego szukasz, czego pragniesz, za czym tęsknisz?*

*Jerzy*

Jakież to oklepane, harlequinem z daleka pachnące, takie bardziej wyszukane epistolograficzne disco polo, pomyślałam, coraz bardziej zła na własne ciało, które mimo tej pogardliwej oceny nie chciało zubożeć, utrzymując podwyższoną lokalnie temperaturę i ogłaszając erotyczny alert. Ta fraza wyjęta niby z kioskowego romansu trafiła mnie celnie. Wiesz, że zwykle trzymałam swoje schludne i porządne życie w ryzach norm i zasad, nie pozwalając sobie na żadne eks-, a tym bardziej sekscesy, więc taki prosty, mocny sygnał był zaskoczeniem.

Właściwie to spodziewałam się listu od Jerzego. Nie takiej jednak formy oczekiwałam. Choć, po chwili zastanowienia, doszłam do wniosku, że całkiem zgrabnie to rozwiązał. Jak inaczej rozpocząć subtelny flirt, żeby w razie braku wzajemności z łatwością się schować za lakonicznym sformułowaniem, które przecież niczego wprost nie sugeruje. A z drugiej strony, gdy trafi na podatny grunt, by emocje buchnęły jak ogień na przesuszanej ściółce...

A może ja Jerzego źle oceniam? Może to żaden casanova, co miłośkami szafuje? Może się boi odsłonić i chowa za bezpiecznymi słowami?

Tak, umówię się. Umówię. Wiem, że robię źle. Wiem, że krzywdzę i mogę

być skrzywdzona. Ale chyba nie umiem już zawrócić. To trochę tak, jakby skrywane przez lata różnorakie niespełnienia nagle wydostały się na wolność i nie można było nad nimi zapanować...

A Ty? Co Ci serce podpowiada, ciało sugeruje i rozum każe? Którego posłuchasz?

Pisz do mnie, pisz! Miejsca sobie znaleźć nie mogę. Dobrze, że jesień w tym roku przychylna człowiekowi. Zabieram zaraz Matyśkę i Jeremka na wycieczkę do stolicy. Dla dzieci chowanych w przyleśnej podwarszawskiej głuszy wyprawa pociągiem do wielkiego miasta to doznanie niemal ekstatyczne. I metro tam jest, i schody ruchome, i gwar, i szum. Wszystko nęcące jak cholera, więc będą biegać, mówić jedno przez drugie, na pewno się pokłóca, a może nawet zgubią. I tego mi trzeba w ten rozdygotany weekend – matczyne go stanu najwyższej gotowości, który zajmie ręce, nogi i głowę.

Całuję

Twoja J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 8.11.2014

Temat: Wszędzie znaki

Borówko!

Dwa z nas szewce, co bez butów chodzą... Ty kobietom zalecasz na łamach ostrożność, a sama lecisz jak ćma do światła, ja – zawodowo moralizuję,

jednocześnie (co by pomyślał nasz ksiądz dyrektor?!) flirtuję z żonatym mężczyzną. Ja! Tak odległa od flirtu jak... Jak i Ty do niedawna?...

Pytasz, skąd mój brak moralizowania i świętego oburzenia na Ciebie.

Sama nie przestaję zadawać sobie tego pytania. Zepsuł mi się wewnętrzny kompas? Zatarł się w nim kierunek na prawość? Nigdy taka nie byłam, sama wiesz. Zawsze jednoznaczna, o jednej i tej samej twarzy i poglądach.

Otóż chyba się pogubiłam, Jagodo. Działam jak człowiek w głębokim kryzysie. Tylko dlaczego, u licha, wcale nie jest mi w nim źle? Zagubiona – owszem, niepełna – też. Ale *nie nieszczęśliwa!* A przecież zawsze wiedziałam, że zejście z mojej ścieżki grozi wszystkimi możliwymi nieszczęściami!

Tymczasem stało się niejako *à rebours*: najpierw spadły na mnie nieszczęścia, potem – teraz – pozwalam się prowadzić gdzieś na manowce. Słowo daję, nie poznaję samej siebie. To przedziwne uczucie. Silne – a jednocześnie w jakiś pokrętny sposób nieskończenie intrygujące...

Randka – hm. Ciekawa jestem rozwoju wypadków – jak to się u Ciebie potoczy? Wciąż bez potępienia, którego – nawet gdybym chciała – nie mogę z siebie nijak wykrzesać.

Co zaś do Wiktora... Jak on mnie umiejętnie uwodzi, aż strach. Poprawny i stylowy, acz między wierszami upycha treści, które drażnią i palą jak ta czekolada z drobinkami chili. Sama wiesz, że nas, ludzi słowa, właśnie ze smakiem dobrane frazy pociągają najbardziej.

Tak. Ja też się z nim spotkam. Boję się, że to szaleństwo, że go sobie przyśniłam, wyczytałam w którejś powieści. Dlatego właśnie chcę go znów zobaczyć, przekonać się, że tkliwych wiadomości nie wysyła żaden program, za który pod koniec miesiąca przyjdzie niespodziewany rachunek, ale żywy, bałamutnie, piekielnie przystojny mężczyzna.

Właściwie... A niech tam. Już jesteśmy umówieni. Na jutro. Wszystko do tego zmierzało, wystarczyło tylko podtrzymać rozmowy, czytać i odpisywać, nie stawiać oporu, płynąć z nurtem. Kto by pomyślał, że tak

łatwo jest łamać zasady?... Przecież nawet w tym sformułowaniu jest trzask „łamania” i „zasada” sucha jak stara gałąź. Tymczasem wystarczyło nie powiedzieć „nie”, gdy nalegał. I już w tym jestem.

A teraz kończę, bo Irenka podejrzanie marudzi i pokasłuje. Kochana moja, wymarzona dziewczynka, wieczna pamiątka po małżeństwie... Od kilku dni mam wobec niej wyrzut sumienia, że tyle czasu poświęcam własnym myślom i sprawom. Układam z nią puzzle i jednocześnie wymieniam SMS-y z W., pospiesznie moszczę ją do snu, by w ciszy wieczoru oddać się fantazjom... Może ten kaszel to znak, by z nią jutro zostać w domu i nigdzie nie iść, nie pchać się w tarapaty, powściągnąć pragnienia? Musisz wiedzieć, że popadam w obsesję znaków, kolejne samotnicze dziwactwo. Pierwsze słowo usłyszane po włączeniu radia rano? – dobry lub zły omen. Osoba, nad którą akurat wiszę w tramwaju, zwalnia miejsce i wychodzi? – los szykuje mi miłą niespodziankę!

Stojąc rano w korku, staram się sytuować za autem z jakimś pomyślnym numerem rejestracyjnym. Mile widziane siódemki, najlepiej trzy. Mogą też być trójki, przyjacielsko zaokrąglone, lub ósemki – nieskończoność czegoś dobrego...

Czwórki – jak usługne krzesła.

Panicznie zmieniam pas jak najdalej od tablic imiennych, W0 EVIL, W1 DARAS.

Szóstki – wykluczone.

No więc znak czy nie znak? Okaże się rano.

Pozdrawiam Cię *znacząco*

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 9.11.2014

Temat: Re: Wszędzie znaki

Malino Moja!

Czytam, że lecisz tam, gdzie Twoje motyle...

Oj, Malinko, Malinko... Ja już nic nie wiem. Jak dobrze, że Cię mam!

Pomysł wczorajszej wycieczki turystyczno-krajoznawczej był strzałem w dziesiątkę. Dzieci mnie nie zawiodły. Udaremniłam próbę rzucenia się pod pociąg, salomonowo rozstrzygnęłam kłótnię, decydując, że jedno bilety kupuje, drugie je kasuje, poiłam zziajane buzie, by chwilę potem równie żywiołowo szukać toalety. Byłam matką i ojcem (Piotr na konferencji), stanowczą i miłą zarazem, co mnie kosztowało tyle wysiłku, że wieczorem marzyłam tylko o łóżku. Zanim jednak tam dotarłam, sprawdziłam pocztę. Pamiętasz, jak się zirytowałam na lakoniczny list od Jerzego, co to miał mnie zanęcić i zachęcić. Wyczułam w nim pragnienie flirtu, więc odbiłam piłeczkę, zadając te same pytania. I w odpowiedzi dostałam szczerą – odkrytą, odsłoniętą. Nie spodziewałam się jej, choć skrycie o niej marzyłam. I co pisze? Właściwie to samo, co czuję ja. Nie może jeść, spać, pracować. Widzi, marzy, pragnie, tęskni. Nie pamiętał takich uczuć, stało się. A z drugiej strony widzi też Dorotę, swoją konkubinę (paskudne słowo! Chyba specjalnie go używam, żeby i sobie, i Tobie obrzydzić ten związek) – ufną i spokojną, córkę, której już raz zafundował trzęsienie ziemi, rozwodząc się z jej matką z powodu wspomnianej nieślubnej Doroty. Czuje obowiązek, szacunek, przywiązanie, ale nie miłość i namiętność. Co ma wybrać? Jak się zachować? I oczywiście pytania: czy ma prawo do szczęścia, bliskości, uniesień? Czy ma prawo posłuchać swojego ciała, serca, emocji? Czy życie to jednak tylko obowiązek, rutyna, odpowiedzialność? Kogo wybrać: siebie czy innych? Same pytania, brak odpowiedzi. I co dalej? Cofniemy się w pół drogi czy śmiało pójdziemy naprzód, zdając się na los, z pełną świadomością

(choć jak w zawierusze najwyższych emocji można w ogóle mówić o procesach myślowych!) konsekwencji?

Malino, w przededniu wielkiego zamętu – czas decyzji nastał. I my z Jerzym się umówiliśmy. Na bezpiecznym neutralnym gruncie Dzikiego Ryżu. Telepie mną od tych emocji, rzuca od ściany do ściany. Czy fakt, że w moim (sakramentalnym, na Boga – grzeszę po dwakroć!, a Ty, redakcja katolicka, nie grzmisz!!!) związku nie dostaję podstawowej rzeczy – bliskości – i wszystkich dalszych jej pochodnych: czułości, namiętności, seksu, mnie usprawiedliwia? Kto jest ważniejszy: Jagoda – kobieta, człowiek, czy Jagoda – matka, żona? Wyrzut sumienia mam wielki jak kanion w Kolorado.

A z drugiej strony znów ogarnia mnie złość – żeby pocałunek mógł mnie tak poruszyć?! Ile we mnie niespełnionych potrzeb!

Piotra nie znasz zbyt dobrze, ale odczytujesz go bezbłędnie. Sieriozny, poważny Piotr. Życie to przede wszystkim obowiązek. A że ja po kawałku umieram z tej samotności i niespełnienia, wszystkie uczucia przelewając na dzieci – fanaberia...

Co do Twoich obaw o wprawność we flirtowaniu, to chyba się nie sugeruj tym, że Wiktor wydaje się aż nazbyt utalentowany w tej dziedzinie. Może tacy mężczyźni się zdarzają: z polotem, seksapilem, tylko my o tym nie wiemy, bo trafiłyśmy na emocjonalnie kulawe egzemplarze?

Jutro dzień, w którym przyjdzie wielka fala – albo nas wciągnie w toń i zginiemy, albo... wypłyniemy na szerokie wody *miłości*.

Skołowana Cię całuję

Jaguś

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 10.11.2014

Temat: Wielki dzień nastał

Jaguniu!

To dziś. Moja pierwsza randka od *dwunastu* lat.

Dotarłam do pracy. Irenka od rana dziarska, dzieci wspaniale się (czasami) przez noc regenerują. Chyba całe miasto wzięło wolne w tym dniu między Świętem Niepodległości a weekendem... W przedszkolu pustki, w pracy pustki, na ulicach pustki, za to w żołądku... Sama wiesz. Choć też pusty.

Ściskam, odezwę się – jeśli będę miała o czym...

Maria Magdalena

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 10.11.2014

Temat: Re: Wielki dzień nastał

Potrójna M.,

przedziwne – też się z Tobą denerwuję. Dziś to mi nawet dobrze robi, bo po południu mam w szpitalu zabieg. Tak, w zatokach bagno, w brzuchu motyle, w sercu zawierucha.

Ściskam

Jaga

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 10.11.2014

Temat: Dygot, dygot

Jago,

wymieniamy właśnie z Wiktorem nerwowe mejle o tym, jak to się denerwujemy. Dygot, dygot.

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 10.11.2014

Temat: Re: Dygot, dygot

A kiedy godzina „0”?



J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 10.11.2014

Temat: Re: Re: Dygot, dygot

Godzina „0” o czternastej. Pora dziwna, podyktowana moim niepełnym etatem w „On Żyje”; do tego nasz czas będzie ograniczony porą odebrania Irenki z przedszkola.

Boże, Boże, Boże.

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 10.11.2014

Temat: Do odważnych świat należy

No to już za chwilę... Bądź sobą.

Leć ze swoimi motylami!

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 10.11.2014

Temat: Re: Do odważnych świat należy

Jago. Ja już wcale nie chcę!!!... Chcę do domu, pod kołdrę, bu, bu, bu.  
Matko, jak się boję.

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 10.11.2014

Temat: Baczość!

Maliniasta,

widzę, że jesteś w rozsypce. Udzieliły mi się Twoje rumieńce, pąsy

i niekontrolowane bicie serca. Dobrze, że mam doświadczenie w tej materii („Być Kobietą” to niezła szkoła życia, na co dzień przydaje się jednak chyba bardziej niż „On Żyje” – przynajmniej w tym życiu), bobyśmy obie wpadły w jakiś amok. A tymczasem trzeba się wziąć w garść, potraktować tę randkę jako coś zwyczajnego (nie opowiadaj mu, kiedy ostatni raz się z kimś umawiałaś, bo zaczniesz podejrzewać u Ciebie zestaw poważnych, dyskwalifikujących wad). Bądź naturalna, miła, swobodna. Okej – dzielna też bądź!

Zamykam komputer, bo sala zabiegowa na mnie czeka. Ty w męskie ramiona, ja – pod maskę tlenową. Szykuje się zawrót głowy.

Napisz do mnie wieczorem, koniecznie!

Całuję

Twoja J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 10.11.2014

Temat: Po

Jaguś!

Opowiem Ci od razu, bo jak tu zwlekać i po co?

Umówiliśmy się, pobiegłam. Zwyczajna, w dzinsach i swetrze nie pierwszej

młodości. Nie chciałam się sztucznie wyfiokować, do tego nic mi się rano nie układało – ani makijaż, ani włosy.

Czekał z wielkimi herbacianymi różami.

Spłoszyłam się strasznie, strasznie. Przez tydzień, który minął od naszego poznania, już sama nie wiedziałam, czy pamiętam, jak on wygląda, czy go sobie swobodnie dorysowałam w marzeniach. Rzeczywiście okazał się odrobinę inny – na przykład wydawało mi się, że nosi okulary – a nie nosi. Chyba że zdjął, by się odmłodzić!

Potem zrobiłam swoją rewolucję seksualną, czyli przeszliśmy na ty. I długo rozmawialiśmy, a ja dodatkowo kaszlałam. Prawił mi komplementy i uważnie mi się przyglądał; trochę milczeliśmy i nie było to denerwujące. Ręce nam się trzęsły tak, że filiżanki z herbatą musieliśmy brać w obie dłonie; na szczęście nas to śmieszyło i trochę rozładowywało atmosferę.

Tak upłynęło z półtorej godziny – na inteligentnej rozmowie na poziomie, patrzeniu, niemych podchodach, gonitwie myśli (ja), obmyślaniu strategii (jak przypuszczam, on). Aż w końcu się pocałowaliśmy, i lawina ruszyła.

Mój strach wcale nie ustał. Spaliłam chyba z 8000 kalorii na to trzęsienie się. Rety, i było tak dwoiście – obcy facet. A taki... – aż się boję tego słowa – kompatybilny.

Z drugiej strony – wciąż się martwiłam, czy ta kompatybilność nie wynika aby z doświadczenia podrywacza-recydywisty, taki był wprawny. No albo właśnie tak do mnie pasujący... Och, jak mnie to dręczy!

Sam mówił, że czuje się, jakbyśmy się znali od wieków, że tak dobrze, że cudownie, że uwielbia. Dla mnie całe to spotkanie – fakt, że ktoś *tak* na mnie patrzy, *takie* rzeczy mówi i do tego *tak* całuje – było doświadczeniem egzotycznym jak dla pensjonarki. Nie umiałam tych kwiatów z wdziękiem trzymać, potem, w drodze do samochodu. Ich długie łodygi objęły mi się o nogi, wzrostem, jak wiesz, Pan Bóg mnie nie obdarzył... (mądrością być może też nie?). Kiedy ja ostatnio dostałam kwiaty?...

Na jego śmielsze słowa nie umiałam wcale zareagować – tak wypadłam

z obiegu, nie do wiary... Może wręcz nigdy w nim nie byłam?

A potem, już w samochodzie, dopadły mnie wyrzuty sumienia. Gigantyczny kac moralny... Rozumiesz bez zbędnych słów wyjaśnienia, prawda?

Jaką rolę mam grać w tym *układzie*? Jak stawiać jakiegokolwiek warunki? Przecież od samego początku wiedziałam, *jaki* to jest układ...

Ciekawe, czy to się skończy stertą chusteczek, czy – no właśnie, czym?

Całusy od moich motyli dla Twoich

Jawnogrzesznicza

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 10.11.2014

Temat: Re: Po

Malino w worku pokutnym,

siedzę i czytam Twój list, chociaż myśl mam zmaconą punkcją. Nie tylko punkcją zresztą... Dziwnym zrzędzeniem losu nasze historie zaczęły biec równolegle. Z jedną drobną różnicą. Ty jesteś rozwódką. Kartę masz czystą – z sądowym wpisem do akt. A ja...? Wróciłam do domu obolała; Matyśka i Jeremi już spali. Ciche, spokojne oddechy w dziecięcych łózkach. Piotr czekał na mnie. Uprzejmie dopytał, jak się czuję, i szybko czmychnął w swoje papiery. A ja nie wiem, jak się czuję – jest mi i smutno, i jakoś radośnie. Besztam się i wybielam jednocześnie.

W środę moje tęte-ń-tęte...

Dobrej nocy

Zielona Jagoda

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 11.11.2014

Temat: Dotyk, który leczy

Wiesz, Jagodo? Ta równoległość naszych losów dodaje mi otuchy. Zaraz sobie myślę, że może jest w tym jakiś plan, nieprzypadkowy zamysł? Najpierw trafiamy do jednej szkolnej ławy – Jaga Jabłońska i Magda Malinowska, nierozłączny owocowy duet, powinnyśmy być wdzięczne klasie, że nam nadała takie trwałe ksywy! – niebawem minie trzydzieści lat, odkąd je przywdziałyśmy, dwie szczerbate mądralińskie... Wspólna dłuuuuga edukacja, po niej realizacja podobnych marzeń – praca w gazetach, czasem przy książkach, mężowie, dzieci. Tu rozluźniamy nieco więzi, zaabsorbowane rodzinami i dorosłością. *Notabene*, Jagodo, czy Tobie się czasem to wszystko nie wydaje zabawą w dorosłość? W panie z dziećmi i sprawunkami, pańcie kotlet bijące, utyskujące na mężów, wszystko tak jak w naszych dawnych zabawach? Klnę się, Jago, że bywają chwile, gdy wyglądam mamy, która by z kuchni zawołała: „kończcie już tę zabawę, myjcie ręce i chodźcie na obiad!”. Nawet nie wiesz, jak bym czasem chciała sprzątnąć te wszystkie cholerne zabawki i zacząć zupełnie nową, fajną zabawę. Ze starego zestawu tylko Ciebie przeniosłabym do tej następnej. I swoją „lalkę” Irenkę.

Zatem wpadamy na siebie po tylu już latach. Zaraz odgrzebuję Twój adres

i w hołdzie dawnej przyjaźni z miejsca zaczynam Ci się zwierzać. Wtedy wychodzi na jaw, że obie stoimy w tym samym punkcie, u progu czegoś nowego...

Taak... chyba jesteśmy w podobnym miejscu. Do tego Ty masz punkcję, mnie kręci się w głowie od niejedzenia. Nie mogę też spać. Wczoraj w nocy bezsenność wzbudziła we mnie sceptycyzm i negację. Spytałam Wiktora, czy zdradzał wcześniej żonę („tak, trzy lata temu, i czuł się z tym podle. Oraz – że zdradził ją przecież także wczoraj ze mną”). Myślałam sobie o nim, jak siedzi w gabinecie – bibliotece i pisze do mnie najnamiętniej, a w ich sypialni leży żona – sama i niespełniona, właśnie taka jak *my*. Tak, bo seksu z żoną nie ma. Czyli klasyczne „żona go nie rozumie, wcale ze sobą nie śpią”... Napisałam nawet, że może wolałabym go „zewangelizować” – potrząsnąć nim i przywrócić go rodzinie i wartościom, zamiast mieć z nim romans. Tylko potem sama chyba zostałam samotną świętą, dopowiedziałam sobie zaraz w myślach.

– Jesteś wolna, masz wybór – odparł.

Ale jak miałam dokonać takiego wyboru obiektywnie i uczciwie, gdy mimo prysznic i upływu godzin wciąż czułam na sobie jego zapach i pocałunki? Moja skóra i zmysły wcale nie chciały, żebym została świętą.

Nie wiem, co mi mówi intuicja. Ona jest teraz obrzydliwie niemiarodajna i mówi głównie: „niech on mnie dotknie jeszcze raz”.

Wiesz? Pikanterii dodaje fakt, że moja życiowa tragedia zaczęła się od zdrady Macieja. To był człowiek, w którym byłam bezgranicznie zakochana; byliśmy też przyjaciółmi, kumplami. Znaliśmy się na wylot, tak mi się zdawało. Całe lata, całe studia. To, że oboje byliśmy gorliwymi katolikami, zapewniało mi spokojny sen.

Gdy niespodzianie w Londynie zaczęło się nawet nie psuć, ale istnie walić, prędzej byłam skłonna uznać, że zwariował od wyzwania, napięcia i ambicji, niż że zdradził. Wysyłałam go do psychologa, neurologa, nawet umawiałam z egzorcystą, dasz wiarę?!

Tymczasem on zaczął mnie tam zdradzać niemal natychmiast po przyjeździe.

Tak jakby wszystkie ideały zawały się w obliczu nagłego sukcesu, pieniędzy, spełnionych ambicji. Nie mogłam uwierzyć, że mój nienamiętny, intelektualny, niezainteresowany seksem mąż obraca na boku asystentkę. Wyobrażasz sobie?!? Trywialnie, jak ostatni łachmyta!

Do tego stopnia go to absorbowowało, że nie zawahał się dwa razy wyrzucić mnie z naszego tamtejszego domu – raz tuż po moim przyjeździe (bo jego sukces nie jest automatycznie moim sukcesem! I nie życzy sobie, bym za nim podążała jak cień!), drugi raz – w połowie ciąży. Dopiero wtedy, w połowie ciąży, poznałam prawdziwą przyczynę jego rozstroju nerwowego. Po prostu za wszelką cenę chciał się mnie pozbyć ze swojego życia. I było to równie smutne... jak samo nasze pożycie.

Na pewno wiesz z listów swoich czytelniczek, co się wtedy czuje. Przez wiele tygodni było mi gorąco ze złości, słabo z największego w życiu rozczarowania. Zamglony naraz sens życia widziałam tylko w rosnącym zdrowo – na przekór wszystkiemu – brzuchu z Irenką. Do tego dochodził paralizujący lęk o przyszłość – lęk przed samotnością i kołaczącą w tyle głowy, choć skrzętnie odpychaną, myślą o samotnym macierzyństwie.

Ale najsilniejsze, od pierwszej chwili aż do teraz, było (jest...) poczucie krzywdy, że wiarołomny Maciej tak lekko dzielił się z przypadkowymi dziewczynami tym, czego przez wszystkie wspólne lata tak bardzo skąpił mnie.

Seksem, Jagodo. Co za wstyd. Wiesz, jak to zniszczyło moją kobiecość?

Nieustannie pulsował mi w głowie mętlik „za” i „przeciw”: schować dumę do kieszeni, dać się solennie przeprosić, wysłuchać zapewnień o „nigdy więcej” i nieść dalej krzyż smutków i radości sakramentalnego życia – czy właśnie nie; dzierżyć tę dumę, otulić się chłodem i wyniosłością, stać się dla odmiany kobietą silną, godną i pojedynczą.

Maciej wybawił mnie chociaż z tego jednego dylematu. Tak bardzo rozsmakował się w hedonizmie, że żadne solenne zapewnienia nie padły.

Widzisz, dlatego czuję się winna w dwójnasób – że robię tamtej kobiecie to, co mnie samą tak strasznie, strasznie bolało, bardziej niż śmierć babci, niż



koniec jakiegokolwiek przyjaźni. Można coś budować na czyimś bólu?

Można?

Paradoksalnie, gdy myślę o Tobie i Jerzym, wydaje mi się, że można. Wyglądacie jak z jednego zdjęcia, przedartego lata temu i teraz na powrót składanego. Może lata w rozdarciu wygładziły brzegi tak, że teraz nie pasują do siebie idealnie – lecz wciąż znać, że to jeden obraz.

Tak Was widzę, Jagodo. Nie myśl, proszę, że byłam uprzedzona do Piotra przez te wszystkie lata (jak wiadomo, przyjaciółka czasem trochę rywalizuje o kobietę z jej mężem). Widzę po prostu Ciebie o wielkich szklanych oczach, latami niedotykaną, niedostrzeganą – i zdaje mi się, że Jerzy umiałby na Ciebie naprawdę patrzeć. Tak, jak na to zasługujesz.

Napiszesz o *tête-à-tête*?

Ech... Marna ze mnie redakcja katolicka.

Całuję Cię

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 12.11.2014

Temat: Re: Dotyk, który leczy

Malino odzyskana, współodczuwająca i tak samo niezyciowo staroświecka, jakie my jesteśmy podobne! Los sprytnie to obmyślił, byśmy się spotkały

i w piorunującym tempie odnowiły przyjaźń. Mnie to nawet niespecjalnie dziwi: więzy z czasów szkolnych są silne, mocne, takie czyste. Jak i my wtedy...

Ale od początku, czyli od Ryżu. Po wczorajszych szpitalnych torturach, przygnieciona wyrzutami sumienia, padłam na łóżko, przykryłam się swoją kołdrą i... nie mogłam zasnąć. Pozwól, że przedstawię Ci stan liczebny kołder. Otóż są dwie. Bez problemu mieszczą się na naszym ogromnym małżeńskim łóżku, które zapewnia wygodę i intymność – każdemu z osobna; możemy się w nim nie spotykać i wysypiać. Nazwa „małżeńskie” przy meblu tych gabarytów jest absurdalna. Wspólnotowe powinny być tapczany, wersalki lub materace o nieprzekraczalnej szerokości dziewięćdziesięciu centymetrów. Do tego jedna poduszka i niezbyt duża kołdra o wątpliwych walorach grzewczych. Czułam, że powierzchnia materaca między naszymi poduszkami, ten obszar jałowej ziemi niczyjej, jest tej nocy jeszcze większa. Zasnęłam późno w nocy i spałam mocnym snem rekonwalescenta.

Obudziłam się za późno, co uświadomiłam sobie, zanim jeszcze spuściłam nogi z łóżka. Zegar bezlitośnie pokazywał 7.30. Układ wskazówek na białej tarczy uruchomił w mojej głowie kaskadę obrazów: truchtem do pokoju Matyldy, łagodne dotknięcie ramienia, a po sekundzie już bardziej gwałtowne tarmoszenie, uzupełniane pojedynczymi wyrazami: „późno, wstawaj, łazienka, zęby, ubranie, na dół, śniadanie”. Z pokoju córki do pokoju syna: te same manewry, może ciut subtelniejsze, bo Jeremi jest młodszy od siostry. Między nerwowym poszturchiwaniem i pohukiwaniem wizyta w łazience, szybki prysznic, krytyczna konstatacja obrazu w lustrze: zmarszczki, paskudne kurze łapska, piegi, właściwie plamy barwnikowe, jeszcze nie starcze, ale z młodzieńczym wdziękiem brązowych kropek na alabastrowej buzi niemające już wiele wspólnego. Powrót do sypialni, chwila namysłu przed garderobą – taki codzienny rytuał, który byłby usprawiedliwiony, gdyby efekty nie były takie powtarzalne. Omiotłam wzrokiem kolorowe ubrania, przeczuwając, jak ożywczo, energetycznie i ekscytująco mogłabym w nich wyglądać, i wybrałam spokojne szarości. Dalsza poranna rutyna przebiegła sprawnie. Dzieci zostały bezpiecznie umieszczone w starannie wybranych placówkach opiekuńczo-wychowawczych: przedszkolu, które już dwulatki uczy, że motyl to *butterfly*, a w piaskownicy trzeba się dzielić wiaderkiem i łopatką, oraz szkole, która

w przyjemnej atmosferze i dziesięcioosobowych klasach włącza w dzieci ducha tolerancji, równości i dużą dawkę wiedzy na rozmaitych kołach zainteresowań.

Po odbyciu tej obowiązkowej rundy podjechałam pod stację kolejki, która dowiozła mnie do redakcji. Machinalne czynności, spotkania, na których byłam obecna tylko udreżonym ciałem, i odliczanie czasu do 15. Niewinne kłamstewko, że przyczyną wcześniejszego wyjścia jest kontrola felernych zatok. Szybka podróż metrem i już byłam w Dzikim Ryżu.

Jerzy czekał przy stoliku, czytając gazetę. Właściwie to chyba udawał, że czyta. Był zdenerwowany, lekko zmieszany i... bardzo męski. Granatowe płócienne spodnie, błękitny sweter, zachęcający swoją miękkością do natychmiastowego przytulenia się do jego właściciela. Zamówiliśmy dania o egzotycznych nazwach i zaczęliśmy rwaną rozmowę. Że: piorun z nieba, pustka, która domaga się wypełnienia, dzień do dnia podobny, marazm, ciała i serca zastygnięte. O naszych partnerach (jakie braki w polszczyźnie – paskudny wyraz, który ma nazwać, hm... najbliższą ci osobę) też. Ale tak oszczędnie – oszczędzając i ich, i siebie. Miski z ryżem i pałeczki wybawiły nas od brnięcia w ten trudny temat. Potem siedzieliśmy skuleni w naszym kąciaku, delikatnie i bez wprawy gładziliśmy się po dłoniach. Dwa chojraki, nagle bezradne wobec siebie i sytuacji. Jerzy odprowadził mnie do metra i pocałował. Dotyk jego delikatnych, a zarazem męskich, idealnie wykrojonych warg znowu wyrzucił mnie na nieznaną orbitę.

A teraz siedzę w domu, przy biurku, i Ci się zwierzam. Twoja historia z Maciejem mną wstrząsnęła, bo nigdy bym nie przypuściła. Tak samo myślałam o Twoim mężu, jak Ty w epoce naiwnej ufności. Chociaż spójrz na to z perspektywy tych lawinowo nam ostatnio przybywających wrażeń i spostrzeżeń – czy ci mężczyźni, którzy tak nami zawładnęli, są inni? Lepsi? Czy nam się trafiło coś wyjątkowego, czy tylko boleśnie banalna proza życia, której – z braku jakichkolwiek doświadczeń w tej materii – nie rozpoznajemy?

Tymczasem ja dodatkowo uwikłana. Bo Piotr mnie chyba nie zdradza. Z opisu – Twój Maciej – wypisz wymaluj. Aseksualny, nieczuły, zero emocji, żadnych potrzeb w stylu „przytul”, „pocałuj”, „weź za rękę”. Pożycie – dramat. Najpierw rzadko i jeszcze – cóż, brnę w szczerłość – byle jak,

z problemami (jego) i niespełnieniem (moim). Orgazmy to na palcach jednej ręki mogę wyliczyć – na całe dziesięć lat! W dodatku to wszystko bez poprzedzających, zwykłych codziennych drobnych czułości. W ciągu dnia nic, a potem, raz na kwartał – „no, chodź”. Ale jak tu iść? Żadnych sygnałów z ciała, nawet nie drgnie. To jak? Mieć życie równoległe? Przecież seks to tylko pochodna, chodzi o bliskość, namiętność, dotyk – to podstawowe, organiczne pragnienia! Trzydzieści kilka lat i święta asceza? Grzeszę, pragnąc? Krzyż nieść? I kto mi odpowie?

Czuję, że przestaję składnie dobierać wyrazy. A dziś przecież kolejny dzień domowych, rodzinnych obowiązków. Trudno mi się maskować przed dziećmi i mężem. Chyba po mnie widać zmieszanie. Wpasowuję się pięknie w nurt wczorajszych narodowych obchodów Święta Niepodległości – smuta i zgryzota.

Mocno Cię przytulam, sama przytulenia potrzebując

Jagoda

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 13.11.2014

Temat: Męczeński powrót do biurka

Och, Jagodo, dziś chyba napiszę krócej, bo litery skaczą mi przed oczyma. Serce trzymam w ryzach, z musu, bo w redakcji w pośpiechu, do któregośmy wcale nie nawykli (domniemywam, że Ty w swoim tygodniku pracujesz pod zupełnie inną presją czasu?), kończymy korektę *Wielkiego leksykonu świętych* – adwentowy bonus dla naszych czytelników. Piękny, ze starymi rycinami, na każdej święty ze swym atrybutem, Sebastian po wielekroć

przeszyty strzałami, Łucja niesie na tacy wyłupione oczy. Cały dzień czytam o ich świętych życiach. Schematów jest kilka, najczęściej najpierw zgoła nieświętość, potem nagły zwrot akcji powodowany objawieniem, jakimś wypadkiem, gwałtownym przewartościowaniem – i przemiana w świątobliwość.

Dlaczego nasze życia idą dokładnie na odwrót?...

Nie martw się, Jagódko. Jest jeszcze drugi schemat, na który masz szansę wraz ze mną się załapać.

Śmierć męczeńska. Rozważ tę możliwość.

Pozdrawiam Cię serdecznie

Przyjaciółka po fachu

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 13.11.2014

Temat: Nieświęta żona

Malino prawomyślna,

patrz, czego nie tkniemy w naszych życiach, to się okazuje, że podobieństwo goni podobieństwo. I ja wczoraj miałam huk roboty, dlatego nie zdążyłam Ci odpisać w pracy, a w domu nawet nie włączyłam laptopa, tylko wzięłam szybki prysznic i zasnęłam już chyba w drodze do łóżka.

Pozmieniało się w tej mojej redakcji, oj, pozmieniało. Nowy właściciel, nowe

porządku. Wczoraj wszyscy pracownicy karnie przemaszerowali po wykładzinie nieokreślonego koloru na zebranie z wysłannikiem niemieckich posiadaczy medialnych, który ma zadbać o jak najlepsze zorganizowanie nam pracy i nie dopuścić, by polska ułańska fantazja psuła jedyny słuszny *Ordnung*. Następcą Jerzego został antypatyczny, zwalisty facet z nieproporcjonalnie długimi rękami i równie przerośniętym ego. Na porannym zebraniu, podczas którego Troglodyta (skojarzenie tak oczywiste, że nie daje się go pominąć) kreślił wizję świetlanej przyszłości naszego działu i jasnej drogi w stronę niechybnego sukcesu, z narastającym niepokojem wpatrywałam się w mokry, ołowiany krajobraz za oknem. Tak, oczywiście, że przyczyną tego rozedrgania jest *nowe i nieprzeniknione*, które zaprzęta moje serce i głowę, ale nie tylko. To także zmęczenie i chyba rozczarowanie pracą; z młodzieńczych ideałów dawno zostały strzępy. Nie chcę już zbawiać świata literaturą, o czym marzyłam na studiach polonistycznych. Smutek nad kondycją czytelnictwa u rodaków przekułam w zadowolenie, że jednak sięgają po jakieś słowo pisane – choćby i po poradniki o zaletach uryoterapii, historie prawdziwe o złamanym sercach z happy endem, wskazówki, jak bezbłędnie trafić do punktu G. Swoją rubrykę „Kobieta kobietom” nawet lubię. Myśl o tym, że jakaś złąkniona, pogubiona lub rozczarowana istota płci pięknej pisze do mnie po wsparcie, radę, dobre słowo, jest krzepiąca. Więc co mnie dręczy? Ano sama organizacja firmy i pracujący w niej ludzie – ci z wysokiego szczebla. Są nudni, bez polotu, bez poczucia humoru. Skąd oni się biorą?... Przemowa Troglodyty na zebraniu była tak monotonna, że z trudem wytrwałam do jej końca, żałując, że nie jestem tak subtelnej konstrukcji, by pod naporem przykrych myśli mdleć.

A teraz Cię opuszczam, bo muszę przygotować konspekt projektu wymyślonego przez nowego szefa. To coś na wzór Twojego leksykonu świętych. *Dobra żona* się nazywa.

Całuję

Niedobra żona *in spe*

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 14.11.2014

Temat: Re: Nieświęta żona

Kobieto patentowana!

Choć raz w życiu się ustawiłam – za przyjaciółkę i powiernicę obrałam sobie specja od babskich dusz, etatową doradczynię! Ha!

Praca *versus* ideały młodości... Otóż myślę, że życie obiera nas z młodzieńczych ideałów jak z kolejnych warstw cebuli. I nie jest to, wbrew pozorom, myśl mi przykra. Te młodzieńcze rojenia są wspaniałe dopóty, dopóki jest się nieopierzonym podlotkiem. Muszą przejść próbę ognia, próbę woli, wreszcie próbę czasu, by wyłoniło się z nich coś przyzwoitego. Owszem, jest nadzieja, że im bardziej chce się za młodu zbawiać świat, tym większa kruszyna tego pędu zostanie potem. Właśnie dlatego młodzi powinni być wolontariuszami, stawać w obronie słabszych, prowadzić zbiórki dla potrzebujących lub jak Ty chcesz zbawiać ludzi literaturą.

Potem przynajmniej radzą umiejętnie innym.

I są ocytani.

Mam nadzieję, Moja Droga, że przywołałam uśmiech na Twoją twarz?

Wiesz, czemu mi na tym zależy?

Otóż moja ewolucja ideałów też się toczy.

Początki znasz. Religijna rodzina, w niej rozmodlona babcia i ja. Nie podarowałam sobie żadnej oazy, pielgrzymki, dni młodości, nie mówiąc o „zwykłych” mszach świętych i komuniach.

Ideały wtedy? Bliskość Boga, niesienie Dobrej Nowiny. Przybliżanie ludziom wiary, czynienie jej przystępną, przekonywanie, że dzięki niej zaznają pokoju i szczęścia.

Prawość i czystość, na jakie porwać się mogą tylko młodzi.

Poniekąd – trzon pozostał. Wciąż omadlam wszystko i wszystkich (Ciebie też, a jakże!), ewangelizuję poprzez nasze pismo; rada byłabym także świecić przykładem dobrego życia – ale to chwilowo (sic!) zostawmy. Wszelako istne objawienie przyszło do mnie wczesnym latem tego roku podczas rekolekcji Odnowy.

Musisz wiedzieć, że jednym z etapów jest coś, co nazywamy „słowami poznania”. Grupa ludzi ze wspólnoty modli się razem nad każdym po kolei delikwentem. Czytają Pismo, szmerzą coś pod nosami. W końcu jedna z osób wygłasza intuicję, którą poczuła w temacie omadlanego, trop, wskazówkę, przeciek z samej Góry.

Co mi powiedziano?

– Uśmiech.

Wiem, wiem, zaraz powiesz: *Imię róży* Umberta Eco, i będziesz miała rację. Uśmiechem wojujemy świat, odpędzajmy smuty (listopadowe też), nawet ewangelizujemy! Niechże się chrześcijanie w końcu przestaną kojarzyć z cierpiętnictwem!

Wiesz, jak mi ten trop pomógł? Po trochu, z cicha pęk, poczęłam eksperymentalnie uśmiechać się do ludzi. Obcych. W końcu nie po to męczyłam się trzy lata życia w drucianym aparacie, by szczerzyć bliźnim swej wyszczerzonej otuchy – *n'est pas*?

Zadziwiająco często odpowiadają tym samym. Troszeczkę mi wzrosła pewność siebie. Zaczęłam więc nawet pozwalać sobie na drobne dowcipkowanie – ma się rozumieć to już wśród znajomych.

Podejmuję też próbę uśmiechu nad swoim losem. Nad tym wciąż jeszcze pracuję – żeby londyńskie hece z Maciejem – te jego lafiryndy, fiokowania,



fitnessy – pewnego dnia bardziej mnie śmieszyły, niż bolały.

(Napisałam *hece*?... Widzisz, to chyba zaczyna działać!).

W każdym razie przynajmniej taka z tego korzyść, że zmarszczki z czasem się zrobią te lepsze, do góry.

Jedno jest tylko miejsce, które się memu uśmiechowi wymyka. Śmiertelnie poważna redakcja „On Żyje”.

Gdyby się dobrze zastanović, to najczęstszą przyczyną nieporozumień między mną a współpracownikami, z księdzem dyrektorem włącznie, jest humor. Sytuacyjny, niemożliwy do wytłumaczenia – albo się go chwyta w lot, albo wcale. U nas nie chwyta nikt. Sama się muszę wewnętrznie wychichrać, zewnętrznie powściągać.

Ech. Mniejsza z tym. Chcę tylko Cię wesprzeć starą prawdą, że każda praca, nawet lubiana i w zawodzie, jest znojna. Taka już jej natura.

Tymczasem jednakowoż oddaliśmy leksykon do druku i z lubością wróciliśmy do niespiesznego rytmu pracy w redakcji katolickiej. Uściślijmy: zespół – z lubością, ja chyba wkrótce spektakularnie umrę na suchoty. Rzęzę i gorączkuję, noc zarwana przez leksykon (no dobrze – i przez SMS-y z Wiktozem) też się pewno dołożyła. O ironio, teraz, tuż przed adwentem, piszemy sielskie artykuły świąteczne, szukamy stosownych zdjęć i układamy śpiewnik kolęd, który ma wyjść wraz z płytą ze świątecznym numerem. Tak oto, gdy ludzie krzywią się, że w centrach handlowych za wcześnie puszczają piosenki z dzwoneczkami, u nas słyhać kolędy oraz mówi się nudno i wzniośle o tradycjach.

Serdeczności Ci zasylam z za pieca Pana Boga

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 14.11.2014

Temat: Dzwoneczki i dzwony

Malino rozśpiewana,

fajnie, że słyhać u Was kolędy, ale co słyhać u Ciebie? I Wiktora?

Wieczór już późny, dzieci oporzędzone, gorąca herbata wypita, idę spać. To był ciężki tydzień. Miękka poduszka i ciepła kołdra moim wybawieniem i azylem.

Jaga

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 15.11.2014

Temat: Puk? Puk!

Jagodo? Wyłaż spod *swojej* kołdry. On właśnie do mnie jedzie.

Dziś czułam się tak źle, że na myśl o pójściu z psem i po chleb chciało mi się płakać. Jakiś ból w piersiach, od przepony, pewnie od nadmiernego kasłania (ech, ten listopad...). Rano zadzwonił i zaproponował pomoc – zrobi zakupy, wyjdzie z psem, zajmie się Irenką... Oczywiście odmówiłam (świętość

rodziny, rodzinny weekend!).

Lecz potem mnie podkusiło. Niby dlaczego to zawsze ja mam być taka heroiczna? Przecież ktoś powinien mi pomóc, bo czuję się naprawdę kiepsko. W końcu – to dobra próba, czy mu rzeczywiście zależy. Napisałam zatem, że owszem, chcę skorzystać z pomocy.

Akurat był na dachu, coś tam robił (ale z telefonem!). Obiecał, że wpadnie po południu.

No i właśnie jedzie.

Zrazu to zabrzmiało niewinnie. Ale wiesz, jakie są listopadowe popołudnia? Ciemne jak noc. A ja się boję, że atmosfera wieczoru i „z-dala-od-ludzi” nas jakoś uwiedzie; po prawdzie sytuacja wymknęła mi się spod kontroli i jestem jego wizytą przerażona. Myślałam raczej o niezobowiązującym wpadnięciu z zakupami w środku dnia... Píše teraz, że czuje się strasznie z powodu kłamstwa (powiedział żonie, że mają do omówienia jakąś trudną sprawę w kancelarii). I zarazem szczęśliwy, że może mi pomóc. I bezradny wobec uczucia do mnie.

Czy Pani Ambiwalencja już zawsze będzie naszą przyzwoitką?...

Ściskam Cię, Jagodo. A Ty trzymaj kciuki, żebym tego wieczoru nie narobiła większych głupstw niż dotąd.

Twa Ma

PS. Mam pomysł na pociechę na wszelki wypadek.

Nie wiemy, jak się rozwiną nasze romanse (Co za słowo! jak z zakazanych ksiązek pensjonarek!), ale jakkolwiek się one potoczą, to najprawdopodobniej się zaprzyjaźnimy na amen i na wieczność. Cieszysz się? Ja bardzo.

Dzwonek domofonu. Trzymaj mnie.

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 15.11.2014

Temat: Re: Puk? Puk!

Malino,

Ty w emocjach i – zapewne – w działaniu, którego przebieg poznam w kolejnym mejlu. Ja zaś chwilowo samotnie i pracowicie. Dzieci pojechały z Piotrem do dziadków. Ja się wymówiłam nawałem domowości, które muszę koniecznie dziś, bo jak nie w weekend, to kiedy? Piotr trochę naburmuszony, bo wie, że każdy powód nieodwiedzenia jego rodziców jest tak naprawdę wymówką, wykrętem, pretekstem. Tak, jeśli chodzi o relacje z teściami, nie jestem oryginalna. Nie przepadamy za sobą, chociaż zachowujemy uprzejmie pozory rodzinności. Żeby nie dać się galopadzie myśli, sumienie sprawnie uciszyć, od rana pucuję, poleruję, szoruję i prasuję. Moje umiłowanie porządku, zwykle trzymane na granicy manii, teraz ją chyba przekroczyło. Sprzątam, jakby moje życie od tego zależało! A kiedy już zniknie ostatni pyłek, wsiadam do auta i jadę do parku Skaryszewskiego. Umówiliśmy się tam dziś z Jerzym. Na spacer, rozmowę. Z mejla Jerzego przebijało takie samo rozedrganie, jakie jest w naszej korespondencji. Nieporadność i zamroczenie towarzyszące zakochaniu nie omijają nikogo.

Odezwę się wieczorem.

PS. Głupot nie rób.

PS 2. Nie wiem, jakich głupot. Po prostu ich nie rób!

Całuję

Jagoda

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 15.11.2014

Temat: Słodycz przełamana zgryzotą

Malino,

jest już późny wieczór. W skrzynce brak mejla od Ciebie, więc myślę, że jesteś... zajęta?

Zatem krótka relacja z naszego parku. Pojechałam. Roztrzęsiona, zdenerwowana, niepewna. Zaparkowałam na Lubelskiej, w tej małej, ślepej uliczce, tuż nad stawem. Zapach czekolady z Wedla mnie przydusił. I nie było to jak słodycz zakochania, ale raczej jak mdłości będące karą za brak umiaru w dawkowaniu słodczy. Jerzy już czekał. Nerwowo spacerował wzdłuż przykościelnego parkanu. Podeszłam. Pocałowaliśmy się spieszeni. W tej niepewności, niewprawności był wielki ładunek prawdy. Tak nie całuję nałogowy podrywacz.

Potem spacerowaliśmy przez półtorej godziny. Oboje mieliśmy potrzebę, żeby wyrzucić z siebie różne dręczące myśli. I tak, trochę nieskładnie, Jerzy poopowiadał mi o sobie. Przedziwne. Niby kogoś znasz – przecież był moim szefem przez trzy lata – ale przy bliższym kontakcie okazuje się, że oglądałaś tylko fasadę, za którą kryje się zupełnie inne wnętrze. Dowiedziałam się

o żonie, z którą się nie dobrali tak bardzo, jak tylko nie dobrać się można. O wspólnych latach przetykanych kłótniami, niezrozumieniem, emocjonalną pustką. O córce, która była świadkiem braku miłości między rodzicami. O rozstaniu i odejściu do Doroty, obecnej partnerki, całkiem odmiennej od prawowitej poprzedniczki. O tym, że i ten związek „się wypalił” (zawsze powtarzam naszym czytelniczkom: „żar miłości musi być podsycany nowymi szczapami”, czyżby szef nie czytał tekstów podwładnej?), zmieniając się w dość sprawnie funkcjonujący tandem, z dużą autonomią obojga partnerów. I że właściwie zaakceptował ten stan, uznając, że swoją pulę miłości i euforii już wyczerpał. Tak było aż do momentu naszego korytarzowego pocałunku. Wcześniej, choć lubił moje towarzystwo, pilnował się, by nie wyjść poza służbowe ramy.

Ja też opowiadałam. O Piotrze, o błędzie u podstaw – czy to przypadek, że obie wyszłyśmy za mąż młodo, na początku studiów, zaraz po śmierci ojców? Teraz widzę, że to była organiczna wręcz potrzeba wypełnienia pustego miejsca po mężczyznach, którzy kochali, dawali wsparcie. O dzieciach, które są moją dumą, miłością, spełnieniem. Te zwierzenia wypłynęły z nas naturalnie. Zacięcia zaczęły się, gdy próbowaliśmy porozmawiać o przyszłości.

– Nie wiesz, co to znaczy rozwód. Ja przez to przechodziłem. To piekło, do którego zaprosisz nie tylko męża, ale również dzieci – to Jerzy.

– Romans jest lepszym rozwiązaniem – to prostolinijna ja i cynizm w rozkwicie.

– Ta sytuacja nie ma dobrego rozwiązania. Wybiera się między złem a złem – to znowu Jerzy. Żadnej konkluzji, rzecz jasna. Mnie słowa więły w gardle, serce raz zamierało, by za chwilę puścić się w szaleńczy galop. Do auta dotarłam zmarznięta – po słonecznym listopadowym popołudniu przyszedł znacznie chłodniejszy wieczór. Symbolicznie to odczytałam...

Jutro jadę z dziećmi nad Świder. Sentyment do otwockich krajobrazów pozostał mi z czasów, gdy walczyłam z nawracającymi zapaleniami oskrzeli Matyśki, inhalując ją prozdrowotnym nadświrdrzańskim powietrzem. Piotr będzie na dyżurze, co przyjmuję z ulgą.

Do usłyszenia, Malinko

Jaga

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 15.11.2014

Temat: Alert!

Malino,

milczysz, no i nawet wiem, dlaczego milczysz, ale muszę Ci się zwierzyć. Trzeci raz już dzisiaj. Otóż nasz spacer, który się zakończył dziwnie, jakoś tak niedopowiedzianie i trochę nawet smutno, zaowocował mejlem od Jerzego. Cytuję, choć zapewne nieładnie robię. Przyjaciółce może jednak wolno...? Uwaga: „Jagodo, moja Jagodo. Ileż emocji dzisiaj. Musiałem zabrać psa na szybką męską przebieżkę, bo nie potrafiłem sobie poradzić z natłokiem myśli. Boże mój, jak to wszystko podsumować, jak decydować. Pewnie powinienem się wycofać, ale chcę iść dalej. Bardzo chcę. Chcę prawdziwego, pełnego spotkania z Tobą, moja Jagodo. Dlatego zarezerwowałem dla nas hotel. Brzmi to trochę jak wyrok, ale nie czuję się jak skazaniec. Raczej jak skazany na... miłość”.

Zawiesiłam się. Duszno mi, ręce mi się pocą, nie tylko zresztą tu zalew, hmmm... emocji. Moje ułomne, oficjalnie i na wieki przyrzeczone innemu ciało ciało mówi: „szykuj się”. Moja wyćwiczona i skłonna do karności głowa odpira te nieczne podszepty i kategorycznie zabrania.

Powiedz coś, proszę.

Jagoda, Twoja Jagoda

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 16.11.2014

Temat: Amant ze snu

Syjamko!

Już zupełnie nie mogę prawić Ci morałów. Stało się.

Dawka emocji, jaką dostałam w tę soboto-niedzielę, dopiero teraz pomału ze mnie spływa. Okazało się, że przez te lata chłodu, abstynencji, samotności nie potrafiłam pomieścić w sobie wszystkich tych nowych doznań. I fizycznie, i psychicznie. Fizycznie – mam usta wydatne, nabrzmiące od namiętych pocałunków. Przenigdy wcześniej nic takiego mi się nie zdarzyło, wygląda to osobliwie i nie chowa się pod żadną szminką.

Co do, hm, meritum – przysięgam, że czułam chwilowy ból jak przy defloracji. Cztery lata zarastałam wtórną błoną dziewiczą, wyobrażasz sobie?!

Tak, wiem, że niestety sobie wyobrażasz.

Psychicznie – jeszcze „gorzej”. Nie potrafiłam wydobyć z siebie słów w rozmowie. Spojrzeć na niego rano. Czułam zawstydzenie każdym komplementem o tym, jaka jestem holistycznie i detalicznie piękna. I najgorsze – tak bardzo przywykłam do samotności, że rano czułam niezadowolenie, że szykuje ze mną śniadanie (bo może jakiś sztuciec mam niedomyty?!... I w ogóle wyszło jakieś ubożuchne), i zastanawiałam się



w duchu, kiedy w końcu pojedzie, byśmy mogły w spokoju ducha oddać się z Irenką naszej nudnawej niedzielnej rutynie.

Gdy w końcu pojechał – poczułam ulgę. Bo to były zbyt intensywne przeżycia dla mojej codziennej nijakości.

Oczywiście teraz już tęsknię i rozpamiętuję, co mówił, jak wyglądał (wciąż nie umiem przywołać w pamięci całej jego twarzy, tylko po kawałku – osobno nos, osobno oczy, osobno usta. Cóż, znamy się dopiero półtora tygodnia!).

Mówił o odejściu od żony (lecz miałam włączony filtr czujności i nieprzywiązywania się do tych słów), o zamieszkaniu razem gdzieś na Powiślu (wiedziałam, że mój koniec świata nim wstrząśnie!), o tym, że chciałby nosić w portfelu moje zdjęcie. Śmieszne, co?

A wieczorem przysłał mi SMS. Że mnie kocha.

Nie odwzajemniłam się. Bo ja jestem „tylko” zakochana i nie chcę nadużywać tego większego słowa. Dla mnie – jestem pewna, że tak jak i dla Ciebie – „kochać” to już jest z grubej rury. Ciekawe, czy dla Wiktora też. Nawet bardzo ciekawe.

Powiedziałam o nim oględnie mamie i siostrze – obu, bo one zawsze razem, gdyby wiedziała tylko jedna, toby pękła i poleciała z tym do drugiej.

Siostra była wstrząśnięta. Zawsze uważała mnie za przejmująco zdominowaną przez Macieja, ciapowatą młodszą siostrę. Oględnie mówiło się, że jestem taka „spokojna”.

A mama wcale mnie nie zrugła, nie potępiła. Nawet się jakoś ucieszyła, że coś się u mnie w końcu zdarzyło. Powiedziała, że tyle czasu byłam sama i cierpiałam, że czas wziąć za to jakiś rewanż, bylebym tylko była gotowa na ewentualne nowe cierpienie – bo w życiu po radościach są smutki i na odwrót.

No tak.

Ściskam Cię w rozmarzeniu

Malina

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 16.11.2014

Temat: Re: Alert!

Aaaaaaaa!... Dopiero teraz przeczytałam Twój trzeci mejl, o Jerzym i hotelu.

Przepraszam Cię z góry, ale w imię naszej zawsze nieskalanej przyjaźni zdobędę się jednak na krytykę.

Otóż z niedowierzaniem wzdragam się i zapieram przed ideą hotelowego seksu! Sama pomyśl! Zatrzymaj się, na Boga, w szczerości sama ze sobą i powiedz: naprawdę chcesz do tego doprowadzić Wasz czysty, niemal niewinny ciągle kontakt, który od biedy wciąż jeszcze można by nazwać przyjaźnią?... Do schadzki w pokoju wynajętym na godziny?! Wiem, dopiero co zarzekałam się, że już nie mam prawa Ci moralizować. Ale... – chyba znów je sobie przyznałam. Tak, zwłaszcza po wypadkach ostatniej nocy nie mogę w Ciebie rzucić kamieniem i przecież wcale tego nie chcę. Chcę Ci natomiast powiedzieć, że uważam to za rozwiązanie ordynarne.

Ochłoń, proszę.

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 17.11.2014

Temat: Re: Alert!

Malino, jak Boga kocham! No, może nie kocham, na pewno nie tak mocno jak Ty, ale Go lubię. I nie sądzę, by mnie oceniał gorzej niż Ciebie (zresztą jeśli ocenia, to na pewno wcześniej próbuje zrozumieć – jak w sądzie. Chyba). Zwłaszcza że u Ciebie poprzeczka – i prywatna, i zawodowa – zdecydowanie wyżej ustawiona. Świętość Cię opromienia i nie rozumiem, jak w jej mocnym blasku udało Ci się przeoczyć fakt, że Wiktor jest żonaty, hę? Czy cudzołożenie Cię nie dotyczy, bo seks się w Twoim łóżku, już niemażeńskim, odbywa? A gdyby Cię do hotelu zaprosił? Lub do swojego domu? I tam, pod nieobecność małżonki, zapomniał, że są jednością? Czy skrytykowanie mojego „pokoju na godziny” nie pachnie jednak ultrakatolicką obłudą?

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 17.11.2014

Temat: Re: Re: Re: Alert!

Przyjaciółko!

Musisz wiedzieć, że w sercu i w głowie mam teraz jak w kotle. Przewalają się sądy, buzują emocje, z samego dna odrywają się i przedzierają przez kotłującą masę bąble wyrzutów sumienia oraz różne strzępki zaleceń, którymi zwykłam była się kierować: nie gorszyć maluczkich! Nie osądzać bliźnich! Nie – grzeszyć...

Jest to zamęt, jakiego nie znałam. Bitwę toczą stare przekonania i doświadczenia z nowymi, znane z nieznanym.

Dobrze byłoby żyć ciągle takim samym życiem. Tylko jak się tego trzymać, skoro ono samo się wymyka, rwie do przodu, toczy po swojemu, nie bacząc na zasady, które sobie onegdaj przyjął?

Aż dotąd żyłam w przekonaniu, że wszelkie ugruntowania, przewartościowania i wybory dróg zaliczyłam jako nastolatka. I że to już: pula dylematów na życie wyczerpana, decyzje podjęte. Jestem, jaka jestem, wierzę, w co wierzę, żyję tak a tak.

Wtem w tym wybranym życiu wezbrał sztorm – a ja się czuję jak na pamiętnym rejsie z czasów studenckich, kiedy to sternik (Wojtek albo Szymon?) oddał mi na chwilę ster, a nasza Sasanka, ku uciesze was wszystkich, poczęła tańczyć po jeziorze, bo wciąż nie mogłam załapać, w którą stronę łódka się zwróci, jeśli żagiel stoi tak, a ja skręcę tak.

Szczęśliwie wtedy byliśmy na środku jeziora w bezwietrzną pogodę i mimo mojego fatalnego sterowania nie groziła nam ani przewrotka, ani uderzenie w keję tudzież w jakiś obiekt pływający.

Teraz czuję się tak samo marnym sternikiem jak wtedy. Nadal brak mi rozeznania, tyle że pogoda gorsza i obiektów wokół więcej. Oto na przykład rozeznania brak mnie, a uderzyłam z impetem w Ciebie.

Przepraszam.

A co do Jerzego i hotelu...

Teraz, gdy Ty już pewnie ochłonęłaś po spotkaniu w parku, a ja powściągnęłam moralizatorstwo, nabrałaś do tego przekonania czy wręcz przeciwnie? Masz jaśniejszy pogląd, czy tego chcesz, czy nie?

Spodziewam się, że będziesz chciała. To, czego obawiam się najbardziej, to Waszej tam pierwszej chwili; tego, co poczujesz, wchodząc do recepcji – uczucia, że wszyscy wiedzą, po co tu przyjechaliście, dyskrecji obsługi, Waszego, a już na pewno Twojego skrępowania.

Ach, rety...

A może trzeba sobie nucić śliczną piosenkę:

Pamiętasz, była jesień,

mały hotel „Pod Różami”, pokój numer 8...

i nie zważać na zewnętrzne warunki, tylko na to, co w Was, co w Tobie?

Życzę Ci rozeznania tego, czego chcesz.

I jeszcze myślę sobie, trochę smutno, trochę ironicznie – że zarówno Piotr, jak i Maciej, gdyby tu był, nic nie widzą, nie wiedzą, przez myśl im nie przejdzie, że mogłybyśmy... My, święta Jagoda ze świętą Maliną! Jak zawsze snujący się, poziewający, zmęczeni, śpiący, zwyczajni – nic-a-nic nie-niezwyczajni.

Tymczasem my mamy swoje słodkie tajemnice.

Do sterów, Jagodo. Płyniemy. Co ma być, to będzie.

Twój kompatybil (być może debil, ale trudno)

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 17.11.2014

Temat: Po burzy i przed burzą

Malino,

ja też Cię przepraszam za swoje złośliwości. Poczułam się niesprawiedliwie oceniona i nierozumiana. Kiedy się odsłaniasz, masz nadzieję, że krytyka, nawet jeśli się zdarzy, będzie jakoś subtelniej ujęta. Nie byłam przygotowana na grubą rurę. No i nerwy mam na wierzchu. Wszystko to razem dało obcesowy list. Wstyd mi za niego. Atak miał mnie obronić.

Teraz ja wracam do Twojego przedostatniego mejla. *Tego* mejla.

Wiesz, że zawodowo, w „Być Kobietą”, nic, co kobiecie, nie jest mi obce. Ile to ja już artykułów napisałam, propagując w narodzie wiedzę o seksualności człowieka. I zachęcając owego człowieka, przynajmniej tego płci pięknej, do odkrywania i pełnego przeżywania swojej fizyczności. Ilu porad udzieliłam tym biednym, przestraszonym, zacukanym i wycofanym kobietom.

W świątły, śmiały i naturalny sposób. A teraz się rumienię, czytając Twój list. A rumieniec jeszcze większy na poliki mi wypływa, gdy myślę o hotelowym spotkaniu z Jerzym. Hormony zalewają mi mózg... We czwartek to ma być. Mój dzień pracy w domu. Ot, zalety wolnego zawodu.

Nie wiem, co odpiszę. Nie wiem, co zrobię. Na razie muszę Cię opuścić i zająć się karmieniem rodziny. Tylko jak się nożem nie skaleczyć, ziemniaki obierając, nie mogąc wytrzymać spojrzenia męża krojącego obok ogórka na mizerię? Sumienia nie da się zmanipulować.

Ciąg dalszy nastąpi wieczorem, kiedy ogarnę dom, zagnam dzieci do łazienki i przeczytam Jeremkowi o Martynce. Mój wrażliwy na piękny detal synek!

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 17.11.2014

Temat: Salomonowe wyjście

Malino,

jestem tchórzem podszyta. I w zupełnej szczerości Ci powiem, że nie tylko o zdradę (boli nawet, gdy piszę to słowo) chodzi, lecz także o lęk przed *takim* spotkaniem. A jeśli ja się okażę jakąś ramotowatą dziunią, która teorię ma opanowaną do perfekcji, ale w praktyce brak jej polotu, czaru, wdzięku, o seksapilu nie wspominając?

Odpisałam Jerzemu, że mnie ciut zaskoczył swoją propozycją (wiem, w kontekście romansu to osobliwe wyznanie). I że chciałabym się spotkać jutro gdzieś w kawiarni, żeby porozmawiać. Ani nie zaprzeczyłam, ani nie potwierdziłam. Lata dziennikarskich doświadczeń procentują.

Całuję

Jagoda

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 17.11.2014

Temat: Mądrość jest kobietą

Zatem kawa miast kawy na ławę?... Lub chociaż jedna czas jakiś przed drugą – bo że ta druga się wydarzy, to coś mi mówi... – chyba moje świeżo nabywane doświadczenie.

Mądrze, Jagodo, wybrnęłaś. Czego i sobie życzę. I na razie to tyle, pędzę na zebranie w przedszkolu. Pisz, informuj!

Yours,

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 18.11.2014

Temat: Nie pachniała Saska Kępa

Malino,

kawiarniane spotkanie już za mną. Umówiliśmy się na Saskiej Kępie. Spieszyłam się z pracy, wiedząc, że będę się także spieszyć do domu. Cała byłam przesiąknięta paskudną listopadową mżawką. Włosy mi się zmierzwiły, skąpy makijaż odpłynął z kropelkami deszczu. Jerzy czekał na mnie. Siedział w kącie, kąciku właściwie. Czytał gazetę, pił kawę i trudno mu było ukryć zdenerwowanie. Tak jak w Ryżu. Tak, zdecydowanie nie ma nawyku flirtowania. Jerzy – pewny siebie dyrektor, teraz zachowuje się jak zakochany uczeń! Poderwał się na mój widok, pomógł zdjąć płaszcz, zamówił herbatę z miodem. Napięcie między nami czuć było niemal fizycznie. Zapytał, czy spotkamy się jutro. „Nie wiem” – tylko taką odpowiedź zdążyłam sobie przygotować. Fortel z lakonicznym mejlem, który miał mi dać czas do namysłu, na niewiele się zdał. „Zrobisz, jak uważasz.



Jeśli nie przyjedziesz, nie stanie się nic i stanie się wszystko” – w bon motach mój były szef okazał się sprawniejszy ode mnie...

Przedziwne to było. Jak sen. Nie wiem, jak dojechałam do domu. Nie wiem, co zrobię jutro. Chyba mam gorączkę.

Całuję

J.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 20.11.2014

Temat: W hotelowym pokoju...

Malino,

nie spałam prawie wcale. Rano marzyłam o jakiejś spektakularnej, ale niezbyt obciążającej kraksie, która by mnie uwolniła od konieczności podjęcia decyzji: *should I stay or should I go?*

A jednak. Jadę. Do hotelu, który nazwę wziął od ptaka z długą dziobem lubującego się w bagnach. Drzewa się chylą od wiatru, deszcz siecze bezlitośnie. Sceneria obrazuje mój stan ducha.

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 20.11.2014

Temat: Re: W hotelowym pokoju...

A niech to, przez te listy jest tak, jakbyśmy grały w miłosnego debła. Uczestniczące i żywo nawzajem zainteresowane wypadkami, na równi przejęte bez względu na to, czy serw akurat jest Twój, czy mój.

Ja też bym pojechała. Od Twojego nocnego mejla rozważałam to po wielokroć, wte i wewte, na wszystkie strony – i uznałam, że to jedna z tych życiowych sytuacji, których naturę poznasz tylko empirycznie.

Nie wiedzieć czemu miałam jeszcze wizję Jerzego w wersji, kiedy Ty nie przyjeżdżasz. On, też pewno jakoś przełamawszy siebie, jedzie do tego Bagnistego Ptaka. Wynajmuje pokój. Idzie doń, by na Ciebie czekać. Jest cicho, środek tygodnia, zero gości – już samo zakłócenie ciszy recepcji wydaje się koszmarem. Próbuje czytać, może pisać. Minuty ciążą.

Nadmiar empatii podpowiada mi, że jeśli to napięcie nie zostanie rozładowane Twoim przyjściem, to będzie mu... bardzo smutno? I ten zawód mógłby się Wam potem niepotrzebnie odbijać.

To nie tak, że nie trzymam Twojej strony. To tylko ta cholerna empatia, która w każdej chwili każe mi się oglądać na sztab ludzi wokół i ich uczucia. Wierz mi, czasem to paraliżujące.

Tobie wszak życzę niesparaliżowania. Leć, przeżyj... Och, Boże, sama nie wierzę, że Cię do tego namawiam.

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 20.11.2014

Temat: Było, nie minęło

Malino. Malino...

Gdybym musiała napisać dla mojej gazety artykuł o romansowych schadzках w hotelu, to oczami wyobraźni widziałabym jego – naładowanego testosteronem, ją – wabiącą i może nawet wyuzdaną, a w pokoju radosną orgietkę do białego rana. A gdybym miała opisać swoje świeżo zdobyte doświadczenie w tej materii...

Pojechałam. Nie mogłam wysiąść z auta, tak mi się kolana trzęsły. Przechodząc obok recepcji, spuściłam wzrok – widać było tylko moje pałające ze wstydu policzki. Odszukałam numer pokoju przysłany SMS-em. Zapukałam. Jerzy otworzył. Weszłam. Przez chwilę staliśmy w milczeniu. Zdjęłam kurtkę. Jerzy podszedł do mnie. Przez chwilę jakby się wahał – czy zachować się zgodnie z konwencją hotelową, czyli śmiało i pewnie, czy też być sobą. Wybrał drugi wariant. I... I mogę Ci napisać, że Jagoda całowana z tak namiętym uczuciem, delikatnie, acz po męsku tulona, spokojnie, lecz konsekwentnie zdobywana, centymetr skóry po centymetrze, to już nie ta sama Jagoda. To spotkanie kosztowało mnie tak wiele emocji, że pamiętam je jak przez mgłę. Wciąż czuję – całą sobą – dotyk jego dłoni. Spragnionych, ale nie niecierpliwych. Pocałunki, które muskały, smakowały, kąsały. Zapach jego skóry obficie przesiąknięty feromonami, najlepsza woda toaletowa nie poruszyłaby w ten sposób mojego powonienia.

Ze skrępowaniem Ci piszę o tym naszym najbliższym z możliwych spotkaniu. Po pierwsze – ono się stało. Zdradziłam. Po drugie – w tym swoim wiarołomstwie byłam taka bezwolna, nieumiejętna. Jakbym była zupełną

nowicjuską. A po trzecie – i może za to najbardziej mi wstyd... powtórzę to. Rany, co ci mężowie nam robili (a raczej czego nie robili), że tak odwykłyśmy od namiętności...

Jedno zdziwienie. Prawie wcale nie rozmawialiśmy. Jakby szczere słowa odsłaniały nas bardziej niż zdjęcie ubrań. Z drugiej jednak strony cieszę się, że pustą gadaniną nie przykryliśmy tej prawdy, którą zdecydowaliśmy się sobie pokazać.

Malino, czuję się bez sił. W sercu mi trzepocze, inne mięśnie też przetrenowane.

Do jutra

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 20.11.2014

Temat: Re: Było, nie minęło

Wejrzymy, Jagodo, eksperymentalnie w nas sprzed miesiąca, dwóch. Czy spodziewałabyś się takich wypadków?! Nie przestaje mnie zadziwiać, jak mało wiemy, dopóki czegoś nie doświadczymy.

Czy można w którejkolwiek chwili życia odpowiedzialnie oznajmić, że zna się siebie? Coraz bardziej w to wątpię. Sama piszesz, że wszystko to, gdyby dotyczyło kogoś innego, wyobrażałabyś sobie inaczej. Dopiero przeżycie daje autentyczną wiedzę. Nawet jeśli z racji zawodu towarzyszyłaś uczuciom setek kobiet w różnych sytuacjach.

Wygląda na to, że odczarowaliście ideę schadzki w hotelu... A może też siebie nawzajem? Czujesz się odczarowana, o-czarowana?

Ta porcja czułości i nieomal tajemnej wiedzy: jak dotknąć kobietę – och, wiem, o czym mówisz! Wszystko to, co brałam dotąd za nieprzekraczalne różnice między kobiecym a męskim przeżywaniem i okazywaniem uczuć, cały ten chłód, niemożność prawdziwego, rozkosznego zespolenia się, którego ideę gdzieś głęboko w sobie nosiłam, nie doświadczywszy nigdy (może w snach), okazały się nie ogólnie charakteryzujące nasze płcie, lecz jedynie... Macieja i mnie. Odkrycie, że można inaczej (na jawie!), jest dla mnie odkryciem tego milenium.

Zakochałaś się?

Podświadomie próbuję znaleźć dla nas usprawiedliwienie. I wiesz, co wymyśliłam? Że stępi nam się krytycyzm, a wyostrzy tolerancyjność. Wiem, to brzmi naiwnie, wręcz naciąganie – że niby dołączywszy do tych, którzy mają coś za uszami, przymykamy oko na to, że mają? I jeszcze – że to niby dobrze?

Przeczuwam jednak, że Twój ton moralizowania w „Kobieta Kobietom” nieco zelżeje, zaś co do mnie – może czas przyjąć do wiadomości, że nie ma jedyne go słusznego modelu dobrego życia?

Potoczą się nasze historie ku dobru i szczęściu? Wierzę, że tak.

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 20.11.2014

Temat: Spełniona baśń

Malino,

do tej pory moje życie było uładzone, skrojone według mocnego, przez wieki sprawdzanego społecznie wzorca. Dostatni dom, wyrozumiali rodzice, ja grzeczna i ucząca się. Wszystko działało bez zgrzytów i zarzutów.

Wyśmienicie zdana matura, także same studia. A to wszystko w poczuciu stabilizacji, tego solidnego fundamentu, na którym się buduje, buduje, buduje. Może inne ścieżki losu bym wybrała, gdyby nie śmierć rodziców. Byli tak dobranym małżeństwem, że w ich przypadku powiedzenie „żyć bez ciebie nie mogę” okazało się prawdziwe. Mama walczyła z rakiem z całych sił, ale jakie masz szanse w nierównej walce? Tata po jej śmierci zaczął się zamykać, niknąć, rozpadać. Zawał serca. Gdy serce nie chce już pracować i współpracować, zawala swoją robotę. Zostałam sama. Obecność przyjaciół, Twoja też, była oczywiście pomocna, ale w momentach tragedii człowiek i tak zawsze jest samotny. To wtedy poznałam Piotra. W sytuacji całkiem nieromantycznej – on w zielonym fartuchu, ja z podejrzaną zmianą do usunięcia. Były od niego spokój, opanowanie. Zachowywał się uprzejmie, a w jego trosce było coś więcej niż zawodowa staranność. A do tego był tak uroczo nieinwazyjny, staroświecko subtelny. Nie byłam wtedy gotowa na fajerwerki uczuć, zakochanie na skraju obłędu. Potrzebowałam stabilizacji, opoki, wsparcia. I zdaje się, że pomyliłam te uczucia z miłością. Nasz związek od początku wyglądał jak małżeństwo po latach – duże zaangażowanie, ale bez intymności i namiętności. Pisząc Ci to, głośno myślę. Sama dla siebie układam te puzzle. Próbuję zrozumieć. I pewnie też wytłumaczyć się przed swoim sumieniem, które mnie jednak dzisiaj mocno uwiera. Strasznie dużo myśli i uczuć. Prawda, życie poznaje się w boju. Od wczoraj czuję się innym człowiekiem – i nie mam tu na myśli tylko fizycznej (s)ekscytacji. Odtąd inaczej będę odpisywać naszym czytelnikom. Nie, nie byłam zbyt moralizatorką, nie w tym rzecz. Raczej widziałam świat na czarno-biało, w ostrych konturach. Nie dzieliłam włosa na czworo, sugerowałam stanowcze decyzje i nieoglądanie się wstecz. Taką musztrę narzucałam też sama sobie. A teraz sama tonę w morzu niejednoznaczności.

Jerzy zadzwonił. Pierwszy raz. Oboje nie lubimy rozmów przez telefon. Przyznał, że po zalewie euforii wpadł w stupor. „Smutek spełnionej baśni” –

tak nazwał ten stan. Umówiliśmy się na spacer do lasu. Jutro przed pracą.  
Jesień leśnych ludzi...

Całuję skołowana

Twoja Jagoda

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 21.11.2014

Temat: Aaaa!

Alarm, Jagodo.

Przepraszam, nie odniosę się do Twego mejla, nie mogę zebrać myśli. W.  
wpadł w dół jakiś nieprzejednany, mówi, że nie możemy się spotykać, że jest  
uwikłany w swoje małżeństwo, nie ma odwagi go rozwiązać, pozostaniemy  
więc z naszą miłością nieszczęśliwą, za to romantyczną.

Przysłał mi tonę smętnych SMS-ów, po czym zadzwonił, kompletnie obcy,  
rozbiegany, zasmucony.

Czy to tyle moich złudzeń?

Kupisz mi chusteczki? Sto paczek.

Rozmazana

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 21.11.2014

Temat: Aaaa, cd.

Boże. Znowu zwrot akcji.

Wiktor przyjechał dziś wieczorem, niezapowiedzianie. I powiedział, że mnie kocha jak nikogo na świecie. A całe zdenerwowanie jest stąd, że postanowił w weekend porozmawiać z żoną o rozstaniu. Przestrzegał mnie, bym się o to nie obwiniała; przekonywał, że ich związek jest martwy od dawna, że czuje się dla żony atrakcyjny jedynie „ekonomicznie”, ponieważ zapewnia jej status i dobrobyt. Zarazem boi się, czy moje uczucia, wszak wciąż nieobnażone, wrą podobnie jak jego. Boi się o synów, że żona ich nastawi przeciw niemu. I jest gotów dać jej wszystko za wolność, włączając w to piękny dom na modnej prowincji. Już szuka czegoś dla nas na Powiślu.

Jak myślisz: naprawdę ma twardy orzech do zgryzienia czy to szalenie? A może to ja jestem szalona, wierząc w tę miłość, co idzie jak burza ledwie od dwóch tygodni? Niedobrze wyjść na durnia, ale i niedobrze na sztywniaka, co nie daje się ponieść nigdy nic a nic...

Do tego jeszcze Twój hotel, a po nim wahnienie... Umrę z emocji!!

Pocieszona

PS. Coś mi niepokojąco charczy w piersiach. Może dusza.

@ @ @



Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 21.11.2014

Temat: Im dalej w las...

Malinko,

tym razem, dla całkowitej odmiany, u mnie spokojniej. Byliśmy dziś w pięknym Mazowieckim Parku Krajobrazowym na porannym spacerze. Odwiozłam dzieci ciut wcześniej do przedszkola i szkoły i już o 8.15 wysiadłam z auta, stawiając stopy na wilgotnej, aromatycznej, zbutwiałej ściółce. Było mroczno i groźnie – w tym rejonie park przypomina bardziej pierwotną puszcę (jak widzisz wątek przyrody jako tła dla przeżyć wewnętrznych mnie prześladowuje). Na spacerze naszej huśtawki ciąg dalszy. Choć teraz już bez temperatury wrzenia. Wiemy, że oboje pragniemy, pożądamy, zakochani jesteśmy. I że rodziny, partnerzy, dzieci, ojciec Jerzego. I że to takie trudne. Ostro ciąc czy zdać się na dryf? Egoistycznie sięgać po swoje szczęście, upajać się nim czy wyrywać codzienności chwile tylko dla siebie. Dużo pytań padało, odpowiedzi właściwie brak. To znaczy gdyby Jerzy mnie zagadnął, czego chcę od życia, to odpowiedziałabym, że jego. Ale nie zadał takiego pytania. Nie odsłoniłam się więc tak mocno, bojąc się zranienia. Jerzy trzyma swoje emocje przy sobie – to nie typ Wiktora ekstrawertyka. To facet, dla którego słowo waży, więc nim nie szafuje. Cenię to, choć i się na to zżymam. Nie wiem, jak to się potoczy. Wolę sobie asekuracyjnie nie robić zbyt wielkich nadziei, bo cierpienie byłoby nie do zniesienia.

Zmarzłam w tych leśnych ostępach. W pracy wypiałam kilka kubków herbaty z cytryną i odpowiadałam czytelniczce, która pytała, czy wybrać na męża spokojnego, uczynnego i sympatycznego sąsiada (koszula flanelowa, etat księgowego, robi dobrą pomidorową, niespecjalnie umie się całować, świata poza nią nie widzi), czy też dawnego kolegę z podstawówki (rozwodnik, jedno dziecko z prawowitą byłą, drugie – po drodze; zaradny jest, bez etatu,

ale złota rączka, kwiat kupuje i takie rzeczy szepcze do ucha, że nie tylko ucho chce więcej). Zaczęłam od słów: „Moja droga Kasiu, w życiu nie ma prostych dróg i prostych wyborów...”.

Malinko, od naszego ostatniego spotkania minęły dwa tygodnie. Utonęliśmy w mejlach. I romansach. A ja bym się chciała z Tobą zobaczyć. Co byś powiedziała, gdybym dziś upiekła szarlotkę, a jutro zapakowała ją i dzieci do auta i przyjechała do Ciebie i Irenki? Dobry pomysł?

Całuję

Jagoda

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 21.11.2014

Temat: Poetycko

Jaguś?

Czy ktoś napisał kiedyś dla Ciebie wiersz?

Wiersz – poemat, w którym jesteś boginią na piedestale, godną wszelkich pokłonów, nie idziesz, ale kroczysz, nie patrzysz, ale obdarzasz spojrzeniem, nie żyjesz, tylko przejmująco, do żywego cieszysz swą egzystencją? Kwiaty skłaniają ku tobie główki, mężczyźni schną, a on, on, domyślny podmiot liryczny, leży u twych stóp i marzy...

No, całkiem odważnie sobie marzy.

Słusznie przeczuwasz, że dla mnie napisał.

Efekt? Dwojaki. Najpierw zawstydzenie, aż do pałania policzków – a potem naraz coś takiego... jakby duma z odkrytej właśnie kobiecości budziła się we mnie, rozkosznie przeciągając. Mrowienie w całym ciele. Zadowolenie kotki drapanej pod brodą.

Żebyś wiedziała, jak on na mnie patrzy! To bodaj lubię najbardziej, a wiesz przecież, jak bardzo lubię też to inne. Wszystko dostrzega, najmniejszy detal, i zaraz się zachwyca.

A ja – nie przeraż się – także zaczęłam się sobą zachwycać. Po dwóch tygodniach prawie niejedzenia osiągnęłam wagę piórkową (Straciłam cztery kilo! Dasz wiarę?!). W związku z nowo nabytą talią sprawiłam sobie kilka ubrań, i to w prawdziwym sklepie, nie w ciuchlandzie!

Co więcej – NIE są brązowe.

Odkrycie nie-wiem-które: całkiem mi ładnie w różowościach.

Spotkanie nasze jest wprost nie-od-zow-ne! Zapraszam serdecznie, przyjdźcie jutro zaraz po śniadaniu.

Jeszcze wczoraj napisałabym, żebyś wraz z szarlotką wzięła chusteczki do wycierania moich łez – ale jakoś obeschły.

Ściskam Cię mocno

Twoja piękna przyjaciółka

PS. Przypomniałam sobie. *Ja* dla ciebie napisałam wiersz. Na ósme urodziny. I wręczyłam na laurce ze szczerbatą żabą.

Mama długo mi wyczesywała z włosów torcik, który mi w nie wkleiłaś w podzięce.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 23.11.2014

Temat: Przyjaźń, która leczy

Malinko,

niesamowicie przyjemnie spędziłam sobotę. Nie sądziłam, że tak nam się to spotkanie przeciągnie! Urokliwie urządziłaś swoje mieszkanie – Ty i ono bardzo do siebie pasujecie. Rustykalno-florystyczny klimat – tak bym je określiła. Widać, że to przestrzeń kobiet, nietknięta męską ręką.

Zauważyłaś, jak się nasze dzieci zbratały? Jeremi na początku był trochę onieśmielony, ale dzięki wrodzonej łagodności i zamiłowaniu do piękna tego świata odnalazł się w projektowaniu ubrań dla lalek, nizaniu koralików i czesaniu grzyw konikom. Matylda też mile odmieniona. Piszę „odmieniona”, bo ostatnio przeżywa (a ja wraz z nią) trudny czas. Wahania nastroju, jakieś smutki, zniechęcenie – od kilku miesięcy obserwuję to u niej coraz częściej. Wydaje mi się, że początkiem tego tąpnięcia było pojawienie się na świecie Jeremiego. Wiem, wiem – detronizacja jedynaka to bolesne doświadczenie. Ale tu chyba chodzi o coś więcej. Muszę Ci się przyznać, że Jeremiego jakby łatwiej kochać. Nie, nie – „kochać” to niewłaściwe słowo. Akceptować – o to właśnie chodzi, o akceptację. Nie od początku tak było. Tej ciąży całkiem nie planowałam. I – biorąc pod uwagę temperaturę relacji miłosnej w moim małżeństwie – nie przewidywałam. Początków ciąży nie przyjąłam euforycznie. Kiedy się okazało, że to chłopiec – jeszcze gorzej. Bo chociaż poradziłam sobie z byciem matką córki, to jednak syn wydawał mi się nie do przeniknięcia. A chwilę potem okazało się, że nie wiadomo, czy dotrwamy razem do szczęśliwego końca, i poczułam się straszliwie winna. Ale kiedy go urodziłam – no po prostu fala hormonów, miłość – taka biologiczna, zwierzęca wręcz: mój syn, moja krew. A Jeremi do tego taki pogodny, łaknący bliskości, bezproblemowy. Większość czasu spędzał jak kangur – w chuście. I wiesz co? Tak się zatraciłam w tym uczuciu, że trochę

gdzieś Matyldę po drodze zgubiłam. Staram się ją odnaleźć, ale chyba nie najlepiej mi to idzie. Dlatego podwójnie, potrójnie – okropnie – się karcę za wikłanie się w relację z Jerzym. Bo ona mnie zabiera stąd, od dzieci (od Piotra też). Tam są moje myśli, moja tęsknota. Nie widzieliśmy się od lasu. Piszemy do siebie mejle. Miotamy się w nich. Jest wielkie zauroczenie, fascynacja i wielka niepewność, nieporadność. Oboje nie mamy klucza do tej sytuacji. A ja – i to jest odkrycie, które mnie zadziwiło – poczułam, że tym, czego mi tak niezwykle w życiu brakowało i wciąż brakuje, jest nie tylko fajerwerkowy seks, lecz także czułość i bliskość. Sycące ducha rozmowy dorosłych ludzi. Romans, życie alternatywne – to nie dla mnie. A jeśli nie tak – to jak?

Malinko, noc mnie zastała przy laptopie, a jutro długie zebranie w mojej redakcji. Plus sporo pracy, którą muszę oporządzić, bo we czwartek zebranie w szkole, więc dzień pracy będzie krótszy.

Informuj, co u Ciebie.

Ściski

J.

PS. Kartkę pamiętam. Za torcik przepraszam.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 24.11.2014

Temat: Kac wielki jak stodoła

Kochana Moja!

Wasze odwiedziny były naprawdę ożywcze i sprawiły mi dużo radości. Zostały mi po Was kartofle całe w brokacie! Ciekawe, które pomyliło kosze i sypnęło nim do tego z kartoflami zamiast do śmieci. Zabawne było i to, że namiot z koca narzuconego na rozstawioną drabinę dał im więcej frajdy niż lancerskie Furby, tablety i gadżety. Są zabawy wiecznie młode, prawda?

To, że nasze dzieci lubią się ze sobą bawić, daje fantastyczne możliwości: oni wyhulani, my – nagadane. Układ doskonały!

Tym mianem nie sposób natomiast określić mojego związku (czy mam prawo tak pisać?) z Wiktorem.

Wiedząc, że zamierzał w niedzielę rozmawiać z żoną, przesłałam mu wieczorem, niby ku pokrzepieniu, na wskroś idiotyczny, naiwny SMS o tym, że wspieram i życzę spokojnego snu po wszystkim.

Odpisał zaraz:

„Spokojny – kpisz?

Moja żona jest samotna, przestraszona i strasznie płacze, więc jak mam być spokojny, Kochanie?...”

I – Jagodo, ja przecież powinnam wiedzieć jak nikt, jak smakują takie rozmowy, co wyrządzam tej kobiecie i ich dzieciom – ale przez te motyle, przez to, że nic nie jem, przez ból w płucach, a nade wszystko przez otumanienie tym zakochaniem jakoś do mnie nie docierało, co on zamierza zrobić i jak to się odbędzie. Nie wiedzieć czemu ubzdurałam sobie, że ona jest na to jakoś gotowa, coś przeczuwa, może czeka na tę rozmowę, przecież musiało im się nie układać wcześniej, przecież nie wszystko jest z mojego powodu.

Spadł na mnie kac wielki jak stodoła. Całą noc tłukłam się po łóżku, wstawałam, modliłam się za nią i zamartwiałam. Mam wrażenie, jakbym swój ból sprzed trzech, czterech lat przeniosła na inną osobę, i wydaje mi się to potwornie nie fair. Teraz czuję się jak potłuczona, zjadają mnie wyrzuty sumienia, ale czy rzeczywiście mogłam go powstrzymać?

Dziś mijają ledwie trzy tygodnie naszej znajomości.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 24.11.2014

Temat: Doigrałam się

Piszę jeszcze raz. Tak jak Ci obiecałam w sobotę, poszłam dziś do lekarza i na rentgen. Doigrałam się: mam zapalenie płuc. Widać erotyczne uniesienia, niejedzenie z miłości, spacer w deszczu (listopadowym) i włosy rozwiane nie wiatrem, lecz wichrem – nic nie szkodzą młódkom, lecz nijak nie służą trzydziestkom plus.

Rozłożyło mnie na łopatki – i fizycznie, i psychicznie. Goniłwa myśli, jak zorganizować najbliższe dni, wychodzenie z psem, odwożenie i przywożenie z przedszkola Irenki. Chciałabym się schować w długi sen...

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 24.11.2014

Temat: Krótka, smutno

Malino,

Ciebie rozłożyła choroba, mnie dziś życie próbowało powalić. Standardowe

zebranie rodziców zakończyło się ciosem, który mnie psychicznie znokautował. Szkolna pani pedagog zauważyła niepokojące objawy u Matyśki. Że się zamyka w sobie, że się izoluje od dzieci, że brak jej radości życia. Sześciolatce – dasz wiarę? Bomba była na koniec – Matyśka wyznała pani pedagog, że się denerwuje, gdy rodzice się kłócą, choć to rzadkie, ale już wprost znieść nie może, gdy się potem unikają i ze sobą nie rozmawiają. Piotr zaraz wraca z dyżuru. Czeka mnie rozmowa, której nie chcę – z wielu powodów. Jerzy to oczywiście jeden z nich.

Dzieci to taki czuły barometr. Pokaż mi dziecko, a powiem ci, jak wygląda jego dom rodzinny. Mój musi wyglądać źle...

Przykro mi, gdy sobie wyobrażę scenkę z Wiktorem i jego żoną. I dzieci między nimi. Wiesz, po tym Twoim mejlu ciut inaczej zaczęłam myśleć o listach Jerzego, który sceptycznie i asekuracyjnie pisze o stawaniu w prawdzie przed partnerami i przekuwaniu w czyn pragnienia, by być razem. Początkowo sądziłam, że to wybieg romansowego typu, co to spokojnie może wieść życia równoległe, ale chyba jednak nie. Zapewne przemawia przez niego doświadczenie. I najwyraźniej odpowiedzialność, za którą się na niego złoszczę, ale którą też podziwiam. Zawsze ciągnęło mnie do mężczyzn w starym stylu. Chyba wzorzec ojca tu się objawia...

Słyszę auto na podjeździe, jutro Ci dopowiem resztę.

Dobrej nocy, Malino

Jagoda

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 25.11.2014



Temat: Dłużej, smutniej

Malinko,

znasz na pewno takie sytuacje, gdy jedziesz z samochodem do serwisu, żeby zmienić opony, a miły pan mechanik Ci mówi, że jeszcze trzeba zrobić klocki, rozrząd, tłumik przerdzewiał, a w ogóle te opony, które chciałaś wymieniać, są wyślizgane jak klamka w szkolnych drzwiach. W ten metaforyczny sposób mogłabym Ci streścić wieczorną małżeńską rozmowę. Zaczęliśmy od Matyldy. Piotr sugerował, że to obdarowanie bratem tak uszczupliło jej rezerwy spokoju, cierpliwości, radości. Że za mało czasu jej poświęcamy, że za dużo wymagamy. To my, mające podkreślić wspólnotowość, to jednak nadużycie. Po pierwsze dlatego, że domowościom dużo więcej czasu poświęcam ja. Po drugie dlatego, że rzadko trzymamy wspólny front. Jak się domyślasz, od dziecka gładko i szybko przeszliśmy do relacji między nami, większość w tonie: „bo ty nigdy”, „bo ja zawsze”, „z tobą to nie można”, itepe, itede. Konstruktywne to nie było, ale miało jeden plus – zaczęliśmy z Piotrem rozmawiać. Pękła tama, słowa się wydostały. Uświadomiłam sobie przy tym, co mnie do Jerzego popchnęło. Najogólniej mówiąc – smutek ciała i duszy. Poważniejszy i mniej sezonowy niż jesienny splin. Kłujące uczucie niespełnienia towarzyszyło mi od dłuższego czasu, ale od wakacji było nieznośne. Bardzo udanych – obiektywnie – wakacji. Przyjemny pobyt w dobrym hotelu w Szczawnicy. Idealny wybór dla rodziny z dwójką małych dzieci. I właśnie w zadbanej sali restauracyjnej tego czterogwiazdkowego obiektu wypoczynkowego, smarując ciepłą grzankę marmoladą śliwkową, poczułam, że moje życie już się wypełniło, dookreśliło. Nic spektakularnego już się nie wydarzy. Prosta droga, wyłożona solidną kostką, stabilizacja klasy średniej. Plus udana rodzina, czyli spełnione marzenie przytłaczającej większości rodaków, jak pokazują sondaże. I właśnie tym deklarowanym szczęściem się zakrztusiłam. Parę godzin później rozłożyłam się kompletnie. Infekcja zwała mnie z nóg i zagoniła do łóżka. Zupełnie jakby wylewały się ze mnie skumulowane emocje, a nie skutki działań wirusa. Przeczuwane i spychane dawniej smutki i lęki wypłynęły szeroką strugą. Bo owe sielankowe obrazki to fasada, za którą jest brzydko i pusto. Nie czuję więzi z Piotrem. Nie jesteśmy ani kochankami, ani przyjaciółmi. Jesteśmy jak mała firma rodzinna. Niby biznes

się kręci, ale ciągle ktoś jest niezadowolony.

I kiedy już sądziłam, że ten ponury wieczór postawi kropkę nad i w sprawie naszego związku, Piotr zaproponował terapię.

Taka wolta, Malinko.

Napisałam o tym Jerzemu. „Jeśli chcesz naprawiać małżeństwo, mnie w Twoim życiu być nie może”, odpisał.

Wiem, że ma rację. Znowu zaimponował mi mądrym, nieszukającym wykrętów podejściem do życia. Choć i zaboląło, że nie chce o mnie walczyć.

Nie wiem, co robić.

Kochana Przyjaciółko, daj mi radę, choć dawać się ich nie powinno.

Całuję

Jaga

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 26.11.2014

Temat: Niespokój

Jagódka Miła, tak przykro z powodu Matysi... O ileż więcej mały człowiek ma teraz na głowie od nas w jej wieku... My zawsze otoczone rodzicami, rodzeństwem i dziadkami, wszystkie zestawy skompletowane jak Pan Bóg przykazał, mama – tata, babcia – dziadek, ciocia – wujek, nieporozwodzeni,

obecni, spiętrzeni w solidny wielopokoleniowy fundament, wzmocniony jeszcze więzami pobocznymi, sąsiedzkimi. W domu zawsze obiad, rozmowa, stały plan dni i tygodni. Spokój płynący z przewidywalności zdarzeń, z zaufania do dorosłych, którego w głowach nam nie pozostało kwestionować.

Mamy szczęście w punktach wyjścia, prawda? Cały ambaras w tym, by jak najwięcej podobnego spokoju dać naszym dzieciom.

U mnie to już niemożliwe. Rozwód już się przetoczył, „rozwód kościelny” – w toku. Ojciec pełni w życiu Irenki rolę wujka z Ameryki, który czasem odwiedzi, obdaruje, patrzy kontent na prawidłowy rozwój swego zadbanego dziecka bez żadnych ubocznych upierdliwości: zero ząbkowania, nocnych pobudek, buntu dwu-, a potem trzylatka. Irenka podchodzi doń nabożnie, z szacunkiem, a po widzeniu długo dochodzi do siebie i budzi się z płaczem.

U Ciebie zaś... Właśnie. U Ciebie igrek dopiero się rozwidła, obie drogi są jeszcze możliwe. Jeśli Piotr mówi o terapii, to chyba w języku mężczyzn znaczy, że bardzo mu zależy?

Wzbraniam się przed radą, lecz... niedanie szansy byłoby niedobrym zaniechaniem.

Umiałabyś się z Jerzym przyjaźnić?

Ja zamęt mam, zapalenie, serco-płuco mi gore. Moi rodzice są w sanatorium. Irenkę do przedszkola zawiozła sąsiadka, która ma tam synka. Z psem wyszedł sąsiad. Ale co będzie jutro, pojutrze? Lekarz srogo zabronił mi wychodzenia. Wiktor pisze płomienne mejle, dzwoni, bardzo się nade mną lituje... – i nie przyjeżdża, wymawiając się trudną sprawą w kancelarii, nad którą siedzą długie godziny.

A mnie, Jagodo, kołacze się z tyłu głowy przykra myśl, że przecież wszystkie długie godziny kiedyś się kończą...

Prawda?...

Nie daje mi to spokoju.

Napisz, proszę, w którą stronę skłaniasz się pójść. Ściskam Cię mocno.  
I wyglądam dalszych wieści od Ciebie.

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 27.11.2014

Temat: Rozważna czy romantyczna?

Malinko,

jak Twoje suchoty? Dalej galopujące czy już stępem idą? Ociąganie Wiktora zastanawiające. Gdybyś była apetycznie rumiana i zdrowa, pewnie by wpadł...? A jak jego rozmowy z żoną? Wyjawił jej, że istniejesz, spotykacie się i... No właśnie, i co?

Znękana jestem tą przedwczorajszą konfrontacją. Żal mi Matysi, mam do siebie pretensje, że nie dałam jej takiego bezwarunkowego ciepła, o jakim wspominasz. Takiego, w jakim nas gościły nasze domy rodzinne. Pamiętasz ten fragment *Anny Kareniny*: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”. Moje nieszczęście to taka podstawowa nieprzystawalność – jeśli oczywiście przyjąć, że małżeństwo to nie tylko sensowny kontrakt – brak chemii, brak iskry. Lubię Piotra, takim lubieniem wynikającym z szacunku, podziwu. Doceniam go na różnych polach, ale nie powiedziałabym, że żyć bez niego nie mogę. Przez długi czas te odczucia były przytłumione, zetknięcie z Jerzym (słowem, ciałem, zapachem) je odsłoniło. I nie daje o nich zapomnieć. Czeka mnie los opętanej Anny, która pozwoliła emocjom wziąć się we władanie, wpadając kolejno: w ramiona, w obłąd i pod pociąg?

Rozsądek każe mi iść się terapeutyzować, naprawiać, próbować. A może to po prostu strach przed konkretnym ruchem – decyzją o rozstaniu?

Tęsknię za Jerzym. Piszę do siebie mejle. Choć i tu mam mieszane uczucia. Czy jego nienatarczywość – „Bardziej mi zależy na Twoim szczęściu niż na własnym. Jeśli chcesz ratować małżeństwo, nie będę zawadą” – to objaw pięknej miłości, czy niedostatecznego zauroczenia? Ja bym tak nie napisała. Walczę ze swoim egotyzmem i egoizmem.

Umówiłam się z Jerzym na sobotę. Jeremi jedzie z tatą do kina, ja zawożę Matyskę do koleżanki i mam dwie godziny dla siebie. Dla nas – Saska Kępa jesienią mnie zauroczyła. Ta sama kawiarnia, co poprzednio.

Jutro czeka mnie kolejne spotkanie z autorką mojego najnowszego poradnika. *Dobrą żonę* pisze psycholożka, która: jest rozwiedziona, dziecku poświęca czas tylko wtedy, gdy kursuje z nim między byłym mężem a swoją mamą, uważa, że każdy kompromis jest zgniły. Nie, nie wybrałam jej. Szefu mi ją naraił. Ciekawe...?

Całuję, Kochana

Jagoda

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 28.11.2014

Temat: Przekleństwo piątku

Odkąd jestem samotna, nie znoszę weekendów, Jagodo. Cały tydzień jakoś

się kręci, siłą rozbiegu, rozkładem dni i obowiązków. W piątkowe wieczory na myśl o tych wszystkich powrotach mężów i ojców z biur, z tras, z biznesowych spotkań popadam w melancholię, na pozór takie ładne słowo... Do mnie nikt nie wraca. Uprzedzę Twoje pytanie: nie, Wiktor nadal nie przyjechał.

W sobotę melancholia zagęszcza się w obsesję nieabsorbowania sobą ludzi, zwłaszcza tych w stadłach. Dni wolne to święto, celebra rodzinnych ognisk, małżeńskich więzi, rodzicielskich doglądań. Znajdując się w takich okolicznościach, choćby najserdeczniej traktowana, czuję się jak intruz, jak kuzynka – stara panna z XIX-wiecznych powieści, taka, co to zwyczajowo stacjonowała przyklejona do rodzin, nieco z boku, uprzejmie tolerowana, częstowana posiłkiem i kęsem ciepła z tegoż ogniska. O niewielu rzeczach mogę mówić, że ich nienawidzę – ale tego uczucia właśnie literalnie nienawidzę. I owszem, przyznam przed Tobą, że czuję wtedy zazdrość. O przelotne muśnięcia, w lot chwycone spojrzenia, niewymówione porozumienie między małżonkami, cieniutkie jak babie lato nawiązania do ich intymności.

Dlatego weekendy spędzam sama, z Irenką. Nie zapraszam i nie korzystam z zaproszeń. Chodzimy na spacer, place zabaw, różne zajęcia dla dzieci. Gotujemy, czytamy, bawimy się. Jeśli tylko dobrze się pilnuję, to nawet nie wpadam w doły.

Tak, możesz czuć się wyróżniona wizytą u nas w zeszły weekend! Żarcik. Przyjaciółka z dziećmi jest całkowicie nieinwazyjna.

Dziś piątek. Przez cały tydzień Wiktor codziennie po wielokroć dzwonił i pisał, prawił mi czułe słówka i bezceństwa, drażnił wyobraźnię. Robi to szalenie. Tyle że moje potrzeby nie zostały zaspokojone, a jedynie pobudzone i zwielokrotnione. I to nie tylko te zmysłowe – one przy ogólnym moim stanie zeszły na drugi plan – lecz podstawowe: zakupy, leki, spacer z psem, Irenka.

Tak, suchoty wciąż w galopadzie, psiakrew. Nie znoszę być taka zależna. Może lubiłabym, gdyby ktoś, całkiem konkretny *ktoś*, chciał mi z czułością robić herbatę.

Dlaczego w ogóle spodziewałam się, że rzuci wszystko i odda się pielęgnowaniu mnie? I dlaczego z moich weekendowych zasad wyłączam jego wciąż przecież jeszcze istniejącą rodzinę?

Wstyd mi za siebie. I jestem na siebie nieskończenie zła.

Zakupy zrobiłam przez internet, do psa znalazłam nianię – dwunastoletnią córkę sąsiadów, która wychodzenie z nim traktuje hobbystycznie-zarobkowo. Fotelik Irenki na cały tydzień został w samochodzie Mirowskich spod szóstki – ich syn chodzi z nią do przedszkola, więc zawożenie jej nie kosztuje ich wiele fatygi.

O przebiegu rozmowy z żoną wiele nie wiem. „Opowiem ci, jak się spotkamy” – wymawia się Wiktor. Ale się nie spotykamy.

Czy chodziło tylko o numerkę, Doradczyni Kobiet? Jeden – dwa numerki? Bez znoju dzielenia codziennego życia?

Byłam o krok od kupienia sobie wina na wieczór. Na szczęście mój ulubiony hipermarket nie prowadzi internetowej sprzedaży alkoholu.

Posłuż mi własnym przykładem. W którą stronę igreka idziesz?

Pozdrawiam Cię z nizin swej głupoty

Magda

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 30.11.2014

Temat: Re: Przekleństwo piątku

Malino we włosiennicy,

melancholia Twą duszę wzięła we władanie. Zdziwię Cię, pisząc, że rozumiem Twoje weekendowe smutki. Bo je znam, doświadczam ich. Jak, zapytasz? Skoro gromadka jest, stadło zalegalizowane, mąż, ojciec i dobrobyt. Ale, ale – jest też czas. Weekend – ta zdobycz socjalizmu dla mas pracujących – obnaża nas w sposób okrutny. Nie jesteśmy już paniami redaktorkami, lekarzami, prawnikami – Maliną, Jagodą, Wiktorem, Piotrem jesteśmy. Maski i uniformy na wieszaki odwieszono. Zostaje sama prawda: nieklejące się rozmowy, odmienne pomysły na spędzenie wolnego czasu, zbyt hałaśliwe dzieci... Tak, bywa i tak.

Ten weekend rozpoczął się inaczej niż wiele, wiele ostatnich. Piotr wrócił do rozmowy o terapii. Umówił nas na poniedziałek. „Naprawmy to, co się zepsuło. Wiem, że trochę nawalam, chcę to zmienić. Mamy spotkanie o 18. Sprawdzona terapeutka, kameralnie i dyskretnie”. Tyle tylko ustaliliśmy, właściwie ustalił Piotr. Miałam wrażenie, że potraktował to jako kolejne zadanie do wykonania. Nie dane mi było jednak dopytać, zaraz bowiem po śniadaniu wybierali się z Jeremkiem na kolejną część *Epoki lodowcowej* (jak mnie ratowniczką małżeństw zagadnie o stan naszego związku – termin jak znalazł), ja zaś wywoziłam Matyskę na urodziny koleżanki, by po odstawieniu jej do wskazanej sali zabaw pojechać na Saską.

Jerzy pocałował mnie mocno, zbyt mocno nawet, docisnął do siebie jakoś tak nerwowo, drapieżnie i lęklivo zarazem.

– To nasze pożegnanie? Zamieniasz nasz niepewny los na ratowanie rodziny?

Nie powiedziałam mu o terapii. Nie umiałam mu tego zrobić. Sobie zresztą też. Jerzy – niedawno odkryty, jednorazowo kochany, o pokolenie starszy, taktowny i uroczy – sprawia, że w jego towarzystwie tracę rozsądek, przyzwoitość. Wolna wola jest wolna – od cnót. Nie znałam wcześniej takiego uczucia. Żeby jednak nie było tak frywolnie – ja po prostu lubię z Jerzym być. To facet, który łączy w sobie ogień i wodę. Z przyjemnością słucham jego opowieści o książkach, filmach, muzyce. O dzieciństwie i rodzinie. Mężczyzna, który ładnie mówi o bliskich, musi być dobrym



człowiekiem. Chciałabym być rodziną takiego mężczyzny...

Lawirowałam więc, odpowiadałam półsłówkami, a przede wszystkim ściszałam jego rękę pod stolikiem, wwąchiwałam się w szyję, całowałam pod płaszczykiem dżdżystej mgły przy samochodzie i płakałam w kierownicę. Z bezsilności.

No i teraz popatrz – ja mam Ci doradzać? Jak sama się pozbierać nie umiem? Coś mi jednak ta moja świeżo obudzona intuicja podpowiada: Wiktor może być nałogowcem, kolekcjonerem, Tulipanem. A może go źle oceniam, sugerując się ostatnim obrazkiem z pracy? Otóż wyobraź sobie, że ta polecona przez Troglodytę psycholożka autorka jest z nim w *bardzo* zażyłych stosunkach. Tak, „stosunek” to dobre słowo. Ona rozwódka, on – przykładny ojciec czwórki dorodnych dzieci, przez żonę zawodowo niepracującą ogarnianych. On zaś ogarnia wszystko inne. Z panią psycholog włącznie.

Jutro niedziela, może wpadnę i jakoś Cię wesprę – chlebem, gestem, sprzątnięciem?

Całuję, jeśli już nie prątkujesz

Jadźka życiem doświadczana

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 30.11.2014

Temat: Suknia (czy tam inna część garderoby...) zdobi człowieka

Jago, lubisz niespodzianki?

Ja nie. Lubię mieć jasny plan i być przygotowana do każdego z jego punktów.

Najwyraźniej jednak Ktoś uznał, że mojemu życiu brakuje szaleństwa, i zesłał mi Wiktora.

Sobota minęła mi na kasłaniu, inhalacjach, statecznych zabawach z trzylatką. Dzień miał się ku końcowi, Irenka po kąpieli i książeczce zasypiała, na mojej nocnej szafce jedno z zaległych tomiszczy czekało na wieczorną lekturę.

Wtem dzwonek do drzwi. A za nimi Wiktor. Wyraźnie wystrojony, wymuskany w najdrobniejszych szczegółach, cały w tym swoim wcieleniu amanta.

Są tacy ludzie, którym nigdy nie odpada guzik, kołnierz zawsze układa się równo, a ich butów błoto jakby się nie ima. Do tego nieskazitelny oddech, dłonie, paznokcie; mankiet koszuli wystający dokładnie tak, jak należy. Jak oni to robią?

Taki właśnie jest Wiktor.

Dodaj do tego maniery, przyjemny niski głos – i to oczarowanie, którym darzy nie kogo innego jak – ha! – mnie. (Jak to możliwe?...).

Próbowałam się trochę dąsać – lecz w zaufaniu Ci wyznam, że bardziej się przejmowałam swoim wyglądem osoby od poniedziałku niewychodzącej z domu (bladość, dres, rozsypane włosy, skarpetki z przecierką) niż jego najściem po zbyt długim, hm, nienachodzeniu.

Przyniósł mi prezent. Nie, nic praktycznego jak kolacja czy romantycznego jak kwiaty. Tekturowa paczuszka przewiązana wstążką. Długo odwijalam kolejne warstwy szeleszczących papierów i piórek (tak, piórek), aż oczom moim czarnym ukazała się bielizna. A dokładniej czernizna. Bardzo piękna i bardzo... koronkowa.

Zachęcił mnie, jak to tylko on potrafi, by zamienić dres i skarpety na to чудо. Byłam niewymownie spięta. Taka bielizna nic nie ukryje: ani fałdki po ciąży, ani niećwiczonego pośladka. Dodaj do tego chorobową bladość, brr. (Wiesz?

Muszę zmienić oświetlenie, mam zdecydowanie za mocne żarówki. Ze względu... oszczędnościowych, tak, żebyś wiedziała).

Ku memu zdumieniu prezentacja mnie przyobleczonej w koronki wywołała jego zachwyt. Oczy mu lśniły, dłonie do mnie lgnęły. Cały lgnął. Tego chyba nie da się grać? Zresztą po co? Nie jestem milionerką, którą opłacałoby się uwieść. Patrzył na mnie tak, że sama sobie zaczęłam się w tym podobać. I to jest cudowne uczucie – kwintesencja tego wyrażenia „kocham się w tobie” – kocham siebie widzianą twoimi oczyma, podobam się sobie, bo podobam się tobie. Możliwe, że właśnie to przyjemne uczucie pewności siebie, które on mi daje, tak mnie od niego uzależnia? Bo czuję się uzależniona, tak.

A! I wszystko pasowało – uśmiechał się szelmowsko, że należycie mnie sobie uprzednio obejrzał.

Dlaczego nigdy nie dostałam od męża kompletu bielizny??? No, dlaczego?!

Gdy się już rozprawiliśmy z wkładaniem koronek, zdejmowaniem koronek oraz apetytem, który bardzo urósł przez rozłąkę, opowiedział mi o niedzielnej przeprawie z żoną. Było burzliwie, wrzaskliwie. Mówił, że ona jakby na to czekała, by wykonać swój ruch: separacja, wysokie alimenty. Teraz, gdy do Ciebie piszę, przypomniał mi się tamten SMS od niego, sprzed tygodnia, w którym pisał, że żona jest przestraszona i płacze. Jak się ma jedna relacja do drugiej, jak sądzisz?... No nic, może zdarzenie po tygodniu wydaje się mniej dramatyczne niż w chwili, gdy się dzieje. W każdym razie zdecydowali, że od nowego roku zamieszkają oddzielnie: ona z synami zostanie w ich domu, on przeprowadzi się do Warszawy, do mieszkania, które teraz komuś wynajmują.

Co to dla mnie oznacza?... Może powinnam była sobie przelać wosk przez klucz, wszak to były andrzejki. A miast tego zgoła nie przez klucz przelewaliśmy zgoła nie wosk.

Jak się cieszyć z czyjejś separacji, przecież to szkaradne, no powiedz coś!

Nie umiem się na niego porządnie gniewać – to chyba problem. Gdy go nie ma – cierpię, gdy się zjawia – wszystko mi wynagradza.

Wiem, wiem, brzmię jak pierwsza naiwna – ale zdaje mi się, że wchodzę w to dostatecznie świadomie. Potrzebuję tego zachwytu, apetytu, rozpieszczania. Właściwie nigdy ich nie miałam. Jak to mówią, o zgrozo: grzech nie skorzystać.

Pozdrawiam Cię

Pełnymi garściami korzystająca

PS. Tym samym kwestia Twoich odwiedzin rozwiązała się sama: za późno przeczytałam Twoją propozycję. A może któregoś dnia w tygodniu, co? Prosto po pracy, w jakiś dzień, kiedy nie będziesz miała ani terapii z mężem, ani randki z Jerzym? Wciśniesz mnie w grafik?

Ech. Nieładny żarcik. Nieładny. Niedobra Malina.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 2.12.2014

Temat: Mały majsterkowicz

Malino w koronkach,

czytałam i... nie wierzyłam. Ciągle pamiętam nas z czasów szkolnych. Estetycznie rozbuchane lata 80. Marmurki, tiule, cekiny, srebrzenia i złocenia. Koronki także. Bazar w Rembertowie, który oferował te pachnące Zachodem ciuchy, cieszące niewyrobione stylistycznie oko, był obiektem marzeń wszystkich naszych koleżanek. Tylko my w opozycji – damskie wersje Woody'ego Allena. Stonowane sztruksy, kraciaste flanele, bure podkoszulki. I praktyczne niewymowne. A teraz Ty w bieliźnie wymownej

aż nadto. Cóż, szuflady w mojej komodzie skrywają bieliznę dobrą jakościowo, bepszwową i bezkoronkową. Minimalizm w *dessous*. Minimalizm w pożyciu. To był jeden z tematów naszej małżeńskiej sesji naprawczej. Przedziwne doznanie. Pracownia terapeutyczna (żadna tam poradnia czy lecznica) mieszcząca się w eleganckim apartamentowcu na Muranowie. Bez szyldu. W poczekalni miękko, kojąco, przytulnie. Sączy się muzyka, sączy się z umiarem dawkowane światło, sączy się profesjonalny uśmiech recepcjonistki. Oprócz nas jeszcze jedna para w poczekalni, także próbująca się wcisnąć w plusz siedzisk – tak by się rozmyć, zniknąć. A już na pewno nie patrzeć na innych skazańców i nieudaczników, którzy po ciężkim dniu dobrze opłacanej pracy przychodzą sklejać swoje poobtłukiwane życia. Drzwi się bezszelestnie uchyliły, miły głos zaprosił „Jagodę i Piotra”. Weszliśmy. Siedliśmy przy niskim stoliku. Dwa fotele po jednej jego stronie, trzeci – naprzeciwko. Taki trójkąt ostrokątny, gdzie para to podstawa, a terapeuta – wierzchołek. Pani Maria, w wieku nieokreślonym, pewnie czterdziestka. Zadbana i dopracowana, ale bez ostentacji. Sznyt wielkomięskiej inteligencji, lecz nienachalny, by nie onieśmielać już i tak stremowanych pacjentów. Ja też byłam złęknioma. Z wielu powodów. Nigdy nie korzystałam z pomocy specja od głowy. Nawet w najgłębszym i najczarniejszym dole po śmierci rodziców sama się borykałam ze swoją psychiką. To znaczy pozwalałam jej się nokautować, przyjmując, że tak to jest. Tak być musi. Życie cię okłada pięściami, ty się bronisz, padasz na deski, a potem odzyskujesz przytomność i mozolnie wracasz do stanu używalności. Niczego się nie da odwrócić ani przyspieszyć. I w sprawie małżeńskich remontów mam chyba podobne zdanie. Nie neguję sprawczej mocy psychologicznego wsparcia, ale po prostu jestem oporna na ten rodzaj wpływu, sugestii. Dołóż sobie do tego moją osobliwą sytuację: idę z mężem walczyć o nas, podczas gdy w skrzynce mejlowej i w głowie mam Jerzego. Piotr nie wie o Jerzym i się nie dowie. Brzydkie przemilczenie (eufemizm, wiem, wiem), które właściwie przekreśla sukces terapii – pacjentka nie dość, że trudna, to jeszcze kłamczucha. Jerzy nie wie o terapii (zrezygnowałby z nas wtedy, jestem o tym przekonana), więc i z nim nie jestem szczerą. Po co więc te wszystkie zabiegi, zapytasz? Uprzedzę Cię – dla spokoju ducha (zakłamany i spokój, i duch), by mieć poczucie, że próbowałam, że nie odpuściłam. Wzruszysz pewnie ramionami, uśmiechniesz się z chrześcijańskim wyrozumieniem i wybaczeniem, ale uznasz, że to tylko udawanie. I tu Cię zaskoczę. Nie jestem tak zmyślnie cyniczna. Obiecałam

sobie, że póki terapia będzie trwać, moje spotkania z Jerzym będą platoniczne. Stoisz osłupiała i koronka Ci opada z wrażenia? Tak, taką decyzję podjęłam. Nie wyrzekam się Jerzego tak całkiem. Połowicznie, można powiedzieć. Nie zmacę sobie myśli ani ciała nie zbrukam seksem. No i co na to powiesz?

Wracając do sesji. Pani Maria była łagodna. Uśmiechała się zachęcająco i wyciągała z nas ból i żal. Kiedy słuchałam Piotra, czułam smutek. Bezbrzeżny, rozlany smutek. Żadnej złości właściwie. Smutek wielotorowy. Bo widzisz człowieka, z którym żyjesz od kilkunastu lat. Ojca twoich dzieci. I nagle dostrzegasz, jak bardzo jest od ciebie daleki. Jak inny. I czujesz, przeczuwasz, wiesz chyba, że nigdy nie będziecie jak te dwie połówki, krople czy co tam jeszcze. Jesteście niesparowani. To dobry facet, który nigdy nie odpowie na twoje oczekiwania, nie wpasuje się w twoje pragnienia. Kiedy dotarliśmy do punktu „bliskość i intymność”, poczułam się już do cna znękana. Nagle głośno zostało wypowiedziane to, co do tej pory było przemilczane. Mizeria – i jakości, i częstotliwości naszego pożycia. I mój całkowity brak zapału do niego. Piotr tak bardzo stał się w moich oczach partnerem w spółce domowej, że w ogóle nie rozpatruję go w erotycznym kontekście. A pani Maria zadała pracę domową – próbę, hmhhh, zbliżenia.

Ustalenia Wiktora i jego żony nie przemawiają do mnie, kurczę. Po tej jednej sesji już wiem, jakie to emocje, gdy coś rozmontowujesz lub próbujesz poskładać. Tyle lat razem, dzieci, przedmioty, wspomnienia – a tu jedna rozmowa (niechby i z piorunami) i pozamiatane? Nie wiem, oj, nie wiem, Malinko, czy to się rzeczywiście tak potoczy.

Nasze spotkanie – koniecznie. Może udałoby się nam tym razem umówić jakoś tak po dorosłemu, na mieście? Oddajesz czasem Irenkę jakiejś zaprzyjaźnionej przedszkolnej mamie? Czwartek byłby idealny. Piątek z Jerzym. Któremu zaraz objawię mejlowo moje postanowienie – że koniec hotelowych uciech, czas na symbiozę dusz. Że mogę mu zaoferować tylko przyjaźń, bo nie chcę zdradzać męża. Może po tym *exposé* żadnego piątku już nie będzie?

Całuję, całuję

Twoja J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 3.12.2014

Temat: Wieczorek autorski

Jago, jakie nowe to wszystko!

Dzięki Tobie mam wgląd nie tylko w drugą pochachmęconą duszę (co jest mi prawdziwą otuchą), lecz także w kulisy redakcji pisma kobiecego (ech, te gierki personalne u Was...), listów czytelniczek, a teraz także terapii małżeńskiej. A więc to tak się leczy związki w wielkim mieście, kiedy seks w tymże nie wychodzi... Ciekawam nowych odcinków, a nade wszystko (sensatka!) – czy odrobiliście pracę domową?

Postanowienie związane z Jerzym – iście adwentowe! Jakżeby nie pochwalać?

Chętnie wysłuchałabym Cię na żywo, ale akurat na czwartek zapowiedział się Wiktor. Nauczka dla nas obu – powinniśmy synchronizować randki.

A może ożywisz mi znienawidzony weekend?

I ja nigdy nie korzystałam z terapeutów. Co życie przynosiło, brałam samodzielnie na klatę. No dobrze, na obfity biust raczej. Jak dotąd – daję radę. A i biust też wciąż tego.

Ó propoz klaty, a w niej płuc mych – niewychodzenie z domu z powodu tej przebrzydłej choroby doprowadza mnie na skraj załamania. W końcu, żeby nie zwariować, ubrałam wczoraj najcieplej jak się da siebie i Irenkę i pojechałam na wieczorek mojego autora. Nie rugaj, nie wypadało nie być –

prowadziłam jego książkę od zarania, należała mu się moja obecność i wsparcie podczas pierwszego spotkania z czytelnikami.

Poza nami, z redakcji, przyszło dwadzieścia, trzydzieści osób, czyli w mojej niszowej specjalizacji: sukces. Niemal wszyscy okazali się przyjaciółmi autora. Była zatem i uprzejma rzeczowa dyskusja, i zakup książki, i długie w niej dedykacje – słowem to, co uszczęśliwia pisarza.

Uszczęśliwiło go to do tego stopnia, że pod wpływem impulsu oraz prędkiej kalkulacji świeżo sprzedanych egzemplarzy zaprosił nas wszystkich na lampkę wina – co było tym łatwiejsze, że wieczorek odbywał się w kawiarni, która winem dysponowała.

Wino, nawet w niedużych ilościach, wyzwała specyficzny luz. Darowane wino dodatkowo powoduje odruch wdzięczności – toteż z nagłą wszyscy z kieliszkami w dłoniach poczęli wygłaszać mową wielce kwiatową peany na cześć autora.

Kwieciste przemowy wybiły Irenkę z sennego otumanienia, w które popadła podczas nudniejszej części. Z rosnącym ożywieniem, a wręcz fascynacją, śledziła kolejne wzniosłe słowa. Musisz wiedzieć, że mocno prawicowi czytelnicy łatwo wpadają w uniesienie i egzaltację – toteż peany wygłaszane były na stojąco i górnolotnie.

Autor, jak każdy autor łasy pochwał, przyjmował je z obliczem dobrodusznym i wyrozumiałym.

Irenka poczęła się wiercić, jak zawsze gdy coś intensywnie rozkminia.

Wtem, idealnie wstrzeliwszy się w chwilę ciszy po szczególnie kwiecistej laudacji, wypaliła pełnym, zaangażowanym głosem:

– Chwalimy cię! Wysławiamy cię! Dzięki ci składamy!!!

Jagodo – nie wytrzymałam. Parsknęłam tak, że trudno było mi wrócić do zwykłego wyrazu twarzy. Zaraz potem oblałam się burakiem.

Niestety prawicowi czytelnicy nie mają zbyt dużo dystansu. Na twarzach



znać było pospieszne kalkulacje, czy wypada się śmiać z *tych* rzeczy.

Zadziwiająco jednomyślnie wyszło im, że nie.

Po moim wybuchu nastąpiła więc zupełna cisza. Za późno wpadłam na pomysł, by piekielny chichot pokryć niby-to-kaszlem. Cholerny *esprit d'escalier*.

Niedługo potem wymówiłam się późną porą i wróciłyśmy z Irenką do domu.

Mimo wszystko cieszę się z rezolucji mojej bystrej trzylatki. Skojarzenie było znakomite. I koniec!

Pozostaję z dumą

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 5.12.2014

Temat: Mały majsterkowicz 2

Malino,

historia z Irenką przednia. Dzieci są takie fajne: spontaniczne, błyskotliwe, twórcze. Póki ich drylem, musztrą i pruskim systemem nauki nie ujednocimy i nie zniechęcimy do oryginalności. Nie mam duszy wywrotowca (praktyka ostatnich tygodni ciut temu przeczy, wiem), ale tak mi się czasem serce wyrywa, żeby rzucić swój korporacyjny ład. Czerwonym flamastrem napisać wypowiedzenie, nonszalancko cisnąć je na biurko szefa

i nucąc jak Banaszak: „Żegnaj, kotku”, odejść, zmysłowo kręcąc biodrami. Gdybym je miała.

„Cóż, niestety rzadko koło zdarzeń obraca siła naszych marzeń”, że Ci piątkowo zacytuję Sztaudyngera. Do pracy będę karnie chodzić. Współpraca z rzeczoną psycholożką mnie rozwija. Do tej pory mój kącik poradniczy był jednak mocno zachowawczy, choć mnie się wydawał całkiem wyzwolony. Jakie życie, takie wyzwolenie... Zalecałam na przykład spragnionym mądrego słowa czytelniczkom, by naprawiały swoje związki. On zdradził? Wybacz. Głowy zbytnio nie susz. Winy i w sobie poszukaj. Potem kup czerwoną bieliznę i uwiedź. Kupy się nie trzyma, prawda? Jeśli ona, przez lata nieadorowana, zazna stanu uniesienia z innym panem, dotychczasowy partner znajdzie się na przegranej pozycji. Nie jego dotyk będzie wzbudzał dreszcze. Pocerowana skarpeta długo posłuży, ale komfort noszenia – malutki. Ot co. Piszę Ci to wszystko na chwilę przed kawą z moim J. I na dłuższą chwilę przed pracą domową z P. „Moim” jakoś mi nie wypłynęło spod palców przy tej literce. Wszystko Ci opowiem – mejlowo, skoro suchoty nadal Cię dręczą – w niedzielę. Będę miała sporo czasu; Piotr zorganizował dzieciom weekend z dziadkami. Dla nas to zrobił. Pięć lat temu pewnie by mnie to ucieszyło...

Pa

skołowana Jadzia

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 6.12.2014

Temat: Rzymskie mikołajki

Jagodo,

nie przyjechał ten drań. Tym razem za wymówkę *rébours* posłużyła szkoła: musiał przysiąc fałdów z synkiem przed klasówką z historii. Całe popołudnie powtarzał z nim żmudnie dużą partię materiału o Cesarstwie Rzymskim, od czasu do czasu pisząc do mnie różne SMS-owe wariactwa.

Oto na przykład dokonał spostrzeżenia, iż mam urodę Rzymianki.

Odkrycie najwyraźniej go zafascynowało. Nastąpiła po tym seria fantazji o skąpych zwiewnościach rzymskich strojów, rozpinaniu stylowych klamer, burzeniu misternych uczesań. A nawet – o zgrozo! – rozgniataniu całych kiści winogron namiętym się na nich obłapianiem.

(Swoją drogą, Jagodo, mężczyźni to psuje, nieprawdaż? Fantazjują o tym, by miąć, drzeć, gnieść i burzyć, ot co).

Wszystko to wprawiło mnie w nastrój... miłosny. Gdyby mi ktoś kiedyś zapowiedział, że gniecione winogrona będą mnie nastrajać erotycznie, uśmiełabym się serdecznie. Niespokojnie czekałam sposobności, by moja ekscytacja znalazła w końcu ujście. Poprzez, hm, wejście.

Miast tego w piątek nastąpił ciąg dalszy koszmarnej szkolnej powtórki. Tym razem pisał do mnie o łaźniach pełnych pary, gęsto porośniętych ogrodach o nisko zwieszających się gałęziach, bezwstydzie gajów oliwnych, woni oleandrów słodkiej do zawrotu głowy, rozgrzanych rzymskim słońcem marmurach – a moje głupie ciało na wszystko reagowało podniętą: „tak, tak, to idealna sceneria, zrobmy to nareszcie!!!”.

Strach pojechać ze mną na urlop do słonecznej Italii, co?

Moje napięcie sięgało zenitu. Wielu zenitów, co rusz. Co za władza, móc tak słowem wpływać na drugiego człowieka oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów! Siebie chyba zresztą też rozognił, bo gdy wieczorem zadzwonił, jego głos był obniżony, chrapliwy, a oddech przyspieszony.

Po dwóch dniach sączenia słodkich wizji chodziłam jak na rauszu. Nie mogłam spać, a kiedy już zasypiałam, roily mi się majaki egzotyczne

a nieprzyzwoite.

Było mi z tym i dobrze, i źle.

Dobrze – bo nigdy wcześniej nie zaznałam podobnego stanu i było to trochę jak udany eksperyment na własnej wyobraźni. Tak, można mnie tak rozpalić, tak, jestem namiętna, na pohybel wszystkim nienamiętym bubkom!

Czułam się jakby bardziej kobieca.

Źle – bo męczyłam się jak pies w studni z tym nierozładowanym napięciem.

Nastąpiła sobota. O dziewiątej włożyłam nieodzowny norweski sweter, szczelną wiatrówkę z kapturem, okutałam się szalikiem i otworzyłam drzwi z zamiarem wyjścia z psem.

Na wycieracze leżał złoty pakuneczek.

Rozejrzałam się po klatce – nikogo.

Pociągnęłam więc za wstążkę.

W pakuneczku leżał obłądny naszyjnik jakby rodem z wykopalisk archeologicznych. I karnet:

*Dla najpiękniejszej Rzymianki.*

Zadzwoiłam do Wiktora. Odebrał w wybornym humorze figlarza, któremu udała się psota. Wnet dał się zaprosić na herbatę i dotarł na nią w ciągu chwili – musiał siedzieć w samochodzie zaparkowanym gdzieś tuż.

– Wesołych mikołajek! – wyszeptał, całując mnie w ucho. Dla Irenki przyniósł pluszaka, dla psa kość.

Dzień spędziliśmy familijnie: oglądaliśmy bajki, stare albumy, gotowaliśmy, piekliśmy ciasto.

Było cudownie i zarazem tak realnie, namacalnie... Dobry nastrój udzielił się Irence, bo staraliśmy się włączać ją do wszystkiego. Żartowaliśmy,

czuliliśmy się.

Po obiedzie Irenka poszła na drzemkę – a my oddaliśmy się wprowadzaniu w życie naszych najświeższych fantazji. Wiktor zręcznie przekonał mnie, że mogę zostać tylko w starożytnym naszyjniku, bo reszta mego ubioru jest nie z epoki. Co do niego, nie miał nawet naszyjnika – lecz prezencja i bez ozdób była imponująca.

Jak on mi się podoba, Jagodo! Wciąż jeszcze zdarza mi się uczucie, jakby czynił mi zaszczyt swoją atencją – ale takie chwile jak ta skutecznie je odpędzają.

Gdy Irenka się obudziła (rzecz jasna, byliśmy już z powrotem w komplecie ubiorów nie z epoki), wziął na spacer psa – a mnie zaraz potem przypomniało się, że ciasto bardzo by zyskało na polewie. Zadzwoiłam więc do Wiktora, by wracając, wstąpił do spożywczaka po dużą czekoladę.

Było zajęte.

Zmroziło mnie to. Powiesz, że grubo przesadzam, ale to silniejsze ode mnie. Natychmiast stają mi w pamięci potwornie samotne miesiące w Londynie, wiecznie nieobecny Maciej oraz jego wciąż zajęty telefon. Próbowałam to sobie wtedy racjonalizować, usprawiedliwiać pracą, czymkolwiek. Dopiero niemal rok później znalazłam w jego telefonie tyle kobiet i tyle pikantnych korespondencji, że ciągłe obciążenie linii wydało się zupełnie zrozumiałe.

Dlaczego dzwonił do kogoś, kiedy tylko wyszedł z mojego domu?

Zaraz potem wściekałam się sama na siebie, beształam, że mierzę nowego mężczyzną przewinami poprzedniego.

Dla uspokojenia zadzwoniłam jeszcze raz.

Nadal było zajęte.

Gdy wrócił po półgodzinie, najpierw czekałam, aż powie coś cudownie odprężającego typu: „wiesz, dzwonił mój syn, świetnie mi się gada z tym smykiem” – lub: „ech, musiałem oddzwonić do matki, co za kobieta”.

Niestety nic takiego nie nastąpiło.

Wystąpiłam więc sama.

– Dzwoniłam do ciebie, chciałam, żebyś wstąpił po drodze po coś do spożywczego – ale było zajęte.

– Niemożliwe.

– Ależ tak, dzwoniłam dwa razy!

– Z nikim nie rozmawiałem.

Zamilkłam. Nie umiem prowadzić takich absurdalnych rozmów, w których każda strona jest pewna swojej racji i nie ustąpi o włos.

Wkrótce potem Wiktor zaproponował zachwyconej Irence partyjkę *Marchewkowego pola*, ja zrobiłam herbatę, pokroiłam ciasto. Dobry nastrój wrócił i trwał do późnego popołudnia, kiedy to Wiktor pożegnał się, tłumacząc, że jest umówiony z chłopcami na mikołajkowy seans filmowy.

Rozstaliśmy się pogodnie. Może kobiety po przejściach tak mają, że węższą?

To co, widzimy się jutro? Przyjedziesz? Przyjedź.

Całuję

Hetera Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 7.12.2014

Temat: Ich trzech, one dwie...

...a związek ułamkowy. Ułomny. Nie taki idealny, doskonale skrojony, wprost jak z mojego poradnika, co to go pilotuję. Autorka pisze (a już przecież wiesz, że zna życie, nie to co my, romansowe neofitki), że należy porzucić skostniałe teorie i utrwalone przez wieki schematy. „My” to już nie musi być: on, ona, kilka sztuk potomstwa, a to wszystko pod parasolem (w okowach...?) usankcjonowanej święcie lub po świecku więzi. Wolność rządzi! Jednak to taka wolność, która obu stronom daje komfort. Niech się żenią i mnożą – jeśli chcą. Niech się małżeństwem brzydzą i konkubinat skuteczniają – jeśli chcą. Niech mieszkają razem lub oddzielnie – jeśli chcą. Byleby tylko zgodnie te decyzje podejmowali i w dobrym nastroju ducha w nich trwali. Próbuję nas wpasować w te zalecenia. I kulawo mi wychodzi, wiesz? Widzę Twoje zaangażowanie, otwarcie – tak, to dobre określenie, wybac podtekścik, ale się roznamiętniałam Twoim listem (i zazdroszczę, ale o tym za chwilę), ale też czuję nerwową nutę, czy aby za rogiem nie czai się powtórka z rozrywki. Maćkowej i marnej, dodajmy. Zaczynam – ja, racjonalistka poukładana jak znaczki w klaserze zapalonego filatelisty! – słuchać intuicji. A ona drze mi się do ucha, że takie story z prezencikami, niespodziewanymi odwiedzinami i namiętnym seksem w ciągu dnia to tylko w wenezuelskiej telewizji dają. Tymczasem u Ciebie...

Jeszcze większy mam problem z oceną swojej sytuacji, jeśli idzie o Jerzego. Tu moja intuicja stanęła zawstydzona, ręce bezradnie rozłożyła i powiedziała: „Nie wiem. No takiej historii jeszcze nie słyszałam”. W piątek spotkaliśmy się przy kawiarnianym stoliku. Obok pary otwarcie się do siebie czulące, jacyś młodzi rodzice z przeuroczym maluchem w nosidełku, w kącie dwie przyjaciółki. Gwar, śmiech, swoboda, atmosfera przedweekendowego rozluźnienia. A pośród tego towarzystwa my. Jak skazańcy. Początek klasyczny – dłonie splecione na stoliku, stopy dotykające się pod. Napięcie, erotyczny magnes i silna wola cedząca: „ręce przy sobie”. Objawiłam Jerzemu swój plan na naszą przyszłość. Czyli związek dusz. A ciała nietknięte. Kiedy teraz Ci to piszę, widzę, jaki to absurd! Tak się mocować z naturą? Jaki facet by to przyjął? Jerzy. I owszem. Nie dopytywał, nie próbował zmienić tej decyzji.

– Będzie, jak postanowisz. Nie chcę cię stracić.

Tego to się całkiem nie spodziewałam. Że wstanie, powie *adieu* – to i owszem. Że zasypie gradem pytań – a jakże. Ale żeby tak?! Wzrusza mnie, bo to chyba objaw czystej, nieegoistycznej miłości, i wkurza: nie pragnie mnie tak, by mnie za wszelką cenę odwieść od tej decyzji?

Wróciłam do domu obolała, znękana psychicznie. Nie najlepszy wstęp do integracji z mężem, jak słusznie podejrzewasz. W sobotę rano potomstwo odjechało do dziadków. Piotr wrócił – z biletami do kina. Zaliczyliśmy szybkostrzelną sensację, całkiem nie w moim guście. Potem pseudokolacja w mallowej knajpce. Z trudem przetykałam kawałki kebabu zalane serową paciąją. Nie z powodu delikatnych kubków smakowych, lecz na myśl o finale tego wieczoru. Który był... dość nieudany. Eufemistycznie mówiąc. Odejmij od swoich igraszek z Wiktorem napięcie, ekscytację, pomysłowość, powiew nowości, sprawność – i już wiesz, jak się sprawy potoczyły.

Głupia ja. Teraz to widzę jak na dłoni – jedno hotelowe spotkanie z Jerzym sprawiło, że moje anteny erotyczne tylko jego fale odbierają. Na inne bodźce są całkiem głuche.

Teraz to tylko wino może mi pomóc. Z przyjaciółką, oczywiście. O której mam być?

Całuję

Jagoda, która się doigrała

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 7.12.2014



Temat: Wino, kobiety i śpiew

Jago,

Jak to o której? Im szybciej, tym lepiej.

Irenka u babci, wraca dopiero we czwartek.

Pa

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 9.12.2014

Temat: Re: Wino, kobiety i śpiew

Malinko,

jak mi dobrze zrobiło to nasze winne spotkanie! (Wino winy wypłukujące).  
Zwłaszcza jego początek i wczesna część środkowa. Resztę pamiętam  
mgliście. W poniedziałkowy ranek, trudny sam w sobie, chciałam skarcić  
Twojego psa za tupanie. Błogosławiona Twoja zapobiegliwość  
i przyjacielskie tabletki optymistycznie musujące w szklankach. Tylko dzięki  
nim przetrwałam ten dzień.

Wiesz, to czas przełomów. Na smutno podsumowywane małżeństwo,  
szarpany romans, dorastające dziecko. I, co jest dla mnie wielkim i radosnym  
zdzwieniem – nasza przyjaźń. Zapewne w drugiej części naszego wieczoru  
już Ci o tym mówiłam, ale powtórzę, bo mam przeczucie graniczące

z pewnością, że i Tobie to umknęło: jesteś mi bliższa niż siostra. Możesz do tego podejść nieufnie, bo nie mam siostry, więc to niezbyt trudna sztuka... A teraz serio: przyjaźń to relacja najwyższej próby. Nie łączy Cię z drugą osobą kod genetyczny, wspólny kredyt, powołane na świat potomstwo, poczucie obowiązku lub winy. To uczucie i cnoty z nim związane w najczystszej postaci.

Nie rozpisuję się, bo dziś umówiłam się z Matyską, że po szkole zabieram ją na babskie zakupy. Zimnem powiało, więc muszę jej sprawić buty. A poza tym chcę z nią spędzić ten wczesny wieczór. Tylko my dwie – moja potargana dusza i jej dziecięce emocje.

Całuję

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 9.12.2014

Temat: Namiętna kobieta

Siostrzyco!

Zatem ja w dowód najszczerzych siostrzanych uczuć podzielę się z Tobą dziewczącą, nieopowiedzianą jeszcze nikomu historią sprzed trzech lat. Wspomnienie o niej wywołała nasza wczorajsza rozmowa o namiętności – czy była w nas zawsze, a jedynie aktywowała się pod wpływem Jerzego i Wiktora, czy jest nabyta – z wiekiem, z dojrzałością do rozkwitu? Tak, czuję się teraz pełniej rozkwitła, niż będąc podlotkiem, spętany wszelkimi możliwymi odcieniami skromności i zawstydzenia, szafującym hasłami typu

„seks to tylko dodatek, liczy się więź duchowa, głęboka przyjaźń dusz”.

O zgrozo!

Skojarzenie miałam już w czasie naszego spotkania, ale nie chciałam rozbijać rozmowy – widzisz, staram się panować nad swoimi słynnymi spiętrzonymi dygresjami, co najtwardszego słuchacza zwiódą na manowce!

No dobrze: prawda jest też taka, że butelka wina na głowę to jest dla mnie trup i sztok. Nie wiem, jakim cudem pościeliłyśmy potem łóżka. W każdym razie wina było o wiele za dużo, by w sposób zrozumiały wybełkotać Ci całą anegdotę.

No to słuchaj teraz.

Oto zabieram Cię w podróż w czasie do roku 2011. Nie było Cię wtedy przy mnie, to był czas rozłąki w naszej przyjaźni.

Wracam z Londynu do Warszawy i powrót ów ciąży mi na wszystkie możliwe sposoby. Na dobrą sprawę w miejsce tych dwu miast mogłabym podstawić: wracam z małżeństwa w samotność, z dobrobytu w ledwo-byt, ze znanego w nieznanie. Ciąży mi też ciąża, już zaawansowana. Kupuję mieszkanie, właściwie rodzice robią wszystko za mnie, szukają, znajdują, biorą mnie na oględziny, ja niemal bezwolnie potakuję – może być, co za różnica, skoro moja miłość leży w gruzach trywialnych zdrad... Rodzice biorą milczenie za zgodę, dopingują w staraniu o kredyt. W końcu – jest. Małe i daleko, bo na tyle mnie stać. Stan – „deweloperski z wykończeniem”. A wszystko to na szybko, „żeby było gotowe, kiedy dziecko się urodzi”.

Pierwszy dzień tam, pierwsza noc. Biel bezwzględnie równych ścian razi moje oczy, cisza dręczy. Wiesz, jak nie znoszę bieli, jak lubię eksperymenty z barwami, tapetami, kolażami, tonami, akcentami. Nie mam jeszcze roślin na parapetach, firanek ani zasłon. Ich miękkość, wytłumianie, możliwość odcięcia się od widoku za oknem koją mnie, zieleń roślin jest niezbędna, żebym się poczuła jak w domu. Na razie wszak nic nie ma. Nawet sąsiadów dopiero garstka. Pustynia uczuć i pustynia miejska, całkowita zgodność stanu ducha z otoczeniem, jak w romantycznej powieści.

Absurdalny pomysł Gochy, by na parapetówkę sprawić mi, samotnej i ciężarnej, psa, okaże się genialny – ale to dopiero za dwa tygodnie. Pierwsze dni i noce tam, jeszcze przed parapetówką i dołączeniem do mego stada Carlosa o lśniącej sierści, były koszmarem. Trzymałam fason przed rodzicami. Gdy wychodzili, głównie płakałam, ale tak ostrożnie, żeby nie zaszkodzić dziecku.

Drugiego dnia po moim zamieszkaniu przyszedł pan podłączyć internet (mój tata to świetny organizator! Dograł wszystkie szczegóły, które mnie w otępieniu umykały. Mama w tym czasie kupowała na potęgę kaftaniki).

Wciąż pogrążona w tym dziwnym, oplakanyim stanie, zaczęłam grzebać w internecie.

Najpierw próbowałam czytać artykuły. Nowe miłostki celebrytów szybko dyskwalifikowałam (rozstania mogły być). Polityka zupełnie nie wchodziła mi do głowy, zamieszki w różnych częściach świata zbyt martwiły, sprawy zahaczające o branżę Macieja lub o Londyn natychmiast zamykałam. Naraz niedokładnie kliknęłam w link i zamiast żądanego artykułu otworzył mi się portal randkowy.

Uznałam, że to perwersyjnie ciekawe, jak ludzie reklamują samych siebie, by znaleźć upragnioną drugą połówkę. Sztuczność *selfie*, zachęcające, choć spłoszone miny. Panie – chętnie na plaży z rozwianymi włosami, panowie dodający sobie kurażu zdjęciem z furą czy motorem (jeden nawet w kasku – może miał pryszczę?).

Wciągnęłam się, Jagodo. Tyle ludzkich nadziei w naiwnych, pełnych błędów ortograficznych autoprezentacjach, nieśmiałe „a nuż?...”.

Ale, ale. Żeby móc czytać i oglądać anonse, musiałam się zalogować! Wpisałam bezmyślnie pierwszy lepszy nick, jaki mi przyszedł do głowy: „sama\_mama”. Przez kilka dni wracałam do oglądania, minipasja zastępcza, odkrycie czegoś, o czym wszyscy wiedzą, że jest, ale tylko niektórzy sprawdzają, jak działa.

Przez kilka dni pies z kulawą nogą nie otworzył mojego, bardzo niekompletnego zresztą, anonsu. Statystyka pokazywała zero odwiedzin.

Oczywiście nie po to założyłam profil, by kogoś złowić, nie byłam w nastroju, nie wierzyłam w takie znajomości i tak dalej.

Ale niespodzianie ocknął się we mnie duch hazardzistki. Jak to: zero?...

Dotarło do mnie, że „sama\_mama” prawdopodobnie była najgorszym nickiem z możliwych. Równie dobrze mogłabym dać sobie przydomek „Nie Zbliżaj Się, Same Kłopoty”!

Podjęłam wyzwanie.

Pomału wkręcałam się w tę gierkę. Czytałam wtedy Przyborę, więc pod wpływem jego pięknych tekstów i własnej nostalgii nadałam sobie przydomek „jesienna\_dziewczyna”. Poza nickiem nie zmieniałam niczego w opisie.

A potem poszłam jeszcze o krok dalej. Pamiętasz świetną sztukę, na której byliśmy w Teatrze Współczesnym, jeszcze zanim wyjechaliśmy z Maciejem do Londynu? Nic wtedy nie zwiastowało katastrofy i bawiłam się pysznie, Ty zresztą też. Przypominasz sobie tytuł?

Tak! *Namiętna kobieta*! Byłyśmy zachwycone Martą Lipińską, Adamczykiem, Kowalewskim, ułudą, którą goniła Betty, tym, jak rozkwitała pod wpływem karesów dawnego kochanka, oraz nieświadomym niczego Donaldem, opasłym pocziwiną w kapciach.

Założyłam sobie – hi, hi, hi! – konkurencyjne konto jako „namiętna\_kobieta”.

Chwyciło fantastycznie. Hordy samców żądały moich zdjęć, najchętniej w negliżu, chciały się ze mną umawiać, a nawet, o zgrozo, wpadać wieczorem z winem. Odpisywałam, fantazjowałam, bodaj po raz pierwszy w życiu tak bezkarnie flirtowałam. Oni się mizdrzyli, ja wiedziałam, że nigdy się nie spotkamy, więc nic nie ryzykuję. Nie zależało mi na żadnym, byłam więc rozluźniona, figlarna i... niezainteresowana.

To ich okropnie intrygowało. Im mniej się starałam, tym usilniej próbowali mnie namówić na randkę. Zew walki w samcach nie zaginął, powiadam Ci!

Oczywiście nie umówiłam się z nikim. Raz, że zasady, dwa, że obrączka na palcu, trzy, że brzuch pod samą brodę. Ale satysfakcja była pyszna – a mailowe flirty niemal do porodu skutecznie pomogły mi odwrócić uwagę od samotności.

Jest jeszcze epilog tej historii.

„Namiętna\_kobieta” przyciągała ćmy: dobijali się do mnie, walczyli, zabiegali – w końcu dawali za wygraną i znikali.

Prowadzona równolegle „jesienna\_dziewczyna” miała znacznie mniejsze powodzenie. Gustowali w niej starsi faceci, po przejściach i z przeszłością, kojarzący piosenkę. Romantycy.

Wielbiciele „namiętnej\_kobiety”, nie dostawszy tego, co chcieli, odchodzili.

Starsi panowie działali wolniej, za to byli prawdziwymi długodystansowcami. Największym – pewien Edward, który wyraźnie się zadurzył. Przysyłał swoje strofy, zdjęcia (szpakowaty, dobroduszny, sześćdziesięcioletni) i deklarował odczuwanie katuszy i miłości.

Wobec jego jednego w końcu się odsłoniłam – bo to rozkochanie go w nieistniejącej dziewczynie wydało mi się nie fair. Wyznałam, że jest mąż, samotność i Irenka (już wtedy była na świecie). A jego to nie zniechęciło. Koniecznie chciał nas wziąć pod swoje skrzydła, przyjeżdżać, wspierać, otaczać.

Nie było mowy. Przeprosiłam i na dobre wycofałam się z randkowania.

Jakiś morał?

Nie wiem. Ty powiedz.

Całuję

Jesienna i namiętna w jednej

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 10.12.2014

Temat: Odmienna i niezamienna

Poznajesz, Malino, skąd ten tytuł?

Ano właśnie.

Bardzo mnie poruszył Twój list. Wiesz, że prawie wcale nie oglądam telewizji. Nie mam nawyku, potrzeby ani czasu. Kilka lat temu usiadłam jednak wieczorem na kanapie, by zresetować głowę. Zaczęłam zmieniać kanały – trochę pobylałam tu, trochę tam. Nic nie przykuło mojej uwagi na dłużej. Aż zobaczyłam Jeremiego Przyborę. Siedział na ganku urokliwego drewnianego domku, z którego roztaczał się widok na piękne łąki ograniczone horyzontem bujnego lasu. Mały raj na ziemi, pomyślałam z lekuchną nutą zazdrości. A chwilę potem Starszy Pan zaczął opowiadać o żonie Alicji, której dedykował właśnie *Jesienną dziewczynę*. Że była to Miłość (celowo tu duża litera), której nie oczekiwał, już nie szukał i nie sądził, że takie uczucia w życiu bywają. Spokojny związek dwojga dojrzałych ludzi, którzy się akceptują, podziwiają, szanują i są w sobie zapatrzeni. Dopełnienie z zachowaniem autonomii. Siła emocji, ale bez wektora destrukcji. A teraz Jeremi Przybora patrzył w dal i mówił, że po śmierci Alicji niczego już nie chce. Że życie nie ma smaku i zapachu. Malinko, to było tak smutne, że zaszklily mi się oczy.

I skoro już tym literackim tropem podążamy, to napiszę Ci o innym Jeremim, kilkadziesiąt lat młodszym. Wyobraź sobie, że i mnie Jerzy mikołajkowo obdarował. W piątek czekała na mnie paczka w recepcji. Nic szczególnego – szary pakowy papier. Na nim naklejona kartka z komputerowo wypisanym adresem wydawnictwa i moim nazwiskiem. Upchnęłam ją na piramidzie

nierozpakowanych przesyłek wymieszanych z makulaturą, planując, że uporządkę ten składzik w poniedziałek. Spieszyłam się bowiem do kawiarnianej rozmowy z Jerzym, która – co już wiesz – była rwana, nerwowa i smutek rozsiewająca. Pewnie dlatego Jerzy nie zapytał, czy Mikołaj(ek) o mnie pamiętał.

W poniedziałek, gdy ustrój miałam zbyt nadszarpnięty, by intelektualnie się forsować, postanowiłam posprzątać papiery. I otworzyłam tę nieatrakcyjną przesyłkę. A tam *Listy na wyczerpanym papierze*, czyli objawiona czytelnikom korespondencja Agnieszki Osieckiej i Jeremiego Przybory. Dwa niezwykle umysły, dwoje mistrzów słowa, dwa spragnione siebie ciała, żona, co nie rozumie, kochanka, co porzuca i wraca. Dużo emocji, napięcia, tęsknoty i pożądań. Od razu się w tym odnalazłam. Czytając z wypiekami na policzkach te listy, widziałam siebie i Jerzego. Połowicznie, jasna sprawa. My skuteczniamy tylko epistolografię, małych mieszkaneek nie wynajmujemy... Wsiąknęłam w te listy. Dosłownie przed chwilą przewróciłam ostatnią kartę książki.

Popatrz, Malinko, paralela się z tego zrobiła.

Czy ja potrafię morał wysnuć?

Taki mały, prywatny – tak. Poczułam (przeczułam?), że do szczęścia potrzebuję pełni. Drżącego głosu, miękkich kolan, przyspieszonego pulsu, splecionych wilgotnych ciał i uwspólnionego oddechu. Tęsknych listów, wyczekiwanych spotkań. A obok małej stabilizacji. Wspólnych śniadań i spacerów. Porannej kawy nad jedną gazetą. Troski dawanej i przyjmowanej. Bycia ze sobą i dla siebie z planem na długą wspólną wędrówkę. Słowem – życia całego, nie tylko połówki lub części. To tak, jakby najpierw być Agnieszką Osiecką, a potem Alicją Wirth. Wciąż u boku tego samego Jeremiego Przybory. Tylko coraz bardziej szpakowatego. Jerzy nadaje się do tej roli znakomicie – aż się rozmarzyłam.

Czy to jest morał do naszych opowieści?

Całuję

Jagoda ze wzrokiem na zakręcie



@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 11.12.2014

Temat: Co powie mama

Mistrz Jeremi... A pamiętasz, co pisały media po jego śmierci? Utkwiło mi w pamięci sformułowanie „osierocony po utracie żony, nigdy nie podniósł się po ciosie”.

„Osierocony”...

Tak, warto przeżyć pełnię. Teraz już obie to wiemy.

Przyjechali do mnie, Jago, rodzice. Jak już wiesz, wrócili nareszcie z sanatorium. Irenka po pobycie u nich ubawiona, dopieszczona, obdarowana – chyba nawet nieco okrągłejsza. Oni też wyglądają na wypoczętych. Krzepiąco zakrzętnęli się wokół mnie i obiadu, pokazywali zdjęcia z białymi górami i burym niebem w tle, opowiadali o zabiegach, o kulinarnych hitach stołówki, wreszcie o zaobserwowanych dansingowych romansach sześćdziesiąt plus, siedemdziesiąt plus. Popatrz, nie wyrasta się z tego...

Gdy nadarzyła się sposobność i tata utonął w morzu puzzli z Irenką, mama naciągnęła mnie na kuchenne ploty. Dopytywała o Wiktora i czy to na poważnie.

To jedno z trudniejszych pytań. I uczciwa odpowiedź brzmi: nie mam pojęcia.

Jak można przedstawić taką odpowiedź mamie? Jak powiedzieć, że nawet jeśli nie, jeśli to ułuda i miraż, to seks jest tego wart... Seks, który *jest* ważny, piękny i bardzo przywiązujący. Seks, którego nigdy dotąd w takiej postaci nie zaznałam.

Oczywiście nie można. Relacja mama – córka nie jest taka bezpośrednia. Mówiłam więc o wspólnych zainteresowaniach, o jego ładnych gestach względem mnie i Irenki, trochę podrasowałam jego opiekę nade mną w chorobie (przy okazji – poczułam wstyd, że muszę podrasowywać...), a nawet o tym, jak się starannie wysławia, jakie ma maniery i jakim mnie otacza uwielbieniem.

To nie było podrasowane: kiedy jest, to naprawdę otacza. *Kiedy jest...*

Czy to na poważnie? Jak rany, sama chciałabym wiedzieć bardziej niż cokolwiek innego. Chociaż?... Teraz, gdy to piszę, nie jestem już taka pewna.

Przyjmijmy założenie: dowiaduję się (jakoś), że to lowelas i drań. Wracam wówczas do poprzedniego stanu („sama\_mama”), lecz już z przekłętą świadomością, jak być może.

Etap: wygnanie z raju, po skosztowaniu uświadamiającego owocu.

Dziękuję bardzo. Ku własnemu zdumieniu wyznam Ci, że w tym przypadku wolę otumaniającą niczym wata cukrowa słodycz niewiedzy.

Jak wiesz, najbardziej mi wstyd, że Wiktor jest żonaty. To jest tak nie w moim stylu i tak łatwo się wpisuje w te wszystkie koszmarne historie z głupią, naiwną „tą trzecią”, wiecznie liczącą na rozwód. Wyeksponowałam

więc przed mamą wątek, że jest już po rozmowie z żoną i w ciągu miesiąca zamieszkają oddzielnie, za czym najpewniej wkrótce pójdzie też oficjalny rozwód.

Mama była ostrożna w rozmowie. Wyraźnie starała się nie ferować wyroków, nie peszyć, nie gasić, ale też nie rozniecać nadziei. Powołała się natomiast na niedawno czytany artykuł. Głosił on, że bardzo niewielu mężczyzn decyduje się na rozwód, że niemal zawsze pozew składają kobiety oraz że statystyki pokazują z całą dobitnością: jeśli mężczyzna nie zdecyduje się na ten krok w ciągu roku od początku romansu, prawie na pewno już tego nie zrobi.

Wiktorowi zostało niecałe jedenaście miesięcy. Rozwiedzie się? – Czas pokaże.

M.

PS. Ja się zawsze bardziej kochałam w Wasowskim.

Widzisz? Nawet tu nie byłoby między nami konfliktu.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 13.12.2014

Temat: *Meine* wigilia

Malino,

zaczynam podejrzewać, że nasze myśli wywołują zdarzenia – jeśli o czymś napiszemy, to chwilę później to się dzieje. Myślenie sprawcze? O czym mowa – czytaj.

Wczoraj mieliśmy zakładową imprezę wigilijną. Cudzysłów by się tu nadał, bo ze świętami – prócz terminu – to ten spęd nie miał wiele wspólnego. Przyjęcie zostało zorganizowane u nas w redakcji. Do firmy zjechały samochody dostawcze, które dowiozły i jedzenie, i obsługę. I alkohol – czas pokazał, że to był gwóźdź programu. Koncepcja uroczystej kolacji była zmyślna i twórcza. Otóż hasłem przewodnim (poza choinką, bombkami, kolędami) było zjednoczenie pod jemiolą. W tym celu bratni zespół polski i kolektyw niemiecki mieli się integrować przy wspólnym stole, zamieniając się w ten wieczór rolami – my poznawaliśmy zwyczaje kraju Wagnera, oni przyswajali obyczaje potomków Słowackiego. Zamiana obejmowała wszystkie dziedziny. Najboleśniej odczułam to pod względem kulinarnym. Na stół wjechały: sałatka z ziemniaków, ziemniak w sałatce, ziemniak i la sałatka i ziemniak sauté. Do tego kielbaski: smażone, pieczone, gotowane. I kapusta kiszona, jako smutna namiastka pierogów. Sytuację ratowały pierniki, europejskie, jak się okazuje. Z bólem najpierw serca, a potem brzucha patrzyłam na smakowite polskie specjały po drugiej, zakazanej stronie stołu. Przed niestrawnością ratowało piwo. Oraz inne trunki, które sprawiły, że wieczór nabrał rumieńców. Wśród zaproszonych gości byli także nasi współpracownicy, między innymi Beata – psycholożka i autorka narajona mi przez szefa. I wyobraź sobie, że ich przyuważyłam. Ciemny korytarzyk prowadzący do serwerowni, za którą jest już tylko wyjście ewakuacyjne. Miejsce może niezbyt romantyczne, ale zaciszne. W rankingu miejsc wspierających biurowe romanse na pewno stoi wysoko. Migdalili się tam, obcałowywali, miętolili, tłamsili i wymieniali płyny ustrojowe. A tego samego dnia w pracy była żona Troglodyty z połową ich potomstwa. Dzieci przywiozły papierowy łańcuch na choineczkę w ojcowskim gabinecie i odebrały paczki prezentowe, czyli torby wypchane wysokokalorycznymi przekąskami. I muszę Ci powiedzieć, że małżeństwo nie wyglądało na skłócone, na progu rozstania czy jakkolwiek uszkodzone. Spójnie się prezentowali. A kilka godzin później...

Może tu też taki układ? On się musi pospełniać, ona bierze, co on daje, a żony nikt nie pyta?

To była pierwsza połowa wieczoru, z jednym dramacikiem (i to obcym) w tle.

Drugą mocniej wypełniły smutne akcenty. W ciągu dnia pisał do mnie Jerzy. Właściwie nic szczególnego: trochę o jego nowej pracy, do której się przymierza, ale to dopiero za cztery miesiące, gdy przestanie go obowiązywać zakaz konkurencji. O codzienności, która – jako że niewypełniona już obowiązkami – objawiła pustkę, samotność i różne drobne braki, których nie dostrzegasz, kiedy tkwisz w kieracie. Ja się rewanżowałam smuteczkami z domowego poletka – kasłający Jeremi, Matysia ze zmiennymi nastrojami, nieciesząca myśl o nadchodzących świętach, których nie potrafię wypełnić rodzinnością. Aż w końcu Jerzy zaproponował, że przyjedzie po mnie, by mnie po wigilijnej integracji odwiedzić do domu. Żeby choć przez niecałą godzinę być razem. Ucieszyło mnie to, nawet wzruszyło. Jerzy mieszka po drugiej stronie Warszawy, więc to cała wyprawa. Zjawił się chwilę po dziesiątej. Pospiesznie opuściłam coraz weselsze towarzystwo. Początkowo jechaliśmy w milczeniu. Potem Jerzy zapytał, jak się bawiłam. Odpowiedziałam, że adekwatnie do okoliczności. I wyjawiałam, że widziałam Troglodytę w splecieniu z Beatą. I że to mnie smutkiem napełniło.

– A dlaczego? – zapytał Jerzy.

– Jak to dlaczego? Bo tu kochanka, tam żona, a on lawiruje – odparłam.

– A ty? A my? – powiedział Jerzy.

– Co my? To zupełnie inna sytuacja. My się po prostu... – Zamilkłam na chwilę, bo zabrakło mi odpowiedniego sformułowania na określenie naszej relacji.

– To ja ci powiem, co my. Zdradziliśmy, fakt – jednorazowo. Ale to drobiazg w porównaniu z tym, jak zdradzamy każdego dnia, w każdej godzinie. Gdy myślimy o sobie, gdy do siebie piszemy, gdy się ze sobą spotykamy, gdy do siebie tęsknimy. Coraz mniej nas w naszych domach i dla naszych partnerów, coraz bardziej się oddalamy od naszych poprzednich żyć. Myślisz, że zdradzać można tylko w łóżku? Wszystko zaczyna się w głowach.

Próbowałam oponować, ale niemrawo, nieskładnie. Byłam zła na Jerzego – za to, że mnie tak obcesowo odarł z misternie utkanej siatki wyparcia i autooszukiwań. Przyznaję mu rację, choć jemu tego nie powiedziałam.

Kiedy podjechaliśmy pod mój dom, przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. A potem – z tych skumulowanych emocji chyba – zaczęliśmy się całować. Namiętnie, łapczywie, zapamiętane. Gryzłam jego usta, on obcierał zarostem mój dekolt. Szyby zaparowały. Resztką silnej woli wyszłam z samochodu w zimną noc.

Nigdy się tak nie całowałam z Piotrem. I nie będę.

W poniedziałek mamy kolejną sesję z panią Marią.

Dobrej nocy, siostró Malino

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 13.12.2014

Temat: Śledzik

Opowieść za opowieść, Moja Droga.

Wigilie firmowe u mnie są z oczywistych względów mniej sensacyjne, za to bardziej wigilijne. Panie przynoszą swe popisowe numery kulinarne (ultratradycyjne!), panowie obsadzają choinkę i organizują muzyczne podkłady pod nasze kolędowanie, ksiądz dyrektor wszystko święci, a potem stylowo pohukuje, rozdając bony do Tesco, cały zaś capstrzyk odbywa się możliwie blisko prawdziwej Wigilii, konkretnie w jej wigilię.

Na moją więc jeszcze czas – w zastępstwie opowiem Ci o śledziku Wiktora.

Gdy mi powiedział, że idzie w piątek w mecenasowskim gronie na śledzika, odruchowo się skrzywiłam. Nie lubię tej nazwy. Wigilia to wigilia, choćby i służbowa. Świętość bez szargania. Śledzik leży u mnie na tej samej półce, co seta i galareta.

Jak się okazało, oboje mieliśmy rację. Moje wódczane skojarzenie było nader trafne – a i on przecież, po wielu śledzikach z lat poprzednich, wiedział doskonale, jaka będzie formuła tego wyjścia.

Zarezerwowali sobie jakąś modną knajpę w centrum – i pili... i pili... o czym wnioskuję z SMS-ów z literówkami oraz płomiennymi, kleistymi wyznaniami.

Około drugiej w nocy wyrwał mnie ze snu telefon. Wiktor bełkotliwie prosił, bym przysłała po niego taksówkę.

– Jak to, nie możesz jej sobie sam zamówić?

– Nie mogę – oświadczył z uporem pijaka.

– Ponieważ?

– Nie dam rady wybrać numeru – wybełkotał.

– A jak wybrałeś do mnie?

– Był z wierzrzrzchchchu.

No pięknie. Nieprzytomnie senna, uznałam jednak, przyznasz, całkiem racjonalnie, że im szybciej to zrobię, tym prędzej wrócę do łóżka.

– Dobrze. Gdzie jesteś?

Tu jednak czekała mnie niespodzianka.

– Nie wiemmm.

– Co proszę?!

– Nie wiemmm.

– A koledzy?

– Teszsz nie wiemmm.

Brzmiało to tak głupio, że przez chwilę uznałam to za żart. I rozpaczliwie uczepliłam się tej myśli.

– Dobrze, więc znajdź ich i spytaj, gdzie jesteś, a ja tymczasem...

– Wyszszszedłm się przejśććć...

– Więc wróc – zasugerowałam.

– A oni poszszszli doinnnnlokalu.

– Zadzwoń do któregoś z nich... – podsunęłam bez większej nadziei, i słusznie.

– Hochchchm cię – zadeklarował Wiktor.

– Wiktor, skup się – poleciłam, bo nawet to wyznanie w pijackiej formie niezbyt mnie wzruszyło. – Gdzie jesteś? Rozejrzyj się, odczytaj nazwę ulicy.

Nie zgadniesz. Nie mógł.

– Przyjedzszsz pommmnie? – zapytał przymilnie.

– Oczywiście, że nie! Mogę przysłać po ciebie taksówkę, tylko określ, do cholery, gdzie jesteś!

Chwilę sapał w skupieniu.

– Volvo metalik, merrrrcedess i saab. Drzrzewo. Latarrria.

– *Ulica*. Odczytaj nazwę ulicy – zazgrzytałam zębami.

– Nie mogę.



– Więc nie mogę ci pomóc! Wiktor, przecież to absurd! Nie wierzę, że tak się skułeś!

– Trrrrawniczek – wyznał ostatkiem siły woli. – Brama. Blok.

Komiczne, co? Ale nie o drugiej w nocy.

– Słuchaj. Poszukaj tabliczki z ulicą. I wtedy do mnie zadzwoń.

Położyłam się z telefonem w dłoni.

Za kilka chwil zadzwonił znowu – nadal byłam przecież „z wierzrzrzhchchu” listy połączeń.

I znowu to samo. Wyliczył mi auta na jakimś parkingu, liczbę drzew i kosztów na śmieci, nie mógł zaś odszyfrować nazwy ulicy. Usilnie forsował ideę, żebym po niego przyjechała.

Z wolna się rozsierdzałam. Jak miałam zostawić śpiące dziecko i jechać w niewiadomym kierunku po tego ochlapusa?! Zagroził, że w takim razie skorzysta z trrrrawniczczyka, na którym prześpi się do rana.

Najpierw poczułam irracjonalny wstyd. Mój wymuskany kochanek w wytwornym płaszczu będzie spał po pijaku na jakimś śródmiejskim trawniku?!

Potem jednak górę wzięła złość. A kimże ja jestem, żeby czuć się zań odpowiedzialną?! Przecież nie żoną...!

Takie telefony odbierałam do trzeciej. Chłód nocy przez godzinę zrobił swoje i Wiktor w końcu odzyskał władzę w oczach oraz biegłość czytania. Wyjawił mi, że jest na Poznańskiej. Zadzwołam po taksówkę. Tego zgłoszenia też się wstydziałam.

– Dobry wieczór... Właściwie dzień dobry. Gdzieś na Poznańskiej stoi pan w brązowym wełnianym płaszczu... Proszę o kurs na ulicę... – Przyznam Ci się, że tu przez chwilę się zawahałam, czy poprosić o przetransportowanie go do mnie, czy do żony.

Pani przyjmująca zgłoszenia wybawiła mnie od decyzji.

– Przecież ten pan sam powie, jaki jest cel podróży – nauczyła mnie sucho.

Przyjechał koniec końców do mnie. Zmarnowany, pognieciony. Trochę śmieszny, trochę straszny. Wytoczył się z taksówki, dzięki Bogu wziął prysznic i zasnął. Dochodziła czwarta. Nie mogłam spać. Zaparzyłam sobie kawę, usiadłam do laptopa i piszę do Ciebie o tym wszystkim. Pisanie do Ciebie ma dla mnie walor terapeutyczny. Wygaduję się, oczyszczam, spowiadam; pisząc – tasuję i porządkuję sobie sprawy.

Refleksje mam trzy:

1. To jedna z takich nocy, które z biegiem lat w annałach rodzinnych urastają do chętnie powtarzanej śmiesznej anegdoty.

Właściwość takich zdarzeń jest zawsze taka sama: w chwili gdy się dzieją, nie śmieją ani trochę. Opowiadane dużo później na przyjęciach – bawią do łez.

2. Ta przymiarka na żonę wcale mi się nie podobała.

Po raz pierwszy poczułam wyższość mego położenia nad jej. W tradycyjnym rozumieniu małżeńskich powinności ja bardziej niż ona mogłam się odciąć, powiedzieć „radź sobie sam”, wyłączyć telefon i pójść spać.

*Współmałżonkowie* wydają mi się bardziej za siebie *współodpowiedzialni*. Ja zaś mam Wiktora zawsze (prawie zawsze) w formie, w romantycznym nastroju, bez domowych utyskiwań, bez „bo ty zawsze!”, „bo ty nigdy!”.

3. Na koniec jeszcze jedno niezrozumiałe uczucie: dlaczego mi pochlebiło, że przyjechał? Że jednak wraca ostatkiem sił do mnie, a nie do niej?...

Całuję Cię, poziewując

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 16.12.2014

Temat: Gwiazdka z nieba

Malinko,

mężczyźni są jednak odmiennym gatunkiem. Historia z Wiktorem mnie ubawiła już teraz, nie muszą dziesięciolecia upłynąć. Humor sytuacyjny w tym studium przypadku jest tak egzotyczny, że nie mam do niego dystansu. Właściwie to nie miałam, bo teraz, gdy mi pierwsze uśmiechy zeszyły z ust, to sobie myślę, że Wiktor to takie wieczne książątko. Do żony nie zadzwoni (zwłaszcza że ją właśnie rzuca, na raty, lecz jednak), bo zamiast pociechy i pomocy usłyszałby pewnie głuchą ciszę – w wariancie optymistycznym. W wersji mniej sprzyjającej byłaby to zapewne mało wybredna wiązanka. No to dzwoni do kochanki. Czyli do Ciebie. Rany, czy to nie jest obraźliwe? Jak ja mam Cię nazwać? W wyrazie „kochanka” jest jakaś obelga, coś zakazanego, ciut nęcącego, lecz zarazem plugawego i niegodnego. Też Ci się tak wydaje? No więc wybiera Twój numer. Może być i tak, że resztką przebłysku świadomości pragnie ukojenia w ramionach tej, która go przygarnie, żadnego focha nie strzeli. Plus(ik) dla Ciebie...?

U mnie, wyobraź sobie, nagły zwrot akcji, który wpisuję w serię okołoswiątecznych mikrocudów. Otóż się okazało, że zapowiadana od dawna impreza wigilijna (znowu, znowu) organizowana przez szpital Piotra przewiduje bytność par, nie pojedynczych doktorów i doktorek. Piotr, zajęty rzeczami bardziej podniosłymi niż wczytywanie się w zaproszenie lub ploty i pogaduchy w pokoju lekarskim, przeoczył ten fakt. Dopiero w niedzielę wieczorem się zorientował, że małżonka przy boku jest akceptowana, a nawet pożądana. A impreza w poniedziałek... Skoro w tak podniosłej oprawie, to może jednak pójdziemy. Bo sam zamierzał się wykręcić (*in statu nascendi* lub *post factum*) nagłym zdarzeniem rodzinnym – czytaj naszą wizytą terapeutyczną. Jak się domyślasz, przystałam na ten nowy wariant z dużą ochotą. Chyba nawet zbyt dużą, bo Piotr się zdziwił, że pałam chęcią, by

spędzić wieczór z jego koleżeństwem z pracy, o którym zwykle mówię, że to nudziarze. Klamka zapadła. Na tę podniosłą okoliczność do opieki nad Jeremkiem i Matysią przyjechała mama Piotra.

– Idźcie, idźcie. To taka nobilitująca kolacja. No i świąteczna, kapelan będzie, i ordynator. Trzeba bywać.

Wyciągnęłam odpowiednią (jak mi się wydawało) sukienkę. Szara, wełniana, klasycznie prosta, z łódkowym dekoltem. Wersja: awangardowa zakonnica – wedle mojej klasyfikacji.

– Jagusiu, czy aby długość odpowiednia? – zapytała zatroskana teściowa. – I taka jest opięta, że się zastanawiam, jak się w nią wciskasz. – Zdziwienie w głosie było nieklamane.

Po tej uwadze uznałam, że wyglądam akurat. Dołożyłam wielkie filcowe kolczyki w kolorach tęczy (te od Ciebie, na moje urodziny tuż przed Twoim wyjazdem do Londynu). I szpilki, czyli moje jedyne buty na obcasie. Poszliśmy.

Wieczór był przedziwny. Panom doktorom towarzyszyły panie doktorowe. Dobrze zakonserwowane czterdziestki i pięćdziesiątki, w drogich, świetnie skrojonych garsonkach, które jednak są dopasowywane do manekinów kalibru i proporcji Barbie. Z tego powodu wałki tłuszczu malowniczo im się uwypuklały tu i ówdzie. Makijaże miały solidne, chyba niezmywalne. Paznokcie w czerwieni – obowiązkowo. Opowiadały o przytłaczających obowiązkach pań domu, które muszą zapanować nad potomstwem, nianią, ogrodnikiem i panią sprzątającą. W międzyczasie upchnąć gdzieś kosmetyczkę i fryzjera. Wysłuchując o tych rodzinnych dramatach, rewanżowałam się tylko uśmiechami. Wygodnym usprawiedliwieniem mojej małomówności było doskonałe jedzenie, niemal bez przerwy przeze mnie kosztowane, przeżuwane, przełykane.

Piotr spędził czas przy profesorskim stoliku.

Wracaliśmy właściwie w milczeniu.

W domu zastaliśmy trochę już przysypiającą babcię, która jednak uparła się,

by ją odwiedzić do domu. Wychodząc, obrzuciła nas spojrzeniem, z którego przebijała duma i zadowolenie.

– Ależ wy macie dobre życie. Takie udane dzieci, twoja praca, Piotrusiu, i zaradna żona u boku. No, no.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, mój telefon zakłaskał. SMS od Jerzego. „Nie mogę spać. Myślę o Tobie bez ustanku”.

Za dużo tego jak na moją głowę. Gubię się w tym wszystkim. Tęsknię za Jerzym, bezwstydnie rozpamiętuję tę naszą hotelową randkę. Pamiętam zapach rozgrzanej i wilgotnej pościeli. Jego zapalczywy i delikatny zarazem dotyk. Serię ekstatycznych finałów. Och!

Idę na zebranie. Planujemy walentynkowy numer naszego miesięcznika. Znikąd pomocy i ukojenia.

Całuję

Twoja J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 17.12.2014

Temat: Marzenia optymisty

Moja Dobra Doktorowo!

Cały problem z Twoim życiem polega na tym, że ma taką piękną fasadę. Jest jak kobieta, o której wiesz, „że głupia i zła”, ale taka piękna, że jednak *chcesz*

się ludzi, że wszystko będzie dobrze.

Ja dość długo ulegałam fasadzie Twego życia; ba – nadal uważam, że ma dużo atutów i jasnych stron.

Z jednym niedostatkiem. Szkopuł w tym, że zalicza się do tych kluczowych.

Gdy napisałaś o wychodnym z Piotrem, podekscytowałam się jak młódka. Rzeczywistość jednak uparcie skrzeczy. Co to za wyjście, niby razem, na którym Ty spędzasz czas z podstarzałymi nudziarami, a on gawędzi z profesorstwem, z braku lepszych pomysłów? Powiało chłodem.

I ja żyłam pod linijkę, i w moim przypadku – do czasu – dawało mi to satysfakcję. Z prawości, akuratności, z czystego sumienia. Podobało mi się moje miejsce u boku męża, było mi tam pod różnymi względami wygodnie.

Gdy urodziła się Irenka, Maciej przylatywał do Polski co drugi, trzeci weekend. Zatrzymywał się u nas, wszak wciąż występował w randze męża. No i – przecież u mnie nie obyłoby się bez chrześcijańskich odruchów oraz bez „wyższych celów”. Chciałam, żeby dziecko znało ojca, by jego wzruszenie nad ojcostwem poniosło i rozlało się po całym sercu, obejmując także matkę tego dziecka. Żeby dotarło doń, co jest najważniejsze.

Co do mnie – *postanowiłam* przebaczyć. Zdrady zbladły, macierzyństwo nastroiło mnie konsyliacyjnie. W tym czasie, przez jeden – dwa weekendy w miesiącu wiedliśmy miłe życie, pełne rezerwy i uważania, by sobie wzajemnie nie stąpnąć na czułe punkty. Maciej był na prawach ni to gościa, ni to lokatora. Trochę się bawił z Irenką, na obiady zabierał nas do restauracji. Z czynności domowych – parzył kawę. Prowadziliśmy przy niej uprzejme angielskie pogawędki. Tematem, który zawsze działał, były obserwacje Irenki i wymiana spostrzeżeń o niej.

Byliśmy białym małżeństwem. A wiesz, jak nie lubię bieli. Biel to nie kolor. To brak.

Dużo czasu zajęło mi odcięcie się od tego złudzenia. Nie, to nie tak wygląda moje marzenie, moja wyśniona rodzina – przecież on mnie zawiódł, usunął ze swego życia i nigdy nie zaprosił doń znowu, przestał kochać, co

powiedział wprost – musiałam to sobie powtarzać wiele razy.

Idealiści bywają niereformowalni, podobnie jak optymiści. Solidny kopniak, jaki zaliczyłam, nie pozmieniał mi marzeń. Nadal wierzę w wartości: dom, rodzina, i chciałabym nimi żyć. Nie wyszło za pierwszym razem? Wylizałam rany, zamknęłam ten etap i patrzę w przyszłość w poszukiwaniu nowego męża, dzieci, rodziny. Chciałabym zrealizować swój plan marzenie. Czuję, że tędy moja droga.

Tymczasem dziś od rana Wiktor pisze, że trwa w stanie przewlekłej depresji i obojętności na wszystko, że nie chce mu się o nic walczyć, że jest za stary na spełnianie marzeń, wie, że to efekt oddalenia się od Boga i od swego sumienia, ale nawet nie bardzo chce mu się coś z tym zrobić... Ach, i tak, ma z żoną ślub kościelny, czemu pytam?

„Chyba żeby sobie wsadzić nóż w serce i nim powiercić” – odpisałam, bo naprawdę tak to przyjął.

Co robić? Zabrzmię jak infantylna nastolatka, ale tak bym chciała, żeby to już był „on”. Żeby odetchnąć sobie z ulgą i oddać się powabom tego mężczyzny, żeby sobie w końcu zacząć budować własne szczęście.

Zarazem boję się, że to znów iluzja, że – jak sam dziś mówi – jest popapwany, zobojętniały, bez celu w życiu, tylko zewnątrz tak olśniewający.

I je-szcze-ten-zwią-zek-nie-sa-kra-men-tal-ny. To chyba będzie stała śpiewka w moich wątpliwościach.

Zdażyłam się zdołować, potem otrząsnąć i pojechać do przedszkola na świąteczne warsztaty z dziećmi. Przez dwie godziny, przy wtórce piosenek z dzwoneczkami (znów!), robiłam z Irenką kartki, bombki i łańcuchy. Przez ten czas miałam wyciszony telefon i pohamowałam się od sprawdzania, czy nie dzwonił.

Dzwonił, a i owszem. W końcu napisał, że to przemyślał. I chciałby zmienić się dla mnie, wydobyć z głębi dawnego, radosnego siebie.

Co Ty na to? We mnie zmiany „dla kogoś” budzą podejrzliwość.

W efekcie jestem z powrotem zdołowana, zmartwiona, rozedrgana.  
W dodatku zaczyna się cholerny weekend. Cieszę się, że od poniedziałku wracam do pracy.

Całuję

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 18.12.2014

Temat: Grupa wsparcia

Malinko,

mam wrażenie, że te nasze przygnębienia są wyjątkowo dotkliwe, bo to wszystko dzieje się przed Bożym Narodzeniem. To oczywiście święta o charakterze religijnym, ale także apoteoza rodziny. Cała świecka otoczka, głównie reklamowa, wyzyskuje ten sielski obrazek. Gdzie się obejrzyysz, uroczę, zadowolone, wyglansowane na wysoki połysk stadła rodzinne, obowiązkowo przy wielgachnym stole, który z trudem by można upchnąć w przeciętnym polskim M. Od małego jesteśmy karmione takimi obrazkami, do tego dążymy – by powtórzyć ten cudowny wzór. Który słusznie nazwałaś fasadą. Nie jestem tu wyjątkowa. Łatwiej budować swój dobrostan na rzeczach zewnętrznych, niż dogrzebywać się do wnętrza. Wiesz, przez wiele lat tak właśnie robiłam. Pewnie z lęku przed tym, co bym mogła w sobie odkryć, ale bardziej chyba z braku umiejętności. Uczyli Cię rodzice, jak rozmawiać o uczuciach? Jak rozpoznawać własne potrzeby? O szkole to już nawet nie wspomnę. To był czas ujednolicania, wyrównywania wszystkiego do średniej. Nie było miejsca na rozterki ducha, skoro rzeczywistość



wymagała prozaicznych działań. Wyobrażasz sobie w pokoleniu naszych rodziców rozmowy o spełnieniu, poczuciu szczęścia, wolności...? Moi rodzice, postępowi i przyjacielscy przecież, nie zrozumieliby pewnie moich dzisiejszych stanów. Jak to dosadnie ujmowała nasza sąsiadka z bloku na Bielanych: „Z dobrobytu to się ludziom w dupach przewraca”. Pytam się teraz czasem sama siebie, czy też się do tej grupy zaliczam.

Tak, Boże Narodzenie to nie jest dobry czas na rozbijanie rodzin, umawianie się z żonatymi facetami, oszukiwanie mężów. Nie to, żeby kiedyś był odpowiedni na to czas, ale ten jest wyjątkowo nieakuratny.

Wiktor się miota, jest ekstrawertykiem, który funkcjonuje albo euforycznie, albo depresyjnie. Też Ci się tak wydaje? Chybabym nie wiedziała, do których jego stanów się przywiązywać, a o których myśleć, że są tylko chwilową pochodną jego obecnych emocji. Mimo wszystko jednak rozmawiacie o Was, o przyszłości. Furtka jest otwarta – choćby i przez wariata.

Jerzy za to jest zdecydowanie mniej wylewny, a właściwie to nadmiernie taktowny. Prawie nie rozmawiamy o naszej sytuacji. Toczymy wiele zajmujących rozmów – ta ciekawość świata i mnie bardzo w Jerzym pociąga, ale temat główny pomijamy, jakby był tak bolesny, że aż strach dotykać. Od początku przyjęliśmy (Jerzy bardziej, ja ogłuszona nadmiarem emocji mało co mówiłam), że nasze położenie jest bez wyjścia. Porzucić drugie połowy – źle. Trwać u ich boku – źle. Przez Jerzego przemawia doświadczenie życiowe. I racjonalny mężczyzna. Ja nieśmiało wyobrażam nas sobie razem. Coś mi mówi – kobieco-emocjonalny pierwiastek we mnie – że to by było dla mnie dobre.

Malino, a co Ty na to, żeby mnie odwiedzić? Sobota idealnie by się nadawała. Dzieci ubrałyby choinkę, my ulepiłybyśmy pierogi. Tu też potrzebuję wsparcia, bo nigdy się nie odważyłam na to kulinarne wyzwanie. Razem raźniej. Nie obawiaj się – o siódmej rano Piotr jedzie na dyżur. To co – zgłaszasz akces do grupy wsparcia?

Całuję

Ja.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 18.12.2014

Temat: Re: Grupa wsparcia

Z rozkoszą!

Skoro Piotr o siódmej, a dzieci (małe!) wstają wcześniej, to może siódma dziesięć?

Żarcik. Będę z panną Irenką koło południa.

Do miłego!

Ma.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 22.12.2014

Temat: Randka

Jagusi,

Anglicy mówią *you made my day*, gdy ktoś im szczególnie dogodzi.

Ja powiadam: *you made my weekend!*

Nie był samotny!

Nie był nudny!

Nie miałam poczucia, że Ci nadwerężam rodzinę!

Piękny masz dom.

Ubierzesz w światełka tę jodełkę w ogrodzie? Czarodziejsko by wyglądała.

Dziś mój pierwszy dzień w pracy po najdłuższym chorobowym zwolnieniu.

Po prawdzie nastroje były już tak świąteczne, że równie dobrze poradziliby sobie sami, jak ze mną. Wszystkich bardziej zajmowała jutrzejsza wigilia Wigilii aniżeli czytanie, pisanie i redagowanie. Do tego stopnia, że... skończyliśmy wcześniej, żeby tym efektywniej oddać się pieczeniu, gotowaniom, pyrkotaniom, wolnym ogniom.

Mnie dla odmiany czekał tego dnia szybki ogień. Wiktor, powiadomiony, że jestem już na chodzie, w centrum, parę przecznic od jego kancelarii, wymyślił natychmiastowe spotkanie. Wybrał plac Trzech Krzyży, przykazał mi się tam udać – i wnet zaraz sam przybiegł, pieszo, w środku dnia, z rozwianymi połami płaszcza, w ekscytacji, piękny. Urwał się z pracy jak szczeniak.

Czułam się studencko. Trzymając się za ręce, poszliśmy do najbliższej kawiarni, siedliśmy w zacisznym kącie i obłapialiśmy się, obcałowywaliśmy jak szaleńcy. Epokowe odkrycie! Całe lata nie trzymał mnie za rękę mężczyzna!!! Ciągle tylko mała, ciepła, ukochana łapka Irenki. Obiektywnie wyglądałam koszmarnie. Bładolica, w burym, ciepłym swetrze, ulizana spod czapki – a on patrzył na mnie z zachwytem. I mówił (słowa, słowa...), że chce być ze mną w chorobie, i po domowemu, i gdy posiwieję, i totalnie. W pewnej chwili pogłaskał mnie też po brzuchu i powiedział, że chciałby mnie tak głaskać i czuć tam nasze dziecko.

Aaa!...

Powiesz, że zwariowałam. Ale ja też bym chciała. Rzecz jasna, najpierw jego rozwód świecki. I mój „kościelny” (choć jego sens w obecnym układzie ginie we mgle...).

Oprócz tego świntuszył, szeptał rzeczy, od których się oblewałam rumieńcem (pensjonarski fragment duszy – czy z tego się wyrasta?), oburzał mnie i... i... Jago, jak rany, no pasuje mi on jak jedyny słuszny fragment układanki.

Zakochałam się jeszcze mocniej.

Magdalena bez czci, choć z wiarą

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 23.12.2014

Temat: Śledź i grafika

Malinko,

pamiętasz swoje święta w domu rodzinnym? Nie chodzi mi o żadne szczegóły, tylko o tę niepowtarzalną atmosferę. W mojej pamięci ma ona zapach pasty do parkietu, świeżej choinki, uszek z pieczarkami. To były zalewające spokojem duszę emocje przeplecione nutką ekscytacji (prezenty!). Arkadia dzieciństwa, co? Nic z tego nie zostało. Rodzice odeszli, a mnie zabrakło umiejętności, by tę magię wnieść w życie swojej rodziny. W tym roku to szczególnie trudne – warunki niesprzyjające jak cholera.

Co się odwlecze, to nie uciecze. Wczoraj był poniedziałek, czyli dzień

terapeutyczny. Pytanie o „bliskość” padło, a jakże. Nim przełknęłam ślinę, by powiedzieć coś o porażce, odezwał się Piotr. Że nawet niczego sobie, że trudno oczekiwać fajerwerków, gdy się tak od siebie oddaliliśmy, ale teraz to już na pewno będzie tylko lepiej. Miałam wrażenie, że nie o naszej próbie „zbliżenia” opowiada. Choć gdyby nie hotelowa schadzka z Jerzym, pewnie byłabym łaskawsza dla naszej sakramentalnej jedności. Stało się jednak. Uparta pamięć ciała nie chce odpuścić. Z Jerzym była taka ekscytacja, namiętność, wrzenie, że wszystko, cokolwiek bym zrobiła (i czego nie zrobię) z Piotrem, to po prostu popłuczyny.

Wikłasz się w taką samą matnię. Uporczywie wraca do mnie fragment książki o mężczyznach, gdzie dziennikarka (nie pamiętam nazwiska) wypytuje Lwa-Starowicza o tajniki duszy i ciała facetów. A profesor odpowiada i opowiada. To jeden z tytułów, po które sięgnęłam w ramach samodoskonalenia zawodowego. Brzmi to mniej więcej tak:

– Panie profesorze, czy związek, w którym nie ma fizycznej fascynacji, może być trwały?

– Cóż, ludzi łączą różne rzeczy. Wydaje się jednak, że brak namiętności to spora wada.

– A jeśli jest świetny seks, a inne elementy niekoniecznie idealnie do siebie pasują – ile może trwać taki związek?

– Długo. Bardzo długo.

Bingo! Człowiek podlega instynktom. Nawet świętość świąt nie wyprze z niego natury.

Tak było w poniedziałek. Dziś natomiast, jak dobrze zorganizowana... (brakuje mi słowa: jednorazowa kochanka, kochanka w zawieszeniu, *in spe?*), miałam wigilijkę z Jerzym. Na Saskiej, oczywiście. I, jak po każdym spotkaniu, mejlu, SMS-ie, zastanawiam się, po co mi to właściwie. W trakcie jest dobrze, miło, krew krąży, serce przyspiesza, ale potem – dół. Bo syf nielojalności, bo smutek nieobecności Jerzego, bo niewyzyskana gotowość do bliskości. Mówiąc wprost: nigdzie nie jest mi dobrze, wszędzie pudruję jakieś ułomne rozwiązania i szlag mnie trafia. Ufff!

Kupiłam Jerzemu *Czas serca. Listy*. To korespondencja Paula Celana i Ingeborg Bachmann. Dwadzieścia lat listownego romansu. Sprawy wzniosłe, sprawy przyziemne, zawsze z mocnymi emocjami w tle. Historia bez happy endu. Tragiczna – definitywnie. Dwie śmierci: samobójstwo i „nieszczęśliwy wypadek”. Musiałam mieć emocjonalny zjazd, kiedy wybierałam ten tytuł w księgarni.

Jerzy przyniósł mi... słoik śledzi. Sam robił, doprawiał ziołami, zalewał marynatami. Przez żołądek do serca. Drugi prezent z zupełnie innej kategorii. Wyobraź sobie, że Jerzy nas... narysował! W kawiarni wręczył mi pakunek – coś płaskiego, sztywnego, jak karton A4. Poprosił, żebym obejrzała w domu. Nie wytrzymałam oczywiście i odwinęłam papier już w samochodzie. Opiszę Ci. Obraz ma tytuł *Pokój 110* (numer naszego pokoju w hotelu). To grafika; stoimy, oboje nadzy. Jerzy tyłem, wygląda, jakby próbował mnie zatrzymać, ściska moje ramię. Ja stoję przodem, głowę mam obróconą (uciekam wzrokiem?), twarz zasłoniętą włosami. Sylwetka lekko pochylona w prawo – chcę się oswobodzić z uścisku, wycofać – jakoś tak. Jest w tej grafice coś przejmującego. Wyraźne napięcie, bliskość, która się nagle urywa, nie wiadomo czym powodowane rozłączenie. Harmonia smutku i namiętności.

Akuratnie się obdarowaliśmy...

Malinko, dziś bym gorzko zabrzmiała. Jutro więc Cię życzeniami obdaruję.

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 24.12.2014

Temat: Nietrafiony prezent

Dzięki Bogu, moi rodzice żyją. Wszystkie święta spędzamy razem. Krótka kariera mojego małżeństwa kilka razy podzieliła je na połowy – pół Wigilii u jednych rodziców, pół u drugich; pierwszy dzień świąt z tymi, drugi z tymi. Plus powroty do domu z torbami dóbr: pasztetami, wędlinami własnego wyrobu, ciastami.

Teraz wszystko wróciło do normy sprzed ślubu: wybieram się tylko do swoich. Poza mną, Irenką i nimi będzie moja siostra z rodziną.

Prywatną „wigilijkę” też mam już za sobą. Wczoraj przyszła stosowna karta z Dzieciątkiem od Wiktora, z pięknymi życzeniami i mnóstwem zawijasów, z których jest dumny – mówi, że kiedyś pewien grafolog wydał werdykt, że jego dzikie laseczki i ogonki to wyraz namiętności, które nim targają, oraz erotycznej wyobraźni.

Że też nie spytałam, czy grafolog był kobietą.

Dziś rano zaś mój amant pojawił się we własnej osobie. Przywiózł mi małą choinkę, którą sam zrobił, skleiwszy ciasno dużo gałązek, które potem przyciął w kształt choinkowego stożka. Był z niej tak rad, że długo chodził po pokoju, szukając dla niej należycie eksponowanego miejsca.

Gdy znalazł (idealnie pośrodku mego owalnego stołu), umieścił pod nią jeszcze dodatkowe zawiniątko.

Czyli po to była choinka! Dla odpowiedniej oprawy właściwego prezentu!

Wiktor to niereformowalny esteta. Ciekawa jestem, jak się urządzi w mieszkaniu, do którego w styczniu się przeprowadzi. Ach, czuć w powietrzu interesującą przyszłość!

W zawiniątku była czerwona bielizna (czerwinizna). I o ile o pierwszym tego typu podarunku pisałam Ci, że był odważny, o tyle o drugim nie wiem, co powiedzieć.

Poczułam zażenowanie. Taki prezent na Święta Narodzenia Pańskiego wydał

mi się na wskroś niestosowny. Czy on nic nie pojmuję z moich przekonań? Czy liczę się dla niego tylko od erotycznej strony? Zredukował mnie do kształtów, które pragnie opinać w coraz to nowe ekstrawagancje?!

Jagodo, wierz lub nie, lecz zachciało mi się płakać. Naraz zobaczyłam siebie, nas, w ostrym, nieprzyjaznym świetle. Czy służymy sobie tylko do rozładowywania napięć, spełniania zachcianek, podobania się, którego świadomość tak mile łechce?

Może to ja popełniłam błąd, że na to pozwoliłam? Na te wszystkie schadzki, fantazje, potęgowane podniety. Wasz związek, dokądkolwiek Was zawiedzie, rozwija się głównie na płaszczyźnie rozmów, tęsknot, zwierzeń, kradzionych pocałunków. Nasz najpełniej się wyraża w seksie. Może przesądziły o tym lata mojej wstrzeźliwości, odmawiania sobie przed ślubem prawa do fizycznych rozkoszy, których po ślubie równie niezłomnie odmawiał mi Maciej.

Trudno było ukryć uczucia, jakie wzbudziły we mnie te przeklęte czerwienie.

– Nie podobają ci się?

Czyż nie dostrzegł różnicy między naszymi podarunkami? Ja dałam mu płytę ze starymi szlagierami śpiewanymi pięknym głosem Deana Martina. I paczkę pierniczków, które piekłyśmy i zdobiłyśmy z Irenką.

Rozstaliśmy się w nieco zwarzonej atmosferze.

I znów teraz, gdy do Ciebie piszę, porządkuję sobie fakty.

Czy mój prezent przypadkiem nie miał tego samego podtekstu, co jego? W jakich niby okolicznościach chciałam z nim słuchać Deana Martina?... Owszem, może przy kolacji. Owszem, może podczas umizgów na sofie. Ale czy kolacja przy świecach i sofa nie prowadzą w istocie do tego samego finału co wyuzdana bielizna?! Ten sam cel, tyle że osiągnięty w męski lub kobiecy sposób!

Jagodo, czy znów jestem obłudna? To naczelny grzech przypisywany katolikom...



W niezbyt dobrym humorze jadę do rodziców. Nadrabiam miną przed Irenką, która od rana już około siedemdziesięciu razy spytała mnie, kiedy pojedziemy i czy na pewno będą prezenty.

Oby te dla niej były bardziej udane.

Ciepłych Świąt, Przyjaciółko

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 24.12.2014

Temat: Życzenia z Księżycą

Malino moja,

nie wiem, czy to obłuda. I tak się zastanawiam, z czego może wynikać to Twoje rozbieranie (grunt to trafnie dobrać słowo) sytuacji. Wyrzut sumienia – katolickiego? Dopuszczanie do głosu tej części kobiecej natury, która chce i kawałka nieba, i solidnej podłogi...?

Za niespełna godzinę wyjeżdżam, by celebrować dzisiejsze święto; wstęp do świąt właściwie. Tak czy owak, to powinna być nastrojowa, serdeczna i szczęściem napawająca wieczerza. Takie jej atrybuty. A tu guzik. Nic. Zero. Dobra mina do złej gry to po prostu sztuczny grymas zadowolenia.

Jedziemy do teściów. Coroczne dywagacje, w jakiej konfiguracji pić barszcz i słuchać kolęd, teraz skróciłam. Powodowana poczuciem winy przystałam na wariant wyjazdowy. Będą rodzice Piotra i jego siostra z mężem. Będziemy

rozmawiać o polityce i religii; nim na stół wjedzie karp, zawiążą się pierwsze spory. Matylda i Jeremiasz dostaną górę prezentów, na przykład (zeszły rok): brokat w kleju, który przyczepia się do wszystkiego, zdalnie sterowane autko, które pójdzie w kąt po pięciu minutach, do próchnicy usposabiające żelki i pianki w gigantycznej torbie. I jeszcze wiele takich paczek.

Objemy się, poczujemy pustkę (ja poczuję). Wigilia jak co roku.

Choć nie. Ta jest inna. I gorsza, i lepsza zarazem.

Gorsza, bo dostrzegłam rozkład swojego małżeństwa. Cegły zaczęły się sypać już dawno, ale teraz to ja rozmontowuję nasz związek. Dzielenie się opłatkiem z oszukiwanym mężem – kara i pokuta.

Lepsza, bo w prawdzie, w świadomości. Masz rację, ten przedziwny związek z Jerzym, który, jak się wydawało, będzie się opierał na fizyczności, skreślił w inną stronę. Rozmawiam z mężczyzną, którego pragnę. Pragnę mężczyzny, z którym prowadzę długie rozmowy i wymieniam równie długie listy. Mam poczucie przystawalności myśli i zapatrywań. I – cóż za paradoks – cenię Jerzego za to, że sobie nas nie odpuścił mimo braku seksu. Który to seks wydawał mi się najistotniejszym brakiem w mojej relacji z Piotrem i o którym myślałam przez krótką chwilę, że będzie paliwem dla sekretne go romansiku.

Jeremi przed chwilą przyszedł do mojego biurka, by wcisnąć mi głowę pod pachę i się poprzytulać.

– Co, mój skarbie?

– Jestem twoim skarbem? Jak złoto?

– Bardziej. Kocham cię mocno.

– Ja cię kocham mocniej. Jak stąd do Księżyca i z powrotem.

I tego Ci właśnie życzę, Malinko. Prostych, z serca płynących uczuć. Obdarzaj i bądź nimi obdarzana.

Twoja J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 27.12.2014

Temat: Krótko święte Święta

Boże Narodzenie to przepiękne Święta, choćby nie wiem co. Wigilię i pierwsze święto spędziłyśmy z Irenką u rodziców. Potrawy były te same, co zawsze, desery standardowe, choinka w stałym kącie. Stroik na stole zdobiła jak zawsze świeca z Caritasu, okno – wściekle migające kolorowe draństwo. Każdy siedział na „swoim” krześle.

Lubię to, Jagodo. Czuję się wśród swoich, ukojona przewidywalnością zdarzeń i rytuałów. Wiadomo, że tata na początku uderzy w podniosły ton, a potem opowie parę wypróbowanych dowcipów z brodą; wiadomo, które ulubione kolędy zaśpiewamy i że przy zmianie talerzy po karpiu ruszymy z siostrą do kuchni, by szybko je pozmywać i z powrotem podać czyste. I tak dalej, i tak dalej... każda rodzina ma swoje zwyczaje.

W tym roku błogostan trochę mi zakłócały myśli o Wiktorze. Zapewne siedział w tym samym czasie w swoim domu z żoną i synami. Czego sobie życzyli nad opłatkiem, tuż przed rozstaniem? Czy myślał o tym, że po raz ostatni spędza z nią Wigilię? Czy za mną tęsknił?

Na pasterce poszłam do spowiedzi – byłam jedyna w kolejce. Fakt, że ksiądz przyszedł do konfesjonału, wzięłam za wskazówkę. Zmył mi głowę, rzecz jasna. Ale i odpuścił. Dotychczasowa święta Malina znów była sobą.

Pierwszego dnia, w porze okołodziadaniowej, Wiktor zadzwonił dyskretnie – z kotłowni. Mówił szeptem, że mnie kocha, że czeka nas cudowne życie

i żebyśmy spędzili razem drugi dzień Świąt.

Zastrzegłam, że nie chcę pieszczot, lecz rozmowy. Zgodził się bez wahania. Dobrze się składało: Irenka miała być tego dnia z Maciejem u drugich dziadków.

Przyjechał po piątej, tym razem bez podarunków. Usiedliśmy na podłodze pod choinką i długo gadaliśmy. Pytałam, czy naprawdę chce zmian i jest na nie gotów, czy chce mnie, z Irenką i psem, jak sobie wyobraża naszą przyszłość.

Wiktor mówił, że nigdy się tak nie zakochał, że czuje się ze mną bezmiernie szczęśliwy. Że znalazł dla nas mieszkanie w pięknie odrestaurowanej kamienicy i chciałby, żebym pojechała je z nim obejrzeć. W kwestii wychowywania dziewczynek nie ma, rzecz jasna, żadnego doświadczenia, ale lubi moją córkę i postara się być dla niej dobrym opiekunem. A może nawet pojechalibyśmy razem na ferie? My, jego synkowie i moja córeczka? W góry, na narty? Pora, by nas ze sobą poznać!

To wszystko było jak miód na moje serce. Więc istnieję w jego planach na przyszłość! Czułam wdzięczność i radość. Potem poszliśmy na długi spacer z Carlosem. Po powrocie słuchaliśmy starych swingów i przytulaliśmy się, a parę godzin później dałam się przekonać, że jednak ślicznie mi w płomiennej czerwieni.

Tak, Wiktor mówi „ślicznie”! I „herbatka”, i, o zgrozo, „staniczek”. Niemęskie, prawda?

Cóż. Reszta jego osoby jest wystarczająco męska, żebym mogła to znieść.

Tak oto, po jednej pokucie i dwóch eucharystiach, z powrotem pozdrawia Cię Magda – grzesznica.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 30.12.2014

Temat: Wywczas

Malinko,

Ty wśród swoich, a ja – wśród fal. Zupełnie nieoczekiwanie zdecydowaliśmy się na krótki wyjazd. Pierwszego dnia świąt Matysia zaczęła skrzeczeć, chrypieć i pokasływać. Żadna infekcja, tylko nawracające kłopoty ze zbyt aktywnymi oskrzelami. Piotr stwierdził, że zmiana klimatu dobrze jej zrobi. A ja się uczepliłam tej myśli, żeby nie dostać kręćka od buzujących we mnie emocji i siedzenia w domu podczas tej długiej przerwy. Zaproponowałam Piaski, te na Mierzei Wiślanej. Krajobraz tam piękny, wiatr hula od zatoki do morza. Piach jest, słona woda jest, słodka woda jest, lasy są. I dziki. Ludzi nie, bo z atrakcji jest kompaktowy sklep spożywczy, kawiarenka i kościół. Nie było żadnego problemu, żeby wynająć pokój. Jeden, dla nas i dzieci, co w sytuacji niezbyt pożądanego małżeńskiego kursu terapeutycznego, który powinien się opierać na ćwiczeniach i rozwoju, jest miłym wybawieniem.

Spokój tu absolutny. Żyjemy jak w zwolnionym tempie. Przydługie śniadania, spacerów przez las na plażę, grzebanie w glonowej mierzwie w poszukiwaniu bursztynów (dużo drobnicy), wycieczki do Fromborka i Kadyn. Znajduję w tym radość; przypominają mi się wyjazdy z mamą do nieodległej Krynicy Morskiej. Byłam wtedy w wieku Matysi. Tata nas odwoził i przez dwa tygodnie w zadowoleniu, w komitywie, niespiesznie się wczasowałyśmy. Mama dużo czytała, ja też miałam swoje lektury. Fajerwerków żadnych nie było, ale był spokój i prawdziwy odpoczynek. W wyznaczonym dniu wychodziłyśmy na drogę prowadzącą do Gdańska, by wypatrywać na niej taty. Obie z taką samą tęsknotą. Pamiętam to uczucie i pamiętam emocje, jakie budzili we mnie witający się czule rodzice. Niczego takiego nie potrafię w sobie wzbudzić wobec Piotra...

Jerzy w swojej podwarszawskiej dzicy. W nastroju mocno nostalgicznym. Święta spędza z ojcem. Dorota u swojej córki w Brukseli. Jerzego odwiedziła córka z narzeczonym. „Erzac rodziny”, stwierdził. Wobec córki wciąż czuje się winny; ojca kocha, szanuje, ale „to nie jest taka relacja, jaką masz ze

swoimi dziećmi”, pisze. To raczej coś w rodzaju spłacania długu, gdy role w rodzinie się odwróca. Nie ma w tym pozy, to raczej smutek wrażliwego człowieka, któremu życie nie ułożyło się podług marzeń. A czas, by je spełnić, mija. Udzielił mi się ten nastrój. Przez chwilę zobaczyłam siebie za kilkanaście lat – zgorzkniałą pięćdziesiątkę, która po wypuszczeniu dzieci w świat siada w fotelu, w ciszy i spokoju, i pyta: „co dalej”? A dalej nie ma nic.

Nie chcę brzmieć depresyjnie w końcówce tego dziwnego roku.

Życie nam zawirowało, ale to dobrze. Popatrz, ile się w nas pootwieralo, jak inaczej na siebie spojrzaliśmy. Rozwijasz się, przeżywając. Przeżywając, uczysz się życia. A to dobra podstawa do tego, by umieć świadomie wybrać. Nie wiem, jak się potoczą nasze życia w 2015 roku, ale na pewno będą pełniejsze, dojrzałe. A to już całkiem dużo, prawda?

Malinko, całuję Cię już sylwestrowo i noworocznie. Mocno, w oba policzki. Dużo dobrego!

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 2.01.2015

Temat: Krok w nowy rok!

Wczasowiczko!

Cieszę się, że wypoczywasz.

Ja do Bałtyku chowam urazę. Nie bardzo znajduję argumenty „za”, za to mam wiele „przeciw”. Kwatery niewarte swej ceny. Na deptakach – architektoniczne i stoiskowe koszmary. Jeśli jesteś rodzicem i nie chcesz utopić fortuny w kiczowatym badzewiu, musisz stoczyć z własnym dzieckiem kilka walk dziennie: „nie, nie kupię ci tego”, „nie, wcale nie jest ładne”, „niebieska wata cukrowa to świństwo”, skutecznie psując tym humor sobie i nieletniemu.

Kiedy w końcu po walkach docierasz na plażę, jest na niej ciasno, głośno i gorąco. Wchodząc do wody, czujesz natomiast cały swój układ kostny – a co do mnie, to marznąć nie lubię nadzwyczaj.

W przypadku zimowych wyjazdów niby większość niedogodności odpada. Pozostaje wszak punkt „marznąć nie lubię nadzwyczaj”. Oto dlaczego konsekwentnie wybieram opcję „zima w mieście”. Najchętniej w wersji kanapa, herbata i koc.

Z jakiegoś powodu nakarmiłam swoją wyobraźnię obrazem tak spędzonego sylwestra. Może zainspirowały mnie swingi pod choinką i ten miły, spokojny wieczór drugiego dnia Świąt? W każdym razie obstawiałam nie bal (choć nogi chętnie wyrwałyby w tan), lecz przytulną domówkę we dwoje plus Irenka.

W końcu odważyłam się zagadnąć Wiktora, czy przyjedzie.

Pomysł mu się podobał. Wnet roztoczył wizje kołysanych tańców, życzeń szeptanych nad szampanem, radosnego wejścia razem w nowy rok. Obmyśliłam kreację, playlistę i menu. Może i domówka, ale w dobrym stylu!

O piątej zadzwonił z wymówką. Żona wyszła do przyjaciółek, jemu pozostawiwszy chłopców.

Wyobrażasz sobie?! Całą wizję sielanki trafił szlag, a we mnie wściekłość wystrzeliła niczym znicz olimpijski. Przecież byliśmy umówieni!!! Czy to nic nie znaczy?

Potem do znicza dołączyła chęć zgłębienia, kto nawalił.

– Wyszła, żeby zrobić ci na złość? – zapytałam.

– A jak! – poskarżył się chętnie.

– A uprzedzałeś ją, że masz plany na wieczór?

– Nigdy nie wychodziła! To domatorka, zawsze spędzaliśmy sylwestra w domu. Jazz, wino... – zagalopował się, a mój znicz zastygł w kawał lodu.

– Ach, tak... – syknęłam z jadowitym zrozumieniem. Pojęłam bowiem, że ten przytulny wieczór tylko we dwoje nie był niczym skrojonym na naszą miarę, moją i jego. Był zwykłą kliszą, sylwestrowym rytuałem od lat powtarzanym z żoną.

Pożegnałam się bardzo oszczędnie i poszłam do łazienki pobić pięściami ścianę. Kim ja dla niego jestem, że tak łatwo ze mnie rezygnuje?... Ale nie, nie, nie rozkleiłam się. Szkoda mi było makijażu – choć trudno by było powiedzieć, na co mi on w nowej sytuacji.

Gdy wróciłam, do kuchni wśliznęła się Irenka.

– Wiktorka nie będzie? – upewniła się, czy dobrze podsłuchiwała.

– Nie będzie.

– Szkoooda... – zafrasowała się. – Taka piękna buzia się zmarnuje... – dodała, wskazując na moje wieczorowe malunki na ustach i powiekach.

– Nie zmarnuje się. – Nagle podjęłam decyzję, że nie dam sobie zepsuć tego wieczoru. Nie tylko nie zmyłam makijażu, ale do kompletu pomalowałam też zachwyconą Irenkę. Powieki na szafirowo, usta na różowo. Sama wybierała. Ona natomiast zrobiła mnie i sobie brokatowe tatuaże. Słusznie się domyślasz, zestaw do brokatowych tatuaży przyniósł jej Mikołaj.

Potem płaślałyśmy obie dość dziko przy Abbie i latynoskich rytmach. Wygłupiałyśmy się, zjadłyśmy wszystkie zmyślne kanapeczki, które skończyłam przygotowywać tuż przed telefonem Wiktora, oraz największe przysmaki z szafki ze słodyczami (Irenka nazwała ją kiedyś szafką wszelkiego dobrego).



Wiktor donosił SMS-owo o szaleństwach z chłopcami, cokolwiek się za tym kryło: tańce, harce czy zabawa w wojnę. Odpowiadałam lakonicznie.

Po dziesiątej zasnęłyśmy obie w moim łóżku. Przytulenie się do jej ciepłutkiego ciała nastraja mnie przyjaźnie do świata choćby nie wiem co. Nawet jeśli to ciało wniosło do łóżka całe morze brokatu.

W Nowy Rok, po zmierzchu, pojechałyśmy z rodzicami do centrum. Tata zaparkował na Smolnej i przeszliśmy się szlakiem światełek. Na rondzie de Gaulle'a cieszył wzrok podest z olbrzymim świetlnym tronem Mikołaja i mnóstwem prezentów. Nad Nowym Światem zwieszały się wielkie zielone bombki, bomby wręcz, istne z nich girlandy – suto i bogato. A to był dopiero początek! Gdy minęliśmy Świętokrzyską i szliśmy dalej Krakowskim Przedmieściem, zielone bombki ustąpiły miejsca ażurowym parasolom na latarniach. Co rusz natykaliśmy się na nowe figury ze świateł: świetlną fontannę, zwiewną pannę z parasolką, sanie, renifery, pociąg czarów – a wszystko to kolorowe i świecące. Irenka piszcziała z radości. Mnie się najbardziej podobały drzewa, gęsto usiane świecącymi drobinkami. Tata zrobił ze dwie setki zdjęć (po odsiewie w domu zostanie pewnie z dziesięć).

Kulminacja wrażeń nastąpiła na placu Zamkowym. Niebosięzna choinka, muzyka, Zamek Królewski we wzory śnieżynek. Zwracam honor Wiktorowi: było *ślicznie*.

Spacer zakończyłyśmy w damskim gronie gorącą czekoladą, tymczasem tata poszedł przestawić samochód, żebyśmy nie musiały pokonywać całej trasy z powrotem (szkoda, że Trakt Królewski to nie pętelka).

Irenka piła czekoladę z nosem przyklejonym do szyby. Uwielbiam dostarczać jej takich przeżyć, patrzeć na nią, gdy coś przeżywa, gdy jest oczarowana. Ciekawe, co z tego przetrwa w jej pamięci.

Jutro najemcy Wiktora oddają mu klucze, a w najbliższą sobotę on sam przeprowadza się do swego dawnego warszawskiego mieszkania.

Czuję ekscytację. Co przyniesie ten rok?

Życzę Ci – po prawdzie, nam obu – rozeznania, czego chcemy, oraz konsekwencji w dążeniu do szczęścia. Czymkolwiek się dla nas okaże.

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 2.02.2015

Temat: Nowe

Malinko,

całkiem przyjemnie zakończyłaś ten dziwaczny rok. W skromnym, ale odpowiednio dobranym towarzystwie. Zawsze pociągała mnie taka sylwestrowa kontestacja – nie tylko zignorować północ, ale jeszcze do niej nie dotrzeć w swobodnym stroju, uprzednio posiliwszy się kanapką z żółtym serem, popijaną czarną herbatą. Obudzić się jakby nigdy nic w nowej rzeczywistości. Nęcił mnie ten plan już od kilku lat. Wszystkie ostatnie sylwestry były takie same: salon, kanapa, my. Na ekranie przed nami zaś film, a potem hopsasy w którymś z dużych miast transmitowane do ciepłych mieszkań. Na finał szampan, którego nie znoszę, i życzenia „wszystkiego dobrego”. To nawet gorsze niż Wigilia, bo tam się oficjalnie można zamyślić, nostalgicznie nastroić, przycupnąć przy barszczyku lub być bardzo zajęтым zbieraniem rozsypanego brokatu (zmowa producentów zabawek z producentami odkurzaczy – tylko tak umiem wytłumaczyć fenomen tego połyskliwego badziewia). Sylwester wymaga zaś radości i zapału.

W tym roku było całkiem inaczej. Do popołudnia obowiązkowe wysycanie się jodem, wizyta w Krynicy Morskiej i obiad w opustoszałej restauracji w centrum. Wyśmienity kapuśniak dla mnie, bardzo słodkie naleśniki dla

dzieci i bardzo rybna zupa dla Piotra.

Potem leniwe przepędzanie czasu i o 20 kulminacja, czyli włączenie telewizora. Towarzystwo oglądało, ja czytałam dzienniki Virginii Woolf. Fascynująca kobieta! Nie mogła dobrze skończyć. Dotrwałam tak do dziesiątej. Potem kąpiel i powrót do pokoju już w piżamie. Przed 23 spałam mocnym snem.

Wróciliśmy wczoraj. Ruch był niewielki, szosa po europejsku gładka i szeroka. Dzieci padły zmęczone nietypową godziną pójścia do łóżek poprzedniego wieczoru. Piotr włączył muzykę, co pozwoliło mi się zapaść w swoje myśli. Magiczny czas przejścia w kolejny rok i mnie się trochę udzielił. 2014 jest już historią; teraz czeka nas nowe. I dołączył się element ekscytacji – jak będą wyglądały nasze życia przy następnej zmianie kalendarzy?

Dobra Jagoda we mnie mówi: wszystko jest możliwe. Zostaw zeszłoroczne dygot i szarpaczkę. Może los będzie dla ciebie łaskawy? Wszystko się może zdarzyć!

Zła Jagoda odpowiada: zejź na ziemię. Wbij sobie do główki: tylko od ciebie zależy, co będzie. Ty decydujesz.

I ona może mieć rację, wiesz?

Jesteś może w pracy? I może zajęć masz niewiele, bo wszyscy przedweekendowo przedłużyli świętowanie? Jeśli tak, to pisz, pisz, pisz. Bo mi jakoś kulawo.

Całuję

Jaga

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 2.01.2015

Temat: Re: Nowe

Obecna na posterunku, a jakże. I dobrze zgadłaś, w pojedynkę w redakcji. Robię różne dobre uczynki w papierach i folderach.

Której Jagody podszeptów posłuchasz? Czego Ci życzyć? Żebyś nie doświadczyła rozdwojenia intuicji, he, he?

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 2.01.2015

Temat: Re: Nowe

No widzisz. W tym właśnie kłopot. Niczego nie postanowiłam. W jakiś pokrętny sposób ten stan bezdecyzyjnego zawieszenia mi odpowiada. Rok temu do styczniowego numeru mojej „Kobiety” przygotowywałam artykuł *Życie do zmiany*. Opowiedziałam w nim historie trzech naszych czytelniczek. Zaraz po wakacjach ogłosiłam coś w rodzaju castingu na życiowe metamorfozy. Wybrane *story* miały się znaleźć w pierwszym numerze 2014 roku, a ich bohaterki i sprawczynie w nagrodę dostawały weekendowe dopieszczanie w spa i kurs z coachem, który miał im pomóc jeszcze lepiej pokierować swoim życiem. Historie z pozoru dość banalne: jedna

czytelniczka zbuntowała się i wyrwała spod rozłożystych skrzydeł matki (prawie pięćdziesiątka!), druga porzuciła narzeczonego i wybrała habit (może byłabyś zawodowo zainteresowana tą historią – spieraliśmy się o nią na kolegium. Ja uważałam, że z tą akurat bohaterką mało naszych czytelniczek się utożsami, poza tym przyszła siostra nie skorzysta z fajnych nagród; ostatecznie zamieniliśmy jej spa na cykl masaży leczniczych. Coacha ma swojego, więc tu podziękowała). Trzecia to już była czysta klasyka – odejście od męża alkoholika i budowanie samodzielnego życia, dla siebie i synka. Pamiętam rozmowę z panią psycholog – teoretyczne podsumowanie tych historii. Wydźwięk był taki, że dokonywanie zmian w życiu jest niezwykle stresujące; ludzka psychika ma to do siebie, że nawet najpodlejsza terażniejszość wydaje się jej lepsza od nieznaney przyszłości. Coś w tym jest...

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 2.01.2015

Temat: Re: Nowe

Bóg jako coach, jak rany...! Chyba to wykorzystam jakoś twórczo u siebie. Zainspirowałaś mnie.

A jak jest z Tobą, Jagodo, na tle Twoich bohaterek? Boisz się konsekwencji czy raczej nie jesteś przekonana do decyzji?

A może obiecamy sobie, że nie będziemy żałować, choćby nie wiem co? Jak uważasz? Warto przeżyć taką miłość jak nasze dla chwilowych motyli i kolorytu – nawet jeśli to efemerydy? Dla wzbogacenia naszych dotychczasowych (mizernych) kolekcji i niezwykłego wprost ich ubarwienia?

Mnie coś niebezpiecznie pociąga idea wzbogacenia kolekcji. Sama siebie

zadziwiam.

Kordialnie

Kolekcjonerka

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 2.02.2015

Temat: Re: Nowe

A mnie chyba jednak nie. Nigdy nie miałam ciągot, by kolekcjonować. Żadnych serii, tylko pojedyncze egzemplarze.

Kłopot w tym, że do decyzji o związku potrzeba dwóch osób. A ja tak raczej pojedynczo to rozważam. Jerzy ma fazę nostalgicznego marazmu. Z nim też dziś popisuję. Próbka: ja o wyjeździe, dzieciach, że tak je morze zauroczyło, nawet w zimie. Jerzy, że jego krajobraz jest pusty i klaustrofobiczny. Adekwatny do stanu ducha. Ja o tym tekście z życiowymi woltami. Jerzy, że na zmiany jest za stary. Szczęśliwie pamiętałam jedno mądre zdanie usłyszane od pani psycholog – zmiana musi wyjść od ciebie, nie jesteś marionetką, więc nie czekaj, aż ktoś ci ręką lub nogą poruszy. I właśnie tym odparowałam Jerzemu na kolejny łzawy mejlik. Ze złością to napisałam, co mnie trochę zdziwiło. Bo ja bym chyba chciała, żeby to on powiedział: „Będę Twój. Chcesz?”. A on nie mówi. Jasne, ja też mu takiej deklaracji nie złożyłam, ale przecież to facet powinien pierwszy, prawda? Róż propoz – Wiktor już pojedynczy warszawiak? Byłaś w tym mieszkaniu?

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 2.01.2015

Temat: Re: Nowe

Łzawym mejlikom śmierć.

No dobra. Przyjmijmy, że pada: „Będę twój”.

A Ty co? Rzucasz męża, domek, swój świat, tłumaczysz dzieciom, że życie właśnie robi fikołka – i...?

U Wiktora nie byłam. Odebrał klucze i rozliczył się z najemcami, a weekend przeznacz na odświeżanie, malowanie i tak dalej. Oczywiście pękam z ciekawości. Ale udaję, że nie.

A może my przeznaczymy weekend na spotkanie? Jedźmy rano w sobotę na Grójecką na bazar, zakupmy dóbr owocowo-warzywnych, potem poszperamy w ciuchlandzie, który jesienią nas tak fortunnie połączył... He? A nuż jakaś piękna garsoneczka trafi się na nowy rok? Żal, żeby poszła w niewłaściwe ręce!

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 2.02.2015

Temat: Re: Nowe

Dalej to nie wiem. Zupełnie nie wiem. Na razie to bym chciała, żeby był staroświecki i przyobiecał, ściskając moją dłoń: „Jedno twoje słowo, a świat ci rzucę do stóp”. Jednak popadam w schizofrenię. Patrz, jak mi się myśli w głowie układają, i poprawiaj, jeśli poszły na manowce.

Mam tradycyjne wyposażenie każdej kobiety: mąż, dzieci, dom. Bez patologii, z zadbanym kontem w banku. A jednak życie tylko umiarkowanie mnie cieszy. Romans byłby idealnym rozwiązaniem! „Czarujący *zwischenruf*, który niczego nie narusza i nie zmienia, bez zobowiązań, zaklęć, przysięg, wielkich słów”. A ja tak nie chcę, to nie moja bajka. Ja chcę mieć wszystko w jednym pakiecie. Może jest u Was jakiś wakat? Profil mam, zdaje się, idealny...

Grójecką mnie rozczuliłaś! Pewnie, że tak. Zabiorę Matysię, Piotra wyślę z Jeremkiem do dziadków. Garsonek nigdy nie lubiłam, tak mi ciało nieprzyjemnie krępują. Ale jakieś stroje karnawałowe dla dzieci może?

A teraz na chwilę Cię opuszczę. Idę wybierać zdjęcia do numeru wielkanocnego. Takie jajo.

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 2.01.2015

Temat: Re: Nowe

Piszę jeszcze raz, bo się zdenerwowałam. Z noworocznym przesłaniem zadzwoniła z Łodzi moja starsza siostra (prawe życie, mąż, dwoje dzieci, rzecz jasna chłopiec i dziewczynka) i na godzinę i dziesięć minut (tak!!!)



zajęła mi ucho rozmową. A wszystko to w trosce o moje morale, prowadzenie się i drogę do świętości.

Tłumaczyłam jej spokojnie i wyrozumiale, że to z Wiktorem jest na serio, że braterstwo dusz (o ciałach taktownie zmełam w ustach), że mam taką pewność, że owszem, jest mi trudno ogarnąć to sumieniem i wyznaniem, ale wchodzę w to świadomie, bo chcę, jednak chcę...

Jednak ona miała dla mnie swoje przesłanie, bez względu na to, co mówiłam. Na te moje spokojne, wyważone argumenty i potwierdzenia, i niewypierania się, i uczciwe, jasne stawianie sprawy: tak, *chcę* być z *nim* – odpowiedziała:

– A nie mogłabyś się rozejrzeć za jakimś *wolnym* mężczyzną?...

Jasny gwint. Ma być wolny *ktokolwiek*?! Łysiejący dziad, starokawalerski świr, poczciwiec durak?! Byle owdowiały albo prawicowy prawiczek?! Kto w naszym wieku i w naszym świecie pozostaje czysty, z czystą kartą? A jeśli tacy są – to czy nie należy się ich obawiać, zadać sobie pytania: dlaczego? Co w jego życiu poszło nie tak? Jaką skrywa tajemnicę? I czy koniecznie chcę się w niej nurzać?

Są nie tylko mężczyźni z Marsa i kobiety z Wenus, Jagodo.

Są jeszcze ludzie z Łodzi.

Ściskam Cię

Zirytowana

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 2.02.2015

Temat: Kicające zające

Nic tak nie poprawia humoru 2 stycznia jak oglądanie hord kicających zajączków i głupawo uśmiechających się kurczaków (drób ma poczucie humoru, jak sądzisz?).

Odprężyłam się, wróciłam do biurka, przeczytałam Twój mejl. I zadumałam się nad prawami ekonomii – matrymonialnej. To trudny rynek. Przede wszystkim to rynek sprzedawcy: popyt przewyższa podaż, gdy nabywcą jest kobieta. To rynek wtórny (masz rację, na pierwotnym zostały tylko jakieś wadliwe sztuki, które przeleżały w magazynie) i niestety reglamentowany. I co w takiej sytuacji robi obrotna kupująca? Korzysta z szarej strefy – czyli obraca towarem nielegalnie. Prosty mechanizm ekonomiczny...

Dopytam: „wolny” nie znaczy dla Twojej siostry „rozwódzony”?

Tu plusik dla mnie, jakby co: Jerzy jest wolny. W papierach przynajmniej.

Ku 17 się ma, więc ku puchówce swoje kroki kieruję. Domówimy się SMS-owo wieczorem.

Całuję

Jagoda w styczniu

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 5.02.2015

Temat: Kosztela i Merida

Malinuś moja,

już poniedziałek, korki, nerwy, w redakcji harmider, a ja wciąż w dobrym nastroju po sobotnim naszym spotkaniu!

Okolice Grójeckiej nieodmiennie kojarzą mi się z dzieciństwem. Jest bazarek ze starymi odmianami jabłek, cielęciną sprowadzaną na zamówienie, kaszami, fasolami i makiem w wielkich worach. Na takie zakupy chodziłam z mamą do Hali Mirowskiej. Bardzo lubiłam te wyprawy – wszystko tak pachniało, było na wyciągnięcie ręki, do dotknięcia. Takie prawdziwe, namacalne.

No a nasz sklep-sierociniec dla ubrań! Fantastycznie się w nim Irenka i Matyśka odnalazły. Geny po matkach, ani chybi! Matysia najchętniej by poszła dziś do szkoły w swojej zielonej sukni balowej. Jest nią zachwycona. Patrzyła wczoraj czule na koralikowe wyszywanki i wykończenia aksamitną tasiemką, gładziła połyskliwy materiał i co kwadrans pytała, kiedy kupimy diadem. Będzie idealną Meridą na swoim balu.

Co do moich nabytków, to nie wiem, kiedy włożę ten dżersejowy kombinezon. Ma obłądny chabrowy kolor i bardzo zmyślny krój. Trzeba odwagi, by się w nim bliźnim pokazać.

Odwagi trzeba mi i dziś. Za kilka godzin pani terapeutka. Miałam nadzieję, że w Trzech Króli nam się upiecze. Ale nie. Fachowcy gotowi ratować twoją duszę bez przerw na świętowanie.

Jeśli jeszcze się nie nabawiłam rozdwojenia jaźni, to te sesje sprawę przyspieszą.

Całuję

Jagoda

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 7.01.2015

Temat: Legenda bazarku

Jago,

wspólne zakupy są fantastyczne! Okazuje się, że w dobry nastrój można się wpędzić nie tylko w Arkadii, stylowo drobiaz kroczyki w szpilkach, z naręczem firmowych toreb z modnymi zawartościami – ale nawet zwykłą bazarowo-ciuchową szperaniną. Wszystkie moje trofea już uprane, rozwieszane, cieszą oko na razie na suszarce, niebawem na mych pięknych kształtach.

I możesz sobie kpić do woli z mojej (prawie) nowej sukni w pawie oka – a ja mam przeczucie, że Wiktor mnie gdzieś w niej w karnawale porwie!

Irenka nie rozstaje się z bajecznym tutu. Warstwy różowego tiulu podskakują przy każdym jej ruchu, wygląda jak wielka bezunia. Całkiem zresztą apetyczna.

Co do bazarku – prawdziwa szkoda, że nie trafiłyśmy na mojego faworyta; w ferworze paplaniny nie opowiedziałam Ci o nim.

Otóż wyobraź sobie, jaka tam jest konkurencja. Niemal każdy handlarz kupuje warzywa, owoce i kwiaty w Broniszach. Nie zdobędzie klienta ceną, bo wszyscy mają podobny punkt wyjścia. Prześcigają się więc w zabawnych odzywkach, zaśpiewach, hasłach, opisach. Wiosną wzruszał mnie podobny do pietruszki staruszek, pociągły i wyblakły, który w alejce wulgarnych opasłych przekup zachęcał miłym, dźwięcznym głosem, zupełnie nienachalnie, niemal zalotnie:

– Koperek, komu, proszę?...

Jesienią przyszła moda na zdrabnianie. Każdy sprzedawał kartofelki, gruszcзки i śliweczki. Rzecz jasne bielutkie, słodziutkie i nierobaczywiutkie.

Mój faworyt jawi się na tym tle jako twarde chłopisko bez sentymentów. Jest ogromny, zgrzebny, w czapie z daszkiem. Dolne zęby wychodzą nad górne, nadając mu wygląd wielkiego, znającego życie mopsa. Obcina końcówki cen, nie wdaje się w szczegóły, nie certoli. W zimowe dni popija barszcz z litrowego słoja, na zimno, bez cackania się.

Sprzedaje jabłka. Na udartym kawałku kartonu próżno jednak szukać zdrobnień. Krzywy napis markerem głosi: LIGOLE. TWARDE JAK ŻYCIE.

Następnym razem, jak życie zasunie Ci kopniaka (bo przecież prędzej czy później zasunie), pomyśl o ligolach. Twarde. Lecz soczyste i z wyraźnym smakiem.

Całuję

Malineczka. Słodziuteńka jak miodziczek.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 7.02.2015

Temat: To działa

Malino,

pamiętasz, jak pisałam, że terapie nie dla mnie? Że jestem niepodatna na takie pytania, które mają cię cichaczem i podstępnie doprowadzić do konkluzji, że twoje życie jest nieudane? I jednocześnie nie dają zaleceń, jak

to życie zmienić, by było dobre, bo przecież sama musisz do tego dojść.

Otóż zmieniałam zdanie. Terapia mi pomogła. *Ř rebours*. Rozjaśniła mrok – tak najkrócej. Spotkania, które w zamierzeniu miały nas z Piotrem zbliżyć, dały efekt zupełnie nieoczekiwany. Nagle wyraźnie nas zobaczyłam. I to nie był ogląd pary starającej się znów do siebie zbliżyć, pary, która szuka utraconego raju. Piotr objawił mi się jak członek rodziny. Nieistotne, jaki jest, ale jest. To bliska osoba, przypisana do ciebie. Na takiej samej zasadzie, gdy o despotycznym, nieobecny czy w inny sposób dysfunkcyjnym ojcu mówisz: „No tak, ma swoje wady, ale to ojciec. Trzeba go kochać”. Zmroziło mnie to.

Uświadomiłam sobie z całą mocą, że uczucia, które żywię wobec Piotra, są z zupełnie innej półki niż te, którymi obdarzyłam Jerzego. Nad uczuciami do Piotra pracuję, świadomie, z poczucia obowiązku niejako. Dobieram je, staram się do nich przekonać, uzasadnić je. Racjonalnie, nie emocjonalnie.

Uczucia do Jerzego zaś płyną równym nurtem z połączenia tych dwóch strumyków: jeden bierze początek w sercu, drugi – w głowie. Zakochałam się w Jerzym napędzana feromonami, endorfinami i swoim niecierpliwym ciałem. Ale równocześnie dostrzegam jego przymioty: akceptację dla moich wyborów, oglądanie się na dobro innych, troskę o mnie (odwożenie do domu, śledzie...). Odczuwam z nim porozumienie, bliskość. Jestem go ciekawa – jako człowieka. Taka fascynacja nigdy nie towarzyszyła mi w kontaktach z Piotrem. Nasza znajomość zaczęła się od razu od punktu „przywiązanie, rozwaga, odpowiedzialność”. Czyli od miejsca, w którym większość znudzonych już sobą par z długim stażem podejmuje decyzję o rozstaniu.

Nie dam rady, Malino, oszukać samej siebie. Bycie z Piotrem było znośne i do przyjęcia, póki nie objawił się Jerzy. Czuję się jak płatny morderca, który przyjął zlecenie z odroczonym terminem wykonania egzekucji.

Całuję

Jagoda w smutku

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 8.01.2015

Temat: „Rodzina”

Oj, oj. No to klarują się Twoje uczucia... Niezupełnie prawo, za to – dość wyraźnie.

Pisałam Ci już, że to, co przeżywamy, jest dla mnie nieoczekiwaną szkołą tolerancji. O ile jeszcze pół roku temu próbowałam Cię przywieść na powrót do męża argumentami o jego przyzwoitości, o tyle teraz, sama doświadczwszy Wielkiej Miłości, rozumiem w lot. I pojmuję też, że końmi nie odciągnąć by Cię od Jerzego.

Nie smuć się. W końcu znaleźć swoją najprawdziwszą drugą połowę pośród wszystkich manowców tego świata to wielka rzecz! Jeśli to Miłość, to pokonacie przeszkody. Jakoś. Nie martwmy się teraz jak. Czas jest lepszy od nas w podsuwaniu rozwiązań.

Tymczasem Wiktor, choć wciąż zaprzątnięty urządzaniem swego starego nowego mieszkania, wczoraj oznajmił, że dłużej nie może beze mnie żyć – i przyjechał; nic nikomu nie wypominając, pierwszy raz w tym roku.

Przywiózł piękną szarfę do tańca ze wstążką dla Irenki i niezwykłą biżuterię artystyczną dla mnie – wypalany w piecu hutniczym naszyjnik z wytrawionego metalu. Ładniej wygląda, niż brzmi. Pokażę Ci się przy najbliższej okazji.

Tym razem obu nam trafił w gust. Mnie zaraz ubrał w metaliczne korale (mój kark otrzymał przy tym swoją porcję czułości), Irenka sama zwinnie przebrała się w strój baletowy (nieocenione tutaj z Grójeckiej!), do kompletu skrzydła wróżki, diadem oraz wstęga. Dzieciom pojęcie umiaru jest

całkowicie obce, nieprawdaż?

Usiedliśmy na kanapie, z herbatą. Wiktor jedną ręką gładził Carlosa, który nie przepuścił żadnej okazji zrobienia kogoś w głaskanie, drugą mnie (z trudem powstrzymywałam się przed podkładaniem się pod jego ciepłe dłonie wzorem mojego psa).

Irenka płaśała przed nami wdzięcznie. Kręciła piruety, a wstęga żyła własnym życiem: raz wiernie powtarzała Irenkowe ruchy, raz plątała się wokół niej, blokując dalszy taniec.

Naraz tancerko-wróżko-baletnica zatrzymała się i bez żadnych wstępów wypaliła:

– Czy wy się w sobie zakochaliście?

Ja zamarłam, zapomniałam języka w gębie, nic nie wydusiłam. Nie spodziewałam się, że moja trzylatka jest zdolna do takich obserwacji. I co więcej, nazwania ich wprost.

Wiktor nie stracił rezonu.

– Tak, ja się zakochałem w twojej mamie. Popatrz, jest piękna, mądra i godna miłości.

Irenka pokiwała głową ze zrozumieniem. I podsumowała:

– No. To dobrze. Nareszcie rodzina w komplecie.

?!

„Rodzina”?!...

Wiem, wiem, z ripostami jestem tradycyjnie na bakier, ale zrozum powagę sytuacji: rodzina, odkąd wyprowadziłam się od rodziców, to dla mnie mityczny byt, niezaznana arkadia, pożądane sacrum – i nagle ja, zawsze w pojedynkę, jawię się mojej córeczce jako para, komplet, rodzina z mężczyzną, którego kocham! Nie znalazłam na to żadnej sensownej odpowiedzi, więc milczałam bez wyrazu.



Wiktor był rad. Wziął ją na kolana, ze stratą dla mnie i Carlosa, i pochwalił, jaka jest bystra i mądra.

– I piękna? – poinformowała się Irenka.

– I piękna.

Wyznał mi przy tej okazji, że powiedział o nas starszemu synkowi. Przyjął to całkiem nieźle. Sam ma nie najlepsze relacje z mamą, bo go zawiodła parę razy w różnych dziecięcych sprawach, więc nawet się podobno przewrotnie ucieszył, że „tata spotyka się z miłą panią, która ma taką fajną małą córeczkę”.

Wymruczał mi także, że powinniśmy sobie sprawić dziecko. Wtedy już nie byłoby tęsknoty do siebie, wahania, tylko zaraz, nazajutrz by się wprowadził i koniec, klamka zapadła.

– Jak to? – zdumiałam się nerwowo. – Przyciśnięty do muru z miejsca byś się wprowadził, a bez tego to nie?

Tłumaczył coś tam pokrętnie, że tak, no bo że kocha, to oczywista, ale dopiero się wyzwala z jednego związku i tak się cieszy na to pomieszkanie samemu w domu, który będzie się rządził jego prawami, jego zasadami, jego gustem, a tu zaraz miałby z deszczu pod rynnę w drugi związek i dom, tymczasem mężczyźnie potrzeba haustu wolności, zresztą – czyż nie jest pięknie tak, jak jest?...

Czułam rozterkę. Z jednej strony rozczarowanie. Z drugiej – może tak wyglądają szczere rozmowy dorosłych ludzi, których się muszę nauczyć?

Rozgryzałam to, układając Irenkę do snu. Gdy zasnęła, podeszłam cicho do pokoju, w którym na mnie czekał. Miarowy szelest gazety, herbata, kapcie. Pochylona sylwetka w żółtym blasku lampy. Plecy, dłonie, oczy, które znam z najintymniejszych chwil, a jednak nie mam do nich żadnych praw.

Mój i nie mój... Zdomowiony, ale niemieszkający. Wspaniały, lecz nieuchwytny. W tym wszystkim moja mała córeczka. A jeśli to się rozpadnie? Rozmyje w haustach męskiej wolności i moim niezadowoleniu?

Jaki obraz „rodziny” w niej zostanie? Mamy przytulającą się do pana, który potem znikł? Jak tata zresztą?

W końcu Wiktor mnie dostrzegł, wsparł o framugę drzwi. Uśmiechnął się ciepło, złożył gazetę. Podszedł i wziął w dłonie moją twarz.

– Nie smuć się – powiedział i połaskotał mnie w kąciuki ust. – Wiem, co ci dobrze robi. Wspólna gorąca kąpiel.

Zrobiła, a jakże. Rozluźniłam się, rozgrzałam. Myliśmy się nawzajem i pieściliśmy, pływaliśmy po równo w wodzie i w jego komplementach. Potem owinął mnie wielkim ręcznikiem i zaniósł do łóżka.

Znow został na noc, której nie przespaliśmy.

Rano pojechałam do przedszkola i pracy jak na rauszu, z podkrążonymi, lecz błyszczącymi oczyma. Chowałam je za rozpuszczonymi włosami, lecz gdy z ust któregoś z kolegów padło zdawkowe pytanie, jak się miewam, zareagowałam nienaturalnie, wężąc, czy się nie domyślają. Na złodzieju czapka gore, co?

Do góry głowa, Jago. Jakoś to będzie. No.

Miłośnica

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 9.02.2015

Temat: Re: „Rodzina”

Malinko,

nie odpisałam Ci z pracy, bo dostałam właśnie skończoną książkę od pani psycholog, którą znasz z moich listownych relacji. Zaczęłam ją czytać; to porcja solidnej, praktycznej i niecackającej się z czytelniczkami wiedzy. Jest w niej rozdział o typach związków. Słuchaj:

„Księżniczka i rycerz. To para funkcjonująca na wysokim diapazone uczuć. Ona wciąż musi być zdobywana, on wciąż musi ją zdobywać. Księżniczka niby przerzuca warkocz przez okienko wysokiej wieży, ale ma nadzieję, że rycerz go nie dosięgnie. On zaś uwielbia stan ciągłego adorowania, zakłócany a to przez konkurentów, a to przez smoka. Urok w tym, by gonić króliczka. Łapanie nie jest pożądane”.

„Żuraw i czapla. Inny typ dobrego związku. Ciągłe sobą zainteresowani, bo wiecznie się rozmijają. Coś ich wstrzymuje; rzadziej obiektywne przeszkody, częściej – oni sami”.

Brzmi znajomo? Jak cholera!

Z nietęgą miną pojechałam na tradycyjną już piątkową kawę (Jerzy) i herbatę (ja) na Saskiej. Jerzy wyczuł mój przygaszony nastrój.

– Coś się stało? – zapytał.

– My. My się staliśmy. Jesteśmy i nie jesteśmy zarazem. Cieszę się z nas i jednocześnie nas przeklinam.

I potem długa rozmowa. Ja o tym, że nie rozumiem naszej relacji, że nie potrafię jej nazwać. Nawet nie wiem, czy męża zdradzam! Jerzy zaskoczony i trochę smutny. Próbuje sprawę racjonalizować. Że trzeba się zastanowić, co jest mniejszym złem. Że decyzja o porzuceniu dotychczasowych żyć będzie katastrofą dla Piotra i Doroty, że może lepiej zachować *status quo*, bo czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Ja, że to manipulacja. Jerzy uparcie przy swoim. Ja – że porównywanie sytuacji przeszłych, osób różnych, nie ma żadnego sensu. Że te historie nie są spod sztancy. Jerzy, że zgoda, ale i tak każde rozwiązanie będzie obarczone czyimś smutkiem. Że to wie, bo ma doświadczenie w tej materii. Ja – już zła, choć raczej na prawdę się

obrażałam, nie na Jerzego – że skoro taki wyga, to pewnie przećwiczył ten schemat nie raz. Jerzy – że skoro ja taka święta, to po co do hotelu jechałam.

I tu mnie poniosło. To było jak policzek. Pamiętasz przecież moje przedhotelowe rozterki, gryzące sumienie, nerwowy nastrój neofitki i drżenie serca. Wstałam. Usiadłam. Znowu wstałam. Rozdygotałam się wewnętrznie. Dalej było jak w klasycznym dramacie ze sztampowo zarysowaną rolą kobietą.

– Ale z ciebie świnia. Nie do wiary!

Zerwanie kurtki z poręczy krzesła, wciśnięcie beretu krzywo na głowę, łykanie łez, które już nie dały się powstrzymać, trzaśnięcie drzwiami i trucht do samochodu.

Wieczorem SMS od Jerzego. „Nie chcę tego tak zostawiać. Smutno mi. Kocham Cię, choć to niczego nie ułatwia. Spotkajmy się”.

Teraz jest prawie północ. Siedzę z rozmazanym tuszem i poharataną duszą.

Jutro Piotr zabiera swoich rodziców i dzieci do Białowieży – taki prezent z okazji Dnia Babci i Dziadka. Wcześniejszy, bo zaraz ferie przecież, na które z kolei ja wywożę Matysię.

To nie będzie pogodna sobota.

Całuję

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 10.01.2015

Temat: Otrzyjcie już łzy, płaczący!

Jak Cię pocieszyć, łzawa Jagodo?

Może Ci opowiem, jak ta scena wyglądała z boku.

Me-lo-dra-mat, Moja Droga. I to ckliwy!

No bo – faktycznie. Do hotelu pojechałaś – bo chciałaś. Na Saską do Jerzego jeździsz w piątki – bo chcesz. Terapia małżeńska dała Ci przewrotną odpowiedź, czego *nie* chcesz.

Dlatego nagle uniesienie się honorem, urażoną czcią, na wpół przełkniętą łzą to jest, Duszko, uzalenie się li i jedynie nad własną niemocą, pogubieniem; tym, że w duchu chciałaś już tego swojego Jerzego dostać w całości, wchłonąć, skonsumować.

A trochę to też kokieteria. Wiadomo przecież, że kobiecie do twarzy i w honorze, i w czci, i w oku lśniącej łzą.

Najwyraźniej Jerzy to łyknął. I dobrze!

Ja też łykam. Szarlotkę. Upiekłam jej wielką blachę, błogosławiąc babcine przepisy – i opycham się teraz przerozkosznie gorącym jeszcze ciastem. Niebawem zaś przyjedzie ten łasuch Wiktor i coś mi mówi, że damy radę pożreć całość.

Ty też sobie spraw jakąś przyjemność. Niekoniecznie zaraz Jerzego. Zjedz coś dobrego albo obejrzyj. Napij się... A najlepiej wszystkiego po trochu.

Używaj życia, Rycząca Trzydziestko!

Jako i ja używam, mniam, mniam.

Porad udzieliła Ci szczodrze

Twoja domorośla pomoc cielesno-duchowa

Malina M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 12.01.2015

Temat: Przede wszystkim uczynkiem

Malino,

stało się. Zapytasz: co? A nie, nie zapytasz, bo kobieca intuicja i nić przyjaźni od razu Ci powiedzą: Jerzy. Zapytasz: jak? Na co ja, bezradnie rozkładając ręce, odpowiem: pojęcia nie mam.

Analizuję weekendowe szaleństwo i amok niemal bez przerwy i wciąż się nadziwić nie mogę, jak czasem się wydarzenia dzieją – mimo nas.

Było tak: wstałam w sobotni poranek ze złymi myślami. Złorzeczyłam Jerzemu za jego obcesową dość odzywkę w kawiarni. Karciłam siebie, bo, ochłonawszy nieco, uznałam, że zareagowałam zbyt emocjonalnie. Głowa mnie bolała od tych dywagacji. Szczerze mówiąc, to chciałam jak najszybciej wyekspediować Piotra i dzieci z domu, zalec na kanapie i zastygnąć w stuporze. W momentach kryzysowych to mój patent na przetrwanie.

Pierwsza część planu wypełniła się całkiem sprawnie. Nim doszło do realizacji drugiej, włączyłam laptop i przeczytałam mejl od Ciebie. I – jak przyjaciółce Ci powiem – najpierw się zirytowałam. „Malina jak Jerzy! Te słowa to efekt rozpasanego wyzwolenia zafundowanego jej przez Wiktora. Niebylewał”. Po dłuższej chwili jednak znowu ochłonęłam i zobaczyłam, że masz rację. To moja psychika próbuje mnie chronić przed samą sobą. Manipuluje mną, by mnie nie obciążać odpowiedzialnością za podjęte

decyzje. Bycie pionkiem w rękach losu tak ładnie zdejmuje odpowiedzialność z barków.

Zrobiło się melodramatycznie na całego. Pociągając nosem, samotna w cichym domu, zastanawiając się nad tym, co teraz porabia Jerzy, i wyobrażając sobie Ciebie z Wiktorem, poszłam do spiżarni i wyciągnęłam whisky. Ja. Niepijąca właściwie i niesamowicie w tym picciu ekonomiczna – jeden drink i rzeczywistość odpływa.

Wypełniłam jedno z Twoich zaleceń, nieszczęśliwie pomijając to o jedzeniu. Procenty szybko mną zawładnęły. W poczuciu niesprawiedliwości, która wymaga zadośćuczynienia, postanowiłam odpowiedzieć na SMS Jerzego.

„Smutno Ci? A mnie to jak było? Hotelem między oczy? To jest Twoja miłość?”.

Jerzy chyba czekał, aż się odezwę, bo odpisał błyskawicznie.

„Nie chciałem Cię urazić. Nie mam takich intencji. Porozmawiamy?”.

„Ale o czym? Poza tym limit naszych rozmów na ten tydzień się wyczerpał. Dorotą nie musisz się zająć?”.

Wiem, wiem, brzydko. Naprawdę mi wstyd. Nie tylko tego zresztą... Jerzy chyba musiał pójść kopnąć w futrynę lub przejść się z psem, bo przez jakiś czas milczał. Rozumiem go. Bardzo go rozumiem. Podczas kiedy on ćwiczył cierpliwość, ja ćwiczyłam głowę. Kolejny drink rozgrzał mi przełyk i nie dał stygnąć emocjom.

„Jago, to nie ma sensu. Spotkajmy się. Doroty nie ma. Pojechała do córki. I nie musisz być uszczypliwa”.

„Ja uszczypliwa! Cha, cha, cha! Ha! No to jest po prostu... po prostu... słów mi brak!”.

„A mnie nie. To jest miłość. Gdzie się umówimy?”.

I tym mnie rozbroił. Miłością. I męskim uporem. Poczułam, że nie mam ochoty się na niego boczyć, że nie mam ochoty nie mieć na niego ochoty.

Resztką rozumu uznałam, że pole manewru mam ograniczone, bo refleks i sprawność kierowcy zostały mocno nadwerżone przez johnniego.

„Przyjedź. Jestem sama”.

Tak, tak właśnie napisałam, Malino. Mam na to dowód, gdybyś jeszcze sądziła, że to Jerzy mnie zmyślnie uwiódł, wykorzystał niebędącą w pełni siłą i władzę umysłowych. Po krótkiej konwersacji SMS-owej zamieniającej się w porady Zumi Jerzy wyruszył w drogę. Ja zaś wpadłam w popłoch. Sprzątnęłam flaszkę i szklanekę, wyszorowałam zęby, zdjęłam dzinsy, znowu je włożyłam. Wybrałam ładną, ale nie ostentacyjną bluzkę z obiecującego jedwabiu, ogarnęłam włosy i spikałam się midnight poison, perfumami, od których mnie samej robi się słabo, tak są erotycznie kuszące. I kiedy zaczęłam się zastanawiać, jak tu dotrzeć do przyjazdu Jerzego, usłyszałam samochód.

Oślabłam, nogi zwiotczały, dopasowując się do przyzwoitości i moralności. Otworzyłam drzwi. Jerzy był trzeźwy, ale spięty podobnie jak ja. I tu przechodzimy do punktu: nie wiem, jak to się stało. Podeszłam do Jerzego. Przytulił mnie. Mocno, za mocno. Jakoś tak tęsknie, łapczywie, z uczuciem. Bardzo męsko. Pocałował mnie w czoło, zaczął gładzić policzki, przysunął swoje usta do moich. Zaczęliśmy się całować. To jednak najintymniejszy rodzaj zbliżenia. Oddychałam jego oddechem, czułam szorstki zarost, zapach skóry. Zaczęliśmy się dotykać, dociskać, splątywać. Naturalnie, spontanicznie. Znasz już ten stan, Malino, kiedy Twoje ciało wyzwala się spod władzy głowy, prawda? Wzięłam go za rękę i zaprowadziłam do sypialni. Mój jedwab sfrunął na podłogę obok jego swetra. Po chwili dołączyły do nich spodnie, T-shirt, bielizna. Znow do siebie dopadliśmy. To pożądanie, przyciąganie były nie do opanowania. „Więc tak wygląda prawdziwa namiętność”, zdążyłam pomyśleć, nim zaczęliśmy się kochać. I myślałam tak za każdym razem. A między tymi myślami leżeliśmy, przytulaliśmy się, rozmawialiśmy, zachwycaliśmy się sobą. Sinusoida ekscytacji i czułego zapatrzenia. Malino, byli chłopcy, narzeczeni, poślubiony w moim życiu. Bywały zauroczenia, miłości, stosunki i różnorakie obcowania. Ale to, co tak mnie do Jerzego ciągnie i z nim tak niesamowicie spełnia, to jest jakiś kosmos. Coś zupełnie z innej rzeczywistości.



I to wszystko w naszym małżeńskim łóżku, które nie było dotąd świadkiem takich scen.

Jerzy został do rana. Pożegnaliśmy się właściwie bez słów. Nasyceni sobą, nieznający przyszłości.

Poszłam spać. Wieczorem wróciła rodzina. Boli mnie, gdy piszę to słowo. Wyrzut przeszły dokonany i przyszły przeczuwany.

Dziś przyjechałam godzinę wcześniej do pracy, by do Ciebie napisać. Jest 9.

Malino, co teraz będzie?

Całuję

Jagoda po przejściach

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 12.01.2015

Temat: Re: Przede wszystkim uczynkiem

Jago,

co Ci napisać? Od dłuższej chwili siedzę z dłońmi beczynnie zawieszonymi nad klawiaturą – głowa nie wymyśliła nic mądrego, więc czekają.

Rozumiem Cię – chyba tylko i aż tyle.

Rozumiem głód pełnej, wypasionej miłości. Waszą zachłanność; tęsknotę, co

nareszcie się syci obecnością.

I mnie dane było zaznać tych uczuć, i czuję się przez nie bogatsza.

I przez to daleka jestem od potępieńczych kazań.

Co czujesz najbardziej? Szczęście? Czy zamęt?

Mam nadzieję, że choć na jakiś czas szczęście.

Naciesz się nim, zanim o swoje upomni się spodziewane sumienie.

Jestem z Tobą w jednym stanie i w drugim

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 13.01.2015

Temat: Po nocy przychodzi dzień

Malino,

ja zwariuję. Zapowiadam Ci to z wyprzedzeniem, żebyś była gotowa. Wcześniej o romansie myślałam tylko w kontekście podziwu dla logistycznych umiejętności niewiernych małżonków. Że tak lawirują między panią/panem numer jeden a panią/panem numer dwa. I że się pilnować muszą, by w żaden sposób nie objawić swojego wiarołomstwa. A to tylko wycinek sytuacji, o której już nigdy nie prychnę z przekąsem, że świństwo i zachcianka.

Wyrzut sumienia jest jednym wielkim bólem. Kładzenie się z mężem do tej samej pościeli, w której się poprzedniej nocy zaliczyło maraton orgazmów z innym, to jak włożenie przyciasnej włosiennicy. Natychmiast zaczynam sobie przypominać wszystkie dobre cechy Piotra. Wymazuję z pamięci złe momenty i chłosczę się jego dobrymi uczynkami wobec mnie – podłej i niewdzięcznej. Nie przeszkadza mi to oczywiście tęsknić za Jerzym – oksytocyna i inne sprytne hormony schwyciły mnie w swoje sieci. W głowie przewijam wciąż film z sobotniej nocy. Do tego dołączyła zazdrość – o Jerzego w sytuacji domowej. Dlaczego właściwie się we mnie zakochał? Co go łączy z Dorotą? Już po naszej randce w hotelu pisał, że nie mógłby jej dotknąć, że jego myśli, gesty i uczucia są skierowane tylko na mnie. Ale to z nią pije poranną kawę, to jej szczoteczka dzieli kubek z jego szczoteczka.

Galopada myśli i emocji. Dodaj do tego – a jakże! – wczorajszą sesję u pani terapeutki. Myślałam, że z nerwów zwymiotuję na tę miękką, jasną wykładzinę. Ból brzucha w pokrętny sposób przypomniał mi, że trzydziestoparolatki miewają okresy. I że do mojego kolejnego są mniej więcej dwa tygodnie. Co oznacza, że... Tak, Malino. Mocno dorosła kobieta, matka dwójki dzieci, mężatka z kilkunastoletnim stażem, doradczyni w sprawach serc i ciał, dostała amoku i nie wdrożyła żadnej koncepcji anty. Jerzy, od dawna nienawykły do obcowania z kobietą w wieku prokreacyjnym – także.

Poza tym, Malinko, wszystko u mnie w porządku.

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 15.01.2015

Temat: Nie tyle wariactwo, ile...

Jeśli potrafię liczyć i dobrze kojarzę fakty, to zgoła nie groźba wariactwa zawisła w powietrzu...

No cóż – nie martwmy się na zapas, zmartwień aktualnych mamy w sam raz.

Łatwo powiedzieć, trudniej mi sobie wyobrazić, że najbliższe dwa tygodnie mijają Ci bez roztrząsania, co było, co by było, a co będzie jeśli.

Swoją drogą, uświadomienie sobie, jak wiele możliwości, dróg wyboru daje życie w każdym swym momencie, jest oszałamiające.

Będę z Tobą tak czy siak. To chyba oczywista deklaracja?

U mnie tym razem spokojnie. Mieliśmy z Wiktorem pierwsze zaplanowane wychodne. Poszliśmy razem na kolację, na spacer i do kina. Tyle dobra naraz, tak, tak!

Wiktor zarezerwował nam stolik w małej, ale bardzo eleganckiej knajpce na Mokotowskiej, jednej z tych, które wabią przechodniów przez szyby wytwornym wnętrzem i idealnie lśnącymi kieliszkami – na wysokości drzwi do zestawu nęcącego dołącza jeszcze zawrotna woń pieczystego, winegretu, odległego czosnku i wina – które jednak zwykle się mija szybkim krokiem, na głodniaka, nawet nie rozważając wstąpienia, w trosce o niekontrolowane ubytki w portfelu.

Jedzenie, zgodnie z nęceniem zza witryn i drzwi, było znakomite. Próbowaliśmy licznych przystawek, podpiekanych, faszerowanych, marynowanych i pięknych. Gdy już zostaliśmy należycie rozbudzeni kulinarnie, wjechały wspaniałe dania główne. Jedliśmy własne, ale i kosztując sobie nawzajem z talerzy; jedno drugiemu podawało najlepsze kęski na widelcu. Do tego domowe wino. Wchodziło łagodnie, za łagodnie... Chyba powinnam była pić dużo więcej wody.

Wiktor zdawał się ubawiony moim lekkim wstawieniem. Ani na chwilę nie wyszedł wszak z roli szarmana. Dokładał, dolewał, bawił rozmową, wznosił toasty, szeptał zachwyty. W końcu, po uczcie, otulił mnie płaszczem oraz

własnym ramieniem i wyprowadził wprost w białą noc.

Ulice wyglądały czarownie. W czasie, który spędziliśmy na kolacji, z nieba sypnął lekki śnieg – w sam raz tyle, by pokryć niedoskonałości fasad i chodników – i nacieszyć oczy uliczkami jak ze świątecznych pocztówek. Tu i ówdzie paliły się światełka, ruch już zamierał. Szliśmy syci knajpką i niesyci siebie, Wiktor snuł na głos marzenia o wspólnym mieszkanku nieopodal, o chodzeniu pieszo do pracy, o czekaniu na siebie w domu. Słuchałam ich z przyjemnością, a wino krążące w mojej krwi usłużnie potakiwało każdemu jego słowu. Rzecz jasna, wszystko jest możliwe. I prawdopodobne.

W takim rozmarzonym stanie dotarliśmy do kina.

O filmie wiem niewiele. Ciemna i niemal kompletnie pusta w czwartek sala projekcyjna sprawiła, że wedle tradycyjnego podziału znaleźliśmy się bardziej „w kinie” niż „na filmie”. Kameralne wnętrze knajpki i uprzejma bliskość kelnerów powstrzymały nas przed jakimkolwiek dotykaniem się. Natomiast miękkie kinowe fotele, ciemność i nieszczęsne wino (we mnie) wprost doń zaprosiły. Korzystaliśmy skwapliwie i z zapalem, właściwie przez cały film. O czym piszę Ci z pewnym zawstydzeniem, gdyż w takim znaczeniu był to mój kinowy debiut. (Kochana, przypomnij mi koniecznie: czy ja w ogóle kiedykolwiek byłam nastolatką?...).

Do domu wróciłam bardzo późno. Ucałowałam mamę za wieczór z wnuczką. Ponoć było im bardzo miło, co daje obiecujące możliwości na przyszłość!

Pełna świeżych dobrych wspomnień pozdrawiam Cię

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 16.01.2015

Temat: Na kłopoty słońce

Malinko,

sama nie wiem, jak minął mi ten tydzień. Od czasu kiedy zaczęłam się spotykać z Jerzym, mam poczucie, że żyję w nierzeczywistości. Z jednej strony codzienność, czyli domowość, dzieci, sprawunki, praca, z drugiej – relacja, która dzieje się przede wszystkim w mojej głowie (myślę o Jerzym chyba bez ustanku), w naszych mejlach i z rzadka tylko naprawdę, namacalnie (jakże intensywnie za to!). Dodaj do tego adrenalinę, którą pompuje strach, że alternatywne życie się wyda – mieszanka naprawdę wybuchowa. O ile Ty możesz bezkarnie i oficjalnie się afiszować z Wiktorem, o tyle nasze widzenia z Jerzym są konspiracyjne. Co smakuje trochę jak zakazany owoc, ale także uwiera.

Od ostatniego weekendu spotkałam się z Jerzym tylko raz. Przesiadywałam do 18 w pracy, by ze spokojem (paradnie!) wyjechać na ferie, które się właśnie zaczynają. Normalnie bym złorzeczyła na bystrzaka, który zaplanował dzieciom odpoczynek zimowy dziesięć dni po blisko trzytygodniowej przerwie świątecznej, ale w tym roku wyjątkowo mnie to cieszy. Wyjazdy biorą w nawias „tu i teraz”, dają poczucie, że codzienność się zawiesza. A teraz bardzo tego potrzebuję. Jerzy przyjechał po mnie wczoraj do pracy – odwieźć mnie do domu. Trochę się bałam tego spotkania. Jak na siebie spojrzymy po tak intensywnym dzieleniu się (należałoby raczej powiedzieć: łączeniu) intymnością?

Niepotrzebnie się obawiałam. Przytuliliśmy się mocno, stęsknieni. Jechaliśmy w milczeniu. Nie wiem, o czym myślał Jerzy. Ja zastanawiałam się, jak mu wyznać swoją obawę o konsekwencje naszej bez troskiej spontaniczności. W końcu wydukałam, w czym rzecz. Trudne to było po dwakroć – po pierwsze lęk, jak zareaguje, po drugie – paskudne słownictwo, które czyni rzecz jeszcze trudniejszą. Albo mówisz infantylnie, albo mocno potocznie, albo medycznie. Jakoś poszło jednak. Jerzy spojrzał na mnie i zapytał: „To dlatego jesteś taka zgaszona?”. „Uhm”. „Będzie, co ma być” –

powiedział to pewnym głosem, bez zastanowienia. Co z kolei zastanowiło mnie. Żadnych wymówek? Żadnego lęku? Akceptuję i już? Czy to podobne jak kiedyś u Wiktora życzenie, by los nas wyręczył w podjęciu decyzji? Napędzane feromonami biologiczne pragnienie przedłużenia gatunku? Chęć, by mieć dziecko *ze mną*? Tak mnie to zaskoczyło, że nie dopytałam. Spokojniej mi po tej rozmowie. Poczułam, że chociaż żyjemy w diasporze, to coraz mocniej zaczynają nas splatać niewidzialne nitki: porozumienia, troski, zainteresowania, pożądania.

W niedzielę wyjeżdżam. Zupełnie nieoczekiwanie – dla siebie, Piotra i Matyśki – kupiłam bilety lotnicze do Hiszpanii, do Alicante. Dwa. Postanowiłam spędzić z córką babskie ferie. Piotr nie okazał entuzjazmu, co mi przypomniało, dlaczego czasem trudno mi go było lubić. Wiesz, ile pytań, stękań i wyrzekań może wzbudzić taka decyzja? Proszę, oto lista:

Dlaczego tak nagle planujesz wyjazd? (Musi być z wyprzedzeniem, nie lubimy niespodzianek, z takich zrywów się wyrasta).

Nie boisz się lecieć samolotem? (Zupełnie jakby polskie szosy były mniej śmiertelne).

Jak sobie poradzisz? (Wielki świat, gdzie czyha groźne, nieznane obce; dwie istoty z Polski są niechybnie skazane na zagładę).

Dlaczego mnie zostawiasz z Jeremkiem? (Czyli jest coś gorszego od nieplanowanej podróży do dzikiej Europy – opieka nad własnym dzieckiem).

I tak dalej...

A ja się cieszę. Ze słońca, z przygody, z pobycia z córką, z chwili oddechu, by na wszystko spojrzeć z oddali. Z której podobno lepiej widać.

Z zajęcia głowy wakacyjnymi przeżyciami, które skutecznie, mam nadzieję, odwrócą uwagę od rozważań nad ewentualną ciążą.

Lecimy do Alicante, stamtąd samochodem do Kadyksu. Zamelduję się, gdy będziemy na miejscu. Nie będę wystukiwać jednym palcem na telefonie długich mejli, ale raporty turystyczno-krajoznawcze i emocjonalno-

rozterkowe będę słać.

Całuję

Jagoda andaluzyjska

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 17.01.2015

Temat: Re: Na kłopoty słońce

Przednia myśl, takie ferie! Zamelduj się! I informuj, czy nadejdzie wiadomo-  
co!

Ściskam mocno

M.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 18.01.2015

Temat: Ejże!



Hop, hop! Dotarliście? Dobrze Wam?

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 19.01.2015

Temat: Cudnie jest!

Och, Malino!

Niby nie jestem niebywałym w świecie (czytaj: Europie) człowiekiem, ale za każdym razem postawienie stopy na zagranicznej ziemi wzbudza we mnie dreszcz ekscytacji.

Samolot szczęśliwie nas przetransportował do Alicante, ohydneho dość punktu przesiadkowego. Było już bardzo, bardzo późno (tanie latanie tylko dla odpornych), więc wynajętym renaultem, najmniejszym z możliwych, przepyrkotałyśmy do Ibisa. Co nie mogło nie wzbudzić wspomnień pierwszej erotycznej randki z Jerzym. To było miłe wspomnienie. Przywołane na obcej ziemi, na początku ekscytującej wyprawy. Przedziwny i bardzo pociągający smak wolności.

Piotr, we właściwym sobie bezpłciowym stylu, zapytał „co u jego dziewczyn”. „W porządku, chłopaki”, odpisałam.

Jerzy wysłał zdecydowanie bardziej spersonalizowany SMS.

Teraz kończymy śniadanie i niedługo wyjeżdżamy do Kadyksu. Do wieczora!

Besos

J.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 19.01.2015

Temat: Kadyks

Jesteśmy. Tu jest pięknie. Bardzo pięknie.

Droga była długa, ale cały czas autostradą. Bez opłat, za to gładka i z pięknymi krajobrazami.

Ach!

Dobrej nocy.

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 20.01.2015

Temat: „Pooooowrrróćisz tu”...

U nas też cudownie: śniegomżawka, ziąb i korki.

Korzystaj! – bo wrócisz...

Z zazdrością

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 22.01.2015

Temat: Sewilla

Malino,

kiedy już będziemy stare, zamieszkajmy w Hiszpanii, dobrze? Słońce, które opromienia twarz i serca, truskawki przez cały rok, oliwki w powalającym wyborze. I Sewilla. Wąziutkie uliczki, co krok bary tapas z wesołym gwarem, niezwyklej urody architektura. Chłonę każdy detal całą sobą. Matyśka zauroczona – wachlarzami, wystawami z misternymi wyrobami cukierniczo-ciastkarskimi, ciepłem i naszym wspólnym czasem. Ja też się nią cieszę. Piotrowi zdaję oszczędne raporty, z Jerzym dzielę się chwilami.

Wstyd to wyznać, ale Piotr wydaje mi się rozmyty, mgłą zasnuty. Nie tęsknię do niego. Żałuję za to, że nie ma ze mną Jerzego.

A co u Ciebie i Wiktora? Dane Ci było w końcu dostąpić zaszczytu odwiedzin w jego samotni?

Całusy

Jaga

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 26.01.2015

Temat: Z wizytą u...

Droga Jagodo!

Jakbyś zgadła: dostąpiłam.

Blok, w którym teraz mieszka Wiktor, stoi w centrum, przy Jana Pawła. Wiesz, czym to pachnie: rwetes, beton i bezdrzewie. Kupno mieszkania tam, przed laty, uważał za obiecującą inwestycję; skądinąd chyba słusznie. Jednak poziom ulicznego hałasu, smrodu spalin, a nawet wszelkich blokowych odgłosów i woni – winda, zsyp itp. – wydaje się dość drażniący i w rzeczy samej Wiktor na niego utyskuje. Po początkowej zabawie w urządzanie, która dawała mu wiele satysfakcji, coraz częściej wzdycha z wystudiowaną nostalgią, że wolał swój podwarszawski azyl. Gloryfikuje go, puszczając w łaskawość niepamięci godziny spędzane w korkach czy sąsiadów, co uprawiają ogród nie po jego myśli, o towarzystwie żony nie wspominając.

Dnia wybranego na wizytę gloryfikował wszak tylko mnie.

– Przybądź w me skromne progi, królowo! – brzmiało zaproszenie.

Nie posiadając się z ciekawości, skwapliwie przybyłam, niosąc w darze drzewko bonsai w pięknej ceramicznej doniczce – namiastkę ogrodu, za którym tak pięknie tęskni.

Lokum było... zdumiewające. Znam Wiktora od paru miesięcy. Wiem, jak się ubiera, wysławia i mniej więcej czuję, co mu się może podobać – chętnie

zresztą o swych preferencjach mówi, rad, że został przez Niebiosa obdarzony tak wykwintnym gustem.

Dlaczego więc, powiedz mi, spodziewałam się męskiego minimalizmu?... Najwyraźniej mam w głowie silnie wdrukowany stereotyp, że samotny mężczyzna ma mieszkać prosto i spartańsko, w wersji mikrofała i non iron, tak by jak najmniej się kłopotać pasowaniem do siebie poszczególnych elementów wystroju, a potem zabiegami porządkowymi wokół nich.

Najkrócej mówiąc – Wiktor w całej rozciągłości wymyka się stereotypowi. Po otwarciu drzwi ze zwykłego korytarza starego bloku odbyłam gwałtowną podróż w przeszłość. Oto znalazłam się w przedwojennej Warszawie – a może w Wiedniu czy Berlinie... Na powitanie zobaczyłam w przedpokoju swe odbicie w lustrze wiekowej toaletki. Na blacie pod lustrem stały świece w mosiężnych świecznikach, porcelanowe puzderka i kilka flakonów męskich perfum. Na podłodze, od samych drzwi – wzorzysty chodnik z frędzlami, który wywołał we mnie denerwujące wahanie, czy zdjąć buty, czy elegancko w nich zostać.

Krytyczny wzrok kochanka podpowiedział mi, by zdjąć. Wnet potem wszak rzucił się na kolana i afektowanie pokrył moje stopy pocałunkami. A potem oprowadził mnie po mieszkaniu.

W kuchni lśniło nowością i czystością. Skrajnie niepraktyczne blaty szafek wykonano z drewna pociągniętego błękitną farbą. Nieskazitelny zlew – z zielonkawego marmuru. W oknie wisały porządnie wykrochmalone kołkowe firanki. Na podłodze – znów dywan.

Im dalej w salony, tym było gęściej od antyków i bibelotów.

Wejście do salonu zwiastowała udrapowana nad drzwiami tkanina. Zaraz za nimi stał inkrustowany stolik na giętych nóżkach, a na nim stuletnia rosenthalowska filiżanka, której bałabyś się tknąć.

Sprzęt muzyczny był skrzętnie schowany w komodzie. Telewizora czy komputera – brak.

Na ścianach – obrazy i grafiki. Dużo, niemal jak w galerii. Rozpoznałam

jedynie Makowskiego; obawiam się, że oryginał.

Na deser powiódł mnie do sypialni.

Jej centralnym meblem było ogromne łóżo o rzeźbionym wezgiłowiu. Nad nim, a jakże, szkarłatny baldachim na czterech kolumienkach. Przy łóżku – dwa pudła na kapelusze, jedno na drugim, a na nich stos ksiązek z licznymi zakładkami. Wyglądało to jak żywcem z wnętrzarskiego czasopisma, a nie z życia. Wierz mi, w całym tym domu nie odnotowałam ani jednego praktycznego rozwiązania w stylu szafy wnąkowej, przesuwnych drzwi czy wysiedzianego fotela ze skotłowanym pledem. Wszędzie tylko samo czyste, bezwzglęдне piękno.

Wiktor oczekiwał podziwu.

– No? Jak znajdujesz? – dopytywał niecierpliwie.

Jak znajdowałam? Koneser sztuki ze mnie, luba Jago, żaden. Lubię parę stylów, znam główne wytyczne danych epok, to wszystko. Ponad sztukę cenię chyba jednak rzetelne rzemiosło, użytkowe i ergonomiczne. Czułam jednak, że za mały zachwył mógłby go urazić.

– Twój dom to ty – odparłam sprytnie. – Każdy przedmiot tutaj to twój gust, smak, ty sam.

Dobra odpowiedź. Wiktor był rad. Zaproponował herbatę, naturalnie parzoną z liści, w zaparzaczkach, z którymi było sporo subiekcji, oraz w filizankach małych jak naporstki – za to z najprzedniejszej miśnieńskiej porcelany.

Jago. Powiesz, że jestem niepoprawna. Lecz naraz ten mój amant, sypiący herbaciane listki do maleńkich metalowych skrzyneczek do zaparzania, ściśle otoczony frędzelkami, falbankami i puzderkami, wydał mi się nieskończenie komiczny.

Zarżałam złowróźnie.

– Z czego się śmiejesz? – spytał podejrzliwie. Śmieszności na swój temat nie trawił w żadnej postaci, natychmiast to wyczułam.

– Wylewa się ze mnie radość z odwiedzin u ciebie, w końcu – opanowałam się.

– Nie widziałaś mojego *prawdziwego* domu i lasu – rzekł z teatralnie zamglonym wzrokiem. – Urządzałem je siedem lat! Perskie dywany, kunsztowne obicia, rzadkie gatunki drzew... Fortuna na to poszła! Sama widzisz, ile dla ciebie poświęciłem – zwrócił się do mnie z nagłym wyrzutem. – A co ty jesteś gotowa zrobić dla mnie?

Herbata stanęła mi w gardle.

– A czego oczekujesz?

Chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, w końcu twarz uformowała mu się w uśmiech. Podszedł do mnie i ujął moją dłoń.

– Kochaj mnie – wypowiedział uroczystym tonem noworocznego życzenia. Delikatnie rozłożył mi palce i pocałował każdy po kolei. A potem wziął na rękę i zaniósł do sypialni.

Spędziliśmy tam tyle czasu, że nawet teraz, gdy zamknę oczy, potrafię szczegółowo odtworzyć wzór baldachimu.

Pozdrawiam Cię, Jagodo, nadobnie

Twoja obcująca ze sztuką

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 27.01.2015

Temat: Natura

Malino,

umarłam, czytając, jak Wiktor urządził swoje warszawskie włości. Od teraz nieuchronnie będę go sobie wyobrażała jak Prusa. Binokle i laskę też ma?

U Ciebie sztuka, u mnie – natura.

Kultury łyknęłyśmy, przyszedł czas na nadoceaniczny wywczas. Pojechałyśmy do miejscowości Zahara de los Atunes. Wyobraź sobie małą osadę z domkami w najbielszym odcieniu bieli, cały czas oświetloną promieniami słońca. Małe bary, o tej porze roku odwiedzane tylko przez mieszkańców. Szeroka plaża z piaskiem rozgrzewającym i łaskoczącym stopy zwieńczona bezkresem szmaragdowobłękitnego oceanu. Ten widok zapiera dech w piersiach. Matysia cały czas przy brzegu – buduje, lepi, szuka muszli, pluska się. Ja na kocu, odważnie odsłonięta – pierwszy raz w życiu nie będę miała białych plam po biustonoszu. Odczuwam fizyczną wręcz przyjemność, leżąc na ciepłym piasku, przesypując go między palcami, obsypując siebie nim obsypany piegami dekolt. Jest mi błogo, leniwie, prawie rozkosznie. Gdyby Jerzy był obok i to jego dłonie razem z promieniami słońca muskałyby moje ciało...

Piotr odwiózł Jeremka do rodziców. Trud pojedynczego rodzicielstwa nad pojedynczym synem go przerósł. Ech.

Wracam we czwartek.

Co byś powiedziała na weekendowe spotkanie?

Rozanielona i rozbudzona

J.

@ @ @



Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 28.01.2015

Temat: Sztuka a życie

Jagodo topless!

Wciąż Cię nie ma, a ja wracam myślami do mojej pamiętnej wizyty w innym świecie Wiktora.

Poznawszy dom danego człowieka, lepiej się go rozumie. Tymczasem ja w temacie Wiktora mam mętlik i trudności z oceną.

Miłośnik sztuki, który fortunnie może sobie pozwolić na jej kolekcjonowanie.

Obsesyjne dążenie do piękna w miejsce funkcjonalności (dywan w kuchni, przy samym zlewie i kuchence, podobnie przy drzwiach i w łazience...). Jak również do pedantycznego porządku. Ucieczka w jakiś inny świat, czas, inną rzeczywistość.

Czy to ma coś zrekompensować? Co jest za fasadą tego piękna? Wiktor skrywający jakiegoś prawdziwego siebie za wymuskaniem i pedanterią?

Jaki więc jest naprawdę? Jak do tego dotrzeć?

Tobie powiało Prusem (laseczki nie ma, melonik... cóż, owszem), ja nie mogę się pozbyć brzydkiego wrażenia, że tak wygląda dom stereotypowego homoseksualisty. Te wszystkie draperie, serwetki, koronki i falbanki... Dodaj do tego tak lubiane przez niego zdrobnionka. Śliczności i herbatkę w filiżaneczce – jak pragnę zdrowia, jak podstarzała ciotka!...

Gdybym nie była tak stuprocentowo pewna heteroseksualnych zainteresowań W., miałabym teraz przykrą zagwozdkę.

Tak oto wywróciłam naukę Kościoła w kwestii niesakramentalnego seksu do góry nogami. Ech...

Jak już wszakże przy tym jesteśmy – to nie do wiary, ale wizyta w jego domu, ta jego krzątania, dreptanie, poprawianie frędzli przy dywanie wpłynęła na to, jak go postrzegam. Dotąd jawił mi się nieskazitelnie męsko. Teraz, na wspomnienie tego wszystkiego, włącza mi się podstępny, niekontrolowany chichot. Kto by pomyślał, że poczucie humoru może być tak zdradliwe?

Idźmy dalej. Wyobraź sobie w takim wnętrzu mnie w komplecie z całą ferajną, Ireną i Carlosem. Jak nic popełnilibyśmy więcej *faux pas* niż wszyscy goście Brzechwowej Kwoki razem wzięci. Jeden swobodniejszy ruch moim szerokim biodrem – i filiżankę szlag by trafił. Podobnie puzderka na toaletce (wiesz, jak silnie merdają ogonem labradory?).

Na perskich chodnikach – psia sierść i brokat.

Do tego – nawyki. Jak podkulić nogi do najwygodniejszej z czytelniczych pozycji na XIX-wiecznej otomanie? Jak przeforsować używanie kubków zamiast wiecznej lataniny po dolewki do filiżanek? Jak się relaksować w kąpielni, nie myśląc o wdającej się w tapetę wilgoci?...

Innymi słowy – jak żyć z takim człowiekiem pod jednym dachem? Co więcej – sprostać byciu jego żoną? Wciąż wyfiokowana, zadbana, wydepilowana, nieskończenie kulturalna. Inaczej tło wnętrza by mnie przytłoczyło i zeżarło.

A nasze dzikie przyśpiewki z Irenką? Pląsy? Szarpaczki z Carlosem? Wszystko to trzeba by powściągnąć?

Im dłużej o tym myślę, tym bardziej się trapię, czy nasza wspólna przyszłość w ogóle jest realna.

Z drugiej wszakże strony – czego się, u licha, obawiam? Na wskroś kulturalnego, obytego człowieka o szerokich zainteresowaniach, bogatej bibliotece i zacnym hobby? Czy to kompleksy, że nie sprostam, czy troska o moją swobodę, wyrażaną czasem dressem, szlafrokiem, głupawką z córką, z których nie bardzo chce mi się rezygnować?

Szkopuł w tym, że z Wiktora też ani myślę rezygnować. Wzór baldachimu wciąż wraca do mnie gorącymi falami, a z każdą z nich pragnę znów znaleźć się w tym magicznym domu, wiedziona do łoża ziemskich rozkoszy, choćby po najdłuższych cholernych dywanach i frędzlach.

Przywieź mi muszelek. Niech ich szum ukoi moje rozedrganie.

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 28.01.2015

Temat: Powroty

Malinko,

ja już na wylocie. Siedzimy na lotnisku w Alicante. Za trzy godziny wsiądziemy do samolotu, który nas przetransportuje do rzeczywistości.

Do pseudozimowego chłodu, brei na chodnikach, depresyjnego braku słońca.

Do Piotra, za którym się nie stęskniłam.

Do Jerzego, za którym stęskniłam się bardzo.

Zawsze mi żal, kiedy kończy się obfitujący w przyjemności wyjazd. Teraz mi nieswojo zdecydowanie bardziej – wracam do bałaganu, którego los i ja razem narobiliśmy. Trzeba będzie posprzątać.

Napiszę z domu.

Całuję, Madame Bovary

J.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 29.01.2015

Temat: Powroty 2

Malinko,

jestem już w domu. Dziś ostatni dzień mojego długiego urlopu – za mną dwa tygodnie laby. Strach będzie w poniedziałek zajrzeć do firmowej poczty.

Jak się jednak słusznie domyślasz, nie jest to moje największe zmartwienie.

Wczoraj na lotnisku, gdy Piotr nas odbierał, czułam się paskudnie. Chwilę po wylądowaniu dostałam SMS od Jerzego, który dopytywał, czy już postawiłam piękną stopę na polskiej ziemi i czy zobaczymy się na Saskiej. Dziesięć minut później przywitałam się z Piotrem niezręcznym całusem w policzek. Dobrze, że Matyska się na niego rzuciła i zalała go opowieściami, jak to było cudnie, pięknie, fantastycznie. Chłód mnie ogarnął. Nie tylko od warszawskiej styczniowej nocy.

Siedzę przy biurku, w ciszy. Matysia odsypia. Piotr w pracy. Jeremi jeszcze u dziadków.

Nie mogę się odnaleźć. Przeskok z zalanego słońcem południa Europy do szarej Warszawy jest sporą przykrością, jasne. Ale tak naprawdę to chodzi o to, że nie wiem, co dalej. Ciągłe żyję na haju, wracają wspomnienia

ostatniej nocy z Jerzym. Zakochanie w rozkwicie. No i...? Cholera, nie przerwę tego. Nie powiem jak porządna polska matko-żona: rodzina przede wszystkim. O sobie pomyślę na emeryturze. Później, jak wnuki wyniańczę. Nie czuję się jednak na siłach, żeby usiąść z Piotrem do poważnej pożegnalnej rozmowy. Żal mi go – wiem, jak to brzmi, ale tak jest. Chyba jestem tchórzem, poza tym. No bo co ja właściwie wiem o Jerzym? Znam go jako szefa. I kochanka. A w życiu codziennym ma się jeszcze wiele innych ról i twarzy. Fircykiem nie jest – wybaczyć, ale się otrząsnąć nie mogę po opisie, jak Wiktor mieszka. Ale może dla odmiany jest zakamuflowanym flejtuchem, który żyje w leśnej głuszy, sypiając na karimacie i gotując kawę z żołądźmi? Nie wygląda, ale może się maskuje? Muszę go subtelnie wypytać o jego warunki bytowe. Niby mieszka z kobietą – właśnie, patrz, jaka jestem podła: o niej nie myślę wcale – że coś jej odbieram. Pewnie dlatego, że dzieci nie mają wspólnych. I nie są małżeństwem. Taka ze mnie pokrętna tradycjonalistka. Więc wracając do wątku – może Jerzy też jest dziwakiem? Doświadczenie – listowne, z mojej rubryki – uczy, że nim się zwiążesz z mężczyzną na poważnie, należy go wypróbować w codziennym boju. To rozwiązanie dla dwójki wolnych ludzi jednak. Wariant dla kochanków chyba nie istnieje. Ty niby mogłabyś spróbować, ale Carlos i Irenka mogą sobie nie poradzić sami. A w tym połączeniu dworku w Żelazowej Woli z Muzeum Literatury to ich nie widzę jednak.

O. Jerzy do mnie napisał. Czy Saska aktualna. W notesie przy liście złych uczynków dopiszę więc dziś: okłamałam męża, że muszę pojechać do pracy po ważne dokumenty.

Módl się za mnie, Malinko. W przerwie między buduarowymi uniesieniami z Wiktorem.

W niedzielę się zobaczymy? Muszelek nie mam, ale hiszpańskie sherry doleciało w całości.

Uściski

Jaga

PS. Okresu brak. Ale ma jeszcze trzy dni.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 30.01.2015

Temat: Sherry, Sherry Lady

Tak, zobaczymy się w niedzielę, koniecznie! Przyjedź taksówką, poprobujemy sherry.

Co przyrządzić? Jakie tapas zamawiasz?

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 31.01.2015

Temat: Re: Sherry, Sherry Lady

Malinko,

szykuj dużo jedzenia, bo do sherry dokupiłam wino. I zabieram do Ciebie dzieci. Sama też przygotuję wałówkę, bo skoro są trunki, to będzie i nocleg.

Mam nadzieję, że tym razem Wiktor nie będzie Cię chciał zaskoczyć, zjawiając się o północy przed Twymi drzwiami obwiązany tylko wstążką.

Wczoraj piątek, czyli Saska. Jest mi podwójnie wstyd – wypisuję Ci o wyrzutach sumienia, a obcałowuję się z Jerzym jak licealistka. To wstyd pierwszy. Drugi, jeszcze gorszy – te wyrzuty sumienia jakby skarłały. Moje alternatywne życie cichcem wniknęło w to oficjalne. I zagarnia dla siebie coraz więcej miejsca.

A. Okres jest. Ucieszyło mnie to bardzo. Jerzy, jasna sprawa, dopytał o ten element mojej kobiecości. „Wszystko dobrze”, powiedziałam. „To znaczy?” – jakby posmutniał. A mnie zatkało.

Po raz kolejny mam poczucie paranoi: o co tu właściwie chodzi? Seks, nowe rozdzanie, dziecko, przełom, decyzja? Dlaczego z Tobą potrafię o tym rozmawiać, a z Jerzym nie? Choć w jednym mnie to utwierdza: czysty romans byłby czystą radością. Sprawy poważne sprawiają więcej kłopotu.

Szykuje nam się długa noc, Malinko.

Będziemy przedobiednio.

Całuję

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 3.02.2015

Temat: Żale

Droga J.,

dwóch dni było mi trzeba na całkowite wywietrzenie głowy po Twoim sherry. Następnym razem przywieź, proszę, tylko oliwki.

Z drugiej strony – wygodnie jest zrzucić winę za kaca i ból głowy na słodkie wino z przedwczoraj zamiast na pewnego delikwenta, który skutecznie zatrął mi rozum i serce.

Jakżeby inaczej, chodzi o Wiktora.

Wczoraj przez pół dnia namiętymi SMS-ami i telefonami wyrywał się do spotkania ze mną – aż, kiedy skończyłam pracę, przyszedł pod redakcję, wykorzystując swoją przerwę obiadową, i poszliśmy na spacer nad Wisłę – na powitanie lutego, a ucieszenie siebie.

Najpierw było cudnie – zapatrzeni w siebie, autentycznie uradowani, szliśmy beztrąsko, trzymając się za ręce. Wysupłałam z torby niezjedzoną kanapkę i nakarmiłam nią mewy. Niemrawe zimowe słońce barwiło szarobure fale na jaskrawą prawie-biel. Szliśmy niespiesznie, mając perspektywę cudownie wykradzionej światu godziny.

Jednym pochopnym pytaniem zburzyłam tę idyllę.

– Co u twoich chłopców? – zagadnęłam mianowicie, w najlepszej wierze, wiedząc, że spędzali u niego weekend.

W Wiktora jakby strzelił piorun. W jednej chwili zmienił nastrój naszej przechadzki z niewinnej, pogodnej i radosnej w marsową.

– Matka nastawia ich przeciwko mnie! Odebrałem ich w sobotę naburmuszonych, na wszystko reagowali na nie. Do kina – nie, kupić zabawki – nie, co słycać w szkole – nic. To nie są moi chłopcy! Oni się tak nie zachowywali! Zawsze trzymaliśmy męską sztamę!

Chwilę trawiłam nowiny w pełnym współczucia milczeniu. W końcu odezwałam się ostrożnie:

– To dla nich duża zmiana. Muszą sobie od nowa ułożyć z tobą relacje...



- Jak mamy je ułożyć, skoro ich matka opowiada im o mnie niestworzone historie?!
- Skąd wiesz?
- Czuję!
- Z czego wnosisz?
- Usztywnili się w kontaktach ze mną, nie chcą podchodzić do telefonu, gdy dzwonię.
- Dzieci chyba w ogóle nie przepadają za rozmawianiem przez telefon...
- Zawiodłem ich.
- A porozmawiałeś z nimi? Trzeba ich przekonać, że nadal mogą na ciebie liczyć, że koniec związku z ich mamą nie oznacza...

Wszedł mi w słowo.

- Zawsze w ferie wyjeżdżaliśmy razem na narty, *zawsze!* W tym roku pierwszy raz nie. Nic nie jest warte takiej straty!

Nic... Hm. W mojej głowie do walki stanęła wyrozumiałość osoby, która za nic nie chciałaby stracić dobrego kontaktu ze swoim dzieckiem, z urazą kochanki.

Wiktor perorował dalej.

- Te wyjazdy są mi potrzebne! Nie naładowałem akumulatorów, czuję się zgnuśniały! Odwykłem od miasta. Potrzeba mi ruchu, wiatru, odśnieżania ścieżki w ogrodzie, szusowania po stokach...

Zaraz, zaraz... Więc użalamy się nad synkami czy nad sobą? Uraza zaczynała brać górę nad wyrozumiałością.

- Wiktorze, do licha, trochę konsekwencji! Nikt cię nie zmuszał do

wyprowadzki! Sam podjąłeś rozmowę z żoną, zdecydowaliście, że wasz związek nie ma racji bytu. A teraz zatrzymujesz się w pół kroku... Ani nie zbliżasz się do naszego życia razem, ani nie oddalasz od etapu, który z nowym rokiem niby zamknąłeś – mimowolnie upiekłam przy ogniu tej złości własną pieczeń.

Ku mojemu zaskoczeniu rozmowa jeszcze raz przybrała nieoczekiwany obrót.

– Żona znalazła nasze SMS-y – wyznał W., jakby z żalem. – Nie miałem innego wyjścia, niż się przyznać.

I znów chwila na dotarcie informacji do mózgu.

– Jak to?... Przecież szykowałeś się do rozmowy z nią, relacjonowałeś mi, jak przeżywa...

– No tak. To było potem. Najpierw porwała mój telefon i przeczytała.

Nagle zrobiło mi się zimno. Więc ktoś trzeci – i to tak nieobojętny w tym, brrr, „układzie” – czytał nasze zwierzenia? I dowiaduję się o tym dopiero teraz?!

– Czyli wie, jak się nazywam, co do ciebie czuję, wszystko?!

– Nie wie. Nie mam cię wpisanej.

– Słucham???

– Dla bezpieczeństwa. Właśnie na wszelki wypadek, taki jak ten. Sama widzisz, że słusznie – rzekł z odcieniem dumy, która mnie jeszcze rozjuszyła.

– A teraz? Gdy nie mieszkasz już z żoną i nikt ci nie przegląda telefonu, nadal mnie nie wpisałeś?

– Nie.

– Dlaczego? – Nie wiedzieć czemu poczułam się tym dotknięta niczym Piotrowym trzykrotnym wypieraniem się znajomości z Najwyższym.

– Po co? Przecież znam twój numer? – odparł tonem zaczepki.

Zatrzęsłam się. Z chłodu, oburzenia, niesprawiedliwości.

– Muszę jechać po Irenkę – oznajmiłam, mając krztynę nadziei, że mnie jednak jakoś udobrucha, zatrzyma, przytuli, wszystko kojąco wytłumaczy. Czy my, kobiety, zawsze musimy tak myśleć?...

– Tak. Ja też wracam – padło, przekreślając z kretesem nadzieję na moją wyobrażoną tkliwą scenę pojednania.

W milczeniu wspięliśmy się na górę. Rozedrgana, niedopieszczona po zdawkowym pożegnaniu, wsiałam do tramwaju, nie mogąc się na niczym skupić – ani na czytaniu, ani na próbie uczesania myśli i uczuć.

Piszę do Ciebie rano, z pracy, wciąż jakoś rozżalona. Czy miejsce, jakie mi wyznaczył w swoim życiu Wiktor, nie jest tak obszerne i zacne, jak mi się wydawało?...

A jak Twój nurt płynie?

Ech. Szczęście, że mam do napisania relaksujący artykuł o świętej Gemmie Galgani.

Twoja

głupia

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 4.02.2015

Temat: Bliskie spotkania

Malinko,

przez chwilę nieładnie Ci zazdrościłam Wiktorowego coming outu. Facet się zakochuje, dzielnie rozmawia z żoną, wyznaje prawdę, przeprasza i idzie zapisywać nowe życie na wyczyszczonej elegancko karcie. A tu – bryndza. Bo to się stało tak mimochodem. Oczywiście gorszy byłby wariant, gdyby się zapamiętało wypierał, choć w świetle takich dowodów to chyba trudne. To trochę tak, jakby odpadł z Wiktora kawałek pięknej fasady, prawda?

Żona Wiktora poznała Ciebie – bez szczegółów i korespondencyjnie – a ja poznałam (właściwie zobaczyłam) Dorotę. Nie, nie – żadnej dekonspiracji. Wyobraź sobie, że Jerzy paskudnie zwichnął nogę podczas swojego codziennego leśnego spaceru. Z trudem dokuśtykał do domu. Wysłał mi SMS z tą wieścią, ale ponieważ bardzo się spieszyłam do domu, to odpisałam, że współczuję i odezwę się wieczorem. A spieszyłam się po dzieci, bo na późne popołudnie miałam umówione wizyty u ortopedy, żeby posprawdzał ich rosnące kręgosłupy. Pognałam więc do szkoły i przedszkola, zrobiłam nawrotkę na Pragę i pojechaliśmy do kliniki, gdzie mam firmowe ubezpieczenie. Zdążyliśmy jeszcze wpaść do piekarni po bułki i do sklepu po picie. I taką spożywającą gromadką udaliśmy się do rejestracji. A tam, przy blacie – Jerzy. A obok jakaś pani. W pierwszej chwili nie domyśliłam się, że to może być *ona*. Ale kiedy Jerzy wstawał z krzesła, a ta kobieta zrobiła w jego stronę asekuracyjno-pomocniczy krok, to stało się jasne. W tym momencie Jerzy mnie dostrzegł. Na chwilę oboje zamarliśmy. Dobrze, że akurat nadszedł moment naszej rejestracji. Co się odwlecze... Spotkaliśmy się ponownie pod gabinetem ortopedy. Udawaliśmy, że się nie znamy. Jeremi i Matysia po całym dniu byli już mocno nakręceni, więc gadali, przemieszczali się, śmiali i mogłam się w naturalny sposób zaangażować w bycie mamą, nie zwracając uwagi na otoczenie. Kątem oka obserwowałam jednak Jerzego i Dorotę. Wyglądali jak stereotypowa para z kilkunastoletnim stażem: ona przeglądała gazety na stoliku, on był zajęty swoim telefonem; nie rozmawiali. Nie wykonali żadnego gestu, o który mogłabym być zazdrosna. Jesteś pewnie ciekawa, jak wygląda Dorota? Otóż wygląda jak kobieta, która woli mieszkać w leśnych ostępach zamiast w mieście (kawa z żołądzi może

być prawdą) – ubrana w bure kolory, bez makijażu i biżuterii. Sama natura. Ze śladami dawnej urody, lecz taka nonszalancja w wieku trolejbusowym już nie uchodzi bezkarnie. Zrobiło mi się jakoś smutno. Wyobraziłam sobie siebie za dwadzieścia lat, zepchniętą już trochę przez biologię na boczny tor i dodatkowo porzuconą przez mężczyznę. Brrr...

Kiedy wyszliśmy z gabinetu, Jerzy (lekarz przyjął go przed nami) przysłał mi SMS: „Cóż za absurdalna sytuacja. Przepraszam, nie wiedziałem, co robić. Nie spotkamy się w piątek, bo mam tygodniowy rygor leżenia ze skreconą nogą. Może odwiedziłabyś mnie w moim lesie?”.

Pojadę. Tęsknię za Jerzym. Nawet niedawne wyrzuty sumienia z powodu kobiety, której mężczyznę anektuję, i męża, którego coraz bardziej porzucam, nie są na tyle silne, by przywieść mnie z powrotem na drogę prawdy. Zakochani nie znają litości, Malino.

Całuję

Nielitościwa J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 5.02.2015

Temat: Mowa kwiatów

Obu nam los uznał za stosowne przypomnieć o istnieniu pań Wiktorowej i Jerzowej. Czuję się nieswojo.

Oj, Jago... Czy to nie jest pchanie się w paszczę lwa, ta twoja powzięta wyprawa do lasu? Znowu nie mogę Cię poprzeć – drzę z trwogi. Jak to, ot tak

pojedziesz do także *jej* domu, napijesz się z kubka, w którym rano piła kawę z żołądźmi, krytycznie ocenisz zapewne bure wnętrze, obejście i perfumy w łazience, stosowne do wieku średniego?

Odradzam. I już zawczasu się boję. Nie tyle, że jak w filmie nagle wróci wcześniej z pracy i Was nakryje, ile *niestosowności* tej wizyty w ogóle. To wkroczenie na *jej* terytorium.

Przemyśl to jeszcze.

W ogóle chyba przeżywam etap tchórzostwa. Rankiem następnego dnia po nieudanym spacerze z Wiktorem w redakcji „On Żyje” zjawił się kurier z ogromnym bukietem kwiatów. Nie zgadniesz, kto był ich adresatką. Nie, ani Bożena, ani siostra Maria, ani ksiądz dyrektor, ani nawet nasz pan Wacław od wszystkiego.

Ja, mianowicie.

Kwiaty wywołały sensację i niekończące się dociekania. Nie, moja droga: nie *od kogo*. W redakcji katolickiej *takich* dylematów nie mamy. Wiadomo, że od męża z zagranicy. Pytanie tylko: z jakiej okazji?

Pierwszy trop to była ciąża. Nowy, maleńki, na wskroś katolicki płód, spłodzony z rozmysłem, po Bożemu, po ciemku, w pozycji misjonarskiej, kiedy mąż zbliżył się do mnie z zamiarem ściśle prokreacyjnym. Zalążek, z którego wyrośnie w przyszłości kolejny wierny do zastępów naszej wielkiej ziemskiej rodziny. Najwyższa zresztą pora, orzekli wszyscy zgodnie, nie widząc wcale mej nietęgiej miny. Co to za zwyczaje, by być już po trzydziestce i nadal mieć tylko jedno dziecko?... Średnią u pozostałych świeckich redakcyjnych kolegów jest trójka.

Bardzo byli zawiedzeni, gdy się zarzekałam, że nie.

Drugi więc trop – mam urodziny. Albo imieniny. Doskonały moment, bym tuż przed Wielkim Postem poczęstowała wszystkich tortem. Lub chociaż drożdżowcem.

Znowu pudło.

A więc rocznica! Ślubu, zaręczyn, poznania się.

Wzdrygnęłam się. Wszystkie rocznice z Maciejem wyrzuciłam już na śmietnik pamięci i za nic nie chcę w nim grzebać. Zarzekłam się więc, że nie, kwiaty są najwyraźniej bez okazji, ot, miły gest, bo dawno się nie widzieliśmy. Siostra Maria uznała to za bardzo wytworne.

Bożena zachwycała się światową formą wiechcia. Znać, że nadał go ktoś z zachodniej Europy, tam widocznie mają już inne wzornictwo – orzekła fachowo.

Dywagacje nad fenomenem poczty kwiatowej stopniowo przerodziły się w troskę o małżeństwo na odległość. Wiłam się jak piskorz, rozboleła mnie głowa, marzyłam, żeby ten dzień już się skończył. Niestety do akcji wkroczył pan Waław.

– Ale, ale! Tu jest karteczka! Może to wszystko wyjaśni naszej obdarowanej?  
– I wysupłał spomiędzy liści tekturowy karnecik.

– Pan pozwoli, panie Waławie! – Wyrwałam do przodu, byle tylko przechwycić liścik, zanim Waław rozprawi się z miniaturową kopertą i odczyta wszem wobec treści, które mogły zniszczyć mi karierę w tym przybytku cnót, jakim jest nasza redakcja.

– Ależ proszę, proszę – rzekł jowialnie. – Czytaj, moje dziecko.

*Przepraszam. Kocham. Pragnę. Przyjedź w piątek.*

W.

I znów poczułam mieszankę rozczulenia, a nawet odcienia dumy, że oto, proszę, ktoś robi w moim kierunku romantyczny gest! – oraz irytacji. Po co przysłał je do pracy? Żeby spektakl miał odpowiednią widownię? A gdyby ktoś jednak niedyskretnie zapaścił żurawia w liścik? Jak bym wytłumaczyła owo „W.” w miejsce spodziewanego „M.”? O sensacyjnym „pragnę” nie wspomnę.

Kwiaty wzięłam do domu, żeby znikły z pola widzenia kolegów i żeby temat wygasł.

Stoją teraz tu obok mnie na biurku, gdy do Ciebie piszę, i roztaczają wonie.

Faktycznie piękne.

Jest wieczór, Irenka śpi, pies śpi, cicho szemrze radio.

A może pojedę?... Ale Ty nie jedź, zaklinam!

Dobrej nocy, Jago.

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 6.02.2015

Temat: Daleko w las

Malino,

nie odpisałam Ci wczoraj, bo nie chciałam dyskutować o planach mojej leśnej wyprawy. Nie umiałabym Ci chyba wytłumaczyć, skąd ta decyzja, i pewnie bałabym się, że dam Ci się odwieść od zamiaru ujrzenia Jerzego w jego naturalnym środowisku.

Pojechałam jednak. W pracy wzięłam dzień wolnego. Przygotowałam sobie mapę, zapakowałam prezent dla Jerzego – kryminał Kate Atkinson, czarny humor, który na pewno go urzeknie, i wyruszyłam. Pierwsze zdziwienie: jak



można mieszkać tak daleko od centrum? Nawet od rogatek Warszawy to kawał drogi – ponad 30 kilometrów! Przemierzałam je wąską drogą wiodącą głównie przez lasy. Było mi w zintensyfikowany sposób nieswojo. Po głowie kołatała mi się Twoja uwaga o zakłócaniu miru domowego, krajobrazy za oknem budziły niepokój. Wyobrażasz sobie siebie na takim odludziu? Co popchnęło Jerzego, by się zaszyć w głuszy i wieść samotnicze (wiem, wiem – jest jeszcze Dorota) życie?

Dotarłam. Dom w bladym waniliowym kolorze stał pośród wychudzonych, strzelistych sosen, które sieroco kołysały się targane dość mocnym wiatrem. Klasyczna bryła, czerwony dach, niby okej, ale w tym otoczeniu wyglądał przedziwnie – jak niepasujący element. Dookoła żadnych roślin ogrodowych, tylko przysypany igłami mech. Zaparkowałam i wysiadłam z auta. Zadzwoiłam do furtki. Po dłuższej chwili usłyszałam dzwonek – bramka została otwarta. Wąską brukowaną ścieżką przeszłam do drzwi. Jerzy czekał na mnie, wspierając się na kuli. Pocałowałam go w policzek. Przeprosił, że nie będzie najlepszym gospodarzem, i pokuśtykał do kuchni, by zrobić mi herbatę. Ja w tym czasie miałam sobie obejrzeć parter. Ty zostałeś w mieszkaniu Wiktora ogłuszona mnogością szczegółów, dbałością o detal, pietyzmem i feerią barw. Ja w Jerzowej głuszy zastanawiałam się, jak można żyć w tak monochromatycznych pomieszczeniach. Wszystko było beżowo-kremowe: okazałe skórzane kanapy zapewne w cenie mojego samochodu, wełniane dywany, lampy, obrazki na ścianach, kafelki w kuchni, rama lustra, doniczki... Nie do wiary wprost. Do tego brak jakichkolwiek osobistych drobiazgów – zdjęć bliskich osób, dzbanuszek przywiezionego z wakacji przed dwudziestu laty, świecznika po babci Krysi. Nic takiego – czysto, porządnie, bez charakteru i znaków szczególnych. Zaczęłam się zastanawiać, czy Jerzy jest taki jak jego dom, czy przeciwnie, od takiego właśnie domu (i życia) pragnie uciec. Nie dane mi było jednak rozważać ten problem zbyt długo. Kiedy przeszłam do kuchni, Jerzy przysunął się do mnie, szepcząc mi do ucha, jak bardzo się za mną stęsknił. Przez jego chwilowe kalectwo nie bardzo mogliśmy się gdzieś przenieść; ograniczyliśmy się do przekształcenia pozycji wertykalnej w horyzontalną. Beż miękkiego dywanu z bliska był jeszcze bardziej beżowy... Po tym zbliżeniu, które rozgrzało mnie zdecydowanie bardziej niż herbata, której nie zdążyłam wypić, leżeliśmy spleceni i nadzy na podłodze. I wtedy to się stało. Wyobraź sobie, że leżysz nago przytulona do nie swojego męża, w nie swoim domu, z przyspieszonym

jeszcze oddechem i zaróżowionymi policzkami, i nagle słyszysz pukanie do drzwi. Pies szczeka wściekle w garażu, Ty nieruchomiejesz przerażona. Dorota na pewno wcześniej wróciła – ta myśl mnie zmroziła. Nim się ogarnęliśmy, zobaczyliśmy na wprost nas przyklejoną do drzwi tarasowych twarz mężczyzny. Omal nie krzyknęłam.

– To Daniel, leśniczy – wychrypiał mi Jerzy do ucha.

Daniel był chyba równie skonsternowany co my, bo podrapał się w głowę, wykonał gest mający chyba przekazać, że zadzwoni, i się oddalił.

Grono osób znających nasz sekret powiększyło się zatem o jedną osobę.

Ten incydent jakoś odsunął ode mnie myśl o Dorocie. I jeszcze jedno – wiesz, będąc u Jerzego, miałam wrażenie, że wkroczyłam do mauzoleum. Ten dom był jakby wyzuty z domowych doświadczeń, przeżyć – taki znieruchomiły, odrętwiały. Nie miałam poczucia, że burzę czyjeś szczęście, bo szczęścia tu całkiem nie czuć.

Widziałś się z Wiktorem?

Całuję

Leśnie doświadczona Jaga

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 6.02.2015

Temat: Budyń z sokiem

Ryzykantko!

Czyżbyś połknęła bakcyła hazardu? Najpierw się nie zabezpieczasz (swoją drogą – czy w tej kwestii coś się zmieniło?), potem jedziesz w Jerzowo-Dorotowy (a tak – jej również!) matecznik i dajesz się podglądać postronnemu leśniczemu... Pozostaje wierzyć, że Jerzemu nie przypada w tej scence rola wilka, który Cię pożre.

Co ja mam z Tobą począć?

Nie, do Wiktora nie pojechałam. Musiał dziś – o ile w piątkowe wieczory coś naprawdę się musi – przerobić z synem algebrę.

Wyłumacz mi, dlaczego teraz rodzice dzieci w wieku szkolnym odrabiają z nimi lekcje? Czy ze mną lub z Tobą ktoś kiedykolwiek coś odrabiał? Nie! Czy skończyłyśmy szkołę, zdałyśmy na studia i ukończyłyśmy je z wyróżnieniami? Tak!

Na co liczą współcześni rodzice? Że przeżyją coś za swoje dzieci?

Brnę tak w oburzenie, nie wiedząc nawet, czy Ci się nie narażam – ale chyba nie mogłaś się aż tak zmienić? No powiedz, Jagodo – ślęczysz z Matyldą nad zeszytami?

Ja na razie zarzekam się, że nie będę. Obym, gdy przyjdzie co do czego, nie dała się zwariować.

Miłego wieczoru. Idę gotować budyń. Dużo, dużo budyniu, waniliowego z sokiem malinowym, takiego, jaki robiła mi babcia. Nastrój mam w sam raz na coś słodkiego, nostalgicznego i tuczącego.

Malina

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 8.02.2015

Temat: Obchodzę walentynki

Hop, hop! Obraziłaś się?

Przeczytałam jeszcze raz mejl wysłany do Ciebie przedwczoraj i wyziera z niego frustracja, oj, wyziera... Oczywiście szykowałam się do Wiktora i gdy już miałam odwieźć Irenkę do rodziców – zadzwonił, że musi pouczyć się z synem.

Pisklęta mają pierwszeństwo dziobania, jakżeby inaczej. Wobec tego sama także zajęłam się swoim pisklęciem. Wycięłyśmy niemożebnie dużo lalek z papieru, ubranek dla nich, rozmaite tła ich poczynañ (pałac, ogród) – a skończyło się, jak wiesz, na bezmiarze budyniu. Spać poszłam obżarta, lecz niespecjalnie szczęśliwa.

Moje soboty to z reguły poranki dla dzieci w kinie Praha. Baranek Shaun przywrócił mi dobry humor; głośny, otwarty śmiech Irenki też działa na mnie wspaniale. Budyń się strawił, piątkowy dół też. W dodatku nad Jagiellońską wyszło piękne słońce, poszłyśmy więc jeszcze na spacer do parku Praskiego. Wiewiórki sielsko hasały po trawie, Irenka wiedziona nieomylnym dziecięcym instynktem powiodła mnie na plac zabaw. Zajęłam strategiczną, zalaną słońcem ławkę i wyjęłam czytnik. Dobry to nawyk noszenia go wszędzie ze sobą!

W tak dobrym nastroju zastał mnie SMS od Wiktora.

„Mogę przyjechać?”.

Zawsze w takich chwilach tradycjonalistka walczy we mnie z nowoczesną dziewczyną: odpisać od razu czy nieco przetrzymać? Czy zapraszanie się wprost do kobiety jest obcesowe, czy bezpośrednie? No a bezpośredniość to ostatecznie zaleta czy wada?

Do tego druga warstwa: dać mu satysfakcję, że tylko na to czekam, czy się trochę „poszanować”? Wymyślić wymówkę na miarę jego wczorajszej – czy zrobić to, na co mam ochotę? Do licha, przecież wiadomo, że mężczyźni lubią gonić króliczka – zatem wypadałoby jednak, mniej lub bardziej przekonująco, trochę mu pouciekać.

Tyle że ja bardzo nie lubię biegać.

„Zapraszam” – wystukałam w końcu. Doszliśmy do porozumienia co do godziny, wróciłam na chwilę do lektury. Zaraz potem Irenka poprosiła o soczek. Zebraliśmy się więc kolejno do sklepu, samochodu i domu.

Słońce nadal świeciło – z tą szczególną siłą, jaką krzesze z siebie bodaj tylko w zimie. Jest wtedy ostrzejsze, bardziej przenikliwe. Razi w oczy, a w domu... w domu, niestety, przewierca wszystko niczym wzrok teściowej, dobitnie wskazując niedostatki. Mój salon w tym blasku prezentował się kiepsko. Obicie kanapy, na której odbywały się wszelkie domowe harce, seanse filmowe, a małe nóżki Irenki często zapominały nań zzuć kapci, wydało się sprane, a przy tym i tak nie idealnie czyste. Stół miał parę żłobień od pisania bez podkładki. Podłoga była równomiernie pokryta sierścią Carlosa. Do tego z każdej szparki w dolnych partiach mebli wyzierały upchnięte zabawki: nogi lalek, klocki, łebki pluszaków. Wspomniałam, jak niedawno obsmarowałam przed Tobą dom Wiktora. A jak on znajduje mój? Czy dyskretnie otrzepuje sierść ze skarpet? Czy przed kłapnięciem na krzesło sprawdza, czy nie siądzie na ludziku Lego?

Podgrzałam Irence zupę i włączyłam odkurzacz. Wytrzepałam wszystkie chodniki, odkaziłam sedes, zlew, umywalkę i brodzik. Słońce bezwzględnie ujawniało nowe sensacje. Okno nieumyte od Bożego Narodzenia. Firanekę przybrudzoną na dole przez wiecznie wyglądającego przez drzwi balkonowe psa.

Po cholerę zaprosiłam go na obiad? O ileż łaskawszy dla mojego domu jest zmierzch...

W końcu Wiktor przyjechał. Bez lustrowania stanu czystości siadł po prostu za stołem i zjadł dwa talerze mojej staroświeckiej pomidorowej z dużą ilością wszystkiego, co dobre: pomidorów, śmietany, a w tej śmietanie tłuszczu. Do

tego pięć naleśników z serem i dżemem mojej własnej, zeszłoletniej produkcji. Cmokał i niemal lizał palce. A gdy Irenka nie patrzyła – wsuwał mi ręce pod falbankę fartucha, dając wyraz swoim tęsknotom.

Prawdziwa bomba – choć niekaloryczna – nastąpiła wszak po obiedzie.

– Kwiatuszk, pamiętasz, że już za tydzień walentynki? – spytał z niewinnym uśmiechem.

Nie pamiętałam. Wraz z Maciejem zgodnie je kontestowaliśmy, w ostatnich zaś latach nawet nie miałam ich z kim kontestować.

Wiktor pobłażliwie pokiwał głową na moje tłumaczenia.

– Ale chyba zgodzisz się spędzić je ze mną w Paryżu?

– W Paryżu?!

– A dlaczego nie? Czy to nie miejsce godne zakochanych? – W kącikach jego ust wciąż błędził ten uśmiezek. Znać było, że ta niespodzianka sprawia dużo radości zwłaszcza jemu.

Ja byłam oszołomiona.

– Jak to? Mam teraz zdecydować? Od razu?...

– Właściwie nie musisz: zdecydowałam za ciebie. – Puścił oko. – Wylatujemy w sobotę rano, wracamy w niedzielę wieczorem. Tylko my dwoje i zacne tło miasta. Spacery, knajpki, a wieczorem miły hotelik. – Roztaczanie tej wizji wyraźnie go ekscytowało.

Właściwie mnie też. Musiałabym być chyba głazem, by nie dać się poruszyć takim wizjom.

– To jak? Dobrze to wymyśliłem? – Wiktor nie byłby przecież sobą, gdyby nie oczekiwał zaraz pochwał.

– Bardzo dobrze. Tylko co ja zrobię z Irenką i psem?

– Właśnie dlatego psuję ci niespodziankę już dziś, żebyś zdążyła ich gdzieś ulokować.

Nie bardzo podobało mi się to lokowanie, lecz może nie wszyscy są tak wyczuleni na zabarwienia słów jak my – prawda? Przysunęłam się do niego i pogłodziłam po brodzie.

– Kochany jesteś, wiesz?

– Wiem – potwierdził kontent, zupełnie niepotrzebnie.

Gdy pojechał, zrobiłam paniczny przegląd szafy. Strojów. Butów. Torebek. Prognozy pogody dla Paryża wedle różnych źródeł. I wszystko wypadło źle. Obawiam się, że na tle paryżanek będę jak żywa reklama lumpeksu – ciuchy sprzed paru sezonów, z różnych parafii, może i tworzące fantazyjne zestawy na moje codzienne życie, ale do miasta *haute couture* nienadające się na pewno.

Buty z pozdzieranymi zelówkami. Torebki z tandetnej ekoskóry. A prognozy wzajemnie się wykluczające.

Wydobyłam zatem różne zaskórniaki. I – bardzo, ale to bardzo potrzebuję pójść na zakupowe łowy.

Nie poszłabyś ze mną? Nawet nie wiem, co się teraz nosi! Obawiam się, że redakcja „On Żyje” jest w kwestiach mody marnym autorytetem, nawet pomijając sutannę księdza dyrektora i habit Marii. Swoją drogą – powiedz, dlaczego głęboko wierzący i praktykujący ludzie tak chętnie ulegają szarościom i nijakościom? Na każdej niedzielnej mszy zachodzę w głowę, czemu falujący tłum wiernych składa się głównie z burych płaszczy, dzianinowych kamizelek, śliskich bluzek z kołnierzykami o niemodnym kształcie – nie mówiąc o butach mężczyzn: smutnych, skrajnie antyseksownych, o koszmarnych przeszyciach i noskach...

Dlaczego jesteśmy tacy smętni?! Przecież On żyje, do licha!

Ja zaś jadę do Paryża. Miasta świateł. Stolicy Europy. Aaaaaaaaaa!

*Bonne nuit*

Madeleine

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 8.02.2015

Temat: Re: Obchodzę walentynki

Malinko,

nie obraziłam się, skądże. Po prostu dopadła mnie rzeczywistość – pourlopowe powroty zawsze są okupione intensywnym odpracowywaniem zakładowych zaległości. A ja jeszcze wzięłam dzień wolnego na wycieczkę turystyczno-krajoznawczą i czynienie obserwacji w środowisku naturalnym Jerzego. No i mam za swoje. Na rozmaite sposoby. Po kilku dniach patrzę na tę ekskursję ciut inaczej. Po pierwsze rzeczywiście nieelegancko tak się gościć w domu zamieszkanym także przez konkubinę kochanka (karkołomna konstrukcja językowo-społeczna, kojarzy się od razu z zapyziałym mieszkaniem na Szmulkach, do którego dociera się, pokonując lastrykowe stopnie na klatce, której ściany zabezpieczono olejną lamperią w kolorze musztardy sarepskiej...). Po drugie lokum to – dostatnie, czyste – zasiało we mnie niepokój (ř propos zasiewania, to możesz być ze mnie dumna: nie czas na ciężę teraz, faza cyklu całkiem niesprzyjająca. Kalendarzyk pozamałżeński skutecznie). Wiktor w swojej barokowej garsonierze otacza się bibelotami, dziełami sztuki, poleruje woskiem framugi i ściera kurze z ram obrazów. Wy z Irenką zapełniacie mieszkanie czworonogiem, klockami Lego, kolorowankami, zasuszonymi bukietami, świeczkami o zapachu poziomek, miękkimi jaškami. Ja w swoim domu kolekcjonuję



kwiaty doniczkowe, książki, odznaki z górskich wypraw, kartki pocztowe od znajomych i porcelanowe kubki. Siedziba Jerzego w leśnej głuszy wygląda jak dom pokazowy. Niezbędne szykowne minimum w guście doskonale bezpłciowym, kilka drobiazgów zdradzających zasobność portfela, lecz nie upodobania właścicieli. I tyle. Nie wyobrażam sobie tam nikogo z miską wypełnioną chipsami, siorbiącego gorącą herbatę z wielgachnego kubka ani polegającego pod pledem na kanapie z gazetą w rękę. Do tej pory uważałam, że dom (podobnie jak pies lub samochód) sporo mówi o właścicielu. Jeśli iść tym tropem, to Jerzy jest introwertycznym eremitą bez polotu i fantazji, melorecytującym przy goleniu: „Chodź, pomaluj mój świat na beżowo i jeszcze bardziej beżowo”... No chyba że to Dorota tak ma (jedyne doświadczenie poznawcze w tej materii pozwala snuć podobne przypuszczenie). Ale znowu – co by to mówiło o Jerzym? Czyż kobieta nie świadczy o mężczyźnie...? Jerzy ubiera się gustownie, z lekuchną nonszalancją. I komplementuje mój wygląd, zauważając niuanse. Hm...

No i jest jeszcze sprawa Daniela, co się fauną i florą w lesie opiekuje. Jerzy dość optymistycznie stwierdził, że afery z tego nie będzie. Pan leśnik jest spokojnym, nostalgicznym mężczyzną z wyglansowanym wąsem i sporą dozą sympatii do świata. Taki typ trochę dziwaczego samotnika. Czasem, rzadko bardzo, wpada do Jerzego na kawę, opowiadając o nornicach lub żywicy. Traktuję to jednak jak sygnał ostrzegawczy – romans doskonały nie istnieje. I tu przechodzę do kwestii ostatniej – *last but not least*, jak by to lekko i miło ujeli Anglicy, czyli do Piotra. Mam coraz mniejsze wyrzuty sumienia. Piotr ułatwia mi to zadanie, oddając się z lubością pracy. Zdaje się, że moje oddalenie psychiczno-fizyczne jest mu nawet na rękę. I w takim stanie ciała i ducha oboje chodzimy na terapię dla par...

A co do pracy, to wyobraź sobie, że w piątek siedziałam właśnie nad materiałem, który pójdzie z okazji Dnia Matki. Prosiliśmy czytelniczki, żeby dzieliły się z nami opiniami, wspomnieniami, refleksjami. Młodsze kobiety bardzo świadomie pisały o emocjach, miłości, więzi. Ale i o dzikim zmęczeniu, które wynika z tego, że realizują „projekt dziecko”, inwestując w niego mnóstwo czasu, pieniędzy i energii. Starsze zaś brały życie takim, jakie jest. Bez napinania się. To też mój model. Najpierw byłam perfekcyjną mamą, do której mogło pasować tylko perfekcyjne dziecko, a teraz odpuściłam. I nie odrabiam lekcji z Matysią, jako i ze mną nie odrabiano.

Mocno wierzę, że w życiu tylko własne błędy czegoś uczą i tylko samodzielnie osiągnięte sukcesy cieszą. Niech czas zrewiduje te opinie.

Paryż! Zastrześliłaś mnie. Mama zostanie z Irenką? Bardzo Wiktorowe zagranie, prawda? Aż dziw, że nie świętowaliście tej niespodzianki, zraszając jędrne truskawki perlistym szampanem. To zapewne zostawił już na wyjazd. Do tej scenki pasują koronki, lecz ten temat masz przez Wiktora zabezpieczony i obstawiony. Co do bardziej praktycznych ubrań, to ofiarowuję Ci się we wtorek po pracy na wspólne poszukiwania czegoś seksownego, gustownego, szykownego i chroniącego przed ziąbem. Może nie być łatwo, ale coś na pewno znajdziemy.

Całuję

Ja

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 12.02.2015

Temat: Przegląd zdobyczy, czyli od ekstazy do udręki

Jago!

Dziękuję Ci gorąco za asystę przy moim wtorkowym miotaniu się po sklepach. Zginęłabym bez Ciebie z kretelem w natłoku fasonów i kolorów, ostatnich krzyków mody i evergreenów, form podkreślających figurę i tych maskujących fałdeczki... oczopląs, oczopląs! Możesz się śmiać, ale gdy zamknęłam wieczorem oczy, pod powiekami wnet pojawiły mi się obrazy półek i wieszaków pełnych barwnych tekstylnych dóbr. Jest to świat, którego progów nie przekraczam zbyt często – nie mam ani czasu, ani głowy, a po

prawdzie także pieniędzy na zblazowane przechadzki po sklepach odzieżowych. Do tego jeszcze – wiesz? Zdrowy rozsądek zwykle burzy się we mnie wobec absurdalnie zawyżonych cen głupiutkich fatalaszków.

Znając aż za dobrze inny świat second handów, nie widzę powodu, by przepłacać za ciuch tylko dlatego, że będę jego pierwszym nosicielem, zwłaszcza że i tak wnet się zmechanici, rozciągnie lub popruje.

Jest w tym pewna spójność: wszak wszystkie ulubione mieszkania, i w Warszawie, i w Londynie, miałam z rynku wtórnego.

Znając Twą inteligentną złośliwość, dopowiem za Ciebie skojarzenie, które pewno Ci się nasunęło: mężczyznę mam również z drugiej ręki.

No cóż.

Sukienka, płaszcz, torebka i botki – wciąż oglądam nasze łowy i się nimi napawam. Ułożyłam je wszystkie na łóżku i dokładam do nich pasujące drobiazgi – wisior, szal (wszak zima!), fajne grube pończochy; dwie lub nawet trzy pary, wiadomo, jak bywa.

Ta moda na sukienki bombki, co za wytchnienie! Nie dość, że nie trzeba do nich szukać paska, to jeszcze dobrodusznie zamaskują brzuszki. Nawet objedzony sutą romantyczną kolacją.

Cieszę się na wyjazd i równocześnie mam tysiąc obaw. By niczego nie zapomnieć. By dobrze wypaść – ale bez nadmiernego spięcia. Rodzice i Irenka potraktowali mój wypad jako fajną okazję do spędzenia czasu razem; już sobie obmyślili taki plan weekendu pełnego wrażeń, że niemal im zazdroszczę. Przynajmniej to jedno załatwione bez pudła. Tymczasem ja wieczorami wertuję przewodnik, powoli dorzucam do torby podróżnej drobiazgi, które mogą mi się przydać, w przelotach między walizką a szafą popatruję w lustro i co rusz popadam w panikę. Czy nie wypadaloby się jeszcze wydepilować? Iść na mani- i pedikiur? Podciąć końcówki? Wyregulować brwi?...

I dalej, coraz bliżej popłochu. Czy ja mam choć jedną seksowną koszulkę do spania? *Nie* w kratkę, *nie* z flaneli i *bez* Snoopy'ego?... Bingo, zgadłaś.

Nie mam. Wziąć Snoopy'ego *do Paryża*?! Wykluczone.

Sama widzisz, rozdierają mnie dylematy na miarę Hamleta, tyle że w wersji kobiecej – czyli bardziej skomplikowane i z piekielną wielokrotnością wyboru. Na drogę dzinsy czy spódnica? Na głowę czapka czy przepaska z ekofutra? Ile kupić euro? To ostatnie z kolei ściśle się wiąże z wyborem postawy: beztrąsko i pogodnie dawać za siebie płacić czy spazmatycznie i honorowo rzucać się po każdej kawie do portmonetki? Och, Jagodo, czuję się tak nieświatowa i zahukana... Sama przyznasz, że wobec moich zmartwień Twój zamęt małżeński i poza, nawet z wąsatym leśnikiem w tle, to po prostu pestka.

Z nizin swej nieświatowości pozdrawiam Cię prymitywnie

Malizna

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 13.02.2015

Temat: KobiECE powinności

Malinko,

widzę, że wielki świat mody Cię pochłonał! I słusznie, słusznie. Wiesz, że nie jestem zwolenniczką wydawania astronomicznych kwot na ubrania. Mam jednak silne poczucie, że dbałość o powierzchowność jest estetycznym obowiązkiem wobec bliźnich. Nie znajduję w sobie zrozumienia dla abnegatów płci obojga. No, wyjątkowo przystojny facet może sobie pozwolić na nonszalancję typu kilkudniowy zarost i podarte dzinsy, ale u kobiet to nie działa. Zupełnie nie. Kobieta musi mieć wyregulowaną brew (tak! Zrób to!),

spacyfikowane świecenie na twarzy, wydepilowaną znakomitą większość włosów, podkreślone oko, ukrytą siwiznę. No i umiejętnie zatuszowane braki, a wyeksponowane walory sylwetki. Takie podejście do swojej fizyczności to nie przejaw próżności, lecz dopuszczenie do głosu instynktu samozachowawczego. Bo choć facet z rynku wtórnego, to będzie szukał partnerki, która jest chodzącą reklamą kobiecości (że mądra, inteligentna, zaradna – to oczywiste, wspominać nie ma po co). Piszę Ci to jeszcze w emocjach – plotkarskich emocjach. Wyobraź sobie, że dziś nastąpiła dekonspiracja Troglodyty. Przed południem w celach romansowych odwiedziła go psycholożka. Zniknęła w jego gabinecie i byłoby im miło, gdyby nie fakt, że mniej więcej kwadrans później do pracy dotarła jego żona. Co się działo za drzwiami gabinetu, trudno powiedzieć. Jedno jest pewne – burzliwe sceny miały tam miejsce. A potem było jak w dramacie i komedii (kiepskiej) zarazem. Drzwi się otworzyły, wypadł zza nich Troglodyta, szybkim krokiem, ratując resztki godności, przemieścił się w kierunku wyjścia. Po dłuższej chwili z pokoju wyszły obie panie. I tu przechodzimy do meritum. Trudno sobie wyobrazić większy kontrast: psycholożka jak z żurnala – szczupła, smukła, w idealnie dopasowanych dzinsach, jasnoszarej koszuli podkreślającej opalony odcień skóry, z pięknymi, starannie ułożonymi blond włosami, subtelnym, acz widocznym makijażem. O obcasach wysmuklających nogi, pomalowanych paznokciach, zapachu perfum nie wspominając. Pani Troglodytowa zaś – odziana w spódnicę na gumce długości ciut za kolano, zbyt obszerny sweter w kolorze cielistym, buty na płaskim obcasie (na pewno wygodne). Włosy spięta w nieporadny kucyk, z biżuterii miała tylko obrączkę. I choć było mi jej żal, prawdziwie żal, i choć wzbudziła we mnie poczucie winy (w osobie pani psycholog zobaczyłam siebie), to nie zadałam sobie pytania: jak on mógł. Przyczyna była widoczna gołym okiem. Tak, mężczyźni są wzrokowcami...

Dokompletuj zatem garderobę, by w odpowiednim momencie Wiktor mógł ją zdekompletować.

No i zdaj relację zaraz po powrocie!

Ściskam

J.

PS. Moje walentynki nie będą tak wystrzałowe. Choć panów dwóch, żaden nie świętuje, zdaje się. Co nawet mnie cieszy. Znowu dopadają mnie wyrzuty sumienia – święto miłości, a ja ją tak brukam kłamstwem. Ech.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 14.02.2015

Temat: Z lotniska

Pssst! Jago, nadaję z telefonu, z lotniska.

Pierwsze, najważniejsze – to się dzieje naprawdę! W ciągu godziny wylecimy. Wiktor naprawdę kupił bilety, nic się tu Malinie nie przyśniło. Jesteśmy już odprawieni (musiałam ściągać botki – masz rację, bycie zadbaną kobietą o pedikiurze widocznym pod pończochą to wielka przyjemność!). A teraz Cię żegnam na całe dwa dni i obiecuję relację po powrocie.

Życz mi *bon voyage*!

Twoja M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 16.02.2015

Temat: Spokój po burzy

Paryska Malino!

Pewnie jeszcze jesteś cała w emocjach po tej romantycznej wycieczce. Miłość w stylu francuskim, *mon Dieu!* Czekam cierpliwie na relację. Zdziwisz się pewnie – ja i cierpliwie? Wyobraź sobie jednak, że to możliwe. Piątek upłynął mi na przewijaniu w głowie filmu ze scen, które Troglodyta i jego dwie panie zafundowały pracownikom redakcji. Jak się domyślasz, do końca dnia wszyscy żyli tylko tym skandalikiem. Oczywiście podzielili się na dwa obozy: obrońcy uciemnionej żony i empatyczni zwolennicy Troglodyty. Stopień stereotypowości sądów wypowiedzianych przez obie strony był wysoki:

„Podły typ. Oddana kobieta wychowuje mu w domu czwórkę dzieci, a on się łajdaczy z tą wywłoką”.

„Raz spojrzysz na tę kobietę (psycholog) i już wiesz, jaki to typ. Nie ma dla niej nic świętego”.

„Czemu się dziwi (o żonie)? Jak się można tak zaniedbać?”.

„Co za sztampa! Ładna blondyna, a on już o przysiędze zapomniał!”.

„Kobieta przy mężu – to się zawsze dla niej źle kończy”.

I tak dalej. Przysłuchiwałam się, bo interesowało mnie to z różnych powodów. Oczywiście jest oczywisty, a drugi to taki, że na najbliższym kolegium redakcyjnym mieliśmy omawiać tematy do numeru czerwcowego. I na mojej liście (szczęście, że przesłanej Troglodycie przed kilkoma dniami) były romanse w pracy. Przeprowadzałam więc kwerendę, można powiedzieć. I w ramach tych badań wstrzeliłam się w potok opinii, pytając: „A może oni się w sobie zakochali po prostu?”. Nastąpiła cisza. A potem – co ciekawe z obu obozów – padały powątpiewające: „phi, zakochali, a ile lat oni mają”, „zakochali od razu – o seks tu chodzi”, „zakochaniem nie da się wszystkiego wytłumaczyć”. I co Ty na to, Malino? Czy to jest tak, że w naszym wieku zakochanie już nie uchodzi? To przywilej młodych i głupich? (Starzy i głupi zwyczajnie zdradzają i już?). Czy jednak takie porywy serca i ciała łącznie się zdarzają, tylko znakomita większość boi się to głośno powiedzieć, bo: są katolikami, mają twarde (prawicowe) zasady, mają nijakie związki i z zawiści będą negować fakt zakochania u innych? Niby banalna sprawa, a jak się głębiej poskrobie...

Kolegium nie wzbogaciło mnie o żadne nowe przemyślenia, bo się nie odbyło. Troglodyta przekazał sekretarce, że jest na zwolnieniu. Lekarskim. Trochę mu nawet współczuję.

Ta jego spektakularna wtopa sprawiła, że przypomniałam sobie o Danielu – leśniczym, który nas przyuważył podczas (obiecuję Ci – pierwszej i ostatniej) mojej wizyty u Jerzego. Był też dodatkowy powód. W niedzielę Jerzy napisał mi, że pod jego nieobecność leśniczy Daniel odwiedził Dorotę. Nie po to jednak, żeby nas wydać. Przywiózł młode buczki, bo Jerzy w dawnej rozmowie wspominał, że żywopłót z buczyny jest taki ładny. Przedziwne zaiste. Może te patyki z korzeniami w ilości hurtowej to jak koperta z kulami od mafii, czyli sygnał ostrzegawczy? Ale chyba jednak nie. Konkubina, opowiadając o tej wizycie, stwierdziła, że pan Daniel był niezwykle uprzejmy. Chcąc się zrewanżować za podarek, zaprosiła go na zieloną organiczną herbatę i chleb własnego wypieku. A on był zachwycony, bo ekologiem jest nie tylko z zawodu, lecz przede wszystkim z zamiłowania.

Rozumiesz coś z tego?

Co do walentynek. Piotr jednak je obchodzi. My z Matyśką dostałyśmy hiacynty, Jeremi – kaktusa (żeby mu nie było przykro, kiedy zwiędnie,



zaschnie i umrze – taka logika). Wariant rodzinny, holistyczny.

Jerzy asekuracyjnie dopytał, czy święto uznaję i poważam. Ostrożnie odparłam, że może mnie spróbować przekonać do celebry. W związku z tą odpowiedzią Jerzy zapytał, na kiedy ma zarezerwować hotel.

No to pisz o tym Paryżu.

Całuję

Jaga

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 17.02.2015

Temat: Jak w filmie

*Chérie* Jagoda,

jak opisać ten wyjazd, tak cudowny, aż prawie nierealny? Zrobić to muszę. Raz, by zaspokoić Twoją ciekawość, dwa – by sobie zachować gdzieś to wspomnienie i się cieszyć na starość, jak to się za młodu bywało. (Za młodu, czy Ty mnie słyszysz?... Uch!).

Wkrótce po ostatnim lotniskowym mejlu do Ciebie oraz telefonie do mamy i Irenki wsiedliśmy na pokład i wznieśliśmy się w przestworza. Tak dawno nie leciałam z kimś, do kogo można się przytulić, zapaść w miękkie fotele, cieszyć ze wszystkiego, nawet ze wspólnego lotu, początku naszej przygody. Wiktor swoim zwyczajem szeptał mi do ucha, co chciałby ze mną robić na pierzastych chmurach, które oglądaliśmy razem przez okienko. Jego ciepły

oddech łaskotał mnie, tak że chichotałam – bardziej od łaskotek niż od treści – co z kolei jego wprawiało w dobry humor. Ponoć umieć rozbawić swoją kobietę to punkt dla mężczyzny.

Wylądowaliśmy w południe. Przedostaliśmy się z lotniska do hotelu, by zostawić bagaże w przechowalni (nie dane nam było jeszcze zobaczyć pokoju). Stamtąd ruszyliśmy na podbój miasta – w samą porę, by w jednej ze stylowych knajpek zjeść wczesny obiad. Był drogi, mały i smaczny.

Przy jedzeniu ustalaliśmy, co obejrzymy, a z czego będzie trzeba zrezygnować – „tym razem”, jak wielkodusznie wyraził się Wiktor. Uzgodniliśmy, że zaczniemy od tego, co dla Wiktora było najważniejsze, czyli od Montmartre’u. Bardzo liczył na to, że w którejś z nieprzebranych galerii sztuki kupi coś ciekawego do swego nowego starego mieszkania. „Tak tam wciąż jest łyso” – poskarżył się, a ja zakrztusiłam się winem.

Montmartre okazał się tętnić życiem także zimą. Uliczni malarze zagarniali mnie spojrzeniami i namawiali na portret, grajkowie uśmiechali się i popisywali. Wiktor gorączkowo wypatrywał jakiejś zdobyczy. Ja – zupełnie niegorączkowo cieszyłam się z bycia tam.

Spędziliśmy półtorej godziny na wstępowaniu do kolejnych galerii, w końcu nie mieliśmy już gdzie wstępować, bo ich drzwi i witryny, jedno po drugich, zasłaniały się grubymi kratami i dzień pracy się kończył. Uroki soboty poza sezonem... Wiktor był niepokieszony, ja w skrytości oddychałam z ulgą, że nie utopimy w zatęchłych rupieciarniach całego popołudnia.

Przejechaliśmy metrem do katedry Notre Dame, która z kolei była moim celem. Najpierw obejrzeliliśmy ją z zewnątrz, potem weszliśmy do środka przez poważny portal z Sądem Ostatecznym. Przekraczając progi świątyń, zwłaszcza gotyckich, mam poczucie wstępowania do świata innego porządku. Światło dnia przygasa, rozmowy cichną, a symbole dawnych budowniczych, malarzy i rzeźbiarzy zaczynają snuć swą opowieść o Bożej wielkości i niebezpieczeństwach grzesznego życia. Wszystkie te marmury wyłobione milionami kroków, poczerńiałe obrazy, mementa mori, lampki wieczne, zdobne, nieużywane dziś ambony – wszystko to kryje tajemnice dawnych wieków: wiernych, świętych, grzeszników i kaznodziei... Nie umiem się powstrzymać od rozmyślań o tych, co tu kiedyś przychodzili. O co

się modlili, z czego spowiadali, czy przynosili Bogu miłość, czy trwogę. Nieodmiennie też nachodzi mnie pytanie: jak ludzie średniowiecza mogli się poważać na wznoszenie tak niebotycznych budowli? No jak, Jago?

Usiadłam w ławce i kontemplowałam. W tym strzelistym wnętrzu, przepełnionym barwami witraży i niewyobrażalnie dużej rozety, zapachem świec i przytłumionym echem, mogłabym spędzić godziny. Tym razem wszak mój ukochany pilnował czasu.

– Idziemy? – Zawiercił się i mrugnął do mnie czarnym okiem. Pierwszy raz byliśmy razem w kościele. Ech, gdyby znać jakąś czarodziejską formułę przywiązania, która wypowiedziana w stosownym, świętym miejscu miałaby moc łączenia ludzi na amen...

Stop! Kościół *ma* taką formułę. Nazywa się: ślub kościelny. Nie będzie nam nigdy dany – przywołałam się do porządku i dźgnął mnie mały sztylecik smutku. Nieco ciężiej dźwignęłam się z ławki i wyszliśmy z powrotem do ziemskiego życia.

Przeszliśmy do Pont Neuf i dalej, wzdłuż Sekwany w stronę Luwru, by go zobaczyć choć z zewnątrz. Obejrzenie samych tylko interesujących nas zbiorów zajęłoby tyle czasu, że zwiedzanie Luwru odrzuciliśmy już na wstępie. Do „następnego razu”... Niezobaczenie muzeum Wiktor zrekompensował mi opowieściami o swych ulubionych malarzach. Ja też mam swoich ulubionych – wywiązała się nam z tego ciekawa dyskusja w dobrym rejestrze – bez zażartego bronienia swoich gustów, a raczej z życzliwą ciekawością wobec upodobań drugiego.

Och, możesz się śmiać – lecz czułam się tak światowo, prowadząc uprzejmą dysputę o sztuce z przenikliwym rozmówcą o idealnie klasycznym profilu, a wszystko to w *Paryżu*, gdzie przyjechaliśmy uczcić naszą *miłość*!

Do tego, *last but not least*, ja nieskazitelnie zadbana, w szykownych botkach, stukając (umiarkowanymi) obcasami, w modnym płaszczu i z pachnącą skórą nową torebką. Zdecydowanie ja także wreszcie wykaraskałam się z wcielenia zdradzonej żony i przeobraziłam w *partnerkę*. Zaiste biada wam, biedne panie Troglodytowe...

W objęciu, w rozmowie i w czułych przekomarzeniach dotarliśmy do ogrodów Tuileries. W zimowym parku Wiktor rozpoznawał bezlistne sylwetki ulubionych drzew i krzewów. Opowiadał mi o ich uprawianiu, przycinaniu i stosownej pielęgnacji, od czego płynnie przeszedł do opisu własnego, porzuconego ogrodu. Siedliśmy na jednej z ławek, oparłam mu głowę na ramieniu. Drobne, piękne chwilki...

Gdy zmierzch pozapalał pierwsze latarnie, ruszyliśmy dalej, do Pól Elizejskich – szerokiej, pompatycznej alei z Łukiem Triumfalnym w tle. Szliśmy nimi tylko kawałek, bo jazgot aut i ruch uliczny nie zostawiały zbyt wiele miejsca na romantyzm.

Po lewej stronie zapłonęła wieża Eiffla, co przypieczętowaliśmy soczystym pocałunkiem. Od razu powzięliśmy ochotę, by się znaleźć tuż przy niej. A może także na niej?

Dotarliśmy tam późno, ale w niczym nam to nie przeszkadzało – a już najmniej w wyznaniach i uściskach. W końcu głód i coraz bardziej przenikliwy ziąb doprowadziły nas do kolejnej stylowej knajpki. Z głośników płynął Charles Aznavour, z karafki przednie chablis; wkrótce też pojawiły się przystawki, a potem dania główne. Dla mnie najznakomitszy stek z tuńczyka, jaki kiedykolwiek jadłam! – miękki, rozpływający się w ustach, zdjęty z grilla w idealnym momencie. Do tego sałata z winegretem jak się patrzy. Delicje!

Ciepło, jedzenie, wino i widok wpatzonego we mnie Wiktora, a jakby tego było mało, jeszcze perspektywa spędzenia z nim nieprzerwanie tego dnia, nocy i dnia następnego – wszystko to roztkliwiło mnie i rozbroiło. Dlatego musisz mi wybaczyć idiotyczną scenę, o której za chwilę.

Gdy kelner zabrał talerze i przyjął od Wiktora zamówienie na dwie kawy i dwa *crème brûlée*, ogarnęło mnie przyjemne rozprężenie. Umościłam się głębiej na kanapie. Poczułam błogość i trawienną senność. Wiktor przyglądał mi się z uśmiechem, po czym wyznał z błyskiem w oku:

– Mam coś dla ciebie. – I powoli sięgnął do kieszeni płaszcza.

Zalało mnie tsunami emocji. Więc po to ten Paryż!... Wigilia walentynek,

wyborna kolacja w sercu miasta świąteł!... Czyż to nie wspaniała oprawa oświadczyn, tak bardzo w stylu mego dbającego o szczegóły Wiktora?!

Pudełeczko z brylantowym cackiem musiało uwięznąć w kieszeni, bo Wiktor wysuptywał je dłuższą chwilę. Przez niecałą minutę zdążyłam pomyśleć o: fasonie pierścionka, pewnie klasyczny, jak cały kochany Wiktor; jego rozmiarze, czy będzie pasował jak ulał? – byłaby to doskonała wróżba; o ślubie, czy wyprawimy go od razu, czy poczekamy do lata, a może nawet do jesieni? Jesienne śluby są takie piękne, gdzie zamieszkamy? – trzeba by wznowić te poszukiwania mieszkań w odnowionych kamienicach... Jeszcze rzut oka na dłonie – co za szczęście, że jednak położyłam hybrydę na paznokcie!

W końcu się udało. Wiktor wyciągnął nad stolikiem rękę, wskazując mi gestem, bym podała mu swoją.

Wysunęłam przed siebie uroczyście dłoń jak łabędź, jasną i skromnie złożoną, wszystkie palce razem, lekko w dół, japońska księżniczka.

Wiktor uśmiechnął się szerzej, ujął moją dłoń w swoją drugą, przekręcił, otworzył i położył na jej środku mały przedmiot.

Och!...

– Co TO jest???

– Breloczek z wieżą Eiffla! Na pamiątkę dzisiejszego dnia! Kupiłem ci go w kiosku pod samą wieżą, gdy poszłaś do toalety – wyznał, żądny pochwał.

Nie wytrzymałam, Jago, napięcia. Najpierw załała mnie wściekłość na własną głupotę – jakie oświadczyzny, do cholery?! Przecież on się nawet nie rozwiódł, co też mi odbiło?! – a potem, niestety, potok łez.

Mina Wiktora mówiła wymownie, iż spodziewał się wszystkiego, tylko nie łez.

– Co się stało???

Musiałam coś szybko wymyślić. Oraz się opanować: powoli zaczęliśmy

zwracać na siebie uwagę innych biesiadników.

– Kochanie, to tylko wzruszenie... tak się cieszę, że jesteśmy tu dziś, razem... – Załkałam w serwetkę. – Wspaniale to wymyśliłeś. – Nie było lepszego sposobu na odwrócenie uwagi Wiktora *nawet* od zalanej łzami *jego* kobiety niż sprowadzenie tematu rozmowy na niego samego.

– Prawda? – Rozczarowująco łatwo złapał haczyk. – A ty tak dobrze umiesz to docenić. Sprawianie ci niespodzianek to czysta przyjemność – rzekł, i wtedy rozryczałam się jeszcze bardziej.

We francuskiej restauracji – jak w życiu. W tej właśnie chwili bezszelestnie podszedł do nas kelner z kawą i deserem. Pachniały bardzo apetycznie. Wytarłam oczy i nos, dyskretnie zbadalam makijaż w małym lusterku, zastanawiając się, czy wypada przeglądać się w lusterku w restauracji – właściwie nie wiem. Wodoodporny tusz trzymał się dziarsko, reszta robionego rano makijażu praktycznie już nie istniała. Może to i lepiej.

Upiłam łyk kawy, przełamałam łyżeczką spieczoną skorupkę karmelu i wzięłam kęs kremu.

Poczułam się jak dziecko udobruchane słodyczami.

Bardzo dobrymi słodyczami.

Tak dobrymi, że po półgodzinie wychodziliśmy z lokalu w zupełnie miłych nastrojach. Poszliśmy prosto do hotelu. Odebraliśmy klucze i nasze gniazdko na tę noc stanęło przed nami otworem.

„Gniazdko” to całkiem trafne określenie. Jeszcze lepszym byłoby może „dziupła”. Pokój był tak mały, że mieściły się w nim tylko łóżko i dwie nocne szafki. Przed łóżkiem pozostawał skrawek podłogi, żeby móc doń dodreptać. Równie mikroskopijna była łazienka. Ale – jak by tu zgrabnie zamknąć temat tej nocy? – pomieszciliśmy się...

Ranek zaczęliśmy jeszcze jedną próbą „pomieszczeń”. Hotel nie oferował śniadań, więc po wymeldowaniu się poszliśmy do najbliższej *boulangerie* na przepyszne croissants z dżemem i czekoladą oraz latte. Planem na ten dzień

był cmentarz Pčre-Lachaise. Wiktorowi bardzo zależało na znalezieniu grobu Jana Nektariusza. Bagaż nas spowalniały, lecz obliczyliśmy, że wracanie po nie do hotelowej przechowalni zabrałoby nam zbyt dużo czasu.

Cmentarz pełen przeszłości, spowity bluszczem, ocieniony starymi drzewami, wprowadził mnie w stan zadumy. A raczej tego, co Portugalczycy określają mianem *saudade* – owej mitycznej melancholii; smutnej, tęsknej, niezbędnej składowej pełni szczęścia. Szliśmy pod rękę, niespiesznie, ciągnąc za sobą małe walizki. Dużo milczeliśmy, każde zatopione w swoich myślach. Po tych dwóch dniach Wiktor wydawał mi się bliższy niż kiedykolwiek.

Poza Nektariuszem, świeć Panie nad jego duszą, kimkolwiek był – Wiktor tłumaczył mi, kto zacz, lecz moja uwaga była wtedy skupiona na płaczących kamiennych aniołach – odwiedziliśmy jeszcze wieczyste kwatery paru znanych osób – Chopina, Mickiewiczowej, Modiglianiego – i już trzeba było jechać na lotnisko.

Wieczorem wylądowaliśmy w Warszawie, która naraz, mimo zmroku, wydała mi się szara, niejednorodna, pomazana sprejami. Pożegnaliśmy się, dziękując sobie za tak dobry wspólny czas – i popędziłam taksówką po Irenkę.

Wieczorem spałyśmy razem w moim łóżku – zwyczaj, który kultywujemy nawet po krótkich rozłąkach. Ona szczebiotała mi o poranku w kinie Praha i o robieniu z babcią babeczek, ja jej o wieży ze stali i świecieł.

– Zabierzesz mnie tam kiedyś? – zapytała sennie i ufnie.

– Oczywiście, kochanie. – Przygarnęłam ją do siebie i już po chwili oddychała najmiłszym na świecie odgłosem śpiącego spokojnie dziecka.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 18.02.2015

Temat: Re: Jak w filmie

Malino,

zaczytałam się w Twoim mejlu. Ależ z niego romantyzmem powiało! Pozazdrościłam Ci. Ale tak serdecznie, co przecież wiesz. I nawet nie samego Paryża, który znam, ale tej aury wspólnej podróży: takiej dorosłej, natchnionej, naznaczonej namiętnością. Cholera, nigdy nie zaznałam tego z Piotrem. Teraz jesteśmy na innym etapie: są dzieci. Kiedy pakujesz pampersy, niekapki, śliniaki, ukochany kocyk i plecaczek w kształcie misia, romantyzm się po angielsku ulatnia, ustępując miejsca pragmatyzmowi. Ale przecież przez kilka pierwszych lat małżeństwa byliśmy zupełnie wolni. Nic, tylko kupować koronki, szeptać w samolocie sprośne słówka, w kameralnej kafejce snuć plany na późny wieczór, a późnym wieczorem je z zapamiętaniem uskuteczniać. Tymczasem my wsuwaliśmy na stopy wygodne trampki, garderobę mieliśmy bliźniaczo podobną: dzinsy, T-shirty, polary. Palce, zamiast się romantycznie splatać, sprawnie kartkowały przewodniki Lonely Planet. Noc zaś służyła regeneracji przeciążonego zwiedzaniem organizmu. Jedyna moja przewaga nad Tobą – na mojej dłoni pobłyskiwał już zgrabny brylancik.

Byłam skłonna podejrzewać Wiktora o walentynkowo-paryskie oświadczenia. Oczami wyobraźni widziałam, jak wstaje z kawiarnianego krzesła, pada przed Tobą na kolana i z perfekcyjnym uśmiechem mówi: „Teraz i na wieczność zostań moją żoną”. Wyciąga z kieszeni aksamitne pudełko obciążone welurem w kolorze głębokiej czerwieni, a z niego skromny, lecz szlachetny pierścionek z brylantem (koniecznie secesyjny). Drżącymi dłońmi wsuwa go na Twój palec i roni łzę wzruszenia. Oklaski. Kurtyna.

Potem Ty oczywiście wszystko psujesz, subtelnie dopytując o procedury ślubu, gdy pan młody jeszcze (już) żonaty.

Zdaje się, że atmosfera Paryża zakręciła Ci w głowie...



A ja, wyobraź sobie, mam teraz inne marzenie. Nie tęsknię już za byciem tylko we dwoje z ukochanym mężczyzną. Uświadomiłam to sobie, czytając końcówkę Twojego listu – ten fragment o równym oddechu Irenki, ufnie w Ciebie wtulonej. Tak, zdecydowanie chcę obu tych spełnień: wymarzony facet, romantyczny i pragmatyczny w równych proporcjach, oraz szczęśliwe dzieci dopełniające tę sielankę. Kobięca intuicja podpowiada mi, że najlepszym spoiwem byłoby wspólne dziecko. Z Jerzym. Na tym polega dobór naturalny: ciało podpowiada, z kim warto mieć potomstwo. A moja głowa zgadza się z moim ciałem.

Od romansu do rodziny. I to wielodzietnej. Chyba hormony wzięły mnie we władanie.

Ściskam Cię

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 20.02.2015

Temat: Homeostaza

Jago,

dzieci to skarb i sens. A mimo wszystko mnie zaskoczyłaś... Pragnienie dziecka z Jerzym stawia przede mną Wasz związek w innym świetle – głębszym, poważniejszym. No, no... Będę musiała jeszcze o tym pomyśleć.

Tymczasem zaś opowiem Ci historyjkę z innej, jak to u mnie, parafii.

Dziś wieczorem z nurzania się z lubością w świeżych wspomnieniach wyrwał mnie dzwonek do drzwi. Była to moja holistyczna sąsiadka Danka – wspominałam Ci o niej?

Danka długo nie mogła dojść ze sobą do ładu po utracie pracy. Do szukania nowej najpierw zabrała się z werwą, potem, w miarę upływu czasu, werwa – podobnie jak oszczędności – topniała. Danka coraz mniej pewnie wysyłała kolejne CV. Nikt jej nie zapraszał nawet na wstępne rozmowy kwalifikacyjne. Sytuację rodzinną też ma nieciekawą – mąż obibok, zbuntowany nastoletni syn, wzorem ojca kompletnie nieciekawym wyzwaniom na rynku pracy. Widzisz, dzieci nie zawsze dojrzewają po naszej myśli...

Minęło pięć miesięcy, odkąd zredukowali jej etat. I otóż wystaw sobie, na początku grudnia ta dziarska kobiecina zaczęła jakieś szkolenie z urzędu pracy. Organizowała je firma, która najpilniejszym uczestnikom, o pełnej frekwencji na zajęciach, fundowała dwa spotkania z coachem. Trudno w to uwierzyć, bo ja i Ty pozostajemy na coaching niepodatne – Danka wszak, szczęśliwie dla siebie, dała mu się przestroić. Trener wypytał, czym się Danka interesuje prywatnie. To ją zbiło z tropu, bo myślała, że będą rozmawiać tylko o sprawach zawodowych. W przypiływie szczerości czy też desperacji wyznała mu, że medycyną naturalną. Ten się ucieszył i począł indagować, czy dysponuje wiedzą i umiejętnościami, czy też jest amatorką. Okazała się amatorką, ale gorliwą i otwartą. Od słowa do słowa, w ciągu ledwie dwóch ufundowanych sesji, ukuli plan kursu refleksoterapii i otwarcia pokątnego gabinetu. Coach, widząc kontent, że się dała przekonać do zmiany obszaru poszukiwań pracy, pokierował ją na taki kurs, przekonał do inwestycji w siebie i skusił wyliczeniem przyszłych zysków.

Danka się zapaliła. Od stycznia, nie bacząc na kpiny domowników, chodziła na kurs, poznając kolejne warstwy map twarzy z punktami odpowiedzialnymi za poszczególne organy – oraz metody ich uciskania, stymulowania i rozpoznawania napięć. Przemiana zaczęła się od samej Danki. W każdej wolnej chwili zakuwała wiedzę zdobytą na wykładach. Głowa pęczniała jej od zdobytego wtajemniczenia, pierś w miejsce jesiennego przygaszenia na powrót wypełniły duma i wiara w siebie. W zeszłym tygodniu poczęła się rozglądać za twarzami do ćwiczeń, by jej urzędnicze paluszki nabrały biegłości w rozeznawaniu zdrowych tkanek i punktów alarmujących, że

gdzieś w organizmie gore.

Mąż i syn odpadali. Zwróciła się więc do sąsiadek, w tym do mnie, byśmy jej udostępniły facjaty do darmowych wprawek w masażach. Tak zebrała wianuszek chętnych.

Ja się trochę wahałam. Wiesz, że nie dowierzam takim praktykom. Nie zaglądam z rzekomymi wrózkami w przyszłość, nie wierzę w czakramy, numerologię, dlaczego więc miałabym się poddać refleksoterapii?

Otóż w imię wyższego dobra – wyjaśniłam sobie, gdy tak rozważałam w duchu, czy się zgodzić, czy nie. Nie muszę w to wierzyć, ważne, że ona wierzy i że jej to pomoże stanąć na nogi.

Jesteś ze mnie dumna?

Zapowiedziałam więc, że zgoda, ale będę dostępna dopiero po tym weekendzie.

I oto Danka zapukała z pytaniem, czy możemy dziś.

Nie znalazłam godnej wymówki. Irenka już spała, ja siedziałam sama z Listą Przebojów Trójki.

Niech będzie.

Danka, bardzo rada, skoczyła na chwilę do siebie, po czym wróciła z naręczem woskowych świec, olejkiem i kocykiem. Zupełnie jakbym nie miała w domu kocyków!

Zapaliła świece, spytała, czy możemy ściszyć radio. Ściszyłam. Poleciała mi ułożyć się na kanapie, sama usiadła za mną na krześle. Miodowy zapach świec bardzo mi się spodobał. Zamknęłam oczy i poddałam się masażowi.

Palce Danki najpierw zaznaczały owal mojej twarzy, od brody do czoła, obiema rękami, po obu stronach. Naoliwiona skóra poddawała im się z łatwością. Potem opuszki zaczęły krążyć wokół oczu, nosa i ust łagodnymi, miękkimi ruchami. Świece pachniały, radio grało cichutko, Danka milczała. Pod kocykiem było mi ciepło i błogo. Na powrót oddałam się słodkim

wspomnieniom sprzed kilku dni.

Gdy masaż ustał, zdałam sobie sprawę, że chyba zapadłam w krótką drzemkę. Czułam się wypoczęta, wręcz rozanielona. Żałowałam, że spędziłam tę godzinę w sennej nieświadomości – to musiało być bardzo przyjemne...

– Jak się czujesz? – spytała Danka.

– Wspaniale – wymamrotałam nie do końca przytomnie. – A jak tobie się masowało? Jaką mi stawiasz diagnozę? – spytałam żartobliwie, bo przecież wiadomo, że do całej teorii map podchodzę z niewiarą.

– Wiesz... – zaczęła Danka – nic w tobie nie znalazłam! Szukałam i szukałam, wracałam wciąż do tych miejsc, w których wszyscy mamy pewne spięcia... wiesz, ośrodek stresu, spięty kark od pracy biurowej itepe. A u ciebie nic! Nul! Czytałam o takiej rzadkiej możliwości całkowitej równowagi organizmu. I wygląda mi na to, że właśnie ty ją masz. Homeostaza... – rzekła nabożnie. – I to w tak trudnej porze roku, w ziąb, pluchę, prawie bez słońca... Gratuluję i zazdroszczę – zakończyła z podziwem, na szczęście nie pytając o przepis na ten błogostan.

Podziękowałam jej za masaż, poleciłam się na przyszłość i krótko po tym, jak wyszła, położyłam się spać.

No, no. Homeostaza. Kto by pomyślał...

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 23.02.2015

Temat: Chybotliwa kładka

O, Malino, jestem pod wrażeniem. W pierwszej chwili pomyślałam, że być może sąsiadka Danka, jako świeżo upieczona adeptka nauk tajemnych, pomyliła się w diagnozie. Bo przecież równowaga nie jest elementem wysuwającym się w Twojej codzienności na pierwsze miejsce. Ale po chwili uznałam, że coś może być na rzeczy. Mimo rozmaitych zawirowań odnosisz się do życia ze zrozumieniem i akceptacją. Nie obrażasz się na ludzi i wydarzenia. Wyłuskujesz dobre rzeczy i cieszysz się nimi. Złe zostawiasz za sobą. Tak, taka właśnie jesteś. Nawet związek z Wiktorem traktujesz w ten sposób. Przycinasz marzenia do rzeczywistości – czy to dobra definicja?

Ja tak nie umiem. Uczucie rozedrgania, pędzenia za czymś nie do końca określonym towarzyszy mi od dzieciństwa. Zawsze chciałam więcej, pełniej, szybciej. Każdy kompromis wydawał mi się zgniły. Z wiekiem ten żar trochę się przytłumił, ale jego ciepło nadal mnie owiewa.

Dzisiaj zakończyliśmy terapię. Nasza pani przewodnik po życiu uznała, że nie mamy już czego przerabiać. Jesteśmy świadomi, mili i... się lubimy. Teraz wszystko w naszych rękach, by krok po kroku budować dobry związek. Poczulałam się tak, jakby poprzednich lat nie było, a pani psycholog przejęła rolę swatki. Miłość... Co to jest miłość? „Czy ty mnie kochasz? – Dwadzieścia pięć lat prałam ci, gotowałam, sprzątałam, rodziłam dzieci, dołam krowę... Przez dwadzieścia pięć lat żyłam z tobą, walczyłam, głodowałam, spałam z tobą. Jeśli to nie jest miłość, to co nią jest?”.

Piotr, gdyby się zastanović, może i ma coś z Tewjego. Ja niestety nie widzę u siebie podobieństw do Gołdy. I nie chodzi tylko o krowę.

Jak widzisz, znowu mnie dopadły egzystencjalne smutki i rozważania o sensie (raczej bezsensie) małżeństwa. Może dlatego, że Marysia, córka Jerzego, wychodzi za mąż. Wszystko zaplanowane od dawna – to będzie ślub dopracowany w każdym detalu. Państwo młodzi znają się chyba od przedszkola, mieszkają ze sobą od trzech lat, a teraz następuje *grande finale*. Jerzy bardzo to przeżywa.

– Mam nadzieję, że Marysi uda się wytrwać w dobrym małżeństwie przez całe życie. Mnie takie wyzwanie przerosło. – Tu nastąpiła smutna mina, dramatyczne westchnięcie i zamglony wzrok powędrował w odległą dal, by tam zawisnąć i nie nawiązać już kontaktu z rzeczywistością.

A mnie urosła gula w gardle.

– Nigdy nie jest za późno na zmiany. Może zamiast marudzić i tkwić w marazmie, zacznij zmieniać swoje życie.

Na co Jerzy, że to nie takie proste, że skoro jeden związek sakramentalny i jeden konkubinat nie wytrzymały próby czasu, to zapewne przyczyna tkwi w nim. Itepe, itede. Miałam wrażenie, że czeka, aż mu przerwę i zapewnię, że tym razem będzie inaczej. Że nam się uda, że my to co innego. Ale ja nie miałam ochoty tego robić, wiesz? Wyznać miłość, zaofiarować rękę i jeszcze zapewnić, że przeprowadzę nas na drugi brzeg suchą stopą? Co z tymi facetami, do cholery?

Twoja wzburzona Jaga

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 24.02.2015

Temat: Syndrom paryski

Co z tymi facetami, z ust mi to wyjęłaś!

Słyszałaś, Kochana Przyjaciółko, o syndromie paryskim?

O Paryżu zazwyczaj mówi się – i marzy! – w samych superlatywach, i zanim się do tego miasta przyjedzie, odczuwa się nieodparte pragnienie zobaczenia go. Niestety wielu ludzi po pierwszym kontakcie z tym wyśnionym ideałem przeżywa rozczarowanie. Doczekało się ono swojej nazwy: syndrom paryski, a dotyczy przeważnie Japończyków. Każdego roku pewna liczba Japończyków musi poddać się terapii z powodu szoku, jaki wywołał w nich

Paryż. Szok jest wynikiem rozczarowania.

Rzecz jasna, domyślasz się, że w moim przypadku miasto niczemu nie zawiniło, a mój syndrom równie dobrze mógłby się nazywać wiktoriańskim.

I słusznie się domyślasz.

Cały tydzień żyłam w homeostazie. Było mi lekko, czułam się piękna, kochana. Uprzytomniłam sobie, jak ważne są takie bodźce, wystrzałowe zdarzenia w życiu od czasu do czasu. Najmilej żyłoby się, gdyby występowały z jaką taką regularnością – no, ale...

W piątek Wiktor zaproponował, byśmy powtórzyli wspólny weekend, tym razem w Krakowie. Przypuszczam, że wybór padł na miasto z licznymi galeriami i antykwariatami, żeby przy okazji poszperać w ich zatechłych wnętrzach. A może nawet to był powód główny, a moje towarzystwo na doczepkę?...

Ucieszyłam się bardzo – lecz zapowiedziałam, że tym razem muszę wziąć z sobą Irenkę. Nie mogę – a przede wszystkim nie chcę – raz po raz zostawiać ją z rodzicami. Poza tym, jeśli mamy stworzyć coś trwałego, to chyba należy przywykać do myśli, że jest z nami dziecko.

Wiktor się rozzłościł. Spytał, jak sobie wyobrażam długie spacery z dzieckiem, pokój hotelowy z dzieckiem, romantyczną kolację z dzieckiem.

– Cóż – odparłam. – Wyobrażam sobie, że plany można nieco zmodyfikować. Tak właśnie, aby dziecko mogło w nich uczestniczyć i także spędziło z nami miło czas.

Wiktor jednak tego nie przyjmował. Oczywiście różnica polega na tym, że dla mnie to najbliższa istotka na ziemi, dla niego – tylko cudze dziecko. Ale czy w odwrotnej sytuacji ja poważylabym się tak kategorycznie odrzucić ideę jakiegoś wyjazdu z jego synami, których nie dane mi było jeszcze poznać? Znam odpowiedź, Jagodo. Dążyłabym do przyjaźni.

Koniec końców ja zostałam z Irenką w Warszawie, a on – na rzekomo wymyślony specjalnie dla nas wypad – pojechał sam.

W sobotę po południu zadzwonił cały w skowronkach, jakby zupełnie nic się nie stało, i zrelacjonował mi swoje łowy w antykwariatach (udało mu się coś wypatrzeć i dobić targu z właścicielem) oraz estetyczne doznania z wystawy sztuki nowoczesnej. Odpowiadałam niemrawo, zastanawiając się, czy naprawdę nie wyczuwa, że coś poszło nie tak, czy po prostu to wypiera.

Dla zajęcia myśli i rąk zaprosiłam na całą niedzielę trzy przedszkolne koleżanki Irenki. Piekłyśmy razem muffinki, potem je dekorowałyśmy, a jeszcze później jadłyśmy. Był też seans *Królowny Śnieżki*, śpiewanie piosenek i układanki. Słowem cały dzień miałam co robić, a nagrodą były mi uśmiechnięte buzie dziewczynek oraz opinia anioła u ich rodziców.

Wiktor wrócił w niedzielę wieczorem z bukietem wrażeń i interesującą grafiką. Ani razu nie padło: „Szkoda, że cię ze mną nie było”. Zastanowiłam się smutno, czy Paryż beze mnie też by mu się podobał.

Pewnie tak.

W prawdziwy dół wpadłam jednak wczoraj. Wiktor miał zawieźć grafikę do konserwatora, czuł jednak nieprzepartą ochotę, by się nią przede mną pochwalić. Ułożył zatem plan tak, żebym zdążyła po pracy pojechać z nim na Mariensztat, do pracowni konserwatorskiej. Zebrałam w sobie cały swój entuzjazm i postanowiłam nie rozpamiętywać niedoszęłego (dla mnie) Krakowa, tylko cieszyć się, że mój mężczyzna chełpi się przede mną swą zdobyczą. Ostatecznie taka zagrywka ma bardzo długą tradycję, nieprawdaż? Gdzieś tak od upolowanego mamuta.

Spotkaliśmy się pod moją pracą. Uchowaj Boże, nie tak po prostu pod – Wiktor parkuje zawsze w bocznej uliczce, żeby nikt z okien redakcji nie zdołał nas dostrzec. Na początku wydawało mi się to ekscytujące (smaczek konspiracji!), wczoraj jednak naraz zrobiło mi się przykro, że się musimy ukrywać, bo nasz związek jest nielegalny i w gruncie rzeczy wstydlivy.

Nim dotarłam do samochodu, uporczywa mżawka zmoczyła mi twarz. Do tego niemal na ostatniej prostej, kilka kroków przed drzwiami pasażera, nieopatrznie weszłam w kałużę. Po cienkim kozaczku rozeszła się zimna wilgoć, a na wierzchu utworzył się ciemny zaciek.



Mój wąły entuzjazm wnet ustąpił pola irytacji.

Wiktor był w szampańskim nastroju. Wydobył czarno-białą grafikę Wawelu z koperty i szczebiotał o jej walorach.

Upłynęło sporo czasu, nim spostrzegł moją apatię.

– To cię w ogóle nie obchodzi – rzekł z wyrzutem. – Przywykłem do tego, że kobiety mnie nie rozumieją, ale miałem nadzieję, że ty jesteś inna.

Ach, tak, kobiety? Garście, naręcza, fury kobiet, z których jestem tylko kolejną, w dodatku nie lepszą?... Rosła we mnie uraza. Chwył z mnogością kobiet nie był dobry. Byłam o krok od stosowanego latami zamilknięcia.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, wpadła mi w nozdrza nuta, nutka zaledwie zapachu perfum Wiktora. Woń, która tydzień temu wiodła mnie uliczkami Paryża, towarzyszyła mi za dnia i w nocy.

Zapach to zagrywka równie stara jak numer z mamutem – ponoć węch to nasz najstarszy, najprymitywniejszy zmysł. Trudno się więc dziwić sile jego oddziaływania: ugodził mnie prosto w czuły punkt, rozpuścił krzepnące, prawie już gotowe nabzdyczenie i przekonał, że to samiec, którego pragnę mieć.

Muszę więc umieć z nim rozmawiać.

Przełknęłam ślinę i zmusiłam się do wyjaśnień. Powiedziałam, jak mi było przykro, że pojechał sam, a nie z nami dwiema, że mi go brakuje w wymiarze codziennym, że Paryż był tak cudowny, że chciałoby się więcej – no a skoro mamy dzieci, to trzeba je brać pod uwagę. Może w końcu czas, bym poznała jego synów? Może zaplanujemy jakieś wyjście lub wyjazd razem? Może...

– Ja też mam swoje przemyślenia – przerwał. – Masz rację, Paryż był wspaniały. Spędziliśmy razem tyle czasu bez przerwy i nie zdarzył się nawet cień konfliktu. Mamy tę samą wrażliwość, ciekawość, lubimy spacerować, próbować nowych smaków, podobnie spędzać czas. Nawet wizualnie do siebie pasujemy.

Pochlebilo mi to. Zastanawialam sie, do czego zmierza.

– Przez tydzien po powrocie wszystko sobie poukladalem – ciagnal. – Wyjedzmy gdzie. Razem, tylko we dwoje. Zaczniemy nowe zycie. Oboje znajdziemy prace wszedzie. Odetniemy sie od tego wszystkiego tu, pobierzemy sie, bedziemy mieli wspolne dzieci.

Uzywalem prostych slow, a jednak moj mozg trawil je pomalu, jakby musial przekladac ich sens z obcego jezyka. Najpierw dotarla do mnie czesc o wspolnych dzieciach i nawet usmiechnalam sie w myslach, ze i Tobie dopiero co zaswital taki koncept. Potem z wolna przyswoilam pozostale zalozenia Wiktorowego „nowego zycia”.

– Bez... naszych obecnych dzieci? – Musialam cos zle zrozumiec.

– To jedyny sprawiedliwy ukklad. Ja nie zabiorę swoich, ty nie zabierzesz swojej. Przeciez oni maja matke, a ona ojca, niech wiec sie nimi zajmaja.

Mój umysl nadal przetwarzal dane z powolnoscia atari.

– Jak to bez dzieci? – zapytalam bezmyslnie.

– Nie martw sie. – Usmiechnal sie znacaco, co naraz wydal mi sie oblezne.  
– Zrobimy sobie nowe. Ile zechcesz. Jesli o mnie chodzi, moge ci je robic bez ustanku. Popatrz tylko, jakie bedziemy mieli ladne dzieci...

Cieplo, pachnace Wiktozem wnetrze samochodu stalo sie nagle duszne az do mdlosci.

– Musze isc – wymamrotalam pospiesznie i wysiadlam prosto w zimny deszcz. Nie ogladajac sie, pobieglam na przystanek i wsiadlam w pierwszy lepszy nadjezdzejacy autobus.

To byl palec Bozy z tym deszczem. Mozna nań bylo zwalic i dreszcze, które mną miotaly, i lzy, które ciekły mi po twarzy. Drzącą ręką wyłączyłam komórkę i nabrałam powietrza – raz, drugi i trzeci. Łzy zwalczyłam, ale dreszcze zostały. Na następnym przystanku przesiadłam się we właściwy autobus. Pół godziny później odebrałam Irenkę, wyszłam z Carlosem,

podgrzałam zupę – a wszystko to jak automat. W dodatku trzęsący się jak galareta.

Zaparzyłam melisę, potem herbatę z malinami. Wreszcie wydobyłam z szafki butelkę koniaku i wychyliłam kieliszek jednym haustem. Dopiero wtedy przeklęta drżączka nieco ustała. Zajrzałam do pokoju Irenki. Siedziała na dywanie, częstując misie pluszowym tortem.

– Proszę baaardzo, gła ciebie, misiu, i gła cieeebie... O, kochanieńki, a czy ty myłeś rączki?

Głupie łzy znowu pociekły mi po twarzy – z braku deszczu nawet nie było na co je zwalić.

– Chcesz dzisiaj spać z mamusią? – zapytałam mizernie.

Irence zabłyszczały oczy.

– Taaaaak! – I zaraz ciepłe rączki owinęły mi się ciasno wokół szyi, odpędzając jednym gestem całe zło tego świata. – A co ty taka niewyraźna, maminko? – Przyjrzała się z bliska mojej twarzy, która nie mogła wyglądać dobrze. – Czy ty aby myłaś dzisiaj buzię?

Roześmiałam się odruchowo.

– Zaraz umyję – obiecałam.

Irenka, rada z inspekcji, wzięła piżamkę i pluszową kaczkę, która od dobrego roku towarzyszyła jej w spaniu.

– No? To chodź. – Pociągnęła mnie za rękę.

W ciepłej łazience, w pachnącej pianie, w towarzystwie córeczki moje troski rozpuściły się przynajmniej chwilowo. Na dobranoc przeczytałam jej pogodną historyjkę o sikorce Stefanii, a sobie – po prostu zgasłam lampkę i wtuliłam nos w pachnące włosy dziecka.

– Musi być idiotą, jeśli myślał, że mogłabym... – zafalował mi urywek myśli, po czym zasnęłam.

Dobranoc i Tobie, Jagodo. Cokolwiek czeka nas jutro.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 25.02.2015

Temat: Re: Syndrom paryski

O, Malino. O, o, o, Malino!

Wydawało mi się, że Jerzy z tym swoim wycofaniem, nienatarczywością, z tą asekuracyjną postawą jest trudnym przypadkiem. Ale Wiktor jest zdecydowanie gorszy. O niebo gorszy.

Kiedyś Jerzy zauważył, że mam w portfelu zdjęcia swoich dzieci. Poprosił, bym mu je pokazała.

– Matysia jest taka do ciebie podobna. – Wydawał się wzruszony. – A Jeremi pewnie do ojca. – Tu wzruszenie jakby odpłynęło. – Wiesz, mężczyzna jest w stanie sobie wyobrazić inną kobietę u swojego boku, ale jej dzieci nie. To ewolucyjne.

Zatkało mnie, ale tylko na krótką chwilę. Byłam mniej subtelna niż Ty – może z każdym kolejnym dzieckiem matka robi się bardziej drapieżną samicą?

– Posłuchaj sam siebie! Jeśli kobieta akceptuje taki stan rzeczy, to znaczy, że z jej poczuciem własnej wartości i uczuciami macierzyńskimi jest bardzo słabo.

Jerzy był zaskoczony moją gwałtownością. Potem, gdy emocje ciut opadły, porozmawialiśmy spokojniej. I udało nam się wypracować – teoretyczny rzecz jasna – kompromis. Że facet obcych dzieci kochać nie musi, lecz

akceptować – i owszem. Że jeśli nie czyni tego ze względu na pasierbicę lub pasierba, to powinien przynajmniej ze względu na ich matkę i jej miłość do nich.

A potem opowiedział mi o swoich złych relacjach, czy raczej ich braku, z córką Doroty. Która – w odróżnieniu od nas – przyjęła ten fakt, nie walcząc z nim.

Może po prostu jest tak, że mężczyzna (kobieta zresztą też) stawia granicę w związku tam, gdzie druga strona na to pozwoli? Że jeśli – w imię miłości – pozwalasz na dużo i jeszcze więcej, to sama kręcisz na siebie bicz?

W zeszłym roku przygotowywałam do swojej gazety artykuł o trudnej miłości. Trzy kobiety, ich historie i komentarz pani psycholog (nie tej, którą znasz – r' propos – ta umówiła się ze mną na piątek, chce porozmawiać o kolejnym projekcie; Troglodyta wciąż na zwolnieniu). Nie uwierzyłabyś, co uczucie robi z normalnymi, jak by się wydawało, paniami. Jedna była z alkoholikiem, druga z facetem, który uznawał tylko rozwiązania siłowe, a trzecia – z nieuleczalnym maminsynkiem. Schemat był zawsze taki sam: najpierw euforia, sielanka, rozkochanie jej w sobie. Potem pojawiały się pierwsze rysy. Przemocowiec najpierw spojrzał groźnie, potem ścisnął za ramię, później potrząsnął, popchnął, a na końcu to już regularnie lał. Alkoholik pił, obiecywał, że nie będzie, ona wierzyła. Potem pił znowu, znowu obiecywał i jeszcze ładniej przeproszał, a ona znowu puszczała w niepamięć. I znowu alkohol, ona, że więcej nie wybaczy – lecz wybaczała. Wiem, to chorzy ludzie i chore związki, bo oni poplątani, a one z podatnością na takich poplątanych. Ale w Twoim Wiktorze dostrzegam coś niepokojącego, Malinko. I boję się, że mogę to zobaczyć u Ciebie.

Co byś powiedziała na sobotni plac zabaw? Zamknięty oczywiście. Miły, przytulny, ciepły. Dzieci w pełnym rozruchu, my z kubkami dobrej kawy?

W niedzielę nie mogę – hotel. Nie, Jerzy mnie nie zmusza.

Całuję

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 1.03.2015

Temat: Kawa z widokiem na dzieci

Jagodo,

dziękuję za wspólną sobotę i rozmowy. Nie podniosły mnie wprawdzie na duchu, nie przyczyniły się też do zrozumienia męskiego punktu widzenia – ale kawa z przyjaciółką, z widokiem na zdrowe, bawiące się dzieci, pozostaje atrakcyjna bez względu na wszystko.

Fajnie, że jesteś...

Co do mnie – trwam w uporze nieodzywania się do Wiktora. Nie odpisuję na SMS-y, nie odbieram telefonów. Stało na tym, że przysłał rozżalonego mejla o tym, jak źle zawsze wychodzi mężczyzna na szczerzej rozmowie z kobietą. Biedaczysko, prawda?

Ten także zbyłam milczeniem.

Z ciekawostek: po sąsiadkach rozniosła się plotka o mojej homeostazie. Co gorsza, jak to z plotkami bywa, została jej doklejona nieprawdziwa łąka, mianowicie, że zawdzięczam ją głębokiej wierze.

O ironio, o zgrozo, tak mi z tym nieswojo... Jak to sprostować, nie gorsząc maluczkich? Głębokiej wiary się nie wypieram, ale akurat swoją ubiegłopiątkową szczęśliwość uczciwie wiązałam ze świeżym wspomnieniem Paryża i wszystkich rozkoszy duszy i ciała, których tam doświadczyłam.

Może zresztą sprostuje się samo: na dziś wieczór Danka zorganizowała u jednej z sąsiadek spęd bab do ćwiczeń w masowaniu. Po homeostazie pewno nie został blady ślad.

Słowem, ja mam weekend z kobietami, Ty pewnie szykujesz się na spotkanie z Jerzym. Ech... Ciekawe to życie.

Trzymaj się, Jagulcu.

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 4.03.2015

Temat: Marcowa pogoda

Moja M.,

jak Ci weekend upłynął? Wieczór w towarzystwie innych kobiet był miły? Nie mogę się pozbyć skojarzeń żywcem wyjętych ze skansenu. Lub z *Chłopów*. Gromada pań zebranych w kółeczko. W rękach robótki, w eterze przyśpiewki, w sercach radość. Mądrze to było pomyślane, co? W gromadzie siła. Choć i prawo, i obowiązek. Zarówno Ty, jak i ja mogłybyśmy skończyć na taczkach...

Chwilowo ja się bardziej kwalifikuję do roli Jagny bis. Niedziela z Jerzym była upojna. Nie mogę się nim nacieszyć. Po raz pierwszy zachwycam się męskim ciałem, wiesz? Jerzy ma tak przyjemną w dotyku i patrzeniu skórę – miękką, sprężystą, o ładnym kolorze. Pięknie wyrzeźbiony brzuch (to ponoć od młodzieńczego śpiewania w chórze), proste, odpowiednio szerokie plecy.

Zadbane, kształtne dłonie – zgrabne (i sprawne), a zarazem męskie. No i twarz – istny Paul Newman! Jest piekielnie przystojny z tą idealnie zarysowaną szczęką. Jestem zrelaksowana, odprężona. I bardzo wiarołomna. Patrz, jak to się zmienia: jeszcze nie tak dawno wyrzuty sumienia były nie do wytrzymania. Czulałam się podle, myślałam o sobie źle. A teraz? Dalej mi niekomfortowo, ale oswajam się z tą sytuacją. Pozwalam sobie być tylko tu i teraz. Chwilowo więc nie dręcę się przyszłością. Wydaje mi się jednak, że nie świadczy to o moim zdegenerowaniu, tylko jest formą psychicznej samoobrony. Zwłaszcza że przed kilkoma dniami mogłam z bliska zobaczyć, jakie są efekty, gdy pani kocha pana, który powinien kochać inną panią. W piątek widziałam się z psycholożką Beatą. Byłyśmy umówione na rozmowę o serii tekstów pod roboczym tytułem *Wiek kobiet*. Jak zmieniają się potrzeby, możliwości, pragnienia w poszczególnych dziesiątkach lat życia. Jak wyzyskiwać atuty i radzić sobie z deficytami. Całkiem sensowny pomysł. Zawodowo wiele nie udało nam się ustalić, bo bardzo szybko Beata przeszła na tematy prywatne. Otwarcie zapytała o komentarze w firmie po tym, jak romans Troglodyty wyszedł na jaw. Szczerość za szczerość: streściłam sytuację. I zagalopowałam się (rozumiesz, że bardzo mnie to interesuje), pytając, co dalej. Psycholog ma jednak przeciwiczone opanowanie, więc mnie nie ofuknęła.

– Będzie jak do tej pory. Janusz udobrucha żonę, zabierze na wakacje, kupi nowe auto. Nie zostawi jej, tego jestem pewna. Ona też nie odejdzie, bo z przekonań i nawyku jest żoną.

– A ty w tym wszystkim gdzie? – odezwałam się naiwnie i spontanicznie.

– Mnie odpowiada taki układ. Komu to przeszkadzało... – westchnęła.

Daj znać, kiedy już całkiem zapomnisz o Wiktorze. Byłby świetną partią dla Beaty. Bez różnicy: w romansie czy w małżeństwie – grunt to się dobrać. Czy mnie z Jerzym to się uda?

Całuję

J.



@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 6.03.2015

Temat: Siła kobiet

Oj, Jago, żebyś wiedziała, ile prawdy jest w Twoim stwierdzeniu o sile kobiet zebranych współ. No, zresztą zaraz będziesz wiedziała!

Mówią, że jak trwoga, to do Boga. A jak faceci zawodzą – to kobiety lgną do kobiet w imię odwiecznej solidarności jajników. Łamanej wprowadzie od czasu do czasu zazdrością, dąsami czy konfliktami miłosnych interesów – ale czyż rozstania i powroty, lojalności i zdrady nie są stałym falowaniem w człowieczym życiu? Ano są. Ważne, żeby się utrzymać na fali.

(Czy ze swoimi teoryjkami nie powinnam mieć własnej rubryki w Twoim piśmie? Malinowego Kącika z wykładnią o prawidłach życia? He, he).

Zeszłotygodniowy zlot pod pretekstem refleksoterapii udał się nadzwyczajnie. Umówiliśmy się po dziewiątej, gdy „wszystkie nasze dzienne sprawy” były już dopilnowane, pozmywane, pochowane, dzieci uśpione, zwierzęta wyprowadzone. Ja, by bez niepokoju wyjść z domu, uruchomiłam elektroniczną nianię, której nadajnik ustawiłam przy łóżeczku Irenki, a odbiornik wzięłam ze sobą. Niby nigdy się w nocy nie budzi – ale strzeżonego wiesz kto strzeże.

Zebrała się nas piątka. Każda odruchowo przyniosła coś do jedzenia, głównie słodkości. Gospodyni – w jej roli wystąpiła Karolina z pierwszej klatki – zaparzyła białą herbatę i pokroiła tartę ze szpinakiem własnej produkcji.

Pretekstem do spotkania było oczywiście udostępnienie Dance własnych twarzy do ćwiczeń. Każda sesja masowania zajmowała około czterdziestu minut. Łatwo dośpiewać sobie resztę: Danką masowała po kolei każdą z nas,

a pozostałe trzy, w zmiennym składzie, oddawały się ploteczkom.

Zaczął się od tematów ogólnych, osiedlowych, przeplatanych pochwałami na cześć Danki i jej rosnących umiejętności wprawiania nas w stan relaksu. Potem wszak, od słowa do słowa, gdzieś między jednym kęsem ciastka a drugim, nabierałyśmy do siebie przekonania i chęci do zwierzeń.

Lody przełamała, trochę przypadkiem, Marzena. Wymasowana jako pierwsza, klapnęła na kanapę, usiłując dzielić uwagę między nas i telefon. W wysyłanych i dostawanych przez nią SMS-ach wyraźnie rozgrywała się jakaś rozmowa o rosnącej temperaturze – Marzena to wtrącała coś zabawnego do toczącej się przy stoliku rozmowy, to pożerała coś nieuważnie z talerza, to znów rzucała się do aparatu, gdy tylko wydał z siebie ciche piśnięcie. Zastanowiłam się, czy po mnie też tak do imentu jasno widać, kiedy SMS-uję z Wiktorem.

W końcu emocje się wysypały i gdzieś pośrodku opowieści Wandy o atmosferze w pracy Marzenie wyrwało się z pasją, zupełnie nie r' propos:

– No co za fagas!

Karolina, zbliżająca się do nas po masażu, w lot pojęła, czego jej teraz trzeba. Zgrabnie wśliznęła się za barek odgradzający część pokojową jej buduarowej kawalerki od kuchennej i wyjęła spod niego butelkę czerwonego wina, korkociąg i kieliszki. Gdy otwierałam butelkę, ona zakrzętnęła się jeszcze pośród swych nielicznych szafek i wnet wyłoniła się z części kuchennej z kolorowymi miseczkami orzeszków i oliwek.

Nastąpił wymowny znak, że tak w opowieściach, jak w kulinariach przechodzimy z części cukrowej do goryczy i soli – wytrawnego wina, solonych pistacji i takiegoż życia.

Wraz z winem popłynęła wartka, pełna pasji i meandrów historia stosunków damsko-męskich Marzeny. Słuchałyśmy jej z Wandą i Danką, która zrobiła sobie przerwę na herbatę, z pozycji starszych o parę lat koleżanek. Karolina, singielka wbrew wszystkiemu – urodzie, wykształceniu, stylowi, obyciu – potakiwała z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nie wiadomo, czy raczej zazdrościła Marzenie burzliwego życia, czy z ulgą myślała o swym świętym

spokoju.

Nie dane mi było się tego dowiedzieć: gdy przyszła kolej na zwierzenia Karoliny, Danka dopiła herbatę i zaprosiła mnie na masaż. Odbывał się on w drugiej części jedyne go pokoju właścicielki. O sypialnianym charakterze przesądzało łóżko ze srebrnoszarym baldachimem, oddzielone od części dziennej wysokim parawanem w jaskółki. Wszystko w tym stylowym wnętrzu było białe, szare lub czarne, jednak ograniczona gama kolorów nie ujmowała mu przytulności. Pokój w obu swych odsłonach był jednoznacznie kobiecy. Z każdego kąta sączyły się materiały: firany, zasłony, pledy – a każdy z nich był szlachetny i miły w dotyku. Baldachim spływał na boki łóżka muślinowymi, półprzezroczystymi zasłonami, na wezgłowie usypano stos poduszek. Śpiew ptaków czy też wielorybów z małego odtwarzacza, który Danka ustawiła tuż przy łóżku, skutecznie oddzielał nas od rozmowy toczącej się ledwie parę metrów od nas.

– Do góry nogami – poradziła Danka, widząc moje wahanie, jak mam się na tym łóżku ułożyć. Wezgłowie spowite muślinem uniemożliwiałoby jej dotykanie twarzy leżącego człowieka.

Ułożyłam się wygodnie, wciągnęłam w nos zapach olejku, a w uszy kojące odgłosy natury, i podobnie jak za pierwszym razem odpłynęłam. Doprawdy, rośnie nam pod nosem talent w dziedzinie relaksacji!

Po mnie na łóżko Karoliny wgramoliła się Wanda, wypielegnowana i puszysta jak wszystko wokół.

– Oby tylko nie było jak ostatnio – westchnęła.

– Nie przejmuj się tym – Danka pospieszyła z profesjonalnym uspokojeniem.  
– Jeśli twoje ciało tak właśnie potrzebuje to przepracowywać, pozwól mu na to.

Wycofałam się dyskretnie na kanapę. Na stoliku kawowym stał kolejny dzbanek świeżo zaparzonej herbaty i pusta butelka po winie. Dziewczyny wyglądały, jakby właśnie zadzierzgnęły wstępną nić porozumienia, które – kto wie? – może z czasem przekują w przyjaźń. Zza parawanu doszły mnie szlochy Wandy. Może każdy inaczej reaguje na te zabiegi?

Na mnie wpływały świetnie. Przeciągnęłam się z lubością i nalałam sobie herbaty. Nie zdążyłam wszak upić nawet łyka, gdy Marzena wypaliła z mocą bomby z opóźnionym zapłonem:

– A twój brat, Madziu, jest do wzięcia czy zajęty?

Zmarszczyłam brwi.

– Coś ci się musiało pokręcić: ja nie mam brata.

Herbata była przepyszna, jeszcze lepsza od tej pierwszej.

– To kim jest ten czarniawy facet, który cię odwiedza?

Wielkim wysiłkiem nie oplułam zacnym naparem wszystkiego wokół. Co teraz?...

– To... Wiktor – powiedziałam w końcu, po prostu. Może relaks i biała herbata sprzyjają mówieniu prawdy?

– Aha...? – przytaknęła Marzena, wyraźnie czekając na więcej.

A ja im to więcej, Jago, wyznałam. Nie tak jak Tobie, bez hamulców i do końca, lecz z grubsza, niespodziewanie i dość chaotycznie opowiedziałam, że mój legendarny mąż, który pracuje za granicą, w istocie nie istnieje, jest tylko byłym mężem, a gdy u nas bywa, odwiedza jedynie córkę lub ją gdzieś zabiera – czasem ze mną na doczepkę, bo nienawykła do ojca Irenka nie chce z nim sama iść na lody... I dalej, a niech tam, skoro sąsiedzkie oczy i tak już wszystko wypatrzyły – że owszem, zaczęłam się z kimś spotykać... – i tu już bardzo się pilnowałam, by nie wysypać więcej niż trzeba. Ani słowa o jego stanie cywilnym, o wadach charakteru. W ogóle starałam się mówić niewiele, ale czułam rumieńce na policzkach i domyślałam się, że oczy mi lśnią na samą myśl o starannie wyfiltrowanych, dobrych wspomnieniach. W efekcie powstał obraz mężczyzny idealnego, nad którym co rusz któraś sąsiadka wzdychała z zachwytem.

Danka, która właśnie skończyła masaż ostatniej twarzy, poklepała mnie przyjaźnie po ramieniu.

– Słuchajcie, drogie panie – zwróciła się do wszystkich. – A co byście powiedziały na wspólny Dzień Kobiet? Moje chłopcy idą w niedzielę do szwagra na mecz, nie będzie ich ze trzy godziny. Upichciłabym coś i dla odmiany też z wami pogadała, żeby mi te masaży od przesyty nie obrzydły, nim w ogóle otworzę gabinet. – Roześmiała się.

Wywołała tym falę euforii. Zaraz się wszystkie rozgdakałyśmy, która też co ugotuje i przyniesie.

– I więcej wina! – zgłosiła Karolina.

– Słusznie! – poparłyśmy ją bez wahania.

Dochodziła północ. W doborowych humorach rozeszłyśmy się do swoich mieszkań.

Elektroniczna niania działała jak się patrzy – acz tylko na moje sumienie. Przez cały wieczór nic się nie wydarzyło, Irenka spała smacznie, z kołderką tradycyjnie zrzuconą na podłogę. Otuliłam ją z czułością (jak dzieci to robią, że zawsze mają takie ciepłe ciała, nawet bez kołdry, w zimową noc?!), a potem sama wśliznęłam się pod własną kołdrę.

Obraz idealnego Wiktora zajął mi myśli. Czy naprawdę ma taki szpetny charakter, czy też go ostatnio trochę zdemonizowałam? Przecież Paryż, a wcześniej wszystkie randki, spacer, wieczory były tak zjawiskowo wspaniałe... Jak nikt potrafił mi okazać uwagę, czułość, pożądanie... Wino coraz bardziej mnie rozrzewniało. Dobre wspomnienia, puszczane luzem, nieupilnowane, wnet ogarnęły całą moją wyobraźnię i dojmująco za nim zatęskniłam. Senność uleciała, a ja wstałam, włączyłam komputer i wystukałam do Wiktora niedługi, acz żarliwy mejl.

Słowem – dziękuję, Jagodo. Nie swataj mi go z żadną psycholożką. Niechże ona się dalej trzyma swojej części miejsca u boku Troglodyty, jeśli jej kuksańce pani Troglodytowej niestraszne. Wiktor zaś niech będzie mój.

Dochodzi druga. Ciekawe, jak wstanę jutro do pracy... Ech, te mejle...

Dobranoc, Jagodzino

Magda

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 10.03.2015

Temat: Kiedy kłamstwo wyjdzie na jaw

Malino,

Wiktor jest uroczy, męski, dbający i wprawny. Z całą pewnością. I nieodpowiedni dla Ciebie – tu do pełnego przekonania brakuje mi krztyny pewności. Malutkiej takiej.

Skoro już jednak do niego napisałaś, to dopowiedz – urywasz podle w połowie akcji!

Fajna sprawa taki kobiecey krąg wsparcia. Panie są z natury empatyczne, rozumiejące, jednoczące się. Lubią życie w gromadzie – zdecydowanie bardziej niż obnoszącą indywidualizm samotność. Dlatego doskonale nadają się do zajęć, w których umiejętność współpracy odgrywa dużą rolę. Czyli do znakomitej większości. Panowie takiego społecznego przystosowania nie mają. Ale, ale – jest dobrze, gdy jest dobrze. Bo gdy do głosu dojdą kobiece emocje – zrywa się huragan. Piszę Ci to w kontekście Troglodyty. Który powrócił z L4. Część naszego zespołu (w większości składającego się z pań) wciąż intensywnie zajmuje się jego poligamicznym życiem. Wydawałoby się, że taka wpadka niezbyt lubianego szefa powinna zjednoczyć zespół (wredne to, lecz prawdziwe). Tak się nie stało. Często gdy oceniamy bliźniego, wyłażą z nas różne własne niedostatki, niespełnienia, złości i zawiści. I wtedy już nie chodzi o tego delikwenta, tylko o nas samych. Krysia, nasza sekretarz redakcji, zawsze miło się wypowiadała o Troglodycie. To nawet za mało

powiedziane: patrzyła na niego tęsknymi i wiernymi oczami, prezentując postawę przywiązania i zachwytu. Nie wiem, czy Troglodyta to zauważył, bo Krysia z tych przezroczystych – wiek, wzrost, postawa, uroda, ubiór – średnie. Cała Krysia jest jak wzorzec średniości z Sčvres. I ta cicha, podkochująca się w Troglodycie Krysia zmieniła się teraz w zięjącego jadem potwora. Oczywiście nie z powodu kobiecej solidarności ze sponiewieraną żoną, lecz na skutek zawiedzionych platonicznych uczuć. Dlatego że jej ideał „z tą zdziwą wypacykowaną, co to za grosz honoru nie ma”, się prowadzał. Fuka na każdego z osobna i wszystkich razem. Opluwa jadem po całości. Lena natomiast, która nie należała do klubu sympatyków Troglodyty, zaczęła patrzeć na niego przychylniejszym okiem. „Taki niepozorny. Dzieciaty, zaobrączkowany, w nudnych koszulkach. A tam pod spodem czai się jakieś życie. Czyli jednak człowiek z krwi i kości. Ułomny i prawdziwy”.

Wiele innych komentarzy jeszcze. I prawie wszystkie o dużym natężeniu emocji. Kobiety nie bywają letnie, gdy wypowiadają się o naprawdę ważnych sprawach. Zaczęły się przytyki, docinki, komentarze. Małe piekiełko. Próbką: „Jak ona mogła? Mogła, bo ktoś ją chciał. Ty się dobrze prowadzisz, bo kolejki chętnych nie widzę”.

Sam Troglodyta milczy o całej sprawie. No bo co by miał powiedzieć?

Opowiedziałam historię Jerzemu, który przyjechał dziś po mnie do pracy. „No i co. Nie powstrzymuje cię to przed spotykaniem się ze mną? Widzisz już, jak to jest, kiedy sprawa się wyda. Zastanawiałaś się, co Dorota lub Piotr by zrobili? Jak by się zachowali?”. Zaczęłam więc sobie wyobrazać. Wizualizowanie pozwala się zakumplować z problemem, przygotować się do niego „na sucho”. Z Piotrem szło mi nieskoro. Po prostu nie umiem go w takiej roli obsadzić. Nie uwierzyłby w moją zdradę. Z Dorotą było łatwiej, choć zatrważająco. Może nie otruła by mnie wilczą jagodą, ale z pewnością dałaby upust kotłującym się w niej przeżyciom, teraz schludnie utrzymanym w ryzach. Boję się takich opanowanych ludzi, wiesz? Kiedy dzieje się coś, co wytrąca ich z codziennej uporządkowanej rutyny, reagują przesadnie, jakby nagle te wszystkie pospychane w zakamarki duszy emocje znalazły ujście. Co więcej, gdy tak się oboje nad tym pochyliliśmy, to zaczęliśmy odnajdywać jakieś drobne, niepokojące sygnały. Jasne, na złodzieju czapka gore, ale może jest coś na rzeczy? Wyobraź sobie, że leśniczy Daniel po raz

drugi odwiedził obejście Jerzego i Doroty. Tym razem, by ocenić wprawnym okiem dobrostan posadzonej buczyny. I znowu wtedy, gdy akurat Jerzego nie było. Przypadek...?

Ja też padam z nóg. Dwa życia wyczerpują jednak bardziej niż jedno.

Ściskam

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 13.03.2015

Temat: Siła kobiet

Przeczytałam Twój mejl i przez dwa dni go trawiłam, ważąc w myślach Twoje sprawy. No tak. Mleko może się rozlać w każdej chwili i na wiele sposobów. Piotra w takiej sytuacji podobnie jak Ty nijak nie potrafię sobie wyobrazić.

Co zaś do leśniczego – to nie wiem skąd, ale jakoś czuję, że on Wam nie zagraża. Poskładajmy fakty. Z natury i usposobienia Daniel wydawał się dotąd łagodny i przyjazny. To się w zasadzie nie zmieniło, tylko skupiło w jednym punkcie – mianowicie na Dorocie. Tak, przyjmijmy, że robi to wszystko dla Doroty, nie dla niej i Jerzego. Zachodzi, dogląda – niby to buczynę, a w istocie ją, Dorotę, otacza dyskretną opieką... Idźmy dalej, mój drogi Watsonie. Załóżmy, że Dorota od dawna go intrygowała – nieważne, czy o tym wiedziała, czy nie; ba, może nawet on sam nie zdawał sobie z tego sprawy – nie śmiał naruszać związku szanowanych w okolicy państwa. Nieświętego związku, ale o tym nawet mógł nie wiedzieć. Naraz zdarzają się



Twoje nieszczęsne odwiedziny i jego niezamierzone Was nakrycie. I dalej, uwaga: czy nie jest przypadkiem tak, że odkąd zdał sobie sprawę z Waszego romansu, odważył się nazwać, przyznać przed samym sobą do tego, co czuje do Doroty? Co więcej: właściwie jest Wam wdzięczny, bo za jednym zamachem wyzwoliliście i usprawiedliwiliście jego uczucia! Tak, Jagogrzeszniczo, to się trzyma kupy! Dajcie mu działać, a może Dorota nigdy nie urządzi Ci piekielnej sceny, której się lękasz! Jeśli Daniel nieboże w następnych krokach podchodów zacznie znosić jej dary, będzie to potwierdzenie, że upatrzył sobie łanię i uderzył w regularne konkury. Ha! Jak w komedii romantycznej, bohaterowie drugoplanowi sympatycznie schodzą się w stadło, by nic nie zmąciło pozytywnych wrażeń widza. Szukaj łani dla Piotra!

Tyle odcinka z życia lasu. Pora na życie osiedla oraz miłosne podchody drugiej pary bohaterów.

Nie napisałam Ci ostatnio, co dalej z Wiktorem, bo się ćwiczę w suspensie. W tygodniu, kiedy byłam na niego obrażona, naraz znalazłam tyle czasu wieczorami niewypełnionymi telefonami i SMS-ami, że pochłonęłam dwie świetne książki korzystające z tego zabiegu. Bardzo dobrze mi się je czytało – więc żeby Ci uatrakcyjnić czytanie moich mejli, też Cię przetrzymałam. Docień, a nie rugaj!

Zatem Wiktor odpisał dzień później; mejlem krótkim, ale miłym, jakby nie było między nami wcześniejszych nieporozumień – i zakończonym propozycją spotkania. Zgodnie z ruchem sinusoidalnym tego związku po serii cichych dni umówiliśmy się na ostrożną kawę – miejsce publiczne daje komfort zakończenia spotkania, kiedy tylko któraś ze stron uzna, że dłużej nie chce. Oraz wycisza emocje. Choć mając w pamięci swój paryski łzawy pokaz w czasie kolacji, nie byłabym już tego taka pewna...

Nie będę Ci ściemniać: cieszyłam się na to spotkanie. Poniedziałkowy wieczór po położeniu Irenki zaraz mi się wypełnił manikiurami i wybieraniem stroju, i pastowaniem kozaków, i fantazjowaniem.

On też się cieszył. Ubrany był w nowy garnitur, którego jeszcze nie widziałam, oczy mu błyszcząły, a na stole czekał na mnie bukietik konwalii zawinięty w biały papier. Tak wcześnie! Po bliższych oględzinach okazał się

nie wiązką kwiatków, lecz doniczką z konwaliami – oto sekret wczesnej pory. Wiktor wyznał chętnie, że od dłuższego czasu hodował je dla mnie na parapecie. Urodzony ogrodnik! Może powinniśmy marzyć o domku z ogrodem, a nie o Powiślu?

Drobny gest – a rozbroił mnie nim i rozczulił. Skradziona godzina w kawiarni minęła szybko. Do newralgicznych tematów nie wracaliśmy, przynajmniej na razie. Umówiliśmy się na kolejne dni. Gdy orzekłam, że na mnie pora, Wiktor zaproponował, że odwiezie mnie pod przedszkole Irenki. Posłałam mu zdumione spojrzenie – zwykle poprzestawał na odprowadzeniu mnie na przystanek...

– Kwiatki – wyjaśnił uprzejmie. – Zmarzłyby.

Poczucie humoru, Moja Droga, przydaje się w takich chwilach bardziej niż cokolwiek innego.

Pora na temat trzeci, czyli mój babiniec.

Zgodnie z umową w niedzielę, w którą wypadł Dzień Kobiet, spotkałyśmy się u Danki. Każda – każda! – przyniosła wino. Do tego poznosiłyśmy: dwie sałatki, bagietki, szarlotkę, blok czekoladowy, ser i winogrona. Dodatkowo Karolina obdarowała każdą z nas miniaturowymi żonkilami, a Marzena przyniosła parę fajnych płyt. W doborowych nastrojach nastawiłyśmy płyty, rozłożyłyśmy na Dankowym stole frykasy i kwiecie i obsiadłyśmy go, szemrząc nieprzerwanie, jak pszczoły. Pomyśleć, że pięć bab wystarczy, by zadać tak definitywny cios ciszy.

To, co się przy stole zmieniało, to nastroje. Zaczęłyśmy w serdeczno-otwartym, każda z garścią nowinek od siebie i gotowością wysłuchania towarzyszek. Potem oddałyśmy hołd gospodyni, namawiając ją na wykład z teorii refleksologii – by lepiej pojąć, co nam tak dobrze robi, gdy ona robi to, co robi. Danką opowiadała z przekonaniem o swej nowej domenie, Karolina otwierała kolejne butelki, Marzena tym razem z nikim nie SMS-owała. Ja też się powstrzymałam, uwagę dzieląc jedynie między panie a elektroniczną nianię.

Kolejnym tematem była praca. Najpierw zagadnęły o nią mnie. Pewnie to

znasz: większości ludzi praca w gazecie jawi się jako coś bardzo intrygującego, wymagającego i stresującego. Te gorące tematy z ostatniej chwili! Zarwane noce przed pójściem numeru do druku! Wiecznie zmieniające się frakcje, z którymi warto trzymać. Do tego trzeba się mieć bardzo na baczności, by nie włożyć na siebie nic *passé*, nie umalować się w przebrzmiałej tonacji, nie oplotkować kogoś, kto właśnie zmienił front i gra teraz z nami do jednej bramki...

Niestety w każdej z tych kwestii rozczarowałam koleżanki. U nas wszystko jest *passé*, nie ma gorących tematów numeru, a szef nie ma kochanki. Praca się toczy stałym rytmem, wychodzi się punktualnie... Czuję, że muszę Cię kiedyś poprosić o gościnne występy na naszym zlocie, żebyś im powetowała moją niesensacyjną opowieść.

Po mnie przysłała kolej na Wandę. Jawiła nam się jako kobieta sukcesu. Postawna, biuściasta, elegancka w ubiorze i obejściu, z powodzeniem prowadziła biuro nieruchomości. Owiana mgiełką dobrych perfum parkowała pod blokiem ogromnego SUV-a, potem stuknęła o kostkę Bauma stylowymi pantoflami, podczas gdy mąż wychodził jej na spotkanie z psem. Obaj prezentowali się godnie: mąż, niemal zawsze ubrany w szary garnitur, szary płaszcz lub takiż sam blezer nie tyle szedł, ile kroczył, a obok niego w identycznym tempie stapał wielki, szarobłękitny dog. Nieskazitelnie porządni, uprzejmi państwo B.

Przyjemnym dla ucha, niskim głosem Wanda opowiadała o swej pasji. Oto wynajdywali z mężem zapuszczone podwarszawskie działki, domostwa o pięknych kształtach i opłakanych stanach, kupowali je, z pomocą wypróbowanych ekip wyprowadzali z ruiny i spieniężali z zyskiem. Głos Wandy przeniósł nas do otwockich świdermajerów, XIX-wiecznych cudów snycerki, sztukaterii, rzeźbień, trudnych do odtworzenia ażurów; do starych ogrodów, skrzypiących furt, pachnących wiatrem i kurzem sieni.

Chyba rozmarzyłyśmy się wszystkie, rozpląnęłyśmy w nostalgii za pięknem i przeszłością. Z rozrzewnienia wytrąciła nas Marzena. Smakowicie rozgryzła jędrne winogrono, splunęła na talerzyk pestkami i rzuciła:

– Kiedy już tak wypicujesz, Wandziu, taki dworek, to nie marzy ci się, żeby go nie sprzedawać, tylko zostawić sobie?

Wanda się roześmiała.

– Ależ nie stać nas na to, Marzenko. To są olbrzymie pieniądze. Operujemy pewną sumą, którą musimy mieć wolną na kolejne inwestycje. Zresztą posiadanie takiego domu właściwie nigdy nie było moim marzeniem.

– A co jest twoim marzeniem? – zapytała niewinnie trzpiotka Marzena.

I wtedy Wanda uległa nagłej metamorfozie. Próbowwała coś powiedzieć, rozpaczliwie zatrzymać na twarzy uprzejmy uśmiech. Niestety cios był zbyt celny i zbyt niespodziewany, by mogła się nań jakoś przygotować. Rozprężona winem, nie zdołała się opanować – a my, równie zbite z tropu, nijak nie mogliśmy jej pomóc. Patrzyliśmy tylko w milczeniu na druzgocący rozpad fasady jej spokoju, opanowania, makijażu.

Karolina pierwsza się otrząsnęła i podała Wandzie paczkę chusteczek.

Wanda wydmuchała nos i wytarła oczy. Na policzkach zostały dwie smugi rozmazanego tuszu.

Sięgnęła po kieliszek i upiła z niego duży łyk. Karolina pospieszyła z dolewką.

– Jesteśmy z Janem małżeństwem od jedenastu lat – przemówiła wcale nie modulowanym głosem. Bez swojego zwykłego, głębokiego brzmienia jej głos wydawał się dziwacznie nagi.

Danka zamachała rękami.

– Wando, nic nie musisz...

– Ale chcę – powiedziała już ciut mocniej. – I nie możemy mieć dzieci. Przez pierwsze lata spokojnie czekaliśmy, potem zaczęliśmy się badać. Od ośmiu poddajemy się kuracjom, inseminacjom, dziesiątkom upokarzających, zawstydzających zabiegów. – Nabrała dużo powietrza, wypuściła je powoli. – Mam czterdzieści trzy lata i kochanego męża, z którym łączy mnie wspólne cierpienie, wspólna tajemnica, wspólne dążenie do celu – ale nie dziecko. Seks także przestał nas łączyć, już dawno, odkąd stał się tylko

nieprzynoszącym upragnionego skutku środkiem. – Znow upiła łyk wina i odetchnęła. – Sama widzisz, widzicie, że duży dom... Nie potrzebujemy na razie dużego domu.

Odruchowo przysunęłam się do niej i mocno ją uścisnęłam.

– Dzięki, Madziu... – Uśmiechnęła się niemrawo.

– Przepraszam – zaczęła Marzena. – Ja nie...

– Nie ma za co – przerwała jej szybko Wanda. – Może przyszła pora, żebym to z siebie wyrzuciła. Chodzimy z Janem do tylu specjalistów, że nie mam już głowy ani siły na psychologów ani grupy wsparcia, które zalecają nam ci spece od bezpłodności. Nigdy nikomu się nie zwierzałam, ciągle tylko we dwoje z Janem ciągniemy ten wóz, jak on to znosi, doprawdy nie wiem... – Zamyśliła się.

Dalsza część wieczoru przeszła już bez takich emocji. Poświęciliśmy Wandzie tyle czasu i rozmowy, ile wydawała się potrzebować, potem włączyliśmy weselszą muzykę, rozlałyśmy resztę wina i przestroiliśmy się na lżejsze tematy. W końcu, gdy – jak sprawdziliśmy – mecz się skończył, pomogliśmy Dance pozmywać, wyściskałyśmy się, zapewniając nieco bełkotliwie o dozgonnie przyjacielskim sąsiedztwie, i porozchodziliśmy się do mieszkań, wynosząc przy okazji puste flaszki.

Nigdy nie zazdrość, nikomu, niczego, Jago. Nigdy nie wiesz, co się kryje za fasadą spokoju, luksusu, miłości.

Ściskam Cię

Szczęściara – matka

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 16.03.2015

Temat: Re: Siła kobiet

Malinko,

czy te książki, które czytałaś, to aby przypadkiem nie były kryminały? Klasy B lub C? Widzę, że musimy się spotkać, bo zaczynasz tracić kontakt z rzeczywistością i pogrążyć się w świecie fantazji i rojeń.

Moja droga, fakt, że Dorota wygląda, jakby się w lesie urodziła, nie oznacza, że będzie skłonna rozważyć amory zaangażowanego w faunę i florę Daniela. Psychologicznie mi to całkiem nie pasuje. Z opowieści Jerzego wnioskuję, że to kobieta, która ceni sobie dostatnie życie, tylko nie objawia tego w standardowy sposób (ubrania i inne kobiece atrybuty). Zajmuje się jakimiś nudziarstwami w banku, ale na wysokim stanowisku. Bycie partnerką dyrektora (nawet byłego) jest jej z pewnością miłsze niż zostanie driadą. Dlatego nawet gdyby Twoje przypuszczenia się sprawdziły, obawiam się, że sprawa mogłaby się rypnąć. Oto prawdopodobny rozwój wypadków: leśniczy zabiega, zabiega – i nic. Dorota jest nieczuła na jego wdzięki i podchody. Daniel – nie mając już nic do stracenia – wypala: „On nie jest ciebie wart”. I rozwija ten wątek.

Powinno się zastanowić, co dalej. Raz, że doświadczenie pokazuje, iż nie ma romansów doskonałych, dwa – i to jest ważniejsze – że nie odpowiada mi to, co jest. Już nie. Na początku, przez chwilę – owszem. To było coś ekscytującego, nowego, nieznanego. Zakochałam się, zauroczyłam, oderwałam od życia – tego, które miałam. Poskładanego, poprawnego, zwyczajnego. Nagle, po raz pierwszy chyba, poczułam się dorosła. W takim sensie dorosła, że nawiązałam kontakt ze swoimi uczuciami. Dopuściłam swoje prawdziwe ja do głosu. Dotarło do mnie, czego mi brakowało, skąd ten nieodstępujący mnie smutek. W moim związku z Piotrem nie było prawdy, takich podskórnymi odczuwanych emocji, prawdziwej więzi, która się bierze z całego ciała, nie tylko z głowy. I pojawił się Jerzy, który mógłby mi to poczucie spełnienia i szczęścia dać, lecz nie daje. Mam wrażenie, że utknęliśmy w martwym punkcie. Nie wiem dlaczego, ale nie rozmawiamy

o przyszłości. Jerzy jest we mnie zakochany – o tym jestem przekonana. Traktuje nas poważnie – tu też nie mam wątpliwości. A mimo to nie idziemy naprzód. Ograniczamy się do stwierdzeń, że nam niekomfortowo, smutno. Jerzy od czasu do czasu powtarza, że to sytuacja patowa, bez wyjścia, każde rozwiązanie będzie złe. Zapytasz, dlaczego nie objawię swojej woli, dlaczego nie każe mu wybierać? Bo nie umiem. I nie chcę. Gdzieś głęboko we mnie tkwi przekonanie, że ta decyzja musi wyjść od Jerzego. Że jeśli sam tego nie przemyśli, nie powie i nie postanowi, to będzie jakoś niepełne, jakby od początku ze skazą, brakiem. Mam wrażenie, że w emocjach piszę chaotycznie, ale czuję, że mnie rozumiesz. Choć sama przecież wybierasz inaczej.

Wczoraj miałam randkę z Jerzym. Hotelową. Piotrowi powiedziałam, że spotykam się z Tobą – babski wieczór, pogaduchy w knajpce. Z pewnym smutkiem zauważyłam, że coraz zręczniejsz mi te kłamstewka wychodzą. O dziwo, większą trudność sprawiło mi tłumaczenie Matysi, że jej nie zabiorę, bo Irenki też nie będzie – spędza czas z dziadkami. A potem pojechałam do Ibis. Tak, było drzenie, kiedy przechodziłam obok recepcji, sprawdzając, na którym piętrze tym razem będziemy się kochać. W windzie napięcie jeszcze się wzmogło, by osiągnąć apogeum, kiedy Jerzy lekko uchylił drzwi. Nic nie mówiliśmy. Przytuliłam się do niego. Przez chwilę pożądanie ustąpiło miejsca... czy ja wiem – tęsknocie? Potrzebie ciepła, czułości? Czemuś z całkiem innej bajki. Przez moment po prostu się schroniłam w jego ramionach, wtuliłam w szyję i poczułam spokój. Taki króciutki czas, kiedy wszystkie elementy układanki znalazły się na swoim miejscu.

A potem był seks, który nie przestanie mnie zadziwiać. Taka bliskość, która łączy w sobie ogromne pożądanie, otwarcie, bezwstyd z zaufaniem, tkliwością. Przenigdy i z nikim nie było mi tak dobrze. I nie chodzi tu o doznania czysto fizyczne. Tyle tylko, że prawie od razu po tej niebywałej bliskości przychodzi gigantyczny smutek. Jeszcze leżymy spleceni, jeszcze oddechy się nie wyrównały, pot nie zdążył wsiąknąć w rozgrzaną pościel, a ja mam emocjonalny zjazd. Niedługo się wykapiemy, zmyjemy z siebie nasze zapachy, ubierzemy się. Wyjdziemy z pokoju, przejdziemy cicho po miękkiej wykładzinie do windy i zjedziemy. Pójdziemy na parking, jeszcze ramię w ramię, ale już nie tak bliscy. Przytulimy się i pocałujemy przy moim

samochodzie. Jerzy chwilę postoi, nim odjadę. A ja już po stu metrach będę wycierać łzy. Bo nagle wszystko wyda mi się szmirą, tombakiem i kłamstwem. Bo po raz kolejny nie będę wiedziała, które życie jest prawdziwe i kim właściwie jestem.

Źle się czuję, Malino. Zapętliliam się. W pewnym sensie rozumiem teraz Jerzego – boję się każdego kroku, a bezruch mnie wykańcza.

Może to chwilowe. Może się pozbieram i ogarnę – jak zawsze. A może nie, bo starej Jagody już nie ma, a nowa po raz pierwszy w życiu nie wie, co robić?

Przytul

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 19.03.2015

Temat: Słabość kobiet

Nie jesteśmy stworzone do kłamstwa, Jagódko. Nikt nie jest. Można w sobie tę umiejętność wyrobić, pogwałcić zasady, uciszyć sumienie. Ale wcześniej czy później szwy trzasną. I dobrze, bo inaczej jakimi bylibyśmy ludźmi?

Nie przypadkiem zaczęłam ten mejl w tonie wielkopostnego kazania. Jestem po pierwszej porcji rekolekcji.

Ale to nie wszystko. Wczoraj przyszła pocztą gruba koperta z Sądu Metropolitalnego. Wytłuszczonym drukiem stało: Magdalena Markiewicz,



z domu Malinowska... ulica... numer domu... sygnatura sprawy... Czy Ciebie takie pisma też wprawiają w odrętwienie i trwogę?

Bałam się otworzyć. Położyłam na stole, niby to przypadkiem wsuwając róg koperty pod serwetę. Zaparzyłam miętę. Wstawiłam pranie. Wycierając blat, wepchnęłam grubego posłańca jeszcze troszeczkę głębiej pod bieżnik.

Rozejrzałam się za dalszymi misjami, byle tylko nie mierzyć się z wyrokiem. Już samo słowo budzi lęk. Jeszcze nie chcę wiedzieć... Jeszcze nie.

Mieszkanie wydatnie zyskało na mojej trwodze. Odkurzyłam, umyłam podłogi, rozwiesiłam pranie. Przesadziłam dwie paprotki. Modulując głos tak, by ukryć zdenerwowanie, przeczytałam Irencie ze dwadzieścia wierszyków.

W końcu gdy wokół nie było już żadnej ekskuzy, usiadłam z mocną herbatą przy stole i rozerwałam kopertę.

I?...

Moje małżeństwo z Maciejem zostało przez organa kościelne oficjalnie uznane za zawarte nieważnie.

Czyni mnie to, Jagodo, w oczach Kościoła na powrót panną na wydaniu. Powiedziałabym, że wracam do gry – gdyby nie fakt, że związałam się z żonatym (sic!) mężczyzną bez szans na unieważnienie ślubu. Oraz bez wyraźnej chęci na rozwód...

Co powinnam czuć? Radość? Ulgę? Satysfakcję z „pozytywnego rozpatrzenia sprawy”?...

Nie mam w sobie nic z wymienionych. Przeciwnie: jest mi smutno, jestem wypalona, przegrana i do tego tkwię w impasie bez dobrego wyjścia. Kocham Wiktora. Lecz nie umiem go zmusić, by był *trochę inny* w ważnych dla mnie kwestiach. Jakie to żałosne... Założę się, że dostajesz wiele takich listów od czytelniczek? „Droga Redakcjo, poradź: co zrobić, żeby on się zmienił?”. Co *musiałoby* się stać, Jago, żeby on się zmienił?

Taak... Jakie to żałosne.

Przytulam. I proszę o przytulenie.

Magda

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 21.03.2015

Temat: Przypadek: upadek

Malino-Magdo,

czytam i widzę, że i Ty potrzebujesz wsparcia. Ale tak się niefortunnie składa, że ja, wyćwiczona w pocieszaniu i udzielaniu rad, z teoretycznym przygotowaniem, Twoja oddana przyjaciółka, nie potrafię Cię teraz natchnąć optymizmem. Sama się rozsypałam. Euforia nowości się oddaliła, zostało coś, co trudno nazwać. Pamiętasz, pisałam Ci na jesieni, że Jerzy bał się tego, co będzie potem, gdy już się do siebie zbliżymy. Nazwał to „smutkiem spełnionej baśni”. Wtedy nie bardzo rozumiałam, o co mu chodzi. Teraz zaś – znakomicie. Rozsmakować się w delicjach, a potem wrócić do czarnego chleba – gdy kubki smakowe pobudzone. Niemożliwe i nieznośne!

Pojęcia nie mam, dlaczego nie potrafimy tego z Jerzym omówić. Przecież w kontakcie z nim urzeka mnie właśnie przyjemność rozmowy. Jest doskonałym towarzyszem: elokwentny, oczytany, błyskotliwy, z poczuciem humoru. Pisanie z nim także jest inspirujące. Z wyjątkiem tematu naszej przyszłości. Cholera, nie rozumiem tego. Nic a nic.

Okropnie mi to dopiekło, więc żeby nie zwariować, umówiłam się z panią

psychiatrą. Tak, tak. Właśnie tak. Przetrwalam śmierć rodziców i depresję kolejnych lat bez chemicznych wspomagaczy, a związek z Jerzym sprawił, że się z nimi zaprzyjaźniam. Nie miałam ochoty na wywnętrzanie się przed obcą kobietą. Prostacko więc zełgałam o problemach w związku: że mąż mnie zdradza, a ja sobie z tym faktem nie radzę. Skomentuję za Ciebie – żenada na całego. Szczęście, że małe pastyleczki zaczynają działać: nastrój mi się nie poprawia (ponoć trzeba na to czekać około dwóch tygodni), ale spływa na mnie miła obojętność. I senność – nawet początki ciąży mnie tak nie usypiały jak ta chemia. Jest też bonusik – nie mam apetytu.

Czy to jest studium upadku, Malino?

Przeładasz się we mnie – jak w lustrze?

Idę spać. Sen koi wszystko.

Ściskam

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 24.03.2015

Temat: Wiosna pociąga nosem

Jago, Ty i prochy? To dobry trop?... Przyjmuję, że może tak łatwiej – ale czy po Twojemu? Przytłumią ból istnienia, ale i samo istnienie; prowadzenie auta, nie mówiąc o prowadzeniu życia. Sama wspominasz o senności – a na niej się pewnie nie skończy.

Tak dotkliwie mi to do Ciebie nie pasuje: zawsze tak dziarsko radziłaś sobie sama... Gdzie nas zawiodły nasze miłości, powiedz?... Czy to już manowce, czy prosta do nich droga, nieuchronny rajd po równi pochyłej?

Martwię się. Nie wiem dlaczego, ale mi smutno, jakbyś na czymś poległa.

Pierwszy dzień wiosny zawiódł więc na całej linii. Pogoda niewiosenna, nastrój – jak widzę nas obu – też. My z Irenką, zamiast na spacerze wśród forsycji, spędziłyśmy czas na basenie, i to nie w głównej niecce (zmarzlaki!), lecz w brodziku z ciepłą wodą, pośród bąbli, zjeżdżalni i sztucznych rzek. Dodatkowa zaleta to wszechobecna woda. Każdą zabłąkaną łzę można było na nią zrzucić.

Z Wiktorem tak sobie. Na przekór mżawce poszliśmy dziś na spacer do parku. Mogło być romantycznie, wiosennie, pod jednym wielkim parasolem. Ziemia pachniała wilgocią, a wszędzie dookoła, w jakże sprzyjających mokrych i ciepłych warunkach, rozwijała się zieleń i świeżość. Pąki nabrzmiewały do wybuchów, ptaki śpiewały zupełnie jak nie na śródmiejskim skwerze.

„Mogło być” – napisałam jednak. To znaczy, że *nie* było.

Wiktor szedł naburmuszony.

– Wiosna to dla ogrodnika najważniejsza pora roku – skarżył się. – Teraz się przycina, wyznacza miejsca, robi nasadzenia, odwija zimowe chochoły i cieszy, że róże nie przemarzły. Teraz odcina się kupony od jesiennej zapobiegliwości. A mnie tam nie ma...

Pokiwałam głową w milczeniu, przeczuwając, że nadciągają nie tylko chmury nad Warszawą, lecz także kłopoty tu, blisko, pod naszym parasolem.

– Wszystko pójdzie na zmarnowanie, przecież ona niczym się nie zajmie. – Wiktor wyraźnie się nakręcał. – Ogród, o który dbałem latami, pójdzie na zmarnowanie.

– Dlaczego uważasz, że sobie nie poradzi?

– Bo ma to w dupie! – wybuchnął. – Umyślnie wszystko zapuści, żeby mi zrobić na złość!

– Wiktor, to się nie trzyma kupy! Przecież to ona tam mieszka, więc w jej własnym interesie jest, żeby otoczenie było nadal schludne.

Ale Wiktor nie słuchał, skupiony jedynie na własnej złości.

– Jedna taka gówniana wiosna i na lata będę ze wszystkim do tyłu.

Zatrzymałam się w pół kroku.

– To znaczy... że zamierzasz tam wrócić?

– Nie wiem – nadąsał się. – Dom potrzebuje gospodarza, a z niej jest taka fleja, że nic tam nie robi.

Solidarność jajników nie mogła dłużej milczeć.

– Wiktor, proszę. Nie mów tak o swojej żonie. Przykro tego słuchać...

– To jak mam mówić?! Wolisz, żebym opowiadał, jaka jest piękna i mądra?!

– Może po prostu w ogóle nie mów? Wcale nie chcę o niej słuchać. Uważam jednak, że należy się jej szacunek przez wzgląd na waszą wspólną przeszłość. Jest też matką twoich dzieci...

– Z którymi pierwszy raz nie spędzę świąt. – Złość ustępowała miejsca żalowi. A we mnie solidarność z nieznaną żoną ustąpiła podejrzliwości.

– Chcesz wrócić do żony?

– Jeśli w ogóle, to nie do żony, tylko do dzieci.

Zdenerwowała mnie nielogiczność tego wyводу.

– Co za głupie gadanie! Przecież to jest nierozdzielne. Powrót do dzieci, do domu, do ogrodu jest równoznaczny z powrotem do żony! Czy ty wiesz, czego w ogóle chcesz, do czego dążysz?...

– Nie wiem – odparł rozbijając. – Dla ciebie wszystko jest czarne albo białe. Tymczasem moje życie jest dużo bardziej skomplikowane. Kocham ciebie, ale także swoje dzieci. Chcę być z tobą, ale nie chcę pogorszenia kontaktu z nimi. Ty byś chciała, żebyśmy się szast-prast rozwiódł i z Tobą zamieszkał, przyjmując z dobrodziejstwem inwentarza wszystko twoje: twoje życie, twoje dziecko, twojego psa. Wcale cię natomiast nie interesuje, jak to wpłynie na nich!

Poczułam, jak teraz we mnie nadciąga wewnętrzna burza.

– Czy jasne sytuacje nie są lepsze od zagmatwanych? Najgorsze już się stało: wyprowadziłeś się, mleko się rozlało. Teraz należałoby dalej pójść konsekwentnie. Zamknąć jeden związek. Otworzyć się na drugi. Jawnie, z podniesioną głową, po dorosłemu. To przyniosłoby ukojenie wszystkim – i twojej żonie, która wreszcie wiedziałaby, na czym stoi, i dzieciom, jeśli przeprowadziłbyś to umiejętnie, szczerze z nimi rozmawiając. I w końcu nam. – Złość dodawała mi odwagi do wygarnięcia wszystkiego, co mnie gryzło od miesięcy. – Ale ty nie dajesz nam szansy. Mieliśmy spędzić razem ferie – ty, ja, moja córka, twoi synkowie. Jest zresztą tyle okazji, żebyś nas ze sobą w neutralnych warunkach zapoznał. Ale nie! – ty wolisz się miotać i użalać nad sobą!

Piękna twarz książątka stężała w grymas urazy.

– Tak mnie postrzegasz? Jako użalającego się nad sobą bubka?...

I tak dalej, Jagodo, i tak dalej. W ferworze kłótni nie zauważyliśmy nawet, że deszcz przestał padać, a niebo się rozchmurzyło. Czego jednak nie dało się powiedzieć o nas. Reszta spaceru upłynęła nam w milczeniu. Każde mełło w myślach swoje racje, przekonane o własnej wyższości. W końcu Wiktor odprowadził mnie do tramwaju i pożegnaliśmy się sztywno.

Co za wiosna przewrotna, doprawdy...

Pozdrawiam Cię mocno

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 25.03.2015

Temat: Re: Wiosna pociąga nosem

Malinko,

zdaje się, że życie nam obu wystawiło rachunek. Nie po to są zasady, by je sobie bezkarnie łamać. Jeśli się społeczeństwo i ludzie umawiają, że żyją w parach, to trzeba umieć policzyć do dwóch. Nas ogarnął apetyt i mamy, co mamy.

Na początku naszych tajemnych związków myślałam, że jedynym zagrożeniem będzie dekonspiracja. Skutecznie odsuwałam ten lęk, wmawiając sobie, że odpowiednie środki zapobiegawcze temu zaradzą. Te wszystkie parkowania w bocznych uliczkach, umawianie się na kawę w odległych dzielnicach, niezapisywanie imion w komórkach, szykowanie alibi pod schadzki. Przykład wizyty u Jerzego pokazał, że wpaść można zawsze i wszędzie, to rzeczywiście tylko kwestia czasu (żona Wiktora powodowana kobiecą intuicją zorientowała się w try miga, prawda?). Ten leśny incydent na chwilę mnie zatrwożył, bo... No właśnie, bo co? Bo się wyda? Wpisany przez konwencję (te wszystkie historie, powieści, filmy) lęk każe się bać momentu ujawnienia romansu – bo wszyscy się dowiedzą, będzie wstyd, trzeba będzie ze spuszczoną głową wrócić do prawowitego partnera. Trochę jak skarcone dziecko, które rozbiło szybę, a potem jeszcze próbuje się bronić i mówi, że nie, to nie ono, w życiu, przecież nawet piłki nie ma. Tylko że wiesz co, Malinko? Ja zrozumiałam, że nie o to chodzi, to znaczy *mnie* nie o to chodzi. Boli mnie dusza i czuję oddech strachu na plecach z tego powodu, że się dokopałam do takiej siebie, której nie znałam.

I że rozumiałam takie rzeczy w środku mnie, których wcześniej nawet nie przeczuwałam. Ludzie chodzą na terapię latami, żeby się czegoś o sobie dowiedzieć, przepracować to i nauczyć się z tym żyć. Na mnie olśnienie spłynęło dzięki sekretnemu związkowi z J., który przegadywałam z Tobą przy wszelkich możliwych okazjach. Tylko co z tą wiedzą zrobić, cholera? Jestem tchórzem, Malinko. No i przecież nie sama decyduję o prawdziwym byciu lub niebyciu z Jerzym. Z drugiej jednak strony przecież uznałam, że małżeństwo z Piotrem jest spisane na straty, więc powinnam je zakończyć, bez względu na to, jak się historia z Jerzym potoczy. Niby takie proste...

Chciałam, to mam. Przyznać się szczerze to już coś. Więc dodatkowo Ci, jak przyjaciółce, mówię, że jedynym pomysłem na dziś są te tabletki. Na nic więcej mnie teraz nie stać.

Całuję

Twoja J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 29.03.2015

Temat: Zbawienie przez rutynę

Ty, Jagodo, sięgnęłaś po wspomagacze farmakologiczne, ja pocieszenie znalazłam w wypróbowanych przez samotników formach. Otóż rutyna, ta tak wyszydzana rutyna, jest dla mnie iście zbawienna. Nadaje rytm i porządek. Budzik codziennie na szóstą. Spacer z psem, w drodze powrotnej wstąpienie do sklepu po świeże bułki. Budzenie Irenki i wspólne śniadanie. Przedszkole i praca. Tam – skupienie, nader właściwe w Wielkim Poście. Po południu – to samo w drugą stronę: odbieranie z przedszkola, warzywniak, dom. Znów



spacer z psem, odkurzanie, przepierka. Wieczorami droga krzyżowa, w której znajduję ukojenie. Potem kąpiel córki, a później mamy, czytanka przytulanka, w końcu dorosła książka do poduszki, kieliszek wina na nocnej szafce. Dobrze, że w tym roku mam wielkopostne postanowienie niejedzenia słodyczy, a nie abstynencji.

I tak dzień za dniem. Z sąsiadkami się ostatnio nie spotykam, każda już przejęta wiosenno-świętecznymi porządkami. Myjemy okna, znosimy po trosze zakupy z wielkanocnymi atrybutami, siejemy rzeżuchę i owies. Propozycja spotkań nawet nie pada, każda wie, że to nie pora, każda mimochodem pragnie wypaść na zapracowaną, pochłoniętą przygotowaniami, porządną gospodynię.

Z Wiktoorem pisuję na błahe tematy. Relacjonujemy sobie obserwacje dnia powszedniego, cytujemy trafne zdania przeczytane w książkach. Nie tykamy bolesnego sedna. Zawzięłam się też, nie zapytam go, czy spędzi ze mną święta. Nasz związek, romans, czy jak go nazwać, uległ swoistemu zamrożeniu.

Wybrałam dla niego kartę święteczną z Ostatnią Wieczerzą, na której nie wiem, czego życzyć. Wciąż leży czysta, biała, niezapisana.

Na Wielkanoc zdecydowałam się jechać do siostry do Łodzi. Wyjeżdżamy już w Wielki Czwartek, samochodem rodziców, w którym zmieści się swobodnie i cała nasza czwórka, i Carlos, i bagaże, i wiktuały. Podzieliłyśmy się już z mamą i Joanną, która co przygotowuje. Mnie przypadł w udziale sernik i baba drożdżowa. Mama piecze swój niebiański pasztet. Joanna zajmie się białą kielbasą, żurkiem, pieczywem i wszelkimi dodatkami.

Innymi słowy, Kochana, znów spędzę święta, grzejąc się przy cudzym kominku. I już, wnet, zaraz muszę kończyć do Ciebie pisać, bo znalazłam się niebezpiecznie blisko rozczulenia się nad swoją niedolą – a do tego nie chcę się zniżać. Na przekór życiu, światu i niepozbianemu Wiktorowi.

Całuję Cię

Magda

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 31.03.2015

Temat: Re: Zbawienie przez rutynę

Magduniu,

cieszę się, że to Wielkanoc się zbliża, a nie Boże Narodzenie. Nastrój mam bowiem wyciszony. Choć – o dziwo, wbrew zapowiedziom z ulotki – dość pogodny. Chociaż nie, pogodny to złe słowo. Czuję się tak, jakbym akceptująco przyjmowała rzeczywistość, ale nie do końca się w nią angażowała. Jakbym była trochę obok.

Piotr nie zauważa różnicy w moim zachowaniu. To, co mnie kiedyś tak irytowało (wiesz, że jak obciąłam włosy parę lat temu – długie, falujące do połowy pleców nagle zmieniły się w krótkie natapirowane afro – Piotr nie zwrócił uwagi?), teraz jest miłą okolicznością.

W pracy też mi się przydaje. Zaczęłam cykliczne spotkania z Beatą. Pamiętasz, pisałam Ci o planowanej serii opisującej dwudziesto-, trzydziesto-, czterdziesto- i tak-dalej-latki. Siedzę, patrzę, słucham, jak z sensem i profesjonalnie opisuje potrzeby, wskazuje atuty, wymienia zagrożenia typowe dla kolejnych przedziałów wiekowych. Jest ładna i mądra. No i nie wiedzieć czemu uwikłana w tchórzliwego Troglodytę Adonisa. Nie że taki atrakcyjny dla oka, skąd! Po prostu Adon – Pan prawdziwy. Żona, czyli Persefona, władczyni podziemnego świata – że też wcześniej odczytywałam mitologię tak nieumiejętnie! Pamiętasz ten mit: piękny Adonis był jeden, zapatrzone w niego kobiety dwie; Persefona go zaanektowała i nie chciała zwrócić Afrodycie, która go sobie upatrzyła. Adonisa najpierw prawie

uśmiercił jeden bóg, potem drugi go wskrzesił. I można powiedzieć, że z całej tej sytuacji wyszedł obronną ręką. Żona ma go trochę, Beata, czyli Afrodyta (urodziwa i niewierna), też ma go trochę. I git. Nie rusza mnie to, nie porównuję nas do tych trojga. Po prostu się im przyglądam, ale już nie *prze*glądam się w nich.

A Jerzy? Jerzy mnie dobrze odczytuje. Od naszego ostatniego hotelowego spotkania minęły ponad dwa tygodnie. Potem się nie spotykaliśmy, tylko do siebie pisaliśmy – moje życie zaczyna się rozgrywać w korespondencji...

Wczoraj Jerzy przyjechał, by mnie odwieźć z pracy do domu. Nie miałam nastroju do rozmowy. Znasz mnie, wiesz, że z natury jestem gadatliwa, a gdy się czymś emocjonuję, to mówię bez ustanku. Tym razem jednak kontemplacyjnie podziwiałam krajobraz za oknem. Jerzy wyczuł moje oddalenie; próbował sondować, ale taktownie zamilkł, gdy zdawkowo odpowiadałam na kolejne pytania. Jechaliśmy więc w milczeniu, słuchając Joni Mitchell. I tylko dlatego pewnie na światłach przed rondem Waszyngtona w samochodzie obok zobaczyłam Dorotę. Chyba Dorotę. Powoli dojeżdżaliśmy do sygnalizatorów. W lusterku obserwowałam zbliżającą się do pasów samochody po mojej prawej stronie. Na czele tej kolumny była brązowa toyota, taka niby-terenówka. Jerzy mi kiedyś opowiadał, że to lakier na zamówienie, że nie ma takich w normalnej sprzedaży. Co mnie nawet nie dziwi. Więc gdy zobaczyłam toyotę w kolorze wyschniętej kory, to przez myśl mi przebiegło, że to może być auto Doroty. A potem do brązu dołączyły odcienie szarości i srebra i przeczucie zmieniło się w prawie pewność, że to ona – nie znam żadnej innej kobiety przed osiemdziesiątką, która nie pokrywa farbą oznak starzenia. Asekuracyjnie ciut piszę o tej pewności, bo nasze auta stały obok siebie tylko przez krótką chwilę – światła właśnie się zmieniły i ruszyliśmy – my prosto, ona – w prawo. Nie wiem, czy nas zauważyła. Jerzemu się nie zwierzyłam z tej obserwacji. Chyba dlatego, że nie miałam siły ani ochoty na roztrząsanie potencjalnych zagrożeń. Umówiliśmy się za to na czwartek, czyli mój dzień prac domowych, do hotelu. „Może tam znów zechcesz być ze mną blisko”, powiedział Jerzy. Nie wiem, jaką bliskość miał na myśli.

Całuję

Jaga

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 2.04.2015

Temat: Waniliowa westalka

Moja Droga,

na złodzieju czapka gore – a komuś, kto ma ciut za uszami, wydaje się, że widzi wszędzie swój chodzący wyrzut sumienia. Pamiętasz, jak raz urwałaś się z pracy coś załatwić i trzy razy wydawało Ci się, że spotykasz Troglodytę? Zatem to niby mogła być Dorota. Ale i nie musiała.

Bliskości *in spe* zazdrozczę – ja mam na Wielki Czwartek zgoła inne plany...

Lubisz, Jago, gotować? To znaczy pytam, czy coś się w tej materii zmieniło od czasów naszych młodzińczych. Pamiętam bowiem dość dobrze, czym się żywiłyśmy na studiach, a nawet, sięgając głębiej, gdzie wylądowało nasze pierwsze ciasto. Nie mówiąc o awanturze po tym, jak pilnowałyśmy smażenia powideł Twojej babci. Jeszcze długo potem smak śliwek nieodłącznie kojarzył mi się z burą, jaką wtedy dostałyśmy!

W dorosłym życiu gotować uwielbiam. We własnej kuchni czuję się energiczna, zorganizowana, pewna siebie – na miejscu. Znam sekrety każdej szafki, mam zapasy różnaitości, z których w każdej chwili mogę upichcić coś pysznego, co zasnuje dom smakowitym zapachem, mnie przywiedzie do nucenia, a ewentualne smutki utopi w gęstym sosie, aksamitnym musie czy puszystym biszkopcie. Potakuję slowfoodowym i lajfstajlowym specom. Tak. Własnoręczne sporządzanie posiłków nie tylko skutkuje zdrowym i smacznym jedzeniem. Już sam akt przygotowywania daje siłę, dumę

i specjalny nastrój. Coś jakby strażniczka domowego ogniska i tradycji. Matka żywicielka. Gościnność i gotowość.

Dziś w „On Żyje” już wolne – właśnie po to, by należycie przeżyć Wielki Czwartek bez uszczerbku dla świątecznych przedsięwzięć kuchennych. Mamy zatem sytuację nietypową. Jest południe, obie z Irenką jesteśmy w domu i zapalczywie pieczemy ciasta. Upačkane są już wszystkie, jeszcze do wczoraj na błysk świąteczny wysprzątane blaty, zlew i posadzka. Nawet rośliny na parapecie nie uchowały się w czystości, po tym jak Ircia kichnęła prosto w mąkę.

Na pół godziny musiałam porzucić mejl do Ciebie na rzecz bicia piany, krojenia bakalii i nadzoru smarowania blachy. Teraz sernik się piecze, Carlos grzeje grzbiet pod piekarnikiem, drożdżowiec puchnie pięknie pod ściereczką, a mój kuchcik, po zakończeniu roboty, umyciu lepkich łapek i wydudleniu porcji rzadkiej kaszy, zażywa drzemki.

Swoją drogą, czy Twoje dzieci też tak długo piły kaszkę z butelki? U nas, w dni, gdy dzienna drzemka wypada w domu, kaszka w butelce, ze smoczkiem z wielką dziurą (taką na konsystencję kaszkowej masy), to nieodzowny rytuał przedsenny. Ciekawam, jak się z takich rytuałów wyrasta, bo na razie wydaje się to nie do pomyślenia.

O piętnastej podjeżdżają po nas rodzice. Około siedemnastej lądujemy u Joanny i na osiemnastą idziemy na mszę z umywaniem nóg. Ty już wówczas będziesz pewnie z powrotem w domu, także poumywana. Ech...

Z Wiktoorem nadal grzeczne SMS-y. Ostatniej Wieczery nie wysłałam. Nadal nie wiem, czego mu życzyć – i czyby to miało być życzenie czegoś, co uszczęśliwiłoby jego, czy mnie? Bo czy jest coś, co uszczęśliwiłoby na równi nas oboje, zaczynam powątpiewać...

A Ciebie, Jagodo – co uszczęśliwi? Jakich łask Ci upraszać? Spokoju – czy jednak po prostu Jerzego? Tylko jak? Jak by się to miało odbyć, tego nie wiem... I czy Wasza spełniona baśń w wersji codziennej nadal byłaby piękna? Bóg jeden wie. Zostawmy to Jemu.

Ściskam Cię waniliowo

Szefowa kuchni

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 3.04.2015

Temat: Re: Waniliowa westalka

Malinko,

Ty spędziłaś Wielki Czwartek bardzo szlachetnie – rodzinnie, kulinarnie i wreszcie kościelnie. Ja – hm.... Inaczej. Spotkałam się z Jerzym w hotelu. Lekarze mówią, że antydepresanty zmniejszają libido. Nie wierz im. Rzeczywiście jednak stawiają między tobą a światem szybę, która wycisza emocje i ustawia cię w pozycji obserwatora. Chwałę to sobie – bez tego znieczulenia romans w świąteczny czas byłby jeszcze trudniejszy do zniesienia.

Po hotelu pojechałam do domu. Piotr właśnie przywiózł Matysię i Jeremka od dziadków. Wrócili z babcynym urobkiem – pasztetem i dwoma mazurkami. Piotr przekazał mi dzieci i prowiant w drzwiach – pojechał do kościoła, a my zabraliśmy się do porządków. Z domowych obowiązków chyba tę czynność lubię najbardziej – sprzątanie. A właściwie to jej cel i dochodzenie do niego – gdy bałagan ustępuje miejsca schludności. Niezdrową przyjemność czerpię z patrzenia, jak gałgany kurzu nikną w papierowym ręczniku; odczuwam satysfakcję, gdy chlor trzebi bakterie w muszli klozetowej, koi mnie zapach winogronowego spreju

rozpuszczającego kamień na drzwiach kabiny prysznicowej. Psycholog powiedziałaby, że to z potrzeby kontrolowania rzeczywistości. I pewnie bym przytaknęła. Gotuję bowiem podobnie. Oddaję tej czynności serce, ale nie pozwalam, by uraziła miłość pierwszą – tę do porządków. Tak więc: mąka nie fruwa, obierki od ziemniaków zawsze lądują w koszu, białko nie rozmazuje się po blacie, a kran nie jest oblepiony masłem. Co się wybrudzi – od razu doczyszczam. Chyba trudno Ci to sobie wyobrazić...

Gdy już uporaliśmy się z pucowaniem (piszę my, lecz na wyrost; Jeremi wyniósł śmieci, w zamian przynosząc błoto na kapciach, Matysia podlała kwiatki, przelewając połowę z nich), przyszedł czas na kulinaria. Mimo że jeden mazurek już czekał w lodówce, zabrałam się do drugiego. Bardzo prostego, bardzo smacznego i bardzo kojarzącego mi się z domem. Przygotowałam niezwykle cienki spód z kruchego ciasta, który potem posmarowałam aromatyczną, prawie gorzką masą z kakao. I już. W prostocie siła. Druga potrawa, którą zawsze robię, to pasta jajeczna – wersja zmodyfikowana. Podobnie jak mazurek obecna w mojej rodzinie od zawsze. I podobnie prosta: posiekane jajka na twardo, starty żółty ser, sporo czosnku i majonez. Kaloryczne i smaczne. Przygotowałam też mięso, które będę piec jutro rano: polędwiczki wieprzowe w majeranku i schab nadziewany czosnkiem. Matysia uwielbia mięso. Opowiadałam Ci już, jak kilka lat temu, podczas zakupów, Matyśka doznała olśnienia i zrozumiała, że czerwone płyty szynki, blade piersi, pęta aromatycznych kiełbas, plastry salami – to wszystko wcześniej miało nogi, dzioby, pyszczki; że muczało i gdakało? Chyba nie. Więc gdy padło pytanie: „Mamo, a czy te wszystkie rzeczy są zrobione ze zwierząt?”, ze zbolałym sercem i smutną miną, pewna, że od tego momentu będę mieć w domu wegetariankę, a może i weganę (ja odchorowałam tę wiedzę – przez kilka lat mama walczyła z moją niedokrwistością, bo odmówiłam jedzenia braci mniejszych), przytaknęłam. Ale morze łez nie wylało. Matysia poklepała mnie pocieszająco po plecach i powiedziała: „Nie martw się, mamo, urodzą się następne zwierzęta”.

Ta makabryczno-pragmatyczna scenka natchnęła mnie do życzeń. Wspólnych dla nas obu. Byśmy potrafiły zaakceptować rzeczywistość – z pokorą, ale i z ufnością. Nawet jeśli dzisiejszy dzień nie napawa nadmiernym optymizmem, to będzie jeszcze dzień następny. I kolejny.

Te życzenia wpisują się w wielkanocny klimat, prawda, Malinko?

Całuję

Twoja Jaga

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 5.04.2015

Temat: Wielkanoc w nastroju wielkopostnym

Droga Jagódko!

Pierwszy dzień Wielkiejnocy już za nami. Jest wieczór, Irenka bawi się z Joasiowymi, ja poziewuję, czując braki snu po tym, jak zerwałam się skoro świt na rezurekcję. Nie przewracaj oczami – lubię celebrować te jednorazowe w roku wydarzenia, i świeckie, i kościelne: urodziny, sylwestra, pasterkę, mszę w Zaduszki. Za cenę wstania na szóstą masz raz jeden w roku okazję iść do kościoła przez śpiące osiedle, ciszę poranka, świeże powietrze, świergot ptaków – po to, by wnet zagarnęła Cię podniosła odświętność – dzwony, kadzidło, ryk uśpionych od trzech dni organów.

Czuję się wtedy jak wiejska dziewczynka ze starych wielkanocnych pocztówek – odświętnie odziana bieży do kościoła koniecznie z wieżą i na wzgórzu. Przeczuwasz, że to niedziela, bo na wstędze nad obrazkiem już się wije pełne zakrętasów „Alleluja!”, lecz ona dzierży koszyczek z jajami, taka drobna niespójność, miszmasz Wielkiej Soboty i Niedzieli. Słońce dopiero wstało, a Ty, patrząc na obrazek, niemal słyszysz dzwony i czujesz rosę pod jej botkami. Rodzice dostawali takie pocztówki i zatykali je nad listwą boazerii w kuchni, nad stołem. Popatrz, ile zmian: dziś wysyłanych



papierowych kartek nie uświadczysz niemal na równi z boazerią.

Jestem, Jago, objedzona, wysiedziana i nasycona rodziną. Jest przyjemnie. Tyle że przy stole nijak nie mogę pozbyć się „smutku ubogiej krewnej”. Mama ma do pary tatę, Joanna Krzysztofa, teść (mieszkają z teściami) teściową. Irenka, moja jedyna para, zdradza mnie z kuzynami. Mąż siostry nalewa mi kompot i podaje półmiski, tata krzepiąco puszcza oko. A ja udaję, że to chrzan taki ostry, że aż mi łzawią oczy.

Dlatego, choć Krzysztof z Joanną mieszkają w domu z dużym ogrodem, w którym Carlos ma niezwykłą sobie ilość swobody, co parę godzin chwytam się wymówki, że muszę pójść z nim na spacer – i idę.

Czy już zawsze będę tak chodziła sama – przez willowe uliczki, przez kolejne dni, przez cholerne życie?!...

Weselszych Świąt Ci życzę, Przyjaciółko bliższa niż siostra

Magdalena

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 5.04.2015

Temat: Obżarstwo

Malinko najdroższa!

Smutno mi, że w takim nastroju się odzywasz. U mnie bowiem wszystko jak należy – wizyta u teściów, gdzie same porządne małżeństwa: rodzice Piotra, siostra teściowej z mężem i brat teścia z żoną. Wspólny staż małżeński to

grubo ponad sto lat. Do tego my – podobnie udani i obdarzeni równie udanymi dziećmi. Starszyzna z akceptacją kiwała nad nami głowami – w przerwach między gargantuiczną konsumpcją. Ponieważ moje potrzeby energetyczne są mniejsze dzięki pastylkom na głowę i duszę, od czasu do czasu oddalałam się od stołu, by powymieniać SMS-y z Jerzym, który dziś także w licznym gronie rodzinnym – u brata, gdzie bratankowie (pięciu!) i ich żony. Oraz potomstwo. Niemąla gromada! W tej ciżbie brak Doroty, która po pierwsze nie lubi świąt, bo nie lubi Kościoła, po drugie nie lubi dzieci, po trzecie ma córkę (której nie dotyczy punkt drugi), która przyjechała na święta (nieobchodzone przez mamę), a nie przepada za Jerzym i jego krewnymi.

Widzisz, Malinko, normalność to towar deficytowy. A pozory normalności bardzo czasem mylą.

Co nie znaczy, że Cię nie rozumiem. Bo rozumiem bardzo. I chciałabym, żebyś nie musiała wędrować przez ten świat sama. Pamiętaj jednak, że zawsze jest chętna, która ramię w ramię może iść z Tobą.

Dobrych Świąt, dobrego życia

Twoja J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 6.04.2015

Temat: Niech to szlag!!!

Jago?

Ten drań pojechał na Wielkanoc do żony. Zagadnęłam go rano, co słyhać – no i proszę, kto pyta, ten się dowie. „Jak to?!” – pytam, rzecz jasna SMS-owo. „Chciałem spędzić Święta z dziećmi, co w tym dziwnego?” – odpowiada on bez cienia zażenowania.

Jestem wściekła do granic. Cały odświętny nastrój spłynął ze mnie wraz z tym kubłem zimnej, było nie było dyngusowej, wody. Czyli szala przeważyla na korzyść rodziny, punkt dla żony. Dlaczego nie przewidziałam takiego rozwoju wypadków?

Niech to jasny, cholerny gwint!!! Trzymaj mnie, jeśli kiedykolwiek przyjdzie mi do głowy się z nim jeszcze umówić.

Wrrrrr.

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 7.04.2015

Temat: Re: Niech to szlag!!!

Malino,

w moim sennym i mało empatycznym nastroju nagły wyrzut emocji się pojawił. Cieszę się z takiego obrotu spraw. Moje subtelne polewanie Cię kubeczkami letniej wody nic nie dało. Wiadro lodowatej powinno Cię otrzeźwić. Jeśli zamierzałaś czekać, aż Wiktor dojrzeje i się zadeklaruje, to każde kolejne święto wyglądałoby właśnie tak.

Wybacz szczeróść.

Trzymam – za słowo i rękę.

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 10.04.2015

Temat: Subtelny kubek

Jagódko,

nie czułam Twoich kubeczków. Musiałaś polewać bardzo subtelnie; zresztą dziękuję Ci za to. Nie jestem pewna, czy byłam... czy jestem gotowa na porządny kubek zimnej wody. Raczej nie. Tak naprawdę przecież wcale nie chcę ani kubła otrzeźwienia, ani postrzegania zaburzonego upojeniem, choćby miłosnym – tylko dobrej, szczęśliwej codzienności. Czy to tak wiele?

Z Łodzi wróciliśmy w drugi dzień Świąt. Rodzice pomogli mi wnieść na górę tobołki, potem jeszcze wypiliśmy razem rozchodniaczka w postaci kawy z podeschniętym mazurkiem i Irenką na zmianę na kolanach babcinych i dziadkowych. W końcu ich samochód znikł za bramą mego osiedla – a ja, jak zawsze w takich chwilach powrotów z jakichś spędów, zlotów, nagromadzeń, mimo obecności Irysa i psa, czuję się podwójnie... nie, dużo bardziej. Co najmniej poczwórnje albo popiętnie – samotna.

W takim nastroju zastał mnie telefon Wiktora. Nastroszyłam w sobie całą doń rezerwę i odebrałam.

Szczęśliwie dla siebie Wiktor nie był w swoim filuternym wcieleniu. Brzmiał jak przyjaciel, bez żadnych erotycznych podtekstów. Chciał usłyszeć, co u mnie, jak spędziłyśmy Wielkanoc, jakie jadamy świąteczne potrawy, czy byliśmy na wiosennym spacerze. Odpowiadałam oszczędnie, a on wyraźnie miał ochotę gawędzić – zatem wobec moich półsłówek wziął ciężar rozmowy na siebie. Mówił o swoim wielkopiątkowym smutku, o samotnym czytaniu wieczorem, o sobotniej wizycie u rodziców i wszędobylskiej pustce. Że wszędzie, gdziekolwiek się obejrzał, brakowało mu synków. Ich wiecznej szarpaczki, rywalizacji, przekomarzań, drobnych braterskich kopanek pod stołem – i siebie samego w roli uciszającego ich i rozdzielającego. Brakowało mu tej szczególnej rodzicielskiej misji opieki i nadzoru, który to brak potrafię zrozumieć, bo dopiero co zaznałam go w minidawce w Łodzi. Irysek u ciotki Joanny zupełnie mnie nie potrzebował. Zabawa odbywała się z Hanią i Antosiem, posiłki u babci na kolanach, kąpiele dla całej trójki maluchów szykowała ciocia, na dobranoc temu samemu gremium czytał wujek – gdy tymczasem ja wykorzystywałam nadwyżki czasu na pomaganie Joannie w kuchni, spacer z Carlosem, telewizję. Co to ja, Jagodo, sobie roiłam, że będę robić, gdy tylko uda mi się na parę godzin oddać Ircię w zaufane ręce?... Zaległa prasa? Książki? Wyspanie się?

Wszystko to marność nad marnościami, Moja Droga. Nawet najbardziej zmęczony rodzic, kiedy mu z nagłą odebrać misję doglądania, wychowywania, karmienia, zabawiania, strofowania, przytulania – czuje się jak dziurawa kieszeń, tyle Ci powiem.

Wracając do Wiktora – w tej akurat kwestii słuchałam go ze zrozumieniem, acz nieokazywanym. W co najmniej jednym na pewno masz słuszość: czasami trzeba się podąsać.

Mówił więc dalej. Jak w końcu po powrocie od rodziców (nie kryli rozczarowania nieobecnością wnuków, rozmowa się nie kleiła, brakowało tradycyjnych „przeszkadzaczy”) wrócił do pustego mieszkania i zadzwonił do żony z pytaniem, czy może spędzić z nimi Święta.

A ona się zgodziła. Co miała do stracenia? Jedyne satysfakcję – do zyskania.

Przyjechał w niedzielę. Pograł z chłopcami w piłkę, poprzcinał żywopłot, podjadł sobie po domowemu. Spał ponoć na sofie w salonie. W poniedziałek

trochę poszaleli z dyngusem, coś tam pozalewali – i od słowa do słowa wywiązała się awantura. „Bo ty zawsze!... Bo ty nigdy!...”. Znamy to, prawda? Kto nie zna...

Wyznam Ci ze skruchą, że fragmentów o awanturze słuchałam z ulgą. A kiedy oznajmił z westchnieniem: „Sama widzisz, że z nią się nie da żyć”, poczułam się idiotycznie usatysfakcjonowana.

– Chciałbym się z tobą podzielić jajeczkiem – rzekł w końcu mój mężczyzna od zdrobnień.

– Święconym? – spytałam bez entuzjazmu. Wiadomo, inne to żadna uciecha.

– Święconym.

– A skąd masz święcone?

– Zwinąłem jedno rodzicom, specjalnie w tym celu – odparł bez skruchy. Czym mnie, nie wiedzieć czemu, rozśmieszył. Sztubak.

– To jak? Mogę przyjechać?

Rozbawić znaczy trochę zdobyć. „Tylko trochę!” – pilnowałam się.

– Ale bez nocowania – zastrzegłam i niezupełnie o spanie tu chodziło. Tym razem postanowiłam trochę dłużej wytrwać w stanie łaski.

– Bez nocowania – przystał.

I przyjechał. Z jednym zimnym jajkiem i dwiema gorącymi dłońmi. By im nie ulec, szybko dałam tym dłoniom zajęcie: wyjęłam z lodówki trochę szynki i pasztetu, nastawiłam czajnik, pokrajałam parę pajd czerstwego chleba, a jego poprosiłam o wymieszanie ćwikły, posiekanie szczypiorku i tego typu zadania. Potem podzieliliśmy się jajkiem – właściwie bez słów, tylko z przyjacielskim całusem – a następnie usiedliśmy przy stole naprzeciw siebie i jedliśmy, rozmawiając. Po jedenastej wstał do wyjścia, a ja go nie zatrzymywałam.

Zasnęłam jednak w większej niż przez parę poprzednich nocy spokojności,

a i kolejne dni upłynęły mi pogodnie. Rozmawiamy codziennie – ciągle przyjacielsko. Niech i tak będzie.

Pozdrawiam Cię serdecznie – żeby Ci się kwiecień dobrze plótł.

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 13.04.2015

Temat: Los kobiet

Malinko,

mam wrażenie, że nasze przeżycia z kilku ostatnich miesięcy bardzo nas zmieniły. Wcześniej życie widziałam jednak w zdecydowanych, określonych barwach, bez subtelnych odcieni – szary zwłaszcza nie istniał (ubrań nie licząc). I to nawet w delikatnej materii kobiecej duszy, która przecież wymyka się jasnym sądom i którą powinnam znać, bo to mój zawodowy chleb powszedni. No ale nie wyglądało to tak; moje poglądy były ostre jak nóż introligatorski. Nowa bliskość – w przyjaźni i z nowymi mężczyznami – otworzyła we mnie furtki pozamykane wcześniej na wielkie kłódki. Przede wszystkim jedną: ciekawość drugiego człowieka, połączoną z akceptującą empatią. Uświadomiła mi to dzisiejsza scenka z przedszkola. Przyjeżdżam po Jeremka dość późno (zamykanie numeru zawsze zatrzymuje mnie w pracy); jest już tylko on i jedna opiekunka. To znaczy powinna być jedna, ale są trzy. Jedna programowa i dwie ponadnormatywne – też ciocie z przedszkola, ale z innych grup. Jeremi siedzi przy stoliku, język wywieszony na brodę. W skupieniu układa puzzle z jakiejś astronomicznej liczby kawałeczków. Panie zaś przy stoliku w przeciwległym kącie. Aśka, наша opiekunka,

w nastroju standardowym, czyli pogodnym i hej do przodu. Dwie pozostałe – ruina i boleść. Kiedy weszłam do sali, przywitały się, otarły rękawami porozmazywane tusze, bąknęły coś niezrozumiałego i poszły. W poprzednim życiu szybko zabrałabym Jeremka, nie dopytując Aśki, co się stało.

Czułabym się skrepowana, wchodząc w czyjaś intymność, poza tym nie wiedziałabym, co zrobić z opowieściami o dramatycznym życiu, skoro moje takie poukładane. Aśka musiała wyczuć, że jestem bardziej otwarta na świat, bo sama zaczęła opowiadać:

– Dramaty u nas. Czy na tym świecie nie ma normalnych facetów, tylko same łajzy?

– Zdarzają się chyba normalni... A co się stało?

– Siedzą mi tu dwie i ryczą. Agatę mąż zdradza. To znaczy zaczął ją zdradzać, kiedy jeszcze była w ciąży. Zagrożonej. No wyobrażasz sobie?! Ona leży w domu, my jej pomagamy opiekować się synkiem, przywozimy, odwozimy z przedszkola, bo mąż wiecznie zajęty i zapracowany, a ten się łajdaczy z jakąś dwudziestką!

– Ale na pewno? Skąd wie? (Trochę naiwności z poprzedniego życia we mnie zostało).

– Bo wyobraź sobie, że zadzwonił do niej podwładny jej męża. Szef czymś mu się naraził, więc z zemsty postanowił poinformować jego żonę o romansie.

– I co...?

– No i właśnie nic! Najpierw on się zarzekał, że to zauroczenie, głupota, klapki na oczach i już nigdy więcej, i ona uwierzyła. Ale to ciągle trwa. Ona już teraz z dwójką siedzi, a ten sobie życie uprzyjemnia!

– I nie zamierza nic z tym zrobić?

– Nie. Ryczy. Nie je, chudnie. I czeka, aż on wróci z pracy, żeby mu obiad podać.



– To się nazywa wyparcie...

– Właśnie. Nic się nie poradzi, jak sama tego nie zobaczy. Tłumaczymy jej, mówimy, że durna. I nic. A jego to bym gołymi rękami udusiła.

– A pani Klaudia?

– Ją też mąż zostawił. To znaczy tak naprawdę odszedł. Przynajmniej jednym cięciem sprawę załatwił. Powiedział, że ma dość wiecznie zapracowanej żony: studia podyplomowe, zajęcia z dziećmi w weekendy. Poza tym tak się poświęciła tej pracy i doksztalcaniu, że przestała o siebie dbać i już go nie pociąga.

– I to wszystko tak na jednym wydechu?!

– A jak! No i żeby się wyprowadziła, bo dom jest jego, przed ślubem kupiony. I Klaudunia teraz tutaj w pokoiku na piętrze nocuje. Faceci to jednak świnie, mówię ci.

Ogląd z drugiej strony, prawda, Malinko? Czy tak by nas podsumowały Dorota i żona Wiktora (przy okazji – jak ona ma na imię?). Ciekawe, że to prawie zawsze tak wygląda – jeden facet, a po dwóch stronach dwie kobiety, co to łzami, szantażem, kuszeniem, uległością próbują go przeciągnąć na swoją stronę. Na tym tle moje życie mało sztampowe. Nasza czwórka (ja, Piotr, Jerzy, Dorota) utknęła w jakiejś dziwnej, chorej symbiozie. Nikt nikogo nie lży, nie policzkuje, nie wydziera sobie z rąk. Oczywiście sprawę ułatwia fakt, że tylko połowa tej grupy wie o całej sytuacji. No i moje prozki. Koją i wyciszają. Ostatnie hotelowe spotkanie z Jerzym było dziwne. Niby wszystko jak zawsze, ale jakieś takie... czy ja wiem, jak to nazwać... taki smutny seks. Pożądanie jest, niecierpliwość jest, orgazm jest, ale to wszystko podszyte nierealnością, nostalgią. Miks emocji, które teoretycznie do siebie nie pasują. Praktyka życia jednak inna...

Kiedy tak wysłuchiwałam od Aśki o dramatach innych, dzwonił do mnie Piotr. Kilka razy. Po wyjściu z przedszkola oddzwoniłam. Pytał, gdzie jestem. Jak to gdzie? W przedszkolu. A czemu tak długo? Zagadałam się. Ale Jeremek z tobą? No a gdzie ma być? No tak. A czy do domu jedziemy, bo on dziś będzie koło ósmej, ma jeszcze jeden zabieg. Są jeszcze przyzwoici

mężczyźni, Malinko. Troskliwi i odpowiedzialni. Prawo entropii jednak działa – los im podsuwa kobiety, które zaburzają ład ich wspólnego życia.

Mimo całej różnorodności życia i różnych w nim zwrotów trudno mi wyobrazić sobie Ciebie i Wiktora na przyjacielskiej stopie. A może...?

W nieustającym zdziwieniu serdecznie Cię pozdrawiam

Twoja Ja

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 15.04.2015

Temat: Odezwę się w weekend!

Jaguniu, wzięłam na ten tydzień pracę dodatkową do domu – nadarzyła się okazja, a wiesz, jak u mnie z forszą... Obiecuję obszernie odpisać Ci w weekend, czekaj cierpliwie! Całuję

Magda

PS. Ma na imię Ewa – ta pierwsza kobieta Wiktora.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 19.04.2015

Temat: Szafing

Jago!

Lektura Twojego mejla zmusiła mnie do pytania: a po której stronie jesteśmy my? Gdzie *nas* sytuują zdarzenia ostatnich miesięcy? Po stronie zdradzonych czy zdradzających, pokrzywdzonych czy krzywdzących, dobrych czy złych? Spójrz, jak mało czasu i wahań zajęła mi przesiadka z łoży zdradzonych do zdradzających – a jedynym usprawiedliwieniem pozostaje „czynię, jako i mnie uczyniono”. A to przecież droga donikąd.

Najlepszą wymówką byłaby miłość...

Zastanowiłam się też, Jaguniu, nad tym, co napisałaś o postrzeganiu przez nas życia w określonych barwach.

Moje było zdecydowanie brązowe. Czerń zbyt mi przygnębiała, szarość smuciła, a na *prawdziwe* kolory nie miałam odwagi. Tymczasem brąz w łagodnym odcieniu czekolady to wypróbowany schemat: bezpiecznie, elegancko, nie wadząc nikomu i nie rzucając się w oczy. Brązowe oczy, buty, rajstopy i swetry. Brązowy pies i brązowe włosy. Brązowe drewniane meble. Do tego beż spódnic i szali. Wyjścia specjalne to beż przetkany złotą nicią. Wypisz wymaluj trzydziestka w barwach sześćdziesiątki.

Dopiero dziś to widzę – jak do tego doszło, że zrobiłam z siebie taką nudziarę?! Widziałaś to we mnie? Nie mogłaś mną jakoś potrząsnąć?...

Trzeba było mi dopiero doświadczenia londyńskiego, a potem życiowego fikołka i rozstania z Maciejem, bym zaczęła eksperymentować z falbanami, baskinkami, różem, fioletem, a nawet czerwienią. Dla eksperymentatorów zakupy w ciucholandach są jak szyte na miarę: bezpieczne, tanie i dają tę szczególną swobodę, że nie budzą poczucia winy za kupienie czegoś, czego potem prawie się nie nosi.

Tym razem jednak dopływ interesujących ubiorów nastąpił ze zgoła nowego kierunku. Otóż – czy uprawiałaś, Jagodo, za przeproszeniem, szafing?...

Ja po raz pierwszy w przedwczorajszy piątek. Spotkałyśmy się z miłymi sąsiadkami na wiosenną wymianę ciuchów. Każda przyniosła, co jej zbywało, ułożyłyśmy to wszystko na antycznej sofie Wandy – i dalejże w nich przebierać, przykładać do siebie, doradzać, mierzyć, paplając przy tym bez miary. Wanda dodatkowo pozbywała się paru wielkich skórzanych toreb oraz kilku flakonów perfum, które przestała lubić, a Danka przyniosła wyrabiane przez siebie kolczyki – fajne, wiszące, z kolorowych koralików. Popatrz tylko, ile ona w sobie znajduje pasji, odkąd straciła pracę! Ja przyszedłam z dwiema reklamówkami swoich brązów – nawet nie wiesz, jaką lekkość czułam, wyrzucając je z szafy na stos do oddania!

Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się, że to się uda. Każda z nas w innym wieku, stylu i figurze, a do tego startująca z innego poziomu majątności. Wanda to ekstraklasa, na drugim biegunie Danka, ja z Karoliną gdzieś pośrodku. Z Marzeny, zatrudnionej w modnej dziś psychologii biznesu, wychynęła karczemna zakupoholiczka: przyszła na wymianę z sześcioma (sic!) torbami ubrań, w większości nówek nieśmiganych z papierowymi metkami, oraz płyt z muzyką, naszyjników, lakierów do paznokci w najbardziej wyśrubowanych kolorach.

A jednak się udało. Zwyciężył luz, przyjazne zachęty w stylu „to weź sobie do tej bluzki jeszcze ten lakier i bransoletkę!”. Nozdrza miło łechtały zapachy dochodzącej w kuchni pieczeni, którą też gospodyni niewiele później podała z trzema sosami, chrupiącym włoskim pieczywem i wybornym winem. Zasiadłyśmy do tych delikatesów każda w tym, co akurat przymierzała, obwieszona biżuterią, z nadgarstkami spryskanymi na próbę Wandzinymi perfumami. Podjadłyśmy, pogadałyśmy. Rozanieliłam się tam, wiesz? Po tym jak każda z nas przygruchała sobie po kilka fatałaszków, humory z miejsca podskoczyły w górę – reakcja jak na coś pomiędzy udanymi zakupami a trafionymi prezentami. Ja wzbogaciłam się o turkusową tunikosukienkę o intrygująco głębokim dekolcie – w niej to właśnie przyszło mi zjeść kolację – czerwony kardigan, dziwne, szerokie, lejące spodnie i młodzieżową bluzę z mazem, której nie ośmieliłabym sobie sama kupić – podobnie jak łańcuszkowego, otwarcie złotego paska, w sam raz do tuniki.

Do mieszkania wracałam po dwudziestej trzeciej – z szerokim uśmiechem, dwiema dużymi papierowymi torbami dóbr i elektroniczną nianią w garści.

Na schodach między półpięciem a moimi drzwiami siedział Wiktor.

Efekt był tak piorunujący, że wypuściłam z dłoni klucze i nianię, które zarazem z brzękiem i łupaniem potoczyły się po stopniach, natychmiast wywołując we mnie popłoch z powodu hałasu. Poczułam się, jakbym sama stworzyła golema, myśląc o wiarołomnym W. tak intensywnie, że myśli te się zmateriałizowały i skumulowały w wyraźną, zwartą Wiktorową postać. W ostatnim strzępku idiotycznej myśli zdążyło mi przebiec przez głowę, że jak wskazują liczne filmowe produkcje od czasów niemieckiego ekspresjonizmu, nie wiadomo, czego się po takich własnomyślnie stworzonych typach spodziewać.

Cha, cha – jakbym niby po prawdziwym Wiktorze wiedziała!

– Jesteś wreszcie – odezwał się mój golem.

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytałam niemal równocześnie.

– Nie odbierałaś telefonu. Martwiłem się.

– Ładuje się w domu. Byłam u sąsiadki – wyznałam, ciesząc się w duchu, że jak zawsze wieczorem przezornie wyciszyłam aparat, tak że elektroniczna niania znów mogła mi raportować tylko o spokojnym śnie Iryska. Dobrze też, że Carlos jest tak nieskory do szczekania.

Wiktor dźwignął się ze schodów.

– Zawsze o tej porze jesteś w domu z powodu dziecka. Martwiłem się – powtórzył, przejęty własnym wzruszeniem. I ja jemu uległam. Troska to ładne uczucie.

– Będziemy tak stali czy mnie wpuścisz?

– Wejdźmy. – Otworzyłam drzwi.

– Pięknie wyglądasz – ocenił już w przedpokoju, muskając turkusową

tkaninę na moim ramieniu. Czułam przez materiał ciepło jego dłoni. Wnet przypomniałam sobie o za dużym dekolcie i odruchowo się zgarbiłam.

– Daj spokój, na schodach zdążyłem dokładnie się przyjrzeć! – Puścił perskie oko i mocno mnie pocałował. A ledwie chwilę później sięgnął jak po swoje do krawędzi kusej tuniki. Miał gorące dłonie i także usta. Łańcuszkowy pasek z cichym brzęknięciem spadł na podłogę...

A potem wzięliśmy prysznic i Wiktor został na noc – ciepłą, przytulną, szczęśliwą. Jak łatwo mi było puścić w niepamięć wszystko, co złe, gdy zasypiałam na piersi ukochanego człowieka, wsłuchana w jego oddech, ciepła od jego ciepła... Puścić w niepamięć, jakie to trafne słowa... brzmia lekko, jakby puścić z wiatrem nasiona dmuchawca...

Rano Wiktor pełen wigoru poszedł z psem i po obsypane makiem rogaliki oraz inne frykasy, z których następnie przygotował pożywne, chrupiące i tuczące śniadanie ze wszystkim, co dobre, z trzema kubkami kakao włącznie. Zjedliśmy je we trójkę, pośród uśmiechów i życzliwych small talków. Natomiast po śniadaniu Wiktor oznajmił, że grzechem byłoby nie skorzystać z tak pięknego wiosennego słońca, i zaproponował – nie uwierzysz – wielki plac zabaw przy placu Wilsona.

Irenka piszcziała z radości, bo było inaczej niż zwykle. Po raz pierwszy w zabawach nie towarzyszyła jej mama ze swoimi napomnieniami: „Uważaj, nie spadnij! Przepuść chłopczyka! Tam nie, to za wysoko!” – ale rosły facet, który pozwalał jej na różne szaleństwa, asekurując i zagrzewając do prób.

Wszystko to sprawiło, że Ircia spaliła całe śniadanie w try miga i po dwóch godzinach stwierdziła, że umiera z głodu. Literalnie!

– Mamo, muszę zjeść teraz obiadek!

– Ale tu nie ma żadnego obiadku, Ireniu...

– Jak to, mamo?!... Ja przecież rosnę! Nie mogę tak po prostu nie jeść!!!

Deklaracja, skądinąd słuszna, spowodowała, że Wiktor przypomniał sobie o fajnej pizzerii nieopodal. Rzadko jadamy w mieście, więc obiad, choć

w postaci najzwyczajszej pizzy, z miejsca wydał się jakoś odświętny.

Było przemiło. Rodzinnie, wesoło, pomidorowo, bazyliowo i czosnkowo. O nic nie pytałam, nie chcąc burzyć miru tego dnia.

Po obiedzie Wiktor odwiózł nas do domu. Irenka zasnęła w aucie, wniósł ją więc na górę i delikatnie ułożył w łóżeczku, by tam dokończyła drzemkę. Ze mną ten numer już od dawna nie przechodzi: dawałam radę ją tak wnosić, śpiącą i bezwładną, do jakichś dziesięciu kilogramów.

– Do zobaczenia, kochanie – szepnął mi na odchodne, ucałował i zostawił mnie sytą pod każdym względem.

Nadal nie chcę roztrząsać, skąd naraz tyle dobra. Cieszę się nim bezrefleksyjnie i dobrze mi z tym.

Ściskam Cię serdecznie, życząc Ci także choć jednego takiego, bez reszty dobrego dnia.

Magda

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 21.04.2015

Temat: Garnitur i welon

Malinko,

dwa razy przeczytałam opis weekendowego spotkania z Wiktorem. Czułam się, jakbym przegapiła fakt, że poznałaś nowego faceta, i teraz tylko przez

pomyłkę użyłaś imienia jego poprzednika – egoistycznego dzieciofoba. Czyli Wiktora. Z którym – co przypominam tylko dla porządku – miałaś się już nigdy, przenigdy nie umówić. Nie czynię Ci wyrzutów, wiesz przecież, że nie. Po prostu jestem zdziwiona. Może on też zaczął brać jakieś pastylki, które go zmieniły w łagodnego i pełnego empatii faceta? A może Ty łykasz coś (oprócz alkoholu), co łagodzi kontury i przydaje światu ładniejszych, intensywniejszych kolorów?

Ř propos kolorów. I ubrań. Ja też ostatnio brałam udział w odzieżowych łowach. Nie, nie w naszym lumpku na Grójeckiej. W żadnym innym też nie – tę przyjemność zostawiam sobie na wycieczki z Tobą. Wyobraź sobie, że pojechałam na zakupy z Jerzym – po garnitur ślubny! Zostań jeszcze chwilę przy klawiaturze – nie musisz pędzić po sukienkę świadkowej. Okazją jest ślub Marysi, córki Jerzego, pisałam Ci kiedyś o tym. To doniosłe wydarzenie zbliża się wielkimi krokami – już 18 lipca Jerzy poprowadzi swoją jedynaczkę do ołtarza. Jest w coraz większych emocjach – ślub to definitywne przejście z życia w domu rodzinnym (choćby dziecko już wiele lat temu opuściło rodzinne gniazdo) do tworzenia własnego stadła. Marysia także rozedrgana. Dodatkowo przestraszona, że ojciec, delikatnie mówiąc, zaburzy starannie wypracowaną estetykę weselnych obchodów. Odwiedziła Jerzego w leśnej głuszy i mało pochlebnie skomentowała garnitury w jego szafie. Zapadła decyzja – nowy dwuczęściowy elegancki strój męski jest nieodzowny. Poprosiła ojca, by się razem wybrali na zakupy – zdaje się, że wolała nie dopuścić do sytuacji, w której to Dorota byłaby modowym doradcą. Brząz ze ślubną elegancją nie chadzają w parze... Jerzy zaś postanowił zrobić jej niespodziankę i zaskoczyć świetnym garniturem wybranym samodzielnie. To znaczy ze mną. Pojechaliśmy więc wczoraj po pracy. Urwałam się godzinę wcześniej, Jerzy czekał na mnie w zaprzyjaźnionej uliczce. Wybraliśmy Galerię Mokotów, gdzie jest dużo eleganckich ubrań dla ładnych panów. Czułam się osobiwie. Razem wśród tłumów, łatwo spotkać wspólnych znajomych. Lęk Jerzego, by nie zawieść oczekiwania córki. Zmęczenie po całym dniu pracy. Otumaniające pastylki. To wszystko razem sprawiło, że zaczęłam mieć omamy. Dałabym sobie rękę uciąć, że widziałam Dorotę. Raz na parkingu, a drugi raz mignęła mi w alejce, między butami a sklepem zoologicznym. Wiem, to mało prawdopodobne. Co miałyby tam robić w porze, w której pilnie śledzi kursy, spadki i inne bardzo ważne sprawy roztrząsa (Jerzy mówi, że nie opuszcza



biura przed dziewiętnastą)? Tak się zaczyna obłąd. Obłąd, który jest karą za złe prowadzenie się z cudzymi mężczyznami. Ty sfiksowałaś i widzisz Wiktora w superlatywach, ja mam zwidy z Dorotą w roli głównej – to chyba wizualizacja wyrzutów sumienia...?

Garnitur kupiliśmy. Piękny. Lniany, z lekkim srebrnym połyskiem podkreślającym perfekcyjną szpakowatość Jerzego. Bardzo dobrze Jerzy w nim wygląda – męsko i elegancko. „Szkoda by go było wykorzystać tylko na jednym ślubie” – powiedział Jerzy, gdy odczytał cenę na metce. „Jasne, to następnym razem przyjedziemy po sukienkę dla mnie” – uśmiechnęłam się, ale nie do końca szczerze.

Wracaliśmy trochę milczący, każde pewnie ze swoich powodów. Choć jeden chyba był wspólny: przyszłość, której nie da się ciągle zbywać żarcikami. Na osłode w samochodzie całowaliśmy się jak szaleni.

Całuję

Jaga grzęznąca

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 24.04.2015

Temat: Garnitur wiążący

Rety, rety! Wspólne kupowanie garnituru to taki znaczący akt. Deklaracja: występuję z tobą jawnie, cenię twój gust, chcę, byś przy mnie była. W kupowaniu, a najlepiej także w występowaniu w nim. Hm. Kto wie, co się zdarzy do czasu ślubu Marysi?...

W mojej historii z Wiktoorem też nie wiem, co się zdarzy. Na razie jest dobrze, czule i troskliwie. Za każdym razem, gdy dzwoni, pozdrawia Irenkę i sypie pomysłami, co jeszcze fajnego możemy zrobić we trójkę. Zapowiada, że razem spędzimy weekend. Prowadzi też rozmowy z deweloperem na temat kupna mieszkania w jednej z remontowanych kamienic, uwaga – z uwzględnieniem moich sugestii (wysoko, balkon)! Czuję jednak, że nie jest to jeszcze pora na formułę „trwaj, chwilo”. Wy niemal od razu osiągnęliście smutek spełnionej baśni, my jesteśmy jeszcze przed etapem „i żyli długo i szczęśliwie”. Brak paru formalności (rozvodu, potwierdzenia, że chce życia ze mną, z nami) i paru czynów. Dopiero wówczas przyjdzie pora na pragnienie zatrzymania chwili.

Wszędobyłska Dorota to wytwór Twojej wyobraźni. Może popijasz pastylki winem? Za dużo pracujesz? Za mało sypiasz?... A może za rzadko spotykasz się z ulubioną przyjaciółką? Proponuję zacząć plan naprawczy od tego ostatniego. Wyznacz termin, byle po weekendzie!

Ściskam Cię

Ulubiona

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 25.04.2015

Temat: Re: Garnitur wiążący

Po weekendzie, Malinko, zgadza się. Dzisiaj bowiem mam dzień wypełniony po brzegi. Piotr zapowiedział mi wczoraj wieczorem, że odwołał dyżur, i zaproponował, że pojedziemy na wystawę prac Boznańskiej do Narodowego. A potem gdzieś na obiad, żeby nie musieć po ciężkim tygodniu

pracy stać przy kuchennym blacie (to znaczy, żebym ja nie musiała).  
I zarzekam się, że żadnego alkoholu nie piłam – od ponad dwóch tygodni nic – nawet lampki wina. Dorota mnie nawiedza na jawie i straszy, mąż wykazuje ponadstandardowe zainteresowanie – wszystko po pastylkach?!

Jerzy zaś tęskni SMS-owo. Wczesnie rano pojechał do Krakowa – jakieś sprawy biznesowe. Zdaje mi relacje z trasy. Poprosiłam, żeby mi przywiózł bajgla. Uwielbiam spieczoną skórkę tych precli, posypaną obficie gruboziarnistą solą. Połączenie słonej przyprawy i słodkawego pieczywa, kruchość zamknięta pod twardą skórką – kwintesencja życia.

Proponuję czwartek. Pamiętasz, to mój dzień pracy w domu. Jerzy ma wtedy spotkanie z przyszłymi teściami Marysi, więc jestem wolna. Rano odrobię służbowe obowiązki, a na obiad możemy się umówić do Krokiecika. Brzmi smakowicie?

Całus

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 27.04.2015

Temat: Już wiosna, już wiooosna...

Droga Jago,

cokolwiek by mówić, pogoda wypiękniała. Z ciemnych kątów kafejek i zacisznych pokoików wychynęli zakochani. Ulice i tramwaje pełne młodych ludzi, trzymających się za ręce, przepasanych wzajem ramionami,

muskających się ustami. Nie wszyscy uprawiają niesmaczne publiczne obłapiania. Wiele jest par świeżo upieczonych, nieśmiałych, nienawykłych, drżących z emocji jak młode listki. Ci mnie wzruszają najbardziej.

W ostatnich latach źle znosiłam patrzeć na wiosennych zakochanych. Miałam wrażenie, że dar romantycznego zadurzenia nigdy nie był mi dany. Nasza miłość z Maćkiem była racjonalna i oparta na solidnych podstawach wspólnych wartości i zainteresowań. Chodziliśmy wraz na wykłady z mistycyzmu niemieckiego i filozofii, na odczyty, do DKF-u. Ścieraliśmy poglądy, dywagowaliśmy o sztuce. Nie mam natomiast w pamięci żadnego całowania w parku, biegnięcia razem przez deszcz, łapania płatków marcowego śniegu na złączone wargi. Czy to przesądziło o porażce? Historia zna wszak wiele przypadków udanych mariaży z rozsądku, dlaczego nam nie wyszło? Może któreś było za mało racjonalne? I czy to ja byłam w tej materii słabszym ogniwem?...

Tej wiosny patrzę na nich z pobłażaniem. Ich nieśmiałość przywodzi mi na myśl moje pierwsze, nieskończone rozedrgane randki z Wiktorem, ich czułość – naszą czułość, ich splecione ręce – moje z pięknymi dłońmi Wiktora. Patrzę – i się uśmiecham. Jest mi dobrze.

Weekend, zgodnie z zapowiedzią, spędziliśmy razem. W sobotę Wiktor przywiózł plany trzech mieszkań, które rozważa z myślą o nas. Są przestronne, wysokie, doświetlone, wyłożone najlepszymi materiałami – drewnem, marmurem, metalowymi ażurami, w których trudno rozpoznać kaloryfery. Aż boję się pomyśleć, że któreś z nich mogłoby być moje. A jednak zarazem myśl ta kiełkuje już we mnie, znalazła gdzieś w tyle głowy podatny grunt – i dalej się rozrasta w wizje amfilad pięknych pokoi, szacownych mebli, sterylnej kuchni z kamiennymi blatami – na tyle dużej, by blaty nie były upstrzone wszystkim, co popadnie. Spędziliśmy nad nimi dobre dwie godziny, karmiąc wyobraźnię, co gdzie mogłoby stanąć i w jakim kolorze zamówić detale, a nasze palce raz po raz trafiały na siebie niby przypadkiem, aranżując akurat to samo miejsce na planie.

Byliśmy też w lesie tropić ślady wiosny. Tam widać jej znacznie więcej niż w mieście. Wiktor niósł Irenkę na barana (której to przyjemności dane jej było zaznać po raz pierwszy), tłumacząc, jakie w lesie żyją zwierzęta i jakie mijamy drzewa, a potem odpytując, co z tego zapamiętała. Widziałam, jak

Irys stara się jak najlepiej przed nim wypaść, wszystko pamiętać i nie przekręcać. Dał jej powąchać żywicę, pokazał wygryzione przez bobry drewnienko. Ciekawe, ile z tego zostanie w jej pamięci?...

Idąc tak niespiesznie, co rusz nachylał się do mnie. Wąchał moje włosy i szeptał, czy po dniu rodzinnym nie zasłużyliśmy sobie na niedzielę we dwoje.

I ja, Moja Droga, tym razem przyznałam mu rację. Trochę zdrowego dorosłego egoizmu, tak.

Wieczorem zadzwoniłam do rodziców z pytaniem, czy zajeliby się w niedzielę Irenką. Przystali z radością, podobnie jak sama zainteresowana – zatem nazajutrz pojechałam do nich na jedenastą na wspólną mszę i rytualną kawę z ciastem po niej – a potem się wymknęłam do Wiktora.

Idąc z zaparkowanego auta do jego klatki, czułam się jak z filmu albo z książki, w każdym razie z czegoś zmyślonego. Szłam na *schadzkę*, do *mężczyzny*, z zamiarem jawnie lubieżnym. Echo odbijało nadobny stukot moich pantofelków w sam raz tak, jak należy, wyraźnie, lecz nie za głośno; wiatr wysupłał mi apaszkę i rozwiał włosy, tak że w nozdrza wpadła mi woń własnych (no dobrze, do niedawna Wandzinych) perfum. Mrużyłam oczy w słońcu, ciesząc się jednocześnie z jego ciepła. Wiosna, nareszcie! Miłość, nareszcie!

Gdy Wiktor otworzył mi drzwi, oniemiałam. Nie, nie z zachwytu. Z osłupienia.

Miał na sobie długą purpurowo-zieloną szatę *à la* Demis Roussos, z ciężkiego, lejącego materiału. Góra wyszywana czarną nicią, dół spływał majestatycznie niczym toga lub płaszcz czarodzieja. Milcząc z zagadkowym uśmiechem, wyczekiwał mojej reakcji.

A ja nie wiedziałam, co ze sobą począć. Perfidne, absurdalne, zdradzieckie poczucie humoru wzbierało we mnie szaleńczym chichotem, który, wiedziałam – wszystko zepsuje. Jednocześnie jednak w jakiś przedziwny, niewytłumaczalny sposób Wiktor wyglądał pięknie i spójnie – jakby miał wnet mnie prowadzić do świata czarów.

Wybór był zatem prosty: powściągnęłam głupi śmiech i dałam się *oczarować*.

Powiódł mnie więc wprost do sypialni. Tam zostałam poddana kolejnej próbie: oto z poukrywanych zmyślnie głośników (obstawiam szufladki sekretery) sączyła się zmysłowa muzyka. Aksamitne kotary częściowo zaciągnięto, tłumiąc światło dnia. Centralny zaś mebel – łoże – obsypane było płatkami róż. Niezawodnie czerwonych.

Co młodzież mówi w takich sytuacjach? „Odpadłam”? Ta racjonalna, prześmiewcza część mnie chyba faktycznie *odpadła*. Za to ta druga – moja „wewnętrzna królowa” – poczuła się aż wzruszona. Tak niezwykle! I wszystko to dla mnie, na moją cześć!

Płyta się dawno skończyła, a słońce przestało przeświecać przez niedosunięte kotary, gdy opuściliśmy wonne różane posłanie. Siedzę teraz we własnym, uśpionym domu, piszę do Ciebie, puściłam sobie do wtóru sentymentalną wiązanekę wyśpiewywaną chybotliwym głosem Roussosa (zaleta samotności: kto mi zabroni głupich skojarzeń?!) – i mogłabym przysiąc, że wyczuwam delikatny, słodki zapach róż...

Krokiecik z Tobą. Tak. W porze późnego lunchu, dobrze?

Już się niecierpliwie!

Do zobaczenia!

M.

@ @ @

Od: [jaga.jablon@gmail.com](mailto:jaga.jablon@gmail.com)

Do: [m.malinowska@mailbox.pl](mailto:m.malinowska@mailbox.pl)

Data: 28.04.2015

Temat: Dylematy z innej strony

Malinko,

wiem, że jutro się widzimy. Miałam Ci dzisiaj wysłać tylko krótki potwierdzający SMS, ale nie mogę się powstrzymać przed napisaniem Ci o czymś, co mną wstrząsnęło do głębi. I też odpadłam – jak Ty. Twój Kaftan King to przy tym pikus – w każdym razie inna kategoria wagowa, choć przyznaję, że opis sceny powitalnej podziałał mi na wyobraźnię. No i wyrażam podziw, że połami szaty godnej króla Wiktor nie strącił żadnej filiżaneczki, jajka Fabergé czy szabli dziadka.

A teraz serio. Przytrafiło mi się w pracy coś, z czym nie umiem sobie poradzić. Do mojego kącika porad napisała czytelniczka – jak to często bywa. Jej problem jednak jest... no zaraz przeczytasz, jaki on jest. Dzielę się tym z Tobą niejako zawodowo, ponieważ oczekuję merytorycznego wsparcia – od zaprzyjaźnionej redakcji katolickiej. Otóż pani jest rozwódką – cywilną. Brała jednak ślub kościelny, więc stara się o uznanie jego nieważności. Sprawa się toczy, lecz bardzo powoli. Od dwóch lat pani żyje w napięciu, czy będzie mogła sobie ułożyć życie z innym mężczyzną, nie pozostając w stanie permanentnego grzechu. Początkowo ten lęk był teoretyczny, lecz rok temu pani poznała pana. Zakochali się w sobie bez pamięci. On bibliotekarka, on urzędnik w Ministerstwie Ochrony Środowiska. Oboje lubią spędzać wakacje na Mazurach, jesienią jeździć na grzyby i oglądać festiwal piosenki w Opolu. Spasowani idealnie w każdym calu. To znaczy w każdym, który sprawdzili. Nie sprawdzili bowiem tego podstawowego, damsko-męskiego dobrania. Tak, dobrze rozumiesz – nie sypiają ze sobą. To znaczy nie uprawiają miłości – w klasyczny sposób jej nie uprawiają – nie uskuteczniają stosunków płciowych. Precyzuję, bo dochodzę do meritum: zamiast klasycznego seksu uprawiają seks analny. Bo, wedle pani, nie jest on grzechem (sic!!!). Pan się nie kłopotczy grzechami, ponieważ mniej łaski wiary na niego spłynęło, natomiast nabawia się nerwicy wynikającej z niespełnienia. Bardzo panią kocha, ale czy uniesie tę miłość?

Malinko, wyobrażasz to sobie? A jeśli Kościół nie unieważni małżeństwa? Nie wiem, co odpisać czytelniczce. Moja wiara nie zagnałaby mnie w kozi

róg. Ciebie – półświętą zawodowo i prywatnie – też nie pozbawiła racjonalności i namiętności.

Zadaję Ci więc wieczorną pracę domową: obmyśl odpowiedź. Uratujmy szczęście tych dwojga. To w ramach wspólnej pokuty.

Całuję, do jutra

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 28.04.2015

Temat: O, w d...

Redaktorko!

Zastrzeziłaś mnie. Dokumentnie. My, redakcje katolickie, w takich tematach zwyczajowo albo gromimy, albo – jeśli materia bardziej niejasna – nabieramy wody w usta. Jak zaś faktycznie *pomóc* tym państwu, to pytanie, na które nie mam gotowej odpowiedzi.

Uknujmy ją razem, jutro. Co?

Krokiecik. Czternasta. Bywaj!

Malina



@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 1.05.2015

Temat: Współ

Malinko,

my się za rzadko widujemy – zdecydowanie! Mejle są miłe: spełniamy się, zarówno pisząc, jak i czytając, ale tradycyjne formy kontaktu są nie do zastąpienia. Cudownie było wczoraj! Pomidorowa gęsta od dorodnych jarzyn i kremowej śmietany, naleśniki z soczystą gruszką obficie oblaną czekoladą, aromatyczny kompot z truskawek. No i kolektywny namysł nad tym, jak uratować szczęście biednej czytelniczki, która chce mieć niezbrukane sumienie, nie odmawiając jednak ciała przyjemności. Mam nadzieję, że dobrze nią pokierujesz. Tylko nie oprowadzaj jej po swojej redakcji zbyt intensywnie – chcemy przecież zdjąć jej trochę bólu i zgryzot z barków, a nie kamienować.

Parszywa dziś pogoda. Zabieram dzieci na rower, ale jakoś bez przekonania. Piotr tradycyjnie w pracy, zapowiada jednak, że jutro pojedziemy nad Świder, na wypad rodzinno-turystyczny. Wyraźnie się ostatnio ożywił. Gdyby był taki przed dziesięcioma laty...

Jerzy zaś zaproponował spotkanie w niedzielę. Marudziłam, że się nie wyrwę, że pretekstu mi brak, że jakoś nieswojo tak łąć uaktywnionemu ostatnio prozwiązkowo Piotrowi, więc napisał, że przyjedzie w moje bliskie okolice i po prostu pójdziemy na godzinny spacer. Zwyczajna rzecz, a tak mnie cieszy.

A Twoje plany na majówkę? Wiktor zabierze Was na festyn z watą cukrową i wesołym miasteczkiem, da sobie wymalować buzię wzorem Irenki,

a potem, gdy na miasto spłynie mrok i w mieszkaniu słyhać będzie tylko równy oddech dziecka, zafunduje Ci kolejny teatralno-erotyczny spektakl?

Świnka ze mnie, ale przyjaciółkę się kocha z dobrodziejstwem inwentarza, prawda?

Ściskam Cię

Twoja Jaga

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 4.05.2015

Temat: Spełniony sen erotyczny

Jago?

Czy Twoje czytelniczki zwierają Ci się ze swoich erotycznych snów?

Wypuszczam to pytanie w formie ostrożnego rekonesansu. Nigdy nie rozmawiałyśmy na takie tematy. W piśmie łatwiej zacząć. Potem, gdy się znów spotkamy, może odważę się zapytać o to i Ciebie?

Moje *te* sny, jeśli już się zdarzają, są mgliste i niedookreślone. Nie widzę twarzy, ciała, samego aktu, nie wiem, kto komu co robi, właściwie też chyba niedokładnie potrafię powiedzieć, co czuję. Wiem tylko, że jest błogo, gorąco i na łące.

Na łące, tak. Jest ona pełna barwnych, idealnych kwiatów, wonna, całkowicie wolna od owadów, a soczysta trawa nie brudzi lnianych białych ubrań.

Słowem: sen. Dawno już uzmysłowiłam sobie, że najlepiej go charakteryzuje zwiewna piosenka Urszuli o dmuchawcach. Nawet pianino w dalekim tle może sobie grać. Czemu nie?

Przenieśmy się teraz na jawę. Jak Ci wspomniałam w Krokieciku, rodzice w piątek wzięli Irenkę, a dodatkowo także i Carlosa, na leśną majówkę do Spały.

Mnie zaś Wiktor zaprosił na wycieczkę w okolice Sandomierza. Jak widzisz, nasza żyłka hazardu jest wyraźnie słabsza od Waszej: ja, tkwiąc w zakazanym związku, w życiu nie umówiłabym się na spacer w sąsiedztwie swego domu! Napisz mi koniecznie, czy nic złego z tego nie wynikło!

W sobotę mój zakazany wybranek przyjechał po mnie skoro świt i ruszyliśmy pustymi drogami środkowego dnia długiego weekendu na południe. Podróż upłynęła nam miło w asyście starych szlagierów i już w południe stawiliśmy się w miasteczku. Wiktor zarezerwował nam pokój w jednej z kamieniczek przy samym rynku, z widokiem na wszystko, co urocze. Wystrój wnętrza też oczywiście spełniał Wiktorowe standardy: wzorzysty dywan, stateczne fotele z podnóżkami, obrus z ciężkimi frędzlami, owalne lustro w rzeźbionej ramie – i oczywiście łoże, na oko trzy na trzy metry, nieodzownie z szabłami staropolskiego pradziada skrzyżowanymi na kilimie nad wezgłowiem.

Jest jedna zaleta takich wnętrz: czuję się w nich nieodparcie młodo.

Reszta dnia upłynęła nam na niespiesznych przechadzkach: po starówce, kościołach, okolicznych wąwozach, galeryjkach... Czy wiesz, że wymyślono tam trasę turystyczną szlakiem ojca Mateusza?! Hm.

I tak aż do wieczora.

Niedziela miała uczynić zadość reszcie nazwy naszej wycieczki, mianowicie okolicom. Po śniadaniu (z deserem!) spakowaliśmy torby i przenieśliśmy się do Kazimierza. Tam znów: spacer, objęcia, rozmowy. Z każdym krokiem oddalającym nas od rynku czuliśmy więcej spokoju. Wiktor wydawał się obeznany w topografii (choć zagadywany o to przeze mnie z modulowaną niewinnie miną komunikował, że gdzie tam, idzie gdzie nogi poniosą).

Miasto pomału rzedło, aż pod nogami, miast bruku, poczułam pył polnej drogi. Wokół było bezludnie i cicho, nie licząc świergotu ptaków.

– Gdzie idziemy? – spytałam dla porządku, chociaż nie była to sprawa dużej wagi. Najprzyjemniejsza była sama droga, nie cel. W każdym razie tak wtedy uważałam...

– Chcę ci pokazać stary wiatrak w Męcmierzu. Musisz go zobaczyć, nim się całkiem rozpadnie – rzekł z żalem mój piewca wszystkiego, co stare.

Po jakimś kwadransie Wiktor zatrzymał się i powiódł wzrokiem po polach, łąkach i lasach wokół. Jak okiem sięgnąć nie było żywej duszy. Za to pejzaż jawił się zgoła idyllicznie. Wiatr cesał łagodnie wysokie trawy poprzetykane makami i chabrami. Droga, którą szliśmy, wiała się dalej malowniczo „na prawo, na lewo, w górę i w dół”. Spółka artystyczna Chełmoński – Monet: każdy z nich znalazłby tu dla siebie inspirację.

Krajobraz najwyraźniej zainspirował również Wiktora o duszy artysty. Niespodziewanym ruchem wziął mnie na rękę i wszedł między trawy. Niósł tak i niósł, aż znaleźliśmy się bliżej lasu, zostawiając drogę daleko za sobą.

Tam mnie postawił i zdjął kurtkę. A potem ułożył ją starannie na ziemi.

Wyglądało to na przygotowania do pikniku. Tyle że... nie mieliśmy nic na piknik.

– Zakurzyły ci się buciki – zauważył. – Może zdejmiesz? – rzekł chytrze.

Dalej wszystko potoczyło się jak w moim powtarzanym latami śnie. Pamiętam głównie swoją serię zdumień: jak zręcznie można rozebrać siebie i lubą, jak bardzo się można zatracić, nie myśląc ani przez chwilę, że ktoś nas zobaczy, w końcu jak rozkosznie jest *naprawdę* się kochać na łące. Ostatecznie zwyciężył Monet: zapamiętałam głównie impresje – oddechy, niesforne kosmyki, łaskotanie traw, czerwone kropki maków w zieleni na dalszym planie.

Buczały chrząszcze. I to właściwie jedyna różnica.

Dobranoc, Jagodo. Niech Ci się coś pięknego przyśni.

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 5.05.2015

Temat: Dusze czyścicowe

Malinko,

nic mi się nie śniło. Może dlatego, że wcale prawie nie spałam. Niedziela majówkowa dostarczyła mi bowiem wielu atrakcji. Nie, nie takich, jak myślisz.

Było tak: umówiliśmy się z Jerzym, że odwiedzi mnie w moich stronach, bym nie musiała zniknąć z domu na zbyt długo. Po obiedzie zapowiedziałam więc rodzinie, że mam ochotę na energiczny spacer po okolicznych łąkach, żeby naładować akumulatory przed pracą. Ponieważ podobną marszrutę odbyliśmy przed południem, odzew był znikomy. Dzieci wolały zostać w domu i obejrzeć *Było sobie życie* (pamiętasz?), Piotr czytał jakieś artykuły medyczne. Ja zaś włożyłam adidasy, bluzę z kapturem, nie umalowałam nawet rzęs i poszłam. Na miejsce spotkania wyznaczyłam nasz lokalny parko-las, a właściwie dom zakonny w jego pobliżu, żeby punkt zbiórki był dopowiedziany. Energicznym krokiem pokonałam trasę w dwadzieścia minut. Jerzy już na mnie czekał. Kręcił się nerwowo przy aucie, popatrując, z której strony się zjawię. Pocałował mnie na przywitanie, mocno przytulając. Jakoś tak... po ojcowsku. Może to wiele elementów świadczących o religijnym charakterze miejsca, obok którego staliśmy, zdecydowało o takiej emocji. Chociaż chyba nie tylko.

– Żeby nie zapomnieć – mam coś dla ciebie – powiedział. I wyciągnął torbę, taką materiałową, z Tesco. W środku były pakunki owinięte w folię. – Pasztet z dzika. Kupuję mięso od sąsiada, zapalonego myśliwego. A potem piekę pasztet. Bez bułki, za to z dużą ilością jaj i przypraw. Powinien ci smakować. – I aż mu twarz zajaśniała na myśl o tym, jak mi dogodzi kulinarnie.

I powiem Ci, Malinko, że ten gest mnie wzruszył. Łąka umajona z pogniecioną trawą pociąga, ale taki przejaw troski też niczego sobie.

Na razie mięsiwo zostało w bagażniku Jerzego, a my poszliśmy spacerować. Jerzy opowiadał o wizycie Marysi (pokazał jej garnitur, bardzo pochwaliła wybór, dopytywała, skąd taki przypływ zainteresowania modą), o planowanym ślubie, o tym, że ma tremę przed prowadzeniem jej do ołtarza i że bardzo na niego działa symbolika przekazywania córki zaślubianemu przez nią mężczyźnie. Mówił też, jak go smuci fakt, że tego dnia nie będzie dzielił ze mną. Ten smutek i mnie się udzielił. Kochanka jednak jest sekretna.

Spacerowaliśmy i rozmawialiśmy. Jerzy opowiadał o domu rodzinnym – wielopokoleniowym, z dużym ogrodem i piecem kaflowym. O kobietach, które w tym domu wiodły prym, czyli o prababci i babci. Z tej opowieści płynęło ciepło przemieszane ze smutkiem, że niewiele z tej rodzinnej arkadii udało mu się przenieść w swoje życie. Taka myśl i mnie złapała, bo przecież żyję w poczuciu, że miałam świetne wzorce i bardzo dobre doświadczenia, a zbudować na tym nie potrafię.

I tak nas zastał zmierzch. Zawróciliśmy więc w stronę samochodu. Trudno nam się było rozstać. Jerzy mnie przygarnął do siebie, przytulił, zaczął się wwąchiwać w moje włosy, głaskać po policzku, a potem zaczęliśmy się całować. I wtedy usłyszałam trzask gałęzi. W dość przejmującej ciszy, jaka nas otaczała, ten dźwięk był prawie jak wybuch petardy. Odskoczyłam od Jerzego, rozejrzałam się dookoła i... zobaczyłam ją. Nie, nie siostrę zakonną i nie Dorotę. Duszę czyścicową zobaczyłam. Była w jakiejś szaroburej szacie (domyślałam się, że w czyścicu nie szaleją z kolorami), zlewała się z otoczeniem i jak cień pomknęła w mrok. Malino, palec Boży w tym widzę. Zgromadzenie Sióstr Wspomożycielek Dusz Czyścicowych, pod którego parkaniem staliśmy, to znak dla mnie. I dla Ciebie, i dla Jerzego oraz Wiktora.

Błądzimy, grzeszymy i przyjdzie nam za to zapłacić. Jeśli nie wiecznym potępieniem, to życie i tak nam wystawi słony rachunek za te nasze miłosne roszady.

Jerzy, jasna sprawa, nic nadprzyrodzonego nie zobaczył. No, ale on jest racjonalnym mężczyzną. Stwierdził, że mam nerwy jak postronki, a moja psychika, nie radząc sobie z obciążeniem, tak wizualizuje stres i wyrzuty sumienia.

– No to co ja mam robić? – prawie wyłkałam. – Co my mamy robić?

Jerzy znowu mnie przygarnął – mocno, czule.

Nie wiem, Malinko. Żeby do końca nie popaść w obłąd, odstawiam pastylki, które miały mnie przed nim chronić. Taki plan na dziś.

Ty się pomódl za mnie. Możesz już, od razu, masz to pewnie wpisane w obowiązki zawodowe...

Spotkajmy się znowu, dobrze? Zabierzmy dzieci w weekend do parku Skaryszewskiego. Potrzebuję tego bardzo.

Całuję

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 8.05.2015

Temat: Huragan Ewa

Droga J.,

u Ciebie zmaterializowana dusza czyścicowa (za której spokój wieczny ofiarowałam dwa majowe), u mnie – bomba, jak najbardziej realna, właśnie wybuchła.

Zadzwoiła żona Wiktora.

Jej telefon, niczym burza na majowym niebie, zastał mnie absurdalnie, na skwerku. Siedziałam z sąsiadką na ławce, Irenka bawiła się z koleżanką. Gdy Ewa się przedstawiła i dotarło do mnie, z kim rozmawiam, dosłownie zdmuchnęło mnie z ławki. Wstałam, jak kiedy nie chce się komuś przeszkadzać swoją rozmową, i odeszłam nerwowo w najdalszy kąt skweru.

– Moje nazwisko X, jest pani kochanką mojego męża – zaczęła niskim, matowym głosem, a mnie zmiękły nogi.

Skąd miała numer, chciałabyś spytać? – otóż zanotowała go sobie już dawno, wtedy gdy przechwyciła nasze SMS-y. Dlaczego czekała aż dotąd – tego nie wiem.

– Proszę się nie łudzić, jeśli jeszcze pani to robi. Wiktor nigdy się ze mną nie rozwiedzie. Jestem jedyną dysponentką majątku w postaci domu, kosztowności, papierów wartościowych. A po najdłuższym życiu mojego taty będę również jedyną dziedziczką jego aktywów wartych parę milionów. Człowiek o tak merkantylnym podejściu do życia jak Wik – owo „Wik” wymawiała zarazem zaborczo, jak i z pogardą, a do tego z francuskim przydechem, jakby „Vique” – nie zrezygnuje z luksusu, do którego przywykł od lat, w imię jakiegoś rzewnego romansiku.

Wszystko w jej wywodzie mnie bolało. Było jak chłosta, na którą ciężko sobie zapracowałam złym życiem. Poczułam, jak dłoń, w której trzymam słuchawkę, trzęsie się do wtóru z resztą ciała. Oparłam się o pień dużego klonu i zacisnęłam mocniej palce na telefonie.

Nie umiałam odpowiedzieć niczego sensownego. Bronić Wiktora, płonąć honorem – że to żaden rzewny romansik, ale nagła, nieoczekiwana miłość, droga pani! – nie. Na to wszystko zabrakło mi i sił, i przekonania. Ewa



mówiła głosem pewnym siebie, mocnym, spokojnym i bezbarwnym, bardziej jak prawnik relacjonujący mi faktyczny stan sprawy, a nie trzecia... druga! A może wręcz pierwsza? – osoba dramatu. Przemknęło mi przez myśl głupie pytanie, co łatwiej byłoby mi znieść: stek niewybrednych wyzwisk, gdyby okazała się wulgarną histeryczką, czy to logiczne opanowanie? Wobec wyzwisk mogłabym przyjąć pozycję obronną tej niby to elegantszej, nieprzeklinającej, w której milczeniu kryje się niepoznane nie wiadomo co. Zimny wywód Ewy był jak seria celnie wymierzonych ciosów.

Wysapywałam z siebie jakieś nędzne „uhm”, które musiało jej wystarczyć za całe potwierdzenie, że jestem, słucham, nie padłam trupem i nie rzuciłam, niestety, słuchawki.

– Do końca czerwca będę z synami w szkole językowej w Oksfordzie. Przez ten czas proszę się nacieszyć moim mężem do syta, bo kiedy wrócimy, życzyłabym sobie, aby pani znikła z naszego życia.

Nigdy nie straciłam pracy, Jago. Ale wyobrażam sobie pozbawioną skrupułów szefową, która identycznym tonem mogłaby wygłosić „zwalniam panią ze skutkiem natychmiastowym”. Zwalniam panią z funkcji kochanki mego męża.

Czas wypowiedzenia: dwa miesiące.

Ewa się rozłączyła, a ja nie mogłam się odkleić od chropowatej kory drzewa. W głowie pobrzmiwała mi cholerna, melodramatyczna piosenka z przedwojnia, którą w dzieciństwie wyśpiewywała mi zawodząco babcia:

Będiesz wśród nas jak trędowata!

Stefcia runęła jak ścięty kłos.

Gdyby nie drzewo, o które się zapałam, chyba runęłabym trupem wzorem trędowatej.

Efekt tej rozmowy – perory raczej – był porażający. W najwyższym stopniu czułam się upokorzona, zawstydzona, przegrana – i najgorsze ze wszystkiego: głupia, głupia, głupia! Czym byłam? Rozrywką słomianego

wdowca?! W co dałam się wrobić? W zdradę wszystkich ideałów po to tylko, żeby... żeby dać się obsadzić w najohydniejszej roli w trójkącie z państwem X.!!! Co za przekłeta idiotka ze mnie!

Nic nie mów. Nic nie mów. Spotkajmy się jutro albo w niedzielę. Bo z tym sukinsynem nie spotkam się już nigdy. Jak sobie pomyślę o nagłym rozkwicie jego miłości, obfitości czasu dla nas, uczuciach niemal rodzicielskich do mojej córki – a wszystko to w wersji limitowanej na czas nieobecności prawowitej małżonki... Uuuuch, powiadam Ci. Chyba jeszcze nigdy nie byłam tak bliska rękoczynu jak dziś!

Przez zaciśnięte szczęki – i serce – pozdrawiam

Malina. Wyjec

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 9.05.2015

Temat: Re: Huragan Ewa

Malinko,

widzisz, widzisz – jednak nie oszalałam ze szczętem. *To była* dusza czyścicowa! Ostrzeżenie dla mnie i dla Ciebie. W Twoim przypadku z minimalnym wyprzedzeniem, niestety.

Sama nie wierzę w to, co piszę, ale faktom trudno zaprzeczać, prawda? A fakt jest taki, że pani Wiktorowa Cię zdybała, pouczyła i ustawiła do pionu. Masz rację – to zdecydowanie gorsze, niż gdyby urządziła Ci płacziwą scenę, domagając się zwrotu męża w imię miłości,

nierozerwalności sakramentu, dobra małych dzieci. Nie, ona po prostu odbiera sobie faceta, który się trochę zagalopował i zbytnio rozhasał. Jej opanowanie nasuwa przypuszczenie, że to nie pierwsza przygoda Wiktora...

Malinko, teraz jesteś wściekła, za chwilę będziesz smutna, a potem pewnie będziesz rozpamiętywać swoją naiwność i budowane na niej nadzieje. Nim to jednak nastąpi, zobaczymy się i pogadamy. Obu nam jest to bardzo potrzebne.

Zarządzam zbiórkę jutro, na ulicy Lubelskiej, na tyłach Wedla. Od samego zapachu czekolady endorfiny Ci skoczą, zobaczysz. 11 będzie odpowiednia?

W planach rowery wodne, Misianka, tort bezowy, a potem chłopskie jadło w barze nad jeziorem.

Całuję, Syjamku

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 13.05.2015

Temat: Objawienie fatimskie

Jak błogo jest na naszych spotkaniach!... Dzieci wyhasane, oczy nasycone zielenią, usta opite czekoladą. Jerzy detalicznie oplotkowany, gryplan wobec nicponia W. opracowany.

Żeby tylko jeszcze pozbyć się tej goryczy własnej głupoty, której nie dało się oszukać czekoladą... Wiem, wiem, co powiesz. Działanie, oto czego trzeba.

Zgadzam się karnie – i działam.

Do Wiktora, zgodnie z tym, co obmyśliłyśmy, napisałam list:

*Szanowny Panie,*

*małżonka Pańska była uprzejma donieść mi o Państwa planach, jak również właściwie mi naświetlić miejsce, jakie tymczasowo, pod jej oraz synów nieobecność, zajmuję u Pańskiego boku.*

*Funkcja ta – jako czasowa, zastępcza i w żadnym razie nie zaszczytna, żadną miarą mnie nie satysfakcjonuje – a przeciwnie: odstręcza i mi uwłacza, co z kolei każe mi z niej ze skutkiem natychmiastowym zrezygnować. Proszę do mnie więcej nie dzwonić, pisać ani nie przyjeżdżać. W przeciwnym razie będę zmuszona oskarżyć Pana o nachodzenie.*

*Z poważaniem*

*Magdalena Malinowska*

Jak Ci się podoba? Cóż, nawet jeśli Ci się nie podoba – za późno. Już go posłałam. W telefonie zaś, zgodnie z naszymi ustaleniami, ustawiłam blokadę jego numeru.

Z braku rozrywek miłosnych rzuciłam się, Jago, w wir pracy. Wiem, uśmiechniesz się, że mój wir Twemu nigdy nie dorówna, bo tempo pracy w redakcji katolickiej zawsze będzie odmienne od gazeciarskiej korporacji – i tu mnie nie doceniasz! Otóż rzuciłam się w wolontariat.

A tak. Dobry stary sposób na bycie potrzebnym. Jak za naszych dawnych lat.

Oto chodząc na majowe do naszej parafii (kolejne trzy za Twoją duszę czyścową, choć już nie na wyłączność), przyglądam się z uznaniem wszelkim działaniom, które tutejsi pasjoniści podejmują na rzecz potrzebujących. Właściwie nie ustają w ciągłym wynajdywaniu, komu jeszcze i jak można by pomóc. Dla okolicznych dzieci – mecze (na placu, na którym kiedyś zacznie się budowa nowego kościoła), rajdy rowerowe

i biblioteka. Dla rodzin – akcja „Rodzina rodzinie” – czyli nieustanna wymiana rzeczy jednym potrzebnych, a innym zbędnych. Dla starszych – antidotum na samotność przy ciasteczkach w sali „Pokój i dobro”.

I oto dziś na mszy (rocznica objawienia fatimskiego, więc zostałam też na mszy) proboszcz Przemek opowiedział o swoim nowym pomysle. Jest nim impreza alternatywna dla lipcowego „Jezusa na stadionie” – bardziej kameralna, lokalna, ale zamysł w ogólnym zarysie ten sam: spotkania „wierzących takich jak my”, świadectwa, wspólna modlitwa oraz zaproszenie gości z zagranicy – misjonarzy katolickich, lecz także protestantów, afrochrześcijan, reprezentantów Kościołów wschodnich – aby opowiedzieli o wierze i praktykowaniu w swoich stronach.

Naraz doznałam prywatnego objawienia. Objawiło się ono – to objawienie – nagłą, niezwykłą u mnie wolą działania, palącą, wyraźną, wręcz imperatywem. Aż mnie wszystko swędziało z niecierpliwości. Pomyślałam, że może to właśnie ten moment – odkupienia swych win przez jakieś dobro. Przez czyn. Tyle razy działały mi na wyobraźnię nasze liczne grupy parafialne, tak pełne inicjatywy i radości życia. Zawsze wszak miałam wymówki. Że małe dziecko, że nieśmiałość. Teraz – koniec z wymówkami. Zaraz po majowym, mszy i objawieniu wstałam zdeterminowana i poszłam do zakrystii, by zgłosić chęć pomocy. A takich jak ja było kilkoro! Duch Święty hulał w powietrzu. Czuć było energię i entuzjazm. Z miejsca zrobiło mi się swojsko i słusznie. Wymieniliśmy się kontaktami – i będziemy działać.

Tak.

Ty też działaj. To naprawdę dobrze robi. Zajmuje ręce i myśli.

Polecam i pozdrawiam Cię mocno

Siostra Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 15.05.2015

Temat: Bilans zysków i strat

Maliniaku drogi,

ja też czuję się ukojona naszą niedzielną rozmową. Nic człowieka nie zmoże, jeśli ma przyjaciela. Lub Przyjaciółkę.

Zakończyłaś swój romans z Wiktorem, mam nadzieję, że na dobre. Nie daj mu się ponownie zwieść! W chwili słabości uderzaj do mnie – na randkę Cię nie zaproszę, ale dobrym słowem zawsze wesprę. Ewentualnie groźbą, gdybyś znowu czasowo utraciła rozum.

Widzę, że dokonałaś zwrotu o 180 stopni. Z nizin upadku ku wyżynom laickiej świętości. Podziwiam i popieram, ale chwilowo nie dołączę. Te moje dwa życia wypełniają mi dobę aż nazbyt ściśle...

Wiesz, nie mogę się otrząsnąć z mojego widzenia (Jerzy mówi: przywidzenia). Cały czas mam przed oczami tę biedną duszyczkę, która chcąc odkupić swoje nieładne występki, w ramach pokuty próbowała mnie zawrócić z drogi zła. Ciebie także, co zresztą się udało. Mam przecucie, naprawdę silne, że i mnie los (Los?) przygotowuje podobne rozwiązanie. Chciałabym go ubiec, więc w niedzielę wieczorem, po Skaryszewskim i wyborach (poczucie bezradności za kotarą uświadomiło mi, że życie dorosłych ludzi to wieczne decyzje: dojmujące poczucie odpowiedzialności, wybieranie spośród elementów, którym daleko do pierwszego gatunku, i wielka niewiadoma czająca się za rogiem), przygotowałam sobie kartkę, na której powypisywałam plusy i minusy mojego obecnego życia i tego, które by miało nastąpić po zmianie (listę uzupełniłam po czwartkowym spotkaniu z Jerzym). To ponoć porządkuje myśli i ułatwia wybór. Nie wiem, nie wiem... Chyba musimy razem usiąść nad tą kartką – z boku ponoć widać

lepiej.

Podsumowuję więc także dla Ciebie:

Moje życie z Piotrem.

Plusy:

Stabilizacja. Mąż, ułożone życie.

Poczucie bezpieczeństwa.

Piotr jest zrównoważony, odpowiedzialny i przewidywalny.

Dzieci rosną w pełnej rodzinie.

Jestem przywiązana do Piotra, szanuję go.

Plusik, malutki: ostatnio Piotr zaczął się mną bardziej interesować, poświęcać mi uwagę i czas.

Minusy:

Piotr jest zrównoważony, odpowiedzialny i przewidywalny. (Wiem, było w plusach, ale przyznasz, że to może być wadą...?).

Piotr jest całkiem różny ode mnie, nie mamy płaszczyzny porozumienia.

W moim sakramentalnym związku nie ma chemii.

Poczucie niespełnienia – jest we mnie, niezależnie od obiektywnych czynników wymienionych w rubryce plusy.

Zafiksowanie Piotra na pracy – jest przede wszystkim lekarzem, a potem ojcem i mężem (choć patrz: plusik, malutki).

Moje życie z Jerzym (hipotetyczne).

Plusy:

Chemia, przyciąganie: Jerzy mnie pociąga i intelektualnie, i fizycznie. To stan, który potrwa dłużej niż zakochanie.

Jerzy ma fantastyczne poczucie humoru (ten punkt jest bardzo wysoko na mojej liście oczekiwań).

Lubię z Jerzym spędzać czas – potrafiłabym się z nim zaprzyjaźnić.

Czuję, że Jerzy mnie kocha.

Kocham Jerzego.

Minusy:

Nowe życie oznacza dramat (chciałam napisać „zmianę”, ale najpierw jednak jest dramat, który dopiero z czasem staje się po prostu zmianą) dla Piotra i Doroty. No i dla dzieci.

Niepewność – jak pozamykać stare życia i otworzyć nowe (rozwód, podział majątku, opieka nad dziećmi).

Czy wybór jest taki oczywisty, Malinko? Widzisz, staram się racjonalnie podejść do sprawy. To, że w plusach piszę: „kocham”, też jest jakoś rozumowo przetrawione. To takie „kocham” wedle definicji Jerzego: postanawiam, że cię kocham. Każdego dnia od nowa; to decyzja głowy, choć wsparta sercem. Wobec Piotra nie umiem tak postanowić...

Piotra znam, łatwiej go ocenić. Jerzy jest wciąż zagadką (co nęci), choć mam przesłanki, by sądzić, że jest dobrym człowiekiem. Tak jak ja ceni życie rodzinne, wyrósł w ciepłe i tego szuka w dorosłym życiu. Nie udaje mu się jednak znaleźć. Do trzech razy sztuka czy może ma jakiś feler – przynajmniej taki, że się wiąże z niewłaściwymi kobietami?

Widziałam się z Jerzym wczoraj. Też w Skaryszewskim. Wyrwałam się na dwie godziny (dzień pracy w domu to błogosławieństwo!). Zapowiedziałam, że chcę poważnie porozmawiać. Opowiedziałam o Twoich przejsiach. I dodałam, że chciałabym uniknąć podobnego zdemaskowania. Jerzy twierdzi, że Dorota by się tak nie zachowała, że cierpiałaby w milczeniu



i z godnością. I ta myśl przede wszystkim go powstrzymuje przed ostatecznym cięciem.

– Litość? – zapytałam.

– Poczucie odpowiedzialności – odparł Jerzy (plusik dla Jerzego, co jednak może być minusem, jak już wiemy). – A ty nie czujesz tej odpowiedzialności czy choćby litości? – zapytał.

– Czuję, ale na tym się nie da zbudować długiego, szczęśliwego związku.

– A ze mną byś chciała budować? – padło pytanie.

I poczułam, że to jest *to* pytanie. W ustach Jerzego, nieszafującego słowami w sprawach istotnych, to było coś w rodzaju pytania o rękę.

– Tak.

Jerzy popatrzył na mnie przez chwilę, potem przytulił mocno, bardzo mocno, i wyszeptał do ucha:

– Tak, ja też chcę.

I tyle, Malinko. Aż tyle i tylko tyle. Wypowiedzieliśmy sobie, ale niczego praktycznego nie postanowiliśmy. W pewien sposób mnie to uspokaja. Taka jakby chwila odroczenia. Jesteś jeszcze w starym życiu, ale już z widokiem na nowe, więc to stare dokucza mniej, bo grzejesz się wizją nowego. Wiesz, że dostaniesz od starego rachunek, ale termin płatności i kwota jeszcze cię nie zdołowały.

No to kiedy się znowu spotkamy? Potraktuj to jak wolontariat.

Całuję

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 22.05.2015

Temat: Jestem zajęta

Kochana Jago!

Odpisuję dopiero dziś, bo... to był wypełniony tydzień! Najpierw niemal cały weekend zdominowały imieniny Zosi Wedel. Co to jest za niezwykła osoba i osobowość! Będę musiała opowiedzieć Ci kiedyś, przy okazji.

W niedzielę po mszy – spotkanie z pozostałymi zapaleńcami od alternatywnej imprezy Jezusowej. Ustaliliśmy nań, że od razu trzeba działać, żeby nasz zapal, póki płonie tak jasnym i mocnym promieniem, niezwłocznie przekuwać w progres. Rozdzieliliśmy zadania. Damian z urzędu dzielnicy rozejrzy się za miejscem, terminem i załatwi wszelkie formalności, Gosia i Ela zajmą się PR-em. Ojcowie Przemek i Jurek postarają się o zwerbowanie ciekawych osobistości ze świata misjonarzy i poszczególnych Kościołów chrześcijańskich. Ja najpierw będę redagować różne niezbędne pisma oraz materiały prasowe i informacyjne – w stosownym czasie zaś mam zadbać o zaproszonych gości, to jest odebrać ich z lotniska, zawieźć do Domu Pielgrzyma i tak dalej. Domyślasz się, że ta nieśmiała część mnie już drży i się chce wycofać. Tym razem jednak się zawzięłam. I jej nie ulegnę. Przeciwnie: na listę spraw do zrobienia wciągnęłam odświeżenie angielskiego. Co więcej – odświeżam! W tramwaju słucham audiobooka z Agatą Christie, a co wieczór przez godzinę zmuszam się do czytania *Dumy i uprzedzenia* w oryginale. W komórce zainstalowałam aplikację, która mnie co dzień odpytuje ze słówek. I co Ty na to?

Mniej więcej wiem, co Ty na to. Z przejmującą jasnością Przyjaciółki, Która Wie, widzisz, że obwarowałam się tymi wszystkimi zajęciami niczym w twierdzy, która w bramie wjazdowej, miast wielkiej kraty, ma napis „JESTEM ZAJĘTA”.

Ty wiesz, co leży u podstaw tej „zajętości” – co kompensuję, sublimuję i wypieram.

Liczba nieodebranych połączeń od Wiktora w tygodniowym zestawieniu połączeń z numerów zablokowanych to 73. Napisał też 13 mejli i 52 SMS-y.

Ich nastrój jest różny. Pierwsze słał w tonacji: „Kochanie, co Ty sobie dałaś naopowiadać? Czyż nie jest nam razem cudownie? Komu dajesz wiarę – mnie czy jej?”. Hm, no cóż, jeśli mam być szczerą...

Potem narastało zniecierpliwienie: „Odbierzesz w końcu? Dasz mi szansę wyjaśnienia wszystkiego z mojego punktu widzenia?”. Ha, dać prawnikowi szansę na gadanie to jak przypadkowo strzelić sobie w stopę, prawda?

Następna porcja hardziała: „Nie chcesz rozmawiać, to nie. Zawiodłem się na Twojej miłości”.

*On, Jago! Zawiodł się na mojej!*

A ja milczę. Czuję bowiem, że nie mam w sobie dość hartu, żeby z nim mówić bez emocji. Logicznie i konsekwentnie, tak jak jego żona ze mną. Raz – że uczucia, choć przygniecione twierdzą „JESTEM ZAJĘTA”, wciąż we mnie nie umarły, a jedynie hibernują – i każda nieopatrzna podnieta mogłaby je obudzić. Dwa – on zawodowo zwycięża z ludźmi w potyczkach na argumenty. Jak więc miałabym z nim wieść tę dyskusję, po dwakroć bezbronna – przez uczucie i brak umiejętności przekonywania?...

Widzę, że i Ty nie próżnowałaś, i Ciebie Duch Święty (*vel* zjawa) pchnął do działania. Dobrze. Nad Twymi wyliczeniami plusów i minusów trochę się uśmiechałam. Te same cechy w zależności od kontekstu bywały i walorami, i wadami. Najważniejsze jednak, że zdefiniowałaś, wyartykułowałaś – a co więcej także wygzekwowałaś to samo od Jerzego – wasze uczucia.

No więc miłość. Co dalej? Co dalej?...

Spotkania z Tobą zawsze chętnie – ale w maju już chyba nie zdołam. W najbliższych dniach mój jedyny dzień wolny od wolontariatu to Dzień Matki. A ten, sama rozumiesz...

A masz jakieś plany na długi weekend po Bożym Ciele? Ja z Irenką w zasadzie zaraz po procesji możemy dać się gdzieś porwać, nawet do niedzieli. Pomyśl, czybyś się dopasowała z kalendarzem.

Całuję

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 26.05.2015

Temat: Jestem podwójnie zajęta

Nie, Malinko, to nie jest licytacja. To powtórzenie mojego poprzedniego mejla właściwie. Wydawało się (Tobie zapewne także), że skoro stanęłam w rozkroku, to niebawem podejmę decyzję, którą nogę gdzie dostawić – żeby mi nie zdrętwiały, bo wtedy się można przewrócić. A tu, proszę – okazało się, że ja szpagat zrobić umiem.

Od zeszłego tygodnia trwałam sobie w lekuchnym odrętwieniu, spalając się w myśleniu o najbliższym czwartku, kiedy to mieliśmy się z Jerzym hotelowo spotkać i prócz oczywistych oczywistości porozmawiać o *przyszłości*. I wyobraź sobie, że dziś rano, kiedy już zostałam obdarowana przez Matysię laurką (ona mnie zawsze tak pięknie widzi – ogromne zielone oczy, mnogość cudnych włosów i koralowe usta), a od Jeremka dostałam interesującą abstrakcję (myślałam, że to pointyizm, porozsiewane niebieskie i czerwone kropki, lecz syn powiedział, że to morze, a w nim rybki. I rekin: „Zjada je, mamusiu. Stąd krew”), chwilę potem do życzeń dołączył się Piotr. Że dla cudownej mamy oraz żony przygotował atrakcję – wspólny wyjazd do przytulnego hoteliku nad Bugiem, gdzie masaże, spa, basen, pyszne jedzenie.

– Kiedy? – spytałam.

– Jedziemy we czwartek, wracamy w piątek około południa. Muszę zdążyć na dyżur, więc ty odbierzesz dzieci od moich rodziców, dobrze, kochanie?

Malinko, to za dużo jak na mnie. Piotr, dla którego, wzorem żony Wiktora, już miałam przygotowane wypowiedzenie, nagle próbuje mi rzucić świat do stóp. I to pod płaszczykiem Dnia Matki, więc jasne, że nie odmówię. Traf, że to w dniu planowanego przesilenia. Nie spotkam się więc z Jerzym ani w ten czwartek, ani w następny – Boże Ciało. Jerzemu już to napisałam, zarzekając się oczywiście, że nie jest to wynik tchórzostwa, chęci odwołania decyzji. Oczywiście im bardziej się zarzekasz, tym większą podejrzliwość wzbudzasz. Jerzy jest skonsternowany. I smutny. I niepewny. A ja będę go mogła zobaczyć dopiero na początku przyszłego tygodnia, i to na chwilę, podczas pory obiadowej w pracy.

Taka przedziwna wolta. Czyżby kolejny punkt planu mojej duszyczki czyścicowej...?

Ściskam

Ogłuszona Jaga

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 2.06.2015

Temat: Obsesja obrączki

Hmm... Zatem duszyczka czyścicowa Twój los prowadzi z powrotem do

ślubnego męża – na niego zaś zsyła natchnienie do starań o Ciebie i zmian... Zbieżność dat zbyt zadziwiająca, by była przypadkowa.

Cóż – łykam to... I na Twoim miejscu też poszłabym za głosem rozsądku. No i gościa z zaświatów. Tym bardziej że ja sama... Nie mogę Jago, no. Wiem, że grzeszę, ale czasami nie chce mi się żyć.

Dużo ostatnio pracuję, mało jem i śpię – chyba że jedzeniem nazywać moje pięć dziennie mocnych kaw ze śmietanką i cukrem, a spaniem – zamieranie nad biurkiem w redakcji.

Wiktor przestał dzwonić i pisać. Wraz z ustaniem znaków życia od niego popadłam w otępiały stupor. Tego, co dotąd traktowałam jako marną satysfakcję, teraz boleśnie mi brak. Sprawdzam skrzynkę – i nic. W telefonie – także nic. Zupełnie nic, jak wcześniej, przed rozwodem. Wielkie, uczuciowe nic. Kostka lodu w sercu.

Żona z dziećmi wraca z Oksfordu za trzy tygodnie.

Oddaję się więc swemu ulubionemu depresyjnemu zajęciu, czyli śledzeniu obrączek.

W pracy mają je wszystkie kobiety łącznie z siostrą Marią (w wersji zakonnej) – to jasne. Ciekawsze są obserwacje miejskie: na ulicach, w sklepach, w tramwajach.

Młode żony 20+ są jak świeżo udekorowane orderami. Ich obrączki lśnią na jasnych gibkich dłoniach, są cienkie jak zdobne w hybrydy palce, mają modne fasony, emaliowane wstawki, odważne łączenia białego i żółtego złota, czasem oczka z brylantów.

Takimi obrączkami można niemal puszczać zajaczki, oślepić moje zazdrosne oczy, kiedy właścicielka szepce do trzymanego w ozłoczonej dłoni smartfona: „i kup jeszcze truskawki, misiaczku. Ja zaraz będę. Pa. Pa, pa!”.

Przedział 30+ wydaje się najbardziej problematyczny. Część ma obrączki, część ich nie ma (*Już* nie ma? Kontestuje? Nie dba?...), a i u tych, które mają, na pierwszy rzut oka nie wiadomo, co jest prawdziwą obrączką, a co

udawaną. Moje niedowierzanie budzą zwłaszcza grube w dziwnych kolorach, toporne w wykończeniu, z nieszlachetnego materiału. To są obrączki – pierścionki, obrączki – obręcze. One nic nie znaczą. Są tylko dodatkową sztuką najczęściej licznej biżuterii nosicielki.

Te, które mają niebudzące wątpliwości wersje *classic*, często wprawiają mnie w najwyższe zdumienie. Są to kobiety z mojego przedziału wiekowego; moje równo- lub okolorównolatki. I co? Bywają grube, brzydkie, nieciekawe, ze złą cerą i irytującym głosem. Miewają brzydkie makijaż, idiotyczne fryzury, ceratowe torebki, wdzianka eksponujące mankamenty figury. A jednak!

Co one mają takiego, czego ja nie mam? Co przesądziło o tym, że one mają mężów, a ja nie? Bóg? Przypadek? Siła miłości, tradycji czy może raczej zdolność do ustępstw? Zamażpójście jako zadanie: nie musi być przystojny, mądry, pachnący, zakochany bez opamiętania, niech tylko będzie? Niech zdradza, wsadza, niech się nie domywa, niech dowala nieśmiesznymi impertynencjami, byle tylko pozór szczęśliwego stadła został zachowany? A może krzywdzę te kobiety taką oceną? Może mają miłych, kochających mężów, dla których robią ulubione obiady, a wieczorami cierpliwie spełniają małżeńskie powinności?

Jaka jest prawda, Jago? I gdzie ja w niej?...

Przedział 50+ jest w znakomitej większości zaobrączkowany. Wszystkie te przywiedle twarze, oklapłe powieki, pobrużdżone szyje, siatki z zakupami, okulary do czytania nad gazetą z poradami – wszystkie one wysyłają z serdecznego palca sygnał z przygaszonego upływem czasu złota: „Jestem żoną. Bywa różnie, ten mój to nie anioł – ale wytrzymałam”.

70+ noszą na trzęsących się palcach o reumatycznych zgrubieniach obrączki grube, lekko profilowane, żółtozłote, zmatowiałe jak ich blaknące oczy. W stosownym czasie, na dawną wdowią modłę przenoszą swoje stare złoto na lewe dłonie, osobiste mapy niebieskich żył i brunatnych plam wątrobowych, wzniesień i zapadnięć. Czytaj: „W dniu... roku... z głębokim żalem pożegnaliśmy naszego drogiego męża, ojca i dziadka Stanisława/Henryka/Tadeusza, o czym zawiadamia, przełożoną na lewą dłoń obrączką, pogrążona w żałobie *żona*”.

Żony, Jago. Nie wiedzą, ile mi bólu sprawiają samym swoim tylko byciem.

Lubiłam być żoną.

Lubiłabym być nią znowu.

A Ty miałabyś właśnie z tego zrezygnować...

Czułaś pewnie, że nie potrafiłam wykrzesać dla Twojej decyzji nadmiernego entuzjazmu. Po prostu... rozmyślnie planowałam pozbyć się czegoś, czego ja tak łaknę. W imię... prawdziwej miłości?

Nie, nie myśl, proszę, że to była brzydka zazdrość.

Zazdrość – po namyśle – może tak. Ale niezawistna.

Próbuj, Przyjaciółko. Próbuj dojść do ładu z Piotrem. Niech Ci obrączka lekką będzie.

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 4.06.2015

Temat: Re: Obsesja obrączki

Malinuś,

przykro mi się zrobiło. Nie, nie z powodu niezawistnej zazdrości, skądże. Po prostu potrąciłaś i we mnie czułą nutę. Bo ja także (co Cię nie zdziwi na



pewno) przypatruję się obcym dłoniom, wypatrując na nich obrączek. Są dla mnie symbolem związania, sparowania i zarazem znakiem ostrzegawczym: „uwaga, zajęty/a”. A już zobaczenie jej i jego w tym samym momencie, z takimi samymi krążkami na serdecznych palcach... Jest w tym i solidna podstawa, i coś z magii. „Choć na mej ręce lśniła srogo obrączka, jaką noszą ptaki” – przechodzą mnie dreszcze, kiedy słucham tego tekstu Osieckiej.

I to wszystko piszę Ci, nie mając jak odwrócić wzroku od swojej obrączki, której nie zdjęłam, jakby była przyspawana...

Widziałam się z Jerzym we wtorek. Kawa na Saskiej. Był zmieszany, trochę smutny, trochę niepewny i chyba także zły.

– Wyjazd z mężem się udał? – zapytał.

– Jerzy, to nie tak...

– No to powiedz mi jak. – Nerwowo wygładzał skórki wokół paznokci.

Więc mu powiedziałam. A było... przedziwnie. Pierwszy raz w mojej małżeńskiej karierze Piotr zorganizował coś dla nas – samodzielnie, w tajemnicy, ku czystej przyjemności. I to właśnie teraz! Co to ma być?! Ironia losu, palec Boży, przypadek? Pojechaliśmy do Broku, który jest przyjemną miejscowością malowniczo przycupniętą nad Bugiem. Sam hotelik też w bezpośrednim sąsiedztwie rzeki. Pogodnie żółty z wykończeniami z drewna w kolorze ciepłego karmelu. Taki sznyt dostatniego niemieckiego miasteczka (myślisz, że w ogóle mają tam jakieś niedostatnie?). Za piętrowym budynkiem wypiełgnowany ogród w stylu tylko z pozoru nonszalanckim, łagodnie opadający ku rzece. W ogrodzie bujność roślin, kolorów i zapachów, małe, dwuosobowe ławki, idealnie wpasowany w zieleń basen. Słowem – raj dla par. I kilka ich było. Jak się pewnie domyślasz, kółka symbolizujące nieskończoność i nierozzerwalność, czyli właśnie obrączki, tylko my mieliśmy. Reszta to narzeczeni lub... panie Jagody i panowie Jerzowie. Czyli sekretni kochankowie, którzy wyrывают z codziennej rutyny czas dla siebie, kłamiąc żonom i mężom o wyjazdach służbowych. A białe lub żółte okowy zsuwają z palców i upychają po portfelach, pamiętając, by w odpowiednim momencie ten widomy znak przynależności z powrotem załśnił na dłoni.

Cóż za perfidia! Stłamszona wyrzutami sumienia wobec Piotra (wobec Jerzego także – schizofreniczne, lecz prawdziwe) przeglądałam się w tych parach jak w lustrze.

Poszliśmy na spacer do miasteczka. Było sennie, kameralnie, cicho. Niewiele rozmawialiśmy. Wróciliśmy do hotelu na pyszny obiad – kaczka z żurawiną, idealnie starte buraki na ciepło i sownie posypane rozmarynem ziemniaki. Po ogrodowej sjeście tajski masaż pleców z olejkiem. A wieczorem... Dobrze, Malinko, Tobie napiszę. Wieczorem, po kolacji przy świecach i z dobrym czerwonym winem, wróciliśmy do pokoju z ogromnym małżeńskim (naiwna nazwa) łóżem. Nie wiem, czy to wino, czy wyrzut sumienia, czy myśl, że to zapewne ostatni raz, ale tak, tak – kochałam się z Piotrem. Jeśli można się upić na smutno, to kochać także. To był seks na smutno, coś w rodzaju pożegnania. Kiedy rano, zwalnając pokój, zamykałam drzwi, kołatała mi w głowie myśl, że to symboliczne zakończenie mojego małżeństwa.

Jerzemu oszczędziłam tego fragmentu relacji. Nie dopytywał, ale chyba się domyśla. W złości mi wyrzucił, że jego także Dorota namawiała na kilka dni we dwoje, nawet urlop była skłonna wziąć, ale on się zachował lojalnie i nie pojechał.

Nasze spotkanie 11 czerwca. W hotelu, a jakże.

Skołowana jestem, więc wybaczone, że się nie zebrałam do wspólnego wyjazdu. Otwieram teraz kalendarz i szukam daty, która by nam mogła pasować. Chciałabym się załapać na końcówkę czerwca, taką jeszcze przedsezonową, by uniknąć szaleńców gromadnych wyjazdów. Co byś powiedziała na 26 czerwca (Matysia ma zakończenie roku już we czwartek – jej wychowawczyni w piątek udaje się do szpitala, by planowo urodzić pierwszego potomka)? Morze mi się marzy!

Całuję

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 8.06.2015

Temat: Zdradziecka przyroda

Mówią, że od przybytku głowa nie boli.

Mnie boli od samego czytania – o Twojej podwójnej niewierności, o parach nielegalnych, o sztucznym raju z niby-to-mażeńskimi łózkami, wreszcie o pożegnaniu z Piotrem.

Więc jednak – zbliża się to, co postanowione? O Boże...

Jako że nasz wypad tymczasem nie doszedł do skutku (koniec czerwca zaklepuję na mur-beton!), w piątek po Bożym Ciele pojechałyśmy z Ircią i Carlosem na piknik za miasto, do wiejskiej posiadłości Wandy. Stało się tak po tym, jak Wanda spotkała mnie parę dni temu na schodach i jakże trafnie zdiagnozowała doła i zszargane nerwy, na które – jak powiada – nie masz jak cisza i przyroda. I wystosowała właśnie zaproszenie na piknik.

Wiejska posiadłość Wandy leży za Serockiem, nad rozlewiskiem Bugu. Jest tam zielono i pięknie przez prostotę. Niczym w jakiejś truskawkowej odmianie entliczka-pentliczka Wanda na powitanie podała nam kompot truskawkowy i placek z truskawkami, i ogromną misę wypełnioną po brzegi pachnącymi jak nie wiem co truskawkami – największymi, najczerwieńszymi i już odszypułkowanymi. Potem Irenka zносиła nam koniczynę, a my plotłyśmy jej wianki, kołysałyśmy się na ogrodowej huśtawce, a ja z każdym bujnięciem czułam odrobinę więcej kruchego spokoju.

Po słodkiej uczcie i błogim lenistwie, ozdobione wiankami, poszłyśmy nad rzekę. Ircia sapała z zachwytu, widząc w niezwyklej bliskości brodzącego w wysokich trawach bociana. Wcale się nas nie bał. Podchodziłyśmy bliżej i bliżej, Carlos już pływał na płyciźnie nieopodal, wydawało się, że nic nie

spłoszy długonogiego ptaka.

Wtem z komórki Wandy wyrwał się krótki, ostry dźwięk SMS-a, na który bocian instynktownie poderwał się do lotu.

To też było bajeczne – patrzeć z tak bliska, jak łopocze skrzydłami, by po chwili znaleźć się białym brzuchem tuż nad naszymi głowami.

I co, Jago? I co? I nawet ten cholerny bocian miał obrączkę.

Czy świat umyślnie próbuje mi na każdym kroku dokopać? Wszystko mi mówi, że... Że co, kurde, no?... Że jestem wybrakowana? Bóg ze mnie kpi czy moja obsesja nabiera niezdrowych rozmiarów? Wariuję? Powiedz.

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 12.06.2015

Temat: Re: Zdradziecka przyroda

Malinko,

nie wydaje mi się, żebyś sfiksowała. Bo niby co – że obrączka Cię nęci? To chyba całkiem naturalne pragnienie, choć może jestem staroświecka; teraz ludzie się parują, podkreślając, że ślubu nie potrzebują, bo uczucie się liczy, nie procedury, formuły i papiery. I że ich to miłość łączy, a nie urzędnik. Po czym się rozstają. Ci ślubni też, jasne. Ale ci drudzy chyba mają więcej odwagi lub przekonania, bo przynajmniej podjęli próbę oficjalnego i przypieczętowanego bycia razem. Gdzie indziej jednak bym poskrobała: czy

Ty pragniesz wielkiej miłości, poczucia, że odnalazłaś drugą połówkę, czy po prostu łakniesz stabilizacji, normalności, pewności? I to jest główny powód rozgoryczenia z powodu braku szlachetnego kruszcu na palcu serdecznym?

U Ciebie bocian (wiesz, że dawniej niezamężnym kobietom zabraniano patrzeć na bociany, bo zwiastowały potomstwo?). U mnie – ibis. Kiedy się śni – mówi sennik – oznacza to, że zaplanowane zadanie doprowadzisz do końca. Mnie się nie śnił, był całkiem rzeczywisty na hotelowym logo.

Długo z Jerzym rozmawialiśmy. I stało się, Malinko. Postanowiliśmy zamknąć projekt romans i rozpocząć projekt małżeństwo. Tak, znowu o obrączkach. Idąc do hotelu i zbierając siły przed tą ostateczną decyzją, zdjęłam swój ślubny krążek z palca. Wsuwanie obrączki wybrańcowi lub wybrance na palec ma magiczną moc. Zdejmowanie – także. Jerzy zauważył jaśniejszy pasek na palcu. I to go zapewne ośmieliło, by cicho, z odchrząknięciem zapytać, czy zostanę jego żoną. „Tak”, odpowiedziałam. Absurdalna sceneria, absurdalne warunki (bo ja *już i ciągle* jestem żoną), lecz decyzja najprawdziej szczerą. I wiesz, pomyślałam sobie, że mnie też zależy na tym, by być żoną. Gdyby Jerzy zapytał, czy chcę z nim być, miałoby to dla mnie mniejszą moc, byłoby... ja wiem? Wybrakowane?

Jestem oszołomiona, zdenerwowana, przestraszona i już na zaś – szczęśliwa. I jeszcze przez chwilę spokojna, ponieważ do połowy lipca te ustalenia będziemy znać tylko my i Ty. Osiemnastego lipca córka Jerzego wychodzi za mąż i konkurencyjna impreza pod tytułem „tata przemeblowuje sobie życie” nie byłaby dobrym pomysłem.

Malinko, nasze przedwakacyjne wakacje są mi niezwykle potrzebne. Nosi mnie z tego napięcia, niepokoju, lęku, emocji. Jedźmy! Urlop dostanę – teraz w redakcji jeszcze pełna obsada, więc nie będzie problemu.

Pisz, całuję

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 13.06.2015

Temat: Nie-pokój serca

Sytuacja zmienia się u Ciebie z mejla na mejl. Jak dla mnie to rollercoaster – trochę się boję, i o siebie, i o Ciebie (skoro u Ciebie euforia przysłania obawy), trochę mi niedobrze od nadmiaru wrażeń. Gdzie się podziało moje spokojne życie?...

Nie wiem zupełnie, co Ci napisać. Gratulować? A jeśli, to czego? Odwagi? Odnalezienia drugiej połowy? Chyba czegoś w tym guście, prawda?

A może, wzorem Tomasza, zobaczyć, nim uwierzę? Zobaczyć jego, Jerzego, w Ciebie zapatrzenie, szczerą intencję, „czyste serce”?

Pozwolisz, że się do tego czasu wstrzymam?

U mnie przygotowania do naszego alternatywnego Jezusa idą pełną parą – ale moja w nich rola chwilowo uległa zawieszeniu. Co było do napisania, napisałam, co do zredagowania – zredagowałam. Do czasu przyjazdu gości, czyli do 22 czerwca, mam wolne.

Tymczasem ksiądz dyrektor wytknął mi, że od trzech numerów w „On Żyje” niemal nie ma moich artykułów. Jakieś sprawozdanie z obchodów, dwa okolicznościowe wspomnienia świętych, zresztą po linii najmniejszego oporu (rozbudowane opisy z naszego *Leksykonu* sprzed pół roku). Rzeczywiście zawstydzająco mało. Nic, jeśli chodzi o kreatywne pogłębianie wiary, żarliwe świadectwa, płomienne recenzje ostatnich światowych bestsellerów. Żadnych pomysłów na numery specjalne.

Tylko jak, My Dear, pisać płomienne recenzje, jeśli nie przeczytałam ostatnio żadnej katolickiej książki? Jak cytować świadectwa, skoro z nikim nowym z „tych kręgów” się nie spotykam? W końcu – skąd brać pomysły na numery

specjalne, kiedy w głowie pustka i smuta?

W przypiływie szczerości i skruchy wyznałam mu, *nomen omen* jak na spowiedzi, że przeżywam kryzys. Gotowa byłam wezbrać i uzalić się nad samą sobą; wzruszyć, może nawet dobić do trudnej prawdy o rozwodzie i unieważnieniu sakramentu małżeństwa, by w końcu, w efekcie, zaznać zrozumienia, przebaczenia i ukojenia.

Jednak ksiądz dyrektor nie był w nastroju do zwierzeń.

– Nie należy ulegać zamętom – zalecił, nie wchodząc w szczegóły. – Pokój serca. Proszę dbać o pokój serca.

I już się zbierał, by zostawić mnie z całym tym bajzłem w duszy samej sobie, gdy w kolejnej fali spowiedziowych zwierzeń, nie dając za wygraną, tak bardzo potrzebując duszpasterskiej otuchy – łupnęłam w niego alternatywnym Jezusem. Że rozkręcamy takie spotkanie, że się tam spalam w przygotowaniach, że idea szczytna, ekumenizm i dialog między wyznaniem, że – naraz przyszła mi do głowy przednia myśl – mogę napisać do „On Żyje” fascynującą relację z imprezy. Wręcz – rozniecałam się dalej – byłby to doskonały materiał na numer specjalny. Wprawdzie nie planowaliśmy nic takiego latem – ale co z tego? Można wszystko załatwić spontanicznie!

Żebyś mnie widziała, jaka byłam dumna! Że mam (jednak) jakieś ciekawe życie duchowe, że tak lekko wpadam na genialne rozwiązania (numer specjalny), że wciąż potrafię wyznać księdzu, że przeżywam dół...

Taak... Gdybyś miała mnie widzieć, musiałabyś się bardzo pospieszyć – bo mój entuzjazm przetrwał nie więcej niż minutę.

Ksiądz dyrektor ściągnął brwi.

– Jak Jezus, nasz Pan, może być alternatywny? – Mój ziemski szef nie krył podejrzliwości.

Pospieszyłam z wyjaśnieniem, że to tylko poręczny skrót myślowy... Konkurencyjna impreza wobec „Jezusa na stadionie”. Lokalna, dzielnicowa,

za to przebiegle umiejscowiona tuż przed Jezusem właściwym – co daje nam szansę podpięcia się nieco pod jego... Jego?... – reklamy i PR.

– Co pani wygaduje? Jaki Jezus właściwy, jaki PR, jaka konkurencja jednego z drugim?!



Brnęłam w coraz bardziej nieporadne wyjaśnienia – lecz ksiądz już się zapalił do kazania o lekceważeniu drugiej Osoby Boskiej, o podejrzanych, niezatwierdzonych przez oficjeli, nieprzemyślanych, *niebezpiecznych* inicjatywach, o niepotrzebnym mąceniu w duszach maluczkich; w końcu doszedł nawet do siania zgorszenia.

Tego już mi było za wiele. Nienaturalnie spokojnym głosem odparłam najgrzeczniej, że ma rację, jestem wypalona, zmęczona i właśnie tu i teraz proszę go o miesiąc bezpłatnego urlopu. Również po to, bym jako rozwódka i matka samotnie wychowująca dziecko mogła się nim należycie zająć przynajmniej przez część nadchodzących wakacji.

Tak, Jagodo. Tak właśnie chlapnęłam mu to wszystko, co miesiącami tak skrzętnie ukrywałam.

Ksiądz dyrektor chyba wewnątrznie zbaraniał. A że szybko uznał, że duchownemu nie uchodzi być zbaraniałym, automatycznie, sztywno zgodził się podpisać mi wniosek urlopowy – i oto jestem, Jago, wolnym przez okrągły miesiąc człowiekiem.

Co zaś do tego, co potem – to czuję, że miejscówkę w „On Żyje” mam już wstępnie spaloną.

Nie znalazłaby się przypadkiem u Ciebie w redakcji jakaś zgrzebna posadka? Kawiarki czy pomywacza – bo przecież do świata wielkiej mody, lansu i celebrytów pasuję jak pięść do nosa.

Ech. Rezerwuj tę kwaterę nad morzem. Wprawdzie nie wiem, z czego będę żyła w lipcu, ale pomartwię się o to później. Na razie mi wystarczy.

Całuję

Twa Ma

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 15.06.2015

Temat: Idzie nowe

Ma Ma,

ależ się wymieniamy woltami! Niby moja większa, ale Twoje wyznania poczynione takiemu przełożonemu! – tu potrzeba albo wielkiej odwagi, albo wielkiej determinacji. O głupocie pisać nie będę, bo nieelegancko by to zabrzmiało...

Mam wrażenie, że mogłybyśmy jechać i w sierpniu, i o jesień nawet zahaczyć – czuję, że ten urlop Ci się przedłuży. I jak tu nie wierzyć duszy czyścicowej, że złe się czai za rogiem? Wracam do tej historii, bo ukułam sobie teorię. To było ewidentne ostrzeżenie: frywolne życie sprowadzi na Ciebie klęski wszelakie. Okazało się, że chodziło o nas obie, a Ty jesteś swoistą forpocztą, żeby nie napisać mięsem armatnim. Zaraz po pamiętnym wieczorze odbierasz telefon od pani Wiktorowej, która wskazuje Ci miejsce w szeregu – daleko od jej męża. Teraz ta rozmowa z ojcem dyrektorem, który jeśli nie dostanie apopleksji, to usunie Cię z redakcji – jak element bardzo obcy klasowo.

Ciekawe, co mnie czeka? Powiedz, czy przynajmniej jest tak, że wyznanie win przyniosło Ci odczuwalne oczyszczenie? Jest Ci lekko na duszy? Jak się domyślasz, dopytuję w wiadomej sprawie. Mam wrażenie, że gdy dojdzie do rozmowy z Piotrem, zabraknie mi odwagi. Może po prostu trzeba dojść do ściany – jak cię życie do niej dociśnie, to ogłosisz prawdę...?

Za pracą u nas się rozejrzę. To może być dobry pomysł! Porozmawiam z Troglodytą; od czasu tej publicznej wtopy z żoną i nieżoną jest miłszy, dla mnie także, bo regularnie współpracuję z Beatą. Coś w rodzaju komitywy się zawiązało – ja wiem i nie komentuję, on stara się nie utrudniać mi życia. Na

razie to pewnie byłaby współpraca – redakcja i korekta tekstów, ale gdybyś wymyśliła działkę, którą byś się mogła zajmować? Na przykład cykliczna seria „Z życia wzięte” – miałabyś już materiał na pierwsze odcinki...

U mnie też teraz spokojniej. Przygotowuję jesienne numery. Dziś na przykład piszę pouczający artykuł o powakacyjnych dolegliwościach: grzybica przywleczona spod prysznic, włosy zjedzone przez chlor i pamiętka po bliższym spotkaniu z nieznanym. Od przyszłego tygodnia powinnam się zabrać do numeru listopadowego. Przed artykułem *Odeszli, lecz zostali* (zamierzenia były ładne, upamiętniające utraconych bliskich, a z rozmów z czytelniczkami, które ofiarowują swoje historie, rysuje się coś na kształt *Z Archiwum X* pomieszanego z *Dziadami*) będę potrzebowała chwili oddechu.

Miejscówka załatwiona. Piaski, tam, dokąd uciekałam przed świątecznym smutkiem. Bardzo przyjemne miejsce. Duży przytulny dom, mieszkaniopokoje tylko na wynajem, wielki salon i słoneczna kuchnia. Poza tym pusto – tylko woda, sosny, dziki i my. Zarezerwowałam nam miejscówkę od piątku 26 czerwca do soboty 4 lipca. Piotr dziwnie na mnie patrzy. Nie dowierza, że mam chęć na wyprawę z dziećmi bez wsparcia w postaci drugiego rodzica. Tłumaczę, że Wy z Irenką też będziecie. Nie do końca chyba jest przekonany, jakby coś podejrzewał... Intuicja go zresztą nie myli (bardzo się denerwuję, wiesz? Poczucie winy, nowe, ekscytujące tuż za rogiem – trudno znieść takie napięcie). Pomyślisz może, że to oszustwo z mojej strony, ale akurat tym razem naprawdę nie robię niczego złego – wybieram się na urlop z przyjaciółką. Proponuję więc, byście przyjechały do nas w piątek rano – przepakujemy się do naszego samochodu i oczyszczone z zarzutów, pojedziemy nad Bałtyk. Dobrze?

Jerzy w czasie naszego morskiego wywczasu będzie zajęty nową pracą. Dyrektor do spraw dystrybucji czy coś równie obcego nam obu. Jak, komu i co sprzedawać – tak można podsumować to zajęcie. Jerzy jest zadowolony – przymusowy okres zawodowego marazmu źle na niego wpłynął. Wyobrażam sobie: pusty dom w leśnych ostępach, z każdego kąta wieje chłodem (emocjonalnym), a wyrzuty sumienia rykoszetem odbijają się od ścian, godząc w głowę i serce. Dodatkowo, co wzmaga poczucie winy u Jerzego, Dorota wzięła jednak urlop. Taki, by pobyć w domu, powysypiać

się, poczytać, spędzić czas razem, zająć się ogrodem. Jerzy skonsternowany, bo czuje się jak kat, który tylko na chwilę schował siekiere w kącie. I zdziwiony, bo nigdy wcześniej nie widział w nakremowanych dłoniach Doroty żadnego narzędzia do pracy w ziemi. Podobno leśniczy Daniel ją zachęcił do czynnego uczestnictwa w życiu matki natury. Odmierza więc kolejne porcje pożywki do kompostownika, zalewając proszek wodą z deszczówki.

Rozkład materii organicznej, rozkład (po)życia. Odwieczny cykl...

Całuję

Ja.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 20.06.2015

Temat: Ja jako szofer

Jagódko!

Ostatnie dni spędziłam w marazmie. Po chwilowej, bardzo chwilowej euforii – duma ze swej postawy, nareszcie czas na różne domowe zaległości – wnet przyszło otrzeźwienie. Nagłe wolne godziny od rana w domu, po odwiezieniu Irenki do przedszkola, uprzytomniły mi, że utrata pracy jest bardzo realna. A ja – z kredytem i bez oszczędności – nie mogę sobie pozwolić na luz. Już z tym miesiącem bezpłatnego urlopu przeszarżowałam. Dlatego za wszelkie prace zleczone będę Ci wdzięczna – natomiast co do kreatywnego wymyślania działki – nie wiem, czy sobie poradzę...

Tymczasem wreszcie w piątek nadszedł dzień reaktywacji mojego udziału w Alternatywie. Innymi słowy – dzień przylotu zaproszonych gości, w którym moja rola odebrania ich z lotniska i bezpiecznego przewiezienia do domu naszych pasjonistów miała w końcu zostać odegrana.

Pamiętasz, jak odświeżałam angielski? Otóż, o ironio – moja stała życiowa towarzyszko – z czworga gości ze świata, którzy odpowiedzieli pozytywnie na nasze zaproszenie, troje to Polacy. Jedynie w niedzielę, tuż przed samą imprezą, dobije do nas, jakby dla zachowania statusu międzynarodowego wydarzenia, ojciec Kevin.

Odbieranie przybyszów i powitalne honory zajęły mi cały dzień. Rano zawiozłam Irenkę do przedszkola, skąd miała ją po południu i aż do sobotniego ranka przejąć babcia – ja zaś ruszyłam na lotnisko z zapiskami, kto kiedy ląduje – oraz z tabliczkami z nazwiskami przybyłych. Na pewno widywałam takich oczekujących w halach przylotów, ja także. Tym razem miałam stanąć – i to trzykroć – po drugiej stronie: nie jako przechodzień z walizą, lecz człowiek trzymający tę kartkę.

Jak widzisz, mój urlop się przydaje...

Siliłam się na dziarskość i otwartość, ale chyba nie wychodziło najlepiej. Obawiam się, że miast pełnej werwy siostry w wierze kolejni goście napotykali sztywną, smętną, grzeczną w formułkach parafiankę. Zaprawdę, idealnie reprezentowałam polski Kościół...

Pierwsza odmeldowała się siostra Anna z Wenezueli – korpulentna miniosóbka, z małą torbą, równie pękatą jak ona sama. Na jej widok wnet przypomniały mi się klasyczne bajki Disneya, choćby *101 dalmatyńczyków*, w których bohaterowie byli tak uroczo spójni ze swoimi atrybutami. Te wszystkie pańce z pieskami – psimi wersjami samych siebie! Ślicznotka z wcięciem w talii z gibką charcicą, przysadzista paniusia z przysadzistym mopsikiem – siostra Anna z korpulentnym tobołkiem.

Anna miała w sobie coś zaraźliwie krzepkiego, niezmaczenie optymistycznego. Małe bystre oczy, zażywna twarz pięćdziesiątki z dużą ilością kurzych łapek – nie tyle zadbana, ile ładna jakby mimochodem – opalona, niepomarszczona dzięki okrągłościom, w każdej chwili gotowa do

uśmiechu. Powitała mnie jowialnie. Jediną oznaką długiej podróży były jej spuchnięte nogi – ale i z tego nie robiła ceregieli.

Do przylotu kolejnej osoby, misjonarza z Rwandy, zostało półtorej godziny. Nie zdążyłabym w tym czasie odwiedzić jej na drugi koniec Warszawy i wrócić, siostra zaproponowała więc, żebyśmy poszły do lotniskowej kaplicy.

Wstyd przyznać, lecz choć był czas, kiedy latałam z Maciejem wte i wewte, byłam tam po raz pierwszy. Wystrój skromny, bez charakteru, zgodny z całą anonimowością lotniska.

Siostra modliła się krótko, acz „efektywnie”. Wydawać by się mogło, że ma z Panem Bogiem, jakże pasujące do wnętrza, spotkanie biznesowe: najpierw dziękuje Mu za szczęśliwą podróż, potem poleca Jego uwadze garść swoich spraw, w końcu, ukontentowana pozytywnym przyjęciem, kończy z miłym poczuciem dobrze załatwionych interesów. Z przyjemnością patrzyłam na jej dar wiary – niezbitej, ufnej, niemal namacalnej.

Po wizycie w kaplicy zaprosiłam ją na śniadanie (ceny obie nas wprawiły w konsternację, ale dotrzymałam fason do końca, czyli do płatności). Jadłyśmy, gawędząc. A w stosownym czasie ruszyliśmy po ojca Krzysztofa.

Najkrócej mówiąc, poszło gładko. Po wymianie wstępnych uprzejmości dotarliśmy do samochodu. Torby spoczęły w bagażniku, duchowni zatopili się w rozmowie, a ja, pod pretekstem uważnego prowadzenia, mogłam się schować w milczeniu.

Trzy godziny później (odstawienie gości, szybka wizyta w domu na spacer z Carlosem) z powrotem pokonywałam drogę na Okęcie, tym razem po Anitę – wolontariuszkę z Indii.

Anita była młodą, dwudziestoosmioletnią dziewczyną o wzroście koszykarki. Jej twarz, dekolt i ramiona zdobiły konstelacje piegów. Spłowiała, przydługa, postrzępiona grzywka opadała na nos, zadarty i wydatny, taki nos w sam raz do wtrącania się w słuszne sprawy. Pełniła wolontariat w ośrodku dla kobiet świeckiej organizacji humanitarnej w Kerali.

Tym razem przedostanie się przez centrum na prawy brzeg zajęło nam trzy razy więcej czasu niż przed szczytem. Anita żuła gumę, bębniła palcami w kokpit i buzowała opowieściami, długa podróż nie odcisnęła na niej żadnego śladu. Wydawała się gotowa wysiąść i pobiec między samochodami do celu. Podobała mi się jej energia – tak dla mnie teraz niedościgniona.

Do domu księży dotarliśmy po siódmej. Woń pieczonych kartofelków i dobrze przyprawionej ryby uświadomiła mi, że od śniadania w cenie sugerującej, że będzie go fura (a nie była), nie miałam nic w ustach.

Proboszcz przywitał nas wesoło zza furtki:

– Witamy ostatnie zguby! Gość w dom... Proszę się odświeżyć i zapraszamy do stołu! Magdo! – Pospieszył, zauważywszy we mnie jakiś gest odwrotu – chyba nie myśli pani, że puścimy panią głodną do domu, po tym jak przeprowadziła pani przez rzekę wszystkich naszych gości?

Wiatr znów przywiał woń smażenia, a mnie przebrzydłe zaburczało w brzuchu. Proboszcz uznał to za oczywistą zgodę.

– Łazienka jest tam... – Wskazał na dom – a kolacja tam. – Machnął ręką w stronę idyllicznego ogrodu za różaną bramką. – Czekamy!

Tak oto znalazłam się w zacisznym ogrodzie księży, przy nakrytym lnianym obrusem stole, wraz z gospodarzami i ich gośćmi. Proboszcz dalej czynił honory.

– Wszyscy się znają... Ach, nie. Pani Magda – Staszek, mój szkolny przyjaciel. – Kiwnął głową w stronę wciśniętego w jaśminowiec faceta. – Staszek jest...

– Włóczęgą – dokończył Staszek, a wszyscy zawtórowali mu uprzejmym śmiechem. Niemniej wygląd delikwenta był podejrzenie spójny z ideą włóczęgotwa. Rozpięta kraciasta koszula z podwiniętymi rękawami, pod nią T-shirt ze spranym nadrukiem. Włosy w nieładzie, zarost więcej niż trzydniowy, obszarpane dżinsy kończące się nagle gdzieś nad kolanami. Całości dopełniały znoszone sandały, przykurzenie i stosowna chudość.

Z bieszczadzskich rojeń o Majstrze Biedzie wyrosłam jakieś pół życia temu. Dlatego wcale się nie ucieszyłam, że pozostali biesiadnicy pozostawili mi ostatnie wolne miejsce właśnie obok niego. Znasz mnie: obawiałam się, że będzie wydzielał woń, która przyćmi mi całą radość konsumpcji. Jednakowoż – miła niespodzianka. Pachniał powietrzem. Tak. Nie: niczym. Nie potem czy niedopranie. Ale też nie płynem do prania czy płukania. Nie dezodorantem. Ale świeżym powietrzem. Ciekawe, jak się nabywa takiego zapachu.

Ciepły wieczór pomału ciemniał. Sytość mnie ukoła. Przestałam się martwić, spieszyć, denerwować. Anna, Krzysztof i Anita opowiadali o swoich światach, życiach pełnych prawdziwych, niewydumanych, niemiejskich trosk. Przewijał się temat niemożności pomocy „do końca”, stawania na głowie, by zdobyć pieniądze czy leki. Nie wiem czemu spodziewałam się jakiejś wzniosłości, może nawet umacniających świadectw cudów, Boskiej opieki, Opatrzności. Niestety – nic z tych rzeczy... Może trzymali te historie na poniedziałkową imprezę, nas częstując jedynie na wskroś ziemskimi dramatami? Wioska wycięta w pień maczetą, odrażające choroby, zastępy osieroconych dzieci. Hinduski oblane przez rodzinę męża benzyną i podpalone – bo ich rodzina nie sprostała wysokości *dowry* – posagu satysfakcjonującego drugą stronę. Wierz mi, własne troski, trywialnie skupione wokół miłosnych niepowodzeń, blakną przy takich powodziach nieszczęść.

Zasłuchałam się, zadumałam się nad tym wszystkim, myśląc, że każde wydarzenie jest w jakimś celu. Ta kolacja, na przykład, ma mnie zawstydzić, że się nad sobą użalam, podczas gdy skala zła, jakie może na człowieka spaść, jest wprost monstrualna.

– Samotność? – mruknął ni to pytająco, ni to twierdząco Staszek.

– Słucham?!

– Słuchasz. I cierpisz bez względu na to, czy inni cierpią więcej od ciebie, czy mniej. Cudza niedola wcale nie bywa skutecznym pocieszeniem.

– Nie jestem samotna – uniosłam się, gotowa bronić wartości swego nieudanego życia. – Mam córeczkę, przyjaciółkę i psa. Rodziców i siostrę. Ludzi, którzy dzielają moje...



Staszek utkwiał we mnie wzrok – uważnie, bez słowa, z miną starca, który przejrzał cię na wylot.

– A pan? – zdecydowałam się odbić atak. – Czym pan się zajmuje? –  
I sformułowanie to z miejsca wydało mi się *niedostosowane*, jakby rodem z jakiejś płaskiej bankietowej pogawędki. Wydałam się sobie beznadziejna.

Pośród ciemnej brody błysnęła duża doza bieli – znak, że chyba wyszczerzył się w uśmiechu.

– Niczym, czym mogłabyś się pochwalić przed znajomymi.

– Gdyby każdy robił takie *nic* jak Staszek!... – gruchnął nad nami zniecka głos proboszcza. – To mój niedościgniony wzór, dobry duch tyłu przedsięwzięć, że pewnego dnia święci żywcem wezmą go do nieba!

– Nie święci garnki lepią – mruknął włóczykij.

– Proszę księdza proboszcza, niech będzie pochwalony! – roztrajkotało się coś nagle przy różach. – Wszystko na jutro poszykowane, mięso w marynacie, ogórki powkładałyśmy, truskawek wyszło dwadzieścia słoików, się zeszło, to już będziemy iść, szczęść Boże, już i tak nam uciekł autobus. – Nasza miniparafia miała dwie gosposie nie z rozrzutności, ale z nieprzejednania obu pań. Otóż kiedy kilka lat temu zaczęła się budowa kościoła, dwie kumoszki powzięły identyczną decyzję, by zgłosić się do prowadzenia braciom kuchni. Wizja konkurencji najpierw sromotnie skłóciła jejmoście, a nawet przywiodła je do rzucania nawzajem szpetnych oszczerstw na temat rzekomego „flejstwa” – by następnie salomonowa decyzja Przemka o zatrudnieniu obu zrodziła w parafiankach dozgonną przyjaźń.

– O, to czym panie pojedą? – zafrasował się proboszcz.

– Ja mogę podrzucić! – zaoferowałam się z nagłą, powodowana sumą trzech różnych uczuć: odruchu kierowcy po dniu pełnym szoferowania, chęci uczynienia choć minimalnego dobrego uczynku po wysłuchaniu o całym tym heroizmie misjonarzy, wreszcie – ucieczki od świdrującego spojrzenia świętego włóczęgi. – Dobranoc wszystkim! – Zebrałam pospiesznie zbędny we wciąż ciepłą noc sweterek i torebkę i wydostałam się spod jaśminowca.

– Dobranoc! – odpowiedział mi chór życzliwych głosów. Święty zaś łytał bez słowa z nieodgadnioną miną.

Dobranoc i Tobie, Jagódeczko. Zbieram siły na niedzielną imprezę. A już parę dni po niej – nareszcie morze z Tobą. Ź propos: co brać, a co jest? Cały ten sprzęt do plażowania – maty, parawany, parasole?... Ja nie mam, ale mają i sąsiedzi, i rodzice. Mów – a skompletuję.

Jak dobrze! Jak bardzo, bardzo dobrze...

Wyśnij nam morze spokoju.

Twoja

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 21.06.2015

Temat: Re: Ja jako szofer

Malinko!

Olśniło mnie, kiedy czytałam Twój mejl! Mam dla Ciebie pracę – nadasz się do niej idealnie! Od października odchodzi od nas Krysia, nasza sekretarz redakcji – pamiętasz, opowiadałam Ci o niej...? Była beznadziejnie zadurzona w Troglodycie; i tak by biedaczka usychała z tej niespełnionej miłości, gdyby romans mojego szefa z Beatą nie ujrział światła dziennego. Krysia najpierw wpadła w rozpacz, potem w furję. Trzeci etap żegnania marzeń o Troglodycie był już konstruktywny. Co prawda podszyty niezbyt

ładną intencją „ja ci jeszcze pokażę, na co mnie stać”, ale w końcu efekt ważny. Otóż Krysia poprosiła wizażystkę, która współpracuje z naszą gazetą przy cyklu „Odkryj piękno w sobie” (metamorfozy właśnie od takich Kryś do ładnie obciętych, uczesanych, umalowanych i adekwatnie do warunków ciał ubranych pań), o pomoc. I Patrycja odmieniła Krysię! Mysi kucyk zniknął – teraz Krysia ma karmelowe włosy, przy których błękit jej oczu aż oślepia. Rozhasane brwi zmieniły się w subtelnie poprowadzone linie; wąsik już nie rzuca cienia na usta. Okazało się, że Krysia ma zgrabne nogi – trapezowate spódnice do połowy łydki powędrowały do śmieci. Ich miejsce zajęły kopertowe sukienki, podkreślające prócz nóg fenomenalne piersi, przyjemnie cieszące oko w dekolcie. Do kompletu Krysia dostała sesję fotograficzną dokumentującą tę wywrotową metamorfozę. Inne dziewczyny pewnie zaraz by wrzuciły takie superzdjęcia na Facebooka, ale Krysia mądrość życiową ma we krwi i umieściła je zgoła gdzie indziej – na portalu Dwa Serca. Sama bym do takiej Krysi napisała, więc nic dziwnego, że różni mężczyźni też to zrobili. I teraz Krysia ma narzeczonego! Robert ze Śląska; dorodny właściciel rodzinnej firmy spedycyjnej. We wrześniu przyjedzie po Kryskę jednym z wielu samochodów ze swojej floty i powiezie ją do dużego domu, gdzie będzie wesele, a potem gromadka dzieci i dobre życie. Na razie Krysia wyjeżdża na romantyczne wakacje do Rzymu, dumnie obnosząc po redakcji pierścioneł zaręczynowy na palcu.

To jak, Malinko, przedstawiać jutro Twoją kandydaturę Troglodycie?

Ściskam

J.

PS. Osprzęt plażowy jest na miejscu. Koce, leżaki, parawany. Zabierzmy tylko wiaderka i łopatkę. I może rękawki lub dmuchane kółka? Łód Bałtyku nie zniechęci dzieci do pływania.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 22.06.2015

Temat: Alternatywny Jezus i pobożny zajęć

Miła Jagodo!

Hmm... Czyli miałabym być Waszą nową Krysią... Wiesz? To wcale nie brzmi źle. Oczekiwania nieustającej dziennikarskiej kreatywności jakoś mnie przerażają – natomiast utrzymywanie porządku i terminów w biurze wcale nie. Dodatkowo może życiowy fart Krysi spłynię i na mnie?... Przedstawiaj, wchodzę w to! I dziękuję Ci, rzecz jasna. Wszelkie porady, jak mam się zautoprezentować – nie tylko mile widziane, ale wręcz niezbędne!

Tymczasem z niekłamaną ulgą donoszę, że nasza impreza doszła do skutku. Dopisali ludzie, sprzęt i nagłośnienie. Nie lunął deszcz. Zaprzyjaźniona szkoła nie wycofała się z nieodpłatnego udostępnienia boiska. Ogłoszenia parafialne, marketing szeptany i nasza internetowa gazetka parafialna przywiodły na spotkanie około trzystu osób – co uważamy za sukces.

Tyle co do formy. Treść również nie zawiodła. Ojciec Kevin wygłosił płomienną homilię, tłumaczoną na bieżąco przez brata Daniela, misjonarze opowiadali o swojej pracy i składali świadectwa (a jednak!), zespoły muzyczne zręcznie wypełniały wszelkie szczeliny – a wierni żywiołowo reagowali.

W wymiarze osobistym także coś z tego wyciągnęłam. Powzięłam mianowicie postanowienie, by nie przesadzać ze skupianiem się na sobie – a miast tego nie przeoczać okazji do zrobienia czegoś dobrego dla świata. A tak. Jakoś to – przecież – będzie!

Całe spotkanie, z mszą, świadectwami, modlitwami i tak dalej, trwało trzy godziny. Po naradach w gronie znajomych wzięliśmy z sobą dzieci, licząc na to, że jakoś wytrzymają dzięki świeżemu powietrzu i wzajemnemu towarzystwu. Irenka, mając w pamięci Boże Ciało, upewniła się tylko, czy

nie będzie procesji. Po moich zapewnieniach, że nie, spakowała do dużej torby najpotrzebniejsze rzeczy (zając, panda, kaczka, niedźwiedź polarny, zestaw do baniek, dwie foremki do piasku, łopatka, nienadmuchany balon i wachlarz) i oznajmiła, że idziemy. Dołożyłam drugą torbę z kocykiem, wodą, bananem, mokrymi chusteczkami, kapeluszem, swetrem i parasolem – i poszliśmy.

O formie już wiesz, o treści też – pora na nieprzewidziane zdarzenia.

Otóż gdzieś po drugiej godzinie Iryskowi definitywnie przestała wystarczać zabawa na kocyku. Ircia wstała więc i poczęła okrążyć najbliższą okolicę – najpierw skacząc wokół mnie, potem stopniowo rozszerzając kręgi. Ludzie stali dość luźno, miejsca na boisku było aż nadto – nie robiłam więc paniki. Nie zniknęła mi zresztą z oczu na dłużej niż parę sekund.

Jej zabawa wnet zainteresowała dwie inne dziewczynki. Oto skakała już nie jedna, lecz trzy żabki, wszystkie w podobnym wieku. Irenka co jakiś czas do mnie machała, w końcu za którymś okrążeniem zauważyłam, że dziewczuszki ją o coś zagadują. Po wyciągniętych trzech paluszkach i czwartym zgiętym domyśliłam się, że ustalają wiek. Potem, sądząc po gestykulacji, doszło chyba do prezentacji imion, a następnie – kolejna ważna towarzysko rzecz – Irenka śmignęła do naszego kocyka po zająca. Dziewczynki nie miały zabawek, za to zdjęły z ramion identyczne bławatkowe chusty i czule opatuliły w nie zająca.

Wtedy nastąpiła chwila adoracji. Wszyscy klękali, zrobiło się cicho – a ja obserwowałam, jak trzy panny roztropne dopasowują się do sytuacji. Jedna z chust wnet powędrowała na ziemię, a zając – opatulony w drugą jak w chałat – ukląkł pobożnie na pierwszej, nie ryzykując pobrudzenia kolan. (Czy zające mają kolana?). Dziewczynki równie nabożnie uklękły wokół niego.

Jak znaczny musi być we mnie rys pajaca idioty, że zawsze daję się ponieść takim sytuacjom?... Miał oddać się kontemplacji, gapiłam się na zająca, który następnie, z pomocą najwyższej dziewczynki, się przeżegnał oraz, dzięki welonowi z błękitnej chusty, przeobraził się w Maryję. Irenka wysupłała z kieszeni ogrodniczek przemyconego krasnalika i z przejęciem wlepiła zającowi jeszcze Dzieciątko.

Tego już było dla mnie za wiele. Łzy najczystszej ubawu popłynęły mi wartkim ciurkiem po policzkach, a ja sama, nie mogąc oderwać oczu od sceny lulania, całą siłę woli poświęciłam na to, by nie pokwikać. Rozejrzałam się dyskretnie na boki. Czy ktoś podziela mój ubaw? Gdzie są rodzice tych pomysłowych dziewczątek?

Niestety nikt się nie ujawnił.

Adoracja trwała jeszcze trochę. Zając szczęśliwie nie wniebowstąpił i nie odegrał już żadnych w ogóle scen z życia Matki Boskiej, więc i ja z wolna doszłam do siebie.

Dziewczynki wstały, naradziły się, co dalej, i krokiem poleczki ruszyły gdzieś za mnie. Wstydząc się splakanych od śmiechu oczu, postanowiłam się nie odwracać – nie mogły pójść daleko, parę metrów za nami było już ogrodzenie.

Spotkanie dobiegało końca. Odśpiewaliśmy ostatnie pieśni, w niebo pofrunęło gorejące serce Jezusowe z balonów (Nie pytaj. O tej inicjatywie nic nie wiem) – gdy naraz poczułam wzmożony zapach świeżego powietrza, jakby ktoś otworzył butlę pełną ozonu albo wiatr przywiał powietrze prosto z gór.

Tyle że nie byliśmy w górach.

Duch Święty? – zadałam sobie w myślach pytanie.

Ale to nie był Duch Święty, bo naraz całkiem ludzkim głosem przemówił mi tuż nad uchem:

– Odprowadzamy zgubę.

Nie uwierzysz. Cholerny Staszek. Potargany i zarośnięty jak w piątek, w innej wprawdzie, lecz równie zużytej kraciastej koszuli, jedyny wysiłek w stronę elegancji stanowiły długie spodnie. Za rękę trzymał troszkę spłoszoną Irenkę.

Poczułam się jak bohaterka *Stu lat samotności*. Może jeszcze powinny nad

nim fruwać ostrzegawczo żółte motyle, hę? Jednakowoż zamiast żółtych motyli zza włączęgi wyłonił się wianuszek dzieci w błękitnych chustach na szyjach – dwie znane mi już dziewczynki i trzech nieco starszych chłopców. Przytuliłam Irenkę, posyłając jej trochę karcące spojrzenie.

– To wszystko twoje?

– To wszystko moje – potwierdził z irytującym uśmiechem Giocondy.

– No cóż. Gratuluję. I dziękuję. I do widzenia – wyrzucałam z siebie kolejne formułki.

– Do widzenia – odpowiedział, tak akcentując to „widzenia”, jakby chciał zaznaczyć, że to jeszcze nie koniec.

Jest w tym facecie coś wkurzającego, Jagodo. Coś, co w jednej chwili zrujnowało całe moje uduchowanie, ciężko nabyty spokój ducha, miłość bliźniego i świeżo powzięte postanowienia. Może to wampir energetyczny albo co.

No sama widzisz, jakie bzdury tu wypisuję. Wszystko przez to wytrącenie z równowagi. Ech. Niech już będą wakacje i nasz sielski wyjazd. Odliczam dni.

Całuję Cię

Malina, której znów umknęła świętość

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 23.06.2015

Temat: Malina w nowej branży

Malinko,

ale co Cię tak porusza, kiedy mówisz o Staszku? Że wolny duch? Że ubrany jak ubogi krewny Woody'ego Allena? Że powołał na ten świat gromadkę dzieci? Że jest tak inny od będącego do niedawna na piedestale Wiktora, a i tak Cię, hm... intryguje? Bo coś Cię do niego ciągnie – znam Cię, Maliniaku!

Jak dobrze, że za trzy dni już będziemy nad morzem! Wreszcie uda nam się do syta porozmawiać.

Co do wskazówek przed jutrzejszym spotkaniem: nie zdradzałam Troglodycie stopnia zażyłości między nami, by nie sądził, że Cię polecam z powodów inne niż merytoryczne. Powiedziałam, że razem chodziłyśmy do podstawówki, że byłaś zdolną i pracowitą studentką, że wybrałaś redakcję katolicką, by tchnąć w nią korporacyjnego ducha i wprowadzić ją w XXI wiek. Opór świętej materii jednak Cię zmógł, więc szukasz innych, bardziej przyziemnych wyzwań. Że jesteś świetnie zorganizowana, systematyczna, mądra. Że masz już dziecko, które spełniło Twe macierzyńskie potrzeby, i rozmnażać się nie będziesz. Ubierz się jakoś formalnie, to znaczy nie w hipisowską spódnicę, lecz także nie w białą bluzkę z żabotem. Obejrzyj sobie tytuły naszej redakcji, na pewno Cię o nie zagadnie. Bądź sobą (no, w granicach normy). Umówiłam Was na 10. Ja przyjadę ciut później, bo rano spotykam się z Jerzym. Nasz zwyczajowy czwartek odpada, bo świętujemy z Matysią i Piotrem zakończenie roku. Zatem poranny środowy spacer po Skaryszewskim. Jerzy nie może sobie znaleźć miejsca. Przysyła mi SMS-y, takie czuło-nostalgiczno-upewniające się. W niedzielę wybiera się na ryby z przyszłym zięciem. A potem jadą z Marysią do taty Jerzego, by senior rodu poznał wybranka wnuczki. Od poniedziałku zaś rusza w trasę – Poznań, Wrocław. Mówi, że się cieszy, bo długie podróże go wyciszają, pozwalają poskładać myśli. Też jest rozdygotany – poważny, spokojny, poukładany Jerzy. Co ta miłość robi z ludźmi, Malinko.

Do jutra

J.



@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 23.06.2015

Temat: Nowe, nowe!

To już?! Tak szybko rozmowa o pracę??? Jestem... Oszołomiona. I w istocie wciąż jeszcze zatrudniona w „On Żyje”.

Z drugiej strony – może lepiej uprzedzić spodziewane wymówienie własnym ruchem? To chyba daje satysfakcję, prawda?

No dobra. Prasuję sukienkę (do kolan, szara w miły rzucik), stroszę włos, golę nogi. Jutro zdam Ci relację.

Wiesz, że fakt Twojego planowanego przemeblowania życia jeszcze wcale do mnie nie dociera? Dobrze, że mamy w perspektywie parę dni na pogadanie!

Jeszcze raz dziękuję, że się wszystkim zajęłaś.

Malina

PS

Co do Twojej znajomości mnie – tym razem pudło.

S. mnie wyłącznie drażni, żadnego pociągu nie ma.

Pudło, pudło na całej linii. Może jak jesteś zakochana, to intuicja Ci się tępi.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 24.06.2015

Temat: Re: Nowe, nowe!

Malino,

zdawaj relację! Kiedy przyjechałam do pracy, nie było już ani Ciebie, ani Troglodyty (jakieś spotkanie z szefami szefów). Znikąd informacji, jaki finał miała Wasza rozmowa.

Jerzy rozkojarzony. Od poniedziałku rusza w zawodową podróż. Przeżywa ślub Marysi. I – co tylko wyczuwam, bo z tego się z trudem zwierza – wizualizuje tę rozmowę z Dorotą. Chyba nie potrafi przewidzieć jej reakcji. Z jego opowieści wyłania się osoba opanowana i konkretna, ale słowa o rozstaniu, jak każda sytuacja graniczna, wydobywają z człowieka prawdziwe ja, na co dzień skrywane pod cechami i zachowaniami zgodnymi z oczekiwaniami cywilizowanego społeczeństwa.

Ja też się boję. W afekcie łatwiej by mi było objawić Piotrowi prawdę. Przygotowana przemowa pewnie z trudem przejdzie mi przez gardło.

Jedźmy, jedźmy już!

Ściskam

J.

PS. Staszek coś Ci jednak robi. Tylko co...?

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 25.06.2015

Temat: Mam NOWĄ pracę!!!

Jagulcu, mam tę robotę!!!

To bodaj nasze pierwsze wspólne dziecko – Ty naraiłaś, ja się sprawiłam – i poszło!

Było mi trochę trudno skupić się na merytorycznej rozmowie, kiedy oto miałam przed sobą Troglodytę, o którym tyle słyszałam – zarazem jednak, wiesz? – to ujmowało napięcia. Wcale się nie denerwowałam. Myślałam o tym, jak żona przyłapała go z Beatą, jak się wił jak piskorz – i nie czułam się dzięki temu zdeprymowana. Ot, zwykły facet ze zwykłymi swoimi wadami, nikt, przed kim by trzeba było drzeć.

On zaś chyba nie miał ochoty poświęcać długich godzin na szukanie kogoś nowego – więc skoro tylko nie wydałam mu się jednoznacznie „na nie”, uznał, że na tym może poprzestać. Tak to widzę. Ale jest okej.

Umówiliśmy się, że skoro Krysia jeszcze jest, a ja wszak wciąż mam pracę (do 13.07 urlop bezpłatny, potem jeszcze dziesięć dni płatnego do wykorzystania – ależ sobie w tym roku powakacjuję!), to zacznę od września. I – cholera, miałaś rację: stawki w komercyjnym wydawnictwie są jednak nie-po-rów-ny-wal-ne do prasy katolickiej! Stanowisko niby niższe – a pensyjka jednakowoż bardzo sympatycznie podskakuje!

Krótko mówiąc, pierwszą kolację na wyjeździe stawiam JA!

Wiesz, co jeszcze przede mną? Rzucenie papierami w „On Żyje”. Mam dwumiesięczny okres wypowiedzenia, muszę więc to załatwić jeszcze w czerwcu. Czyli zostaje... jutro? I tylko jutro! Gdzieś w czasie ostatniego dnia Irenki w przedszkolu, a zatem przed piętnastą (uroczyste zakończenie roku przedszkolnego) i przed naszym wyjazdem. Jesteś pewna, że podróż nad morze pod wieczór to dobry pomysł? Damy radę?

Życie znów przyspieszyło. Chyba to lubię!

Lecę się pakować, pierwsza porcja ciuchów i sprzętów już względnie wybrana, na balkonie schnie drugie pranie. Irenka łzawo wydziwia, że gdzieś zapodziała świątobliwego zajęcia wraz z krasnalkiem. Pewnie wmieszali się w tłumek licznych latorośli Staszka, kiedy straciła mnie z oczu i spanikowała. No cóż. Wyjaśniłam jej, że nie mam z nimi kontaktu. A nawet gdybym miała... Bez przesady, ma milion innych maskotek. A nad morzem nie unikniemy pewnie kupna pluszowej foki.

Już jutro! Tralla la!

Ścisk!

Dynamo-Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 25.06.2015

Temat: Dzieje się!

Cudowna wiadomość, Malino! Jak się cieszę! Zamiast stukać w klawiaturę, będziemy razem jadać obiady. No, duszyczko czyścowa – karty się

odwróciły! Może to nagroda za piękne zajęcie się braćmi i siostrami w wierze...?

Zbiórka jutro o 18. Dzieci nakarmione obiadem będą spokojniejsze. Pół dnia biegania też zrobi swoje – może nawet zasną? Szybko przepakujemy Wasze bagaże do mojego auta i ruszamy!

Całuję, do zobaczenia

Jaga

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 6.07.2015

Temat: Od szumu fal szumi w głowie

Malinko,

nie mogę się pozbierać. Miałam nadzieję, że nasz wyjazd wpłynie kojąco na moją duszę i ciało. Że spłynie na mnie spokój, który mi będzie za chwilę tak bardzo potrzebny.

Tymczasem...

Niespodziewaną wizytę Jerzego już przegadałyśmy, ale wciąż jestem pod jej wrażeniem. Jerzy, na którego czekał – ponoć – Poznań, w poniedziałkowe popołudnie dzwoni do mnie i pyta, co porabiamy. I przez dziesięć minut rozmawia ze mną, jakby dzieliły nas setki kilometrów, by dopiero na koniec przyznać się, że tę noc spędzi... w Piaskach. I zapytać, czy do niego dołączę. Czułam się jak licealistka wymykająca się nocą do chłopaka. Tylko że mam

dwadzieścia lat więcej i kryłam się przed swoimi dziećmi. Mimo całego szaleństwa (a może dzięki niemu?) cieszę się z tego spotkania. Oboje żyjemy w ogromnym stresie – adrenalina wydobywa się wszystkimi porami skóry. Jerzy przyjechał upewnić się w nas, podzielić tym stresem. No, po ukojenie ciała także przyjechał. To znaczy ukojenie po wielu drżeniach i szaleństwach... To była nasza pierwsza wspólna noc, a ich się zwykle nie przesypia.

A może też chciał sprawdzić, czy ja na pewno z przyjaciółką się wybrałam nad morze? Nigdy by się nie przyznał, że jest zazdrosny, ale deklaracje deklaracjami, pozór pozorem, a emocje sobie.

I tu dochodzimy do sedna. Pewnie się dziwisz, że piszę do Ciebie w poniedziałek rano, skoro ostatni tydzień spędziłyśmy razem. Otóż piszę, ponieważ dusza czyścowa skończyła z Tobą i zabrała się za mnie. Dziś rano, kiedy odbierałam pocztę z sekretariatu, znalazłam białą kopertę A4. Zaklejoną, z bardzo starannie napisanym moim imieniem (no, prawie – zamiast Jagody była Jadwiga, co mnie zdziwiło – rodzice pogodnie wpisali mi w metrykę Jagodę, co wiele osób napawa zdziwieniem; uważają, że jestem Jadwigą, która infantylnie, mimo wieku, mówi o sobie: Jagoda) i nazwiskiem – innym kolorem, jakby dodane później. Krysia mi powiedziała, że to od jakiejś pani, która знаła moje imię – „Nie wiedziałam, że jesteś Jadwigą”, skomentowała z nieukrywaną satysfakcją. „Nie musisz się wstydić, te stare imiona tylko dodają nam klasy”. Owa pani wiedziała, co robię, lecz nazwisko ustaliła dopiero z Krysią, opisując mnie. „Dziwna kobieta”, stwierdziła Krysia. „To nikt z naszej branży. Była w brązowej tunice, espadrylach i ciemnych okularach. Żadnej ozdoby, nic. Niby widać, że dostatnie ma życie i zadbana jest, ale tak, jakby poświęcała czas na maskowanie kobiecości, a nie jej podkreślanie”, podsumowała Kryśka, która obecnie zajmuje się przede wszystkim objawianiem swoich walorów światu.

Już wiesz?

Tak, Malino, to była wiadomość od Doroty.

Kolana się pode mną ugięły. Zgarnęłam stertę przesyłek i poszłam do pokoju. Usiadłam przy biurku i drżącymi palcami zaczęłam odklejać równiutko zaklejoną kopertę. W środku była kartka z listem napisanym na komputerze.

Zacytuję Ci:

„Tajemna schadzka z kochankiem się udała? Myśl o mężu czekającym w domu i dzieciach śpiących nieopodal nie zakłóciła rozrywki? Krzywdy wyrządzane innym nie przeszkadzają? Proszę sobie nie robić nadziei – porywy serca, a raczej ciała pięćdziesięcioletnich panów nie trwają zbyt długo. Prędszej czy później wracają do swoich domów i partnerek”.

Malinko, trzęsę się. Ona wie, wszystko wie. Skoro wie o Piaskach, to znaczy, że była tam! To, co brałam za omamy, jest prawdą! Ona nas śledziła! Ciekawe, gdzie była, gdy ja i Jerzy...

Co robić, Malino? Przyspieszyć ten coming out? Jerzy tak bardzo nie chce zepsuć ślubu Marysi. Piotr jest na sympozjum w Stanach – zerwać z mężem mejlem lub SMS-em? Powiedzieć Jerzemu o tym liście? I czego ona właściwie chce? Czy sama powie Jerzemu, że wie o nas? Czy odszuka Piotra? Chce sprawę rozdmuchać czy zakończyć dyskretnie?

Już wiem, jak się czułaś, gdy żona Wiktora Cię besztła przez telefon.

Boże, napisz coś. Powiedz. Poradź.

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 7.07.2015

Temat: Dekonspiracja

Pani Jadwigo, spokojnie!

Jak to: była w Piaskach, jak to: Was widziała? Ochłoń, myśl racjonalnie. Zdrady zwykle wydają się prozaicznie – jakaś otwarta poczta, podsłuchana rozmowa, przeczytany SMS. A skoro tak, to Jerzy raczej nie ustalał sam ze sobą w SMS-ach, że zamiast do Poznania pojedzie do Ciebie – więc nie miała jak się tam znaleźć. Myślę, że wyłuskała Cię – niestety, niestety... – z jego komputera czy komórki. Powiedz mu o tym. Bądźcie w tym razem.

Przykro mi, że mleko się wylało tuż przed tym, kiedy sami mieliście się objawić Dorocie i Piotrowi. Szkoda, bo może była szansa na możliwie eleganckie rozwiązanie. Potraktuj to jako nauzkę i nie odwlekaj rozmowy z Piotrem. Gdy tylko wróci ze Stanów – miej to za sobą. Niech się dowie od Ciebie – przynajmniej tyle...

Trzymaj się. W razie czego – dzwoń.

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 8.07.2015

Temat: Re: Dekonspiracja

Malino,

nie wiem, nie wiem, nie wiem. Jestem w rozsypce. Po naszych wakacjach dzieci pojechały na dwa tygodnie do dziadków, którzy się za nimi stęsknili, więc jestem sama. Nie mam czym zająć ani głowy, ani rąk. Siedzę i myślę, a im więcej się zastanawiam, tym większy mam mętlik.

Po pierwsze poczułam się paskudnie, że ktoś wkracza w moją prywatność –



wie o mnie rzeczy bardzo intymne. Jeśli masz rację, pisząc, że Dorota dogrzebała się do prawdy, włamując się do poczty lub zagarniając telefon Jerzego, to znaczy, że wie wszystko! Z opowieści Jerzego wyłaniał się inny jej obraz, ale może w sytuacji przeczuwanego zagrożenia każda kobieta reaguje tak samo – najpierw śledzi, a potem przystępuje do ataku? Niewybrednego zresztą...

Wiesz, sędzę, że to jest tak: Dorota wie. Mniejsza w tej chwili o to, skąd tę wiedzę ma. I postanowiła mnie zniechęcić do Jerzego. Żadne groźby, tylko próba zawstydzenia, chęć sprawienia, bym sama o sobie pomyślała źle (dzieci!). I jeszcze, żebym się poczuła niepewnie – on się tylko zabawia przecież. Dlatego nie podejmę tej korespondencji. W pierwszym odruchu chciałam od razu opowiedzieć o wszystkim Jerzemu, kąśliwie jeszcze zapytać, czy naprawdę jestem rozrywką w kryzysie wieku średniego, a potem odszukać Dorotę i jej odpisać – tak żeby jej w pięty poszło. Ale nie, jednak nie – przecież ja nie mam jej nic do wyjaśnienia, to nie ze mną powinna prowadzić taką rozmowę! Co to za pomysł, żeby traktować mężczyznę jak bezwolny obiekt w rękach dwóch rywalizujących o niego pań. Nie wchodzę w to, Malino. I przepraszam, że Cię prosiłam o radę, a teraz ją pomijam.

Jerzemu nic nie powiem. Nie będę jej wyręczać.

Piotrowi powiem po jego powrocie. A wraca dopiero 17 lipca.

Narobiło się. Nie – ja narobiłam. Czas wreszcie po dorosłemu się zachować.

Trzymaj za mnie kciuki, módl się, przyjedź zapić smutki.

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 10.07.2015

Temat: List zgoła odmienny

*Najdroższa M.!*

*Unikasz mnie, więc pojechałem nad Bałtyk w nadziei, że w jego zimnych falach ukoję skołatane, umęczone miłością do Ciebie serce.*

*Chadzam na długie spacery wzdłuż brzegu, zgubiony w krzykach mew, w swoich myślach, we wspomnieniach Ciebie – Twego krystalicznego śmiechu, dobrych oczu, gorących piersi. Dalej nie śmiem wspominać, bo już przy piersiach Bałtyk zdaje się buzować niczym gorące źródła, pali mnie w stopy, pali mi trzewia.*

*Wracam więc do czystej myśli o tym, jak nieskalaną Cię widzę. Jesteś dla mnie tak liturgiczna, ołtarzowa, niczym posąg bogini z najprzedniejszego alabastru... Dlaczego więc jednocześnie pamięć o Tobie tak burzy mi krew, niweczy sen, odbiera pokój? Oto tajemna władza, jaką ma nad mężczyznę kochana przezeń do szaleństwa kobieta. Oto władza, którą masz, Piękna M., i dzięki której tak lekko wiedziesz mnie na udrękę tęsknoty i potępienie milczenia.*

*Tuszę, że mój list zdoła poruszyć w Twym sercu tę czułą strunę, którą znam, której łaknę i której chciałbym ofiarować swe życie. Odezwij się, Miłowana. Nie skazuj na to, bym wiedząc już, jak smakujesz, resztę mych dni spędził, dręczony pamięcią o idealnej, straconej miłości.*

*Twój na zawsze*

W.

Czy skan się załączył, Jago?

Oto saharyjsko upalne lato natchnęło do pisania listu nie tylko Dorotę. List, który Ci powyżej zeskanowałam, wyjęłam wczoraj ze skrzynki. Stempel

z Juraty, w grubej kopercie z czerpanego papieru arkusz pokryty Wiktorowymi zawijasami, do tego nieco jasnego piasku i bardzo drobnych bursztynów.

Czy doprawdy wszyscyśmy pojechali na początku lipca nad morze?...

I co o tym myśleć? Płynął na fali chwilowych wzruszeń czy to naprawdę taka miłość? Mało się znam na męskim przeżywaniu, w dodatku akurat on wydaje się taki... hm... niestandardowy...

„Liturgiczna”, widziałaś to?! O ironio, o zgrozo... Akurat teraz, gdy przez całe miesiące prowadziłam się z nim jak... Nie znał mnie wcześniej ten typ. Ten...

Co o nim myśleć, Jagodo? Rada za radę...

Co do Doroty? Och, obawiam się, że to sytuacja patowa. Jeśli odpowiesz – wdasz się w nikkczemną pyskówkę. Jeśli zmilczysz – tylko ją rozjuszysz – tak, że znowu uderzy.

Oby czas płynął szybko, niech Piotr już wróci, niech już się wyda, niech już będzie po tym najgorszym. Zburzcie już i zaczniście w końcu budować...

Pomodłę się, cały czas Cię omadlam. Pić nie będę. Alabastrowe boginie nie topią smutków w alkoholu. Za to jeśli się wespniesz, to Cię hojnie pogładzę chłodną dłonią z piedestału.

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 11.07.2015

Temat: Re: List zgoła odmienny

Mali Moja,

Twój szkatułkowy mejl przyszedł w samą porę. I świetnie, że jednak prosisz o przyjacielską radę. Bo sama, zważywszy na to, iż ostatnio najpierw płaczkliwie Cię pytałam, jak żyć, a potem postanowiłam jednak być Zosią Samosią (nie do końca, ale o tym za chwilę), nie miałabym odwagi, żeby Ci napisać to, co za chwilę napiszę. A tak, skoro placet dajesz, to już Ci szybciotko podoradzam, spełniając się jako przyjaciółka i odreagowując po Dorotowej zaczepce – wciąż mną telepie, gdy sobie wyobrażę, jak siedzi przed komputerem Jerzego i pochłania naszą korespondencję. Uch!

Otóż, Malinko, rozstałabym się z tym wykwitem epistolograficznego talentu Wiktora. Skan już masz, zawsze będzie do czego wrócić, gdybyś na starość chciała pokazać wnukom, jak mężczyźni zabiegali o Twe względy. Nie, nie drzyj listu ani nie wyrzucaj! – starannie złoż i prześlij pani Wiktorowej. Jako Wiktor, jasna sprawa. Przypuszczam, że jest ona świetnie zorganizowaną kobietą, której obce są romantyczne porywy. Niechże więc ich zazna. Ewentualne kąśliwe komentarze zachowaj dla siebie – zemsty dopełnisz, klasę zachowasz. Bo – jeśli masz wątpliwość – zapewniam Cię, że Wiktor jest nieuleczalnym Piotrusiem Panem, który żyje tylko po to, by się egzaltować i przeglądać w pełnych zachwyty oczach kolejnych dam jego serca. A to ma chyba pojemne...

W bojowym nastroju jestem, prawda? Prawda! Ale także bardziej ogarnięta. Wyobraź sobie, że tak bardzo nie mogłam się pozbierać po tym liście, że jednak postanowiłam zapytać kogoś o radę. Od razu wyjaśniam – żadna to zdrada naszej przyjaźni. Doinformowałam się bowiem po pierwsze teoretycznie, po drugie – u fachowca. Postanowiłam zaryzykować rozmowę z Beatą. Wiem, życie ma rozhuśtane, ale to jednak spec od ludzkiej psychiki. Najpierw miałam pokusę, by udać, że chodzi nie o mnie, ale szybko porzuciłam tę myśl. Kłamać nie potrafię – i tak się wyda, więc po co mi kolejna wtopa. Zagaiłam więc wprost. Beata nie była zdziwiona, skądże. Była za to bardzo konkretna:

– Pierwsze pytanie: nie chcesz, żeby mąż się dowiedział o romansie, i nie wiesz, jak postąpić z Dorotą?

– Nie, skądże. Chcę być z Jerzym. To już postanowione.

– Trudno. Musisz sobie życie komplikować, twój wybór. Rozumiem, że teraz chodzi o minimalizowanie strat?

– No, tak.

– Dobrze, więc po kolei. Mężowi musisz sama powiedzieć. I sugeruję, żeby była to trudna prawda w pełnej odsłonie. Żadne tam separacje, czas potrzebny na oddech. Bez dawania nadziei. Jedno cięcie: ostre, krótkie i ostateczne.

– Brzmi okrutnie...

– Bo takie jest. Nie roztkliwiał się – życie to nie bajka.

Przełknęłam to, Malinko. Beata jest jak chirurg – rzetelnie i bez sentymentów opisujący przebieg operacji i szansę na przeżycie. Wyłącza empatię, włącza profesjonalizm.

– A co z Dorotą?

– Nic. Ignorujesz.

– I odpuści?

– Skądże. Zintensyfikuje atak. Nie będzie pewna, czy odebrałaś jej wiadomość. A oprócz tego będzie zła, że nie odpowiadasz: nie tłumaczysz się, nie zaprzeczasz, nie przepraszasz. To dodatkowy policzek – nie dość, że zabierasz jej faceta, to jeszcze traktujesz ją jak powietrze.

– Ale jak już wszystko zostanie głośno powiedziane, czyli za chwilę, to przestanie mnie nagabywać?

– Tyle lat robisz w kolorowej prasie kobiecej i udało ci się zachować niewinną naiwność? Nie wierzę! Potem to się dopiero zacznie! Zmieni ci

życie w piekło: wpędzi w poczucie winy, będzie sączyć jad i siać niepewność.

– Zawsze tak straszysz kobiety, które cię proszą o radę?

– Jestem uczciwa. Zawodowo przynajmniej. Pocieszę cię – to się kiedyś skończy.

– Kiedy?

– Kiedy znajdzie sobie następnego pana. Módl się, żeby to nastąpiło szybko.

To by chyba było nadużycie, gdybym Cię poprosiła o modlitwę w takiej intencji? Nie jestem zbyt mocna w zawiłościach teologicznych, ale grzechem (!) byłoby nie spytać.

Jerzy spotyka się dziś z Marysią. Spacer ojca i córki, która za tydzień złączy swój los z innym mężczyzną. My umówiliśmy się na jutro. Niedobrze mi na myśl, że taję przed Jerzym prawdę. Już i tak się spociłam ze strachu i zażenowania własnym kręctwem, gdy zmieniałam umówione miejsce. Mieliliśmy skorzystać z uroków lata, grzejąc ciała na piaskach Zalewu Zegrzyńskiego. Słońce, lekka bryza, kojący odgłos fal uderzających o brzeg. Oczami wyobraźni jednak widziałam Dorotę czającą się w szuwarach i podglądającą nas przez lornetkę (Jerzy ma zestaw różnych patrzyłek tego typu; gdyby nie wzięła którejś z nich, leśny Daniel by jej na pewno pożyczył). Zaproponowałam więc inne miejsce: Świątynię Opatrzności Bożej – wiem, wiem, dziwne, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. Nie byłam tam nigdy (tak to tłumaczyłam ogłuszonemu propozycją Jerzemu – trzeba poznawać świat w jego różnaitości), budynek jest duży, przestronny (nie ma się gdzie schować!), na pewno dający miłe ochłodzenie. A potem możemy pojechać do pałacu w Wilanowie. Lub pod konstancińskie tężnie. Lub gdzie bądź. Jerzy sądzi, że to wynik stresu; ze wstydem podtrzymałam wątek, który wysnuł – w obliczu zmian szukam oparcia w Sile Wyższej. Kochany Jerzy.

Idę, Malinko, w ogród. Będę pielnić, wyobrażając sobie, że eliminowane chwasty to nieczne uczynki, brudy i kłopoty, które usuwam ze swojego życia. Niechby i pokrzywy się jakieś trafiły – na pokutę.

Całuję

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 13.07.2015

Temat: Niespodziewany powrót marnotrawnego zająca

No, bardzo piękną odmalowałaś przede mną scenkę z odsyłaniem listu, aż się rozmarzyłam.

Ale nie. Nie. Pozostanę ponad to. Nic nie wyślę, i wcale nie chodzi (tylko) o to, by zachować liryczny dowód dla wnuków, że babcia miała branie. Po prostu nie będę się zniżać do takich intryganckich zagrywek! Wiedz, że masz przyjaciółkę wprawdzie błędzącą, ale jednak z klasą.

Li i jedynie.

Tymczasem ja Ci dziś opowiem, Jagodzianko, jak święty Antoni, patron rzeczy zagubionych, okazał Irencę swą bezinteresowną łaskawość.

Pamiętasz smutne wspomnienia Iryska na naszym wyjeździe o zapodzianych na Jezusie zającu i krasnalku? Niby do snu tuliła kaczkę, a za dnia królowały wiaderka, łopatki i foremki, niby się cieszyła z nowej pluszowej foki – a jednak sentyment do wyleniałego Kicka falami nawracał.

Oto wyobraź sobie na wczorajszej mszy ksiądz Daniel w czasie zbierania na tacę pochylił się do nas i szepnął tajemniczo: „Zajrzyjcie do nas po mszy do zakrystii, mamy coś dla was!” – po czym mrugnął okiem i pomknął dalej

między ławkami, powiewając sutanną, skrzypiąc sandałami i nic więcej nie objaśniając.

Spodziewałam się jakiegoś dyplomu za udział w przygotowaniach tej naszej imprezy. Jakież więc było moje zdziwienie, kiedy ksiądz, miast kartonkowej laurki, wręczył mi dużą – acz lekką – papierową torbę. W niej natomiast spoczywali... pamiętni bohaterowie scenek rodzajowych: zając i krasnal – obaj w zawiązanych na szyjach maleńkich błękitnych szaliczkach. Do tego dołączony był, i owszem, kartonik – lecz nie laurka dyplom, ale zwykły arkusz z bloku rysunkowego, a na nim napis i rysunki, trochę porozmazywanymi kredkami: *Z pozdrowieniami od Juli, Ani, Witka, Konrada, Olka i Stacha* – i sześć uśmiechów, każdy rysowany inną ręką. Oraz kwiatki, pszczołki, motylki – zapewne inicjatywa własna dziewczynek. Do tego pajak w barwach Spidermana, kosmita i malutki czołg.

– A mama?... – odezwał się we mnie idiotycznie ciekawski głos (co daje nadzieję, że się doskonale odnajdę w Twoich plotkarskich pisemkach). – Czemu ukrywają mamę? Nie było jej na Jezusie, nie ma jej na kartce... Może wydaje na świat szóstego potomka, hum, hum.

Nieważne.

Irys odtańczył między biurkiem a rzędem sutann na wieszakach płąsy radości, tuląc i obwąchując zająca (krasnal jednak ewidentnie zajmuje dalsze miejsce w hierarchii), a ksiądz przyglądał się temu z uśmiechem rasowego dobrodzieja.

– Mamo, trzeba im podziękować, że tak pięknie odzyskali nam Kicka! – Irenka pociągnęła mnie za rękaw. – Upieczemy babeczki! Albo kupimy im coś!

– I jak niby im to wręczymy? – przybrałam rozsądny ton, sprytnie kryjąc pod nim ulgę, że obiektywnie nie ma jak. No nie ma.

– No jaaakoś! Przecież coś się wymyśli!

– Zwykle „dziękuję” przekazane za pośrednictwem ojca Daniela – posłałam mu uprzejmy uśmiech – na pewno wystarczy – odparłam. – A tymczasem



chodźmy, nie będziemy dłużej zajmować ojcu czasu.

– Oni tu się niebawem pokażą – odezwał się zgoła zbędnie dobrodziej.

– Och, nawet jeśli, to są wakacje, będziemy w rozjazdach, raczej na siebie nie trafimy – rzuciłam lekko, jednocześnie mocniej zagarniając Irenkę. Dzielną mamą pewnie już wydobrzeje po połogu i zakłuje mnie w oczy obrączką i szczęśliwością stadła. Nie, nie, z góry dziękuję. Wciąż mam alergię na szczęśliwe rodziny, zwłaszcza te chrześcijańskie – rozrosłe w latorośle, z wartościami, tak skrzętnie się kochające.

– To gdzieś jeszcze jedziemy??? – Irysek zrobił wielkie oczy. – A gdzie? Masz dla mnie jakąś niespodziewankę?

– Chodźmy! – Pociągnęłam ją bardziej stanowczo ku drzwiom. Nie tyle kłamanie, ile ściemnianie w, było nie było, kościele nie za dobrze mi wychodziło.

– Szczęśliwych powrotów! – pomachał nam Daniel i mrugnął na pożegnanie. Albo mi się przywidziało.

Umówimy się na wspólny basen? Albo piknik? Irena nie daje mi spokoju tymi nieopatrznie zapowiedzianymi przeze mnie wyjazdami; powiedziałabym jej, że właśnie taki wypad z ciotką Jagodą miałam na myśli. Po miesiącu bezpłatnego urlopu nie szarpnę się na nic – z całym szacunkiem – lepszego.

Pozdrawiam Cię ciepło

Ciocia Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 15.07.2015

Temat: Piknik pod Wiszącą Skałą

Malino,

biorę piknik, cyrk, wesołe miasteczko – co tylko wymyślisz. Nie mam teraz Matysi i Jeremka, więc Irenka może być zawiedziona – sama ciotka nie jest tak atrakcyjna jak w pakiecie z dziećmi. Muszę z Tobą porozmawiać bez elektronicznych pośredników, bo oszaleję do piątku, kiedy to Piotr wraca. Mam tylko nadzieję, że nie skończymy na tym naszym popasie jak bohaterki Joan Lindsay – jedna martwa, a druga sfiksowana. A powody, by się lękać, mam. Beata uważała na studiach, a już na pewno na zajęciach poświęconych mechanizmom zachowań. Dziś dostałam SMS: „Uparta i pretensjonalna. Czy powrót męża coś zmieni?”. Niby się spodziewałam, ale i tak się nie mogę otrząsnąć. Kiedy odczytałam tę wiadomość, zrobiło mi się gorąco, niedobrze, podle. Omal się nie rozryczałam z bezsilności. Twardo jednak milczę. Próbowałam zablokować połączenia z tym numerem (prepaid), ale z połowicznym sukcesem – rozmowy będą odrzucane, wiadomości tekstowe będą docierać. Nie wysyłaj więc teraz do mnie SMS-ów – każde pyknięcie telefonu podnosi mi ciśnienie.

Do Jerzego dzwonię. Boję się pisać – skoro Dorota raz już dała nura do jego poczty, to może to zrobić ponownie. Gdybym wyjaśniła Jerzemu sytuację, zrozumiałby moją nagłą niechęć do mejli. A tak to muszę lawirować. I uspokajając, że w kwestii uczuć nic się nie zmieniło, wręcz przeciwnie. I że większym wsparciem na ostatniej prostej są rozmowy niż pisanina. A przecież znasz moją niechęć do telefonowania! Nie umiem i nie lubię przez kabel rozmawiać.

To co, Malinko? Jutro po mojej pracy w Skaryszewskim? Pojechałabym do redakcji na 8 i chwilę po 16 mogłabym już dołączyć do Was, plażujących nad jeziorkiem.

Całuję

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 17.07.2015

Temat: „Czemu zgubiłaś korale?...”

Muszę Ci rzec, Jagodo, że rola Twojej przyjaciółki i powiernicy nie pozwala się nudzić.

Rewelacje, które mi wyszeptowałaś na pikniku, przyprawiają o zawrót głowy. Jeszcze ostatkiem trzymam się myśli, że może to stres tak na Ciebie wpływa, może upał... Zarazem racjonalna część mnie beszta i strofuje, żeby się głupio nie łudzić. Ta drobinka, która wydatnie zaważy na Twojej przyszłości, to pamiątka znad morza, przypieczętowanie Waszego sekretnego nocnego przymierza, „Dar Jerzego”.

Czuję też niestety, że ktoś wśród nas *musi* pozostać rozsądny, i mam rosnące obawy, że to mnie przypadła ta pseudozaszczytna rola. Ych...

Idźmy za ciosem. Rezerwuję fuchę chrzestnej. Na razie jednak kręci mi się w głowie z niepokoju, jak mam Cię chronić przed nerwami związanymi z rozmową z Piotrem, przed Dorotą, przed samą Tobą i Twoimi – heh – wyskokami???

Co się tyczy mnie – to dziś musiałam na chwilę pokazać się w redakcji i podpisać wniosek urlopowy, tym razem na „zwykły” wypoczynkowy. Przedzierałam się przez upalne miasto, zazdroszcząc mamie i Irence chłodu basenu, na który razem poszły. (Tak. Przypuszczam, że Kicek także będzie się kąpał. A potem sechł trzy dni. Choć może w tym skwarze pójdzie szybciej).

Wpadłam, podpisałam, co miałam podpisać, po czym kurtuazyjnie zajrzałam do pokoju, do którego wszak niebawem przyjdzie mi jeszcze na ostatni miesiąc wrócić. Niebawem, jak obce staje się stanowisko pracy, po tym jak się je na jakiś czas opuści... Biurko, przy którym przesiadałam tyle dni, nie wzbudziło we mnie żadnych pozytywnych emocji. Mój brzydki, nienowoczesny komputer był przykurzony, gliniany pojemnik z długopisami jakby wyblakł, podkładka pod kubek ujawniała niezmywalny krążek po stawianym nań wielekroć gorącym kubku. Ponad połowę blatu zajmowała makietka przygotowywanego właśnie numeru. To również omiotłam wzrokiem bez zaciekawienia. Naraz odkryłam, jak tam jest ciasno. Siostra Maria była na urlopie, Bożena wyraźnie pozostawała nie w sosie, że większość pracy nad numerem spadła na nią.

– W zeszłym tygodniu był tu do ciebie jakiś mężczyzna. Zostawił to. –  
Podała mi niczym niezwiązaną, luźną papierową torebkę z czymś małym w środku. Wystarczyło ją rozchylić – i już się widziało zawartość: złożoną na cztery kartkę papieru i czarny naszyjnik z dużym bursztynem w półprzezroczystym woreczku.

Przełknęłam ślinę. Pewna oficjalność w gestach Bożeny dowodziła, że i jej zawartość torebki była już znana.

W milczeniu wyjęłam naszyjnik. We wnętrzu bursztynu miliony lat temu zatopił się jakiś robak. Przez wypolerowaną powierzchnię idealnie znać było wszystkie jego odnóża, odwłok i małą główkę.

Wzdrygnęłam się. Co mogło nakłonić tego dziwnego człowieka do wybrania akurat *takiego* okazji? Ponoć bursztyny z gadżetami są droższe – dla mnie jednak wcale nie ładniejsze. Ty wiesz, że w otoczeniu, nawet w tych małych rzeczach, zawsze szukam harmonii. Unikam wszystkiego, co niepokojące – kanciastych cyfr, bzdetnych napisów, motywów czaszek, emblematów ze strużką krwi.

Dlaczego więc, do cholery, klejnot z robakiem?!...

Jak jakiś feler. Jak śliwka robaczywka. Chyba go z premedytacją zgubię. A wtedy on zapyta śpiewnie jak w starej piosence „Czemu zgubiłaś korale?...”.

– Nie zastał cię, więc poprosił o kartkę i skreślił parę słów – dodała Bożena z wystudiowaną obojętnością.

Teraz byłam już pewna, że i tych paru słów nie omieszkała przeczytać.

Rozprostowałam kartkę.

*Zatrulaś mi serce, ma Święta Grzesznico Magdaleno. Miałem nadzieję Cię tu zastać i skłonić do wyjścia ze mną, może nawet wyjścia za mnie?... Zamiast tego dowiaduję się, że bawisz na długim urlopie. Beze mnie?!... Zostawiam Ci klejnot Bałtyku, nad którym spędziłem tyle chwil, marząc o Tobie. Będzie pasował Ci do karnacji. Chcę go sam zawiesić.*

W.

Czułam, że mienię się na twarzy jak opal. Czy on nie wie, *gdzie* ja pracuję?! Jak można być tak nieodpowiedzialnym i tak prywatne treści włożyć niczym niezabezpieczone, bez zaklejonej koperty, do papierowej torebki?!

Lakonicznie pożegnałam Bożenę i wyszłam. Niestety nie zgubiwszy jeszcze tej robaczywej żywicy.

Na ulicy żar buchnął mi w twarz. Do efektu opalizowania doszedł spływający makijaż. Moja złość osiągnęła szczyt. Naraz zapragnęłam się na nim wyładować. Niby czemu mam się zżymać sama? Czemu moja złość miała go nie dosięgnąć?!

Wyjęłam komórkę i wystukałam do niego gniewny SMS.

*Dziękuję za list, prezent i drugi list. Jak mogłeś włożyć go tak po prostu, bez żadnego zabezpieczenia przed niepowołanym okiem?!*

Trzeba oddać sprawiedliwość, że wnet odpisał.

*W końcu jesteś, Kobieto Bez Serca! Widać prowokacje działają na Ciebie mocniej niż romantyczne listy znad morza. Zapamiętam!*

I tak, od słowa do słowa, wymieniliśmy tego popołudnia kilkadziesiąt krótkich – a niektórych nawet bardzo krótkich – wiadomości. Gniewnych i łagodniejszych, lakonicznych i burzliwych, złośliwych i pojednawczych. W końcu zadzwonił i kołysał mnie głosem, którego – uzmysłowiłam sobie – mi brakowało.

– Moja słodka Lu... – zamruczał w pewnej chwili.

– Dlaczego „Lu”? – chciałam wiedzieć.

– A dlaczego nie? – odpowiedział pytaniem na pytanie, gotów na miłosne przekomarzanki.

Może jestem kusząca jak ciasteczko zbożowe? Swoją drogą, jaka to durna nazwa. Przecież każde ciastko jest z mąki, czyli z ziarna. Czyli zbożowe. Więc to żaden wyróżnik! No, ale skoro maślane już były zajęte...

Efekt? Wytrącił mnie z równowagi. Odkryłam z rozczarowaniem, że za nim tęsknię – głupie słońce działa na mnie jak na wygrzewającego się kota: rozochoca i każe mruścić. Rozum odradza, ciało się pręży...

Nie wiem, co z tym zrobić. On oczywiście w końcu zaproponował spotkanie.

Kto powiedział, że nie mogę jeszcze trochę pobłądzić?...

Ze zbożowym całusem (A tak! Nabrałam ochoty na herbatniki, pochłaniam je teraz i wcale się nie wstydzę!).

Błędna Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 18.07.2015

Temat: Miłość ci wszystko wybaczy

„Gdy pokochasz tak mocno jak ja, tak tkliwie, żarliwie, tak wiesz – do ostatka, do sząku, do dna, to zdradzaj mnie wtedy i grzesz” – mógł tak napisać Tuwim i wyśpiewać mogła Ordonówna, ale życie to nie film. I nie poezja także. To mocna proza.

Malinko, badania podają, że na skali stresu na pierwszym miejscu jest śmierć kogoś bliskiego, na drugim – rozwód. Ciekawe, na jakiej pozycji uplasowałyby się rozmowa, w której bezlitośnie jak kat toporkiem wycinasz wspólną przyszłość swoją i – nie-tak-dawno-jeszcze-a-w-dodatku-na-całe-życie-ukochanego. Po wczorajszych wieczornych i nocnych rozmowach z Piotrem dałabym jej niekwestionowaną pierwszą lokatę.

Czekałam na męża (boli to słowo, boli...) w hali przylotów. Patrzyłam na współtowarzyszy – z niecierpliwością zerkających na zegarki, zaglądających do komórek, przekładających powitalne bukiety z jednej dłoni do drugiej. Na dzieci, które się kręciły między maminy nogami i ciągnęły je za koszulki, dopytując o tatusiów, wracających do stęsknionych rodzin. Pasowałam do tej gromady jak pięść do nosa. Stałam, trzęsąc się. Nie miałam przygotowanego planu – jak Piotra przywitać, kiedy powiedzieć mu o sobie i Jerzym. Podejrzewam, że mogłabym stchórzyć, odwlekać, kluczyć. Mogłabym, gdyby nie mały kawałek plastiku, który powinien mieć już przetarcia od ciągłego wyciągania i chowania go z powrotem do portfela. Biała płytką z dwiema kreskami. Wyraźnymi jak dwa smagłe ciała odcinające się od bieli prześcieradła w pensjonacie Albatros w Piaskach. Ona i on, kobieta i mężczyzna, ja i Jerzy. Oraz *ono*. Nowe życie.

Piszesz, że to, co się w moim życiu zdarza, przyprawia Cię o zawrót głowy? To słuchaj dalej. Piotr przywitał mnie... oszczędnie. Jak obowiązkowy mąż. Rozmowa boleśnie się nie kleiła. Maszerowaliśmy przez terminal, odpytując się o lot, sympozjum, dzieci, pogodę. Dystans był fizycznie odczuwalny. Kulminacja nastąpiła w samochodzie.

– A co robiłaś wczoraj?

– No jak to co? W pracy byłam.

– A po pracy?

– A. Spotykałam się z Maliną. To znaczy z Magdą, tą z redakcji katolickiej, z którą byłam nad morzem.

Piotr patrzył, jakby nie wierzył.

– Na pewno z nią?

– No na pewno. A z kim bym się niby miała spotykać?

Zadałam to pytanie, nierozważnie buńczuczne w przypadku kogoś, kto ma zdradę na sumieniu. Ale przecież chodziło o wczoraj, kiedy naprawdę byłam z Tobą i Irenką.

– No na przykład z mężem innej kobiety.

Zatkało mnie. Omal nie wjechałam na krawężnik. Przez moment nie wiedziałam, o kogo chodzi – tak psychika się broni przed wiadomościami, których nie chce. Przecież Jerzy nie ma żony... A potem chropowatym głosem spytałam:

– Skąd wiesz?

– Od jego żony.

– On nie ma żony, ona jest... Nieważne. Tak. Spotykam się z nim.

– Wiem od niej. Od kilku tygodni. Przysyła mi SMS-y.

I tak to się odbyło, Malinko. Dorota nie chce konfrontacji z Jerzym, woli załatwiać sprawę pośrednio. Mnie strofowała jak surowa nauczycielka. Piotrowi słała pełne troski wiadomości, zachęcające, by ratował swoje małżeństwo: bo dzieci, bo obowiązek, bo każdy może pobłądzić. Więc Piotr wiedział! Nagle wszystko zaczęło mi się układać: dziwne telefony Piotra, niespotykana wcześniej adoracja, zryw aktywności. Starania, by naprawiać nadwątlony związek. Piotr także nie chciał mnie zapytać, nie chciał usłyszeć



prawdy. Siła wyparcia jest niezwykła...

Rozmawialiśmy przez kilka godzin. Był płacz, krzyk, żale, złość, bezsilność. I moja determinacja w powtarzaniu, że nie ma już czego ratować.

Dochodzi piąta. Piotr jest w sypialni, ja siedzę przy biurku i piszę do Ciebie. Dziś czeka mnie jeszcze rozmowa z Jerzym. Nie dam dłużej rady nieść samotnie (wiem, jesteś Ty) informacji o ciąży. Jerzy pewnie się niepokoi brakiem kontaktu ze mną. Dzwonił wieczorem kilka razy, ale czas był wyjątkowo niesprzyjający. Oddzwonię rano. Powiem o nocnych rozmowach z Piotrem, ale z wieścią o ciąży się wstrzymam do niedzieli. Nie wiem, czy Jerzy odprowadziłby pewnym krokiem córkę do ołtarza, wiedząc, że jej miejsce za dziewięć miesięcy zajmie kolejny potomek.

Napisz mi coś. Proszę.

Jaga

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 18.07.2015

Temat: Picie nawarzonego piwa

Biedna Moja!

Na myśl o tym, przez co przesłizście tej nocy, udziela mi się Twój stres. Wraz z Tobą płonę ze wstydu, gryzę skórki przy paznokciach, idę w zaparte, że wiem, czego chcę.

Czy to Ci pomaga – nie wiem.

Mam nadzieję, że choć trochę uda Ci się odespać tę noc. Życzę Ci hartu ducha. Modlę się za Piotra. I biorę Irenkę i Carlosa na długi spacer do lasu.

Pisz, co dalej.

Jutro spotykam się z Wiktorem. Może będziesz tak zajęta własnym piwem, że mnie nie zrugasz.

Przytulam Cię

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 18.07.2015

Temat: Bez rzucania kamieniami

Malinko,

nie będę rugać – nie mam siły ani prawa. Choć... Pomyśl: co by było, gdybyś dla odmiany Ty użyczyła swego ciała małemu człowiekowi – powołanemu wspólnie z Wiktorem na ten świat? Tak, to dobry test, by ocenić jakość związku z facetem – próba ciąży. Więc...?

Spałam ze dwie godziny. Kiedy wstałam, Piotra nie było. Nie mam pojęcia, dokąd pojechał. Oby nie zrobił żadnych głupstw. Boże, i kto to mówi!...

Dzwoniłam do Jerzego. Był akurat na spacerze z psem. Mówił, że chodzi tak od wczesnego poranka, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Że źle się czuje, że prawie nie spał, więc jego kredowozielona twarz będzie się odcinać od

Inianego srebra marynarki i psuć ślubne fotografie Marysi. Mówił też, że dławi się już własną nieszczerością, że odlicza godziny do rozmowy z Dorotą, która będzie wybawieniem, ale na razie nakręca w nim taki stres, że obawia się zawału (ja też się obawiam jego zawału: żona *in spe*, która od razu przeskoczyła do etapu wdowy – co za koszmar! Że o pogrobowcu nie wspomnę...).

– Rozmawiałaś z Piotrem? – zapytał cicho, trochę z niepokojem, a trochę skrepowany.

– Tak.

– I?...

– I powiedziałam, że nie mogę dłużej dzielić z nim życia.

– A o mnie powiedziałaś?

– Tak, już wie.

Jerzy zamilkł, zapewne oswajał się z myślą, że połowa drogi już za nami. Właściwie to więcej, bo Dorota także wie, ale nie czułam się na siłach, by mu opowiadać o jej strofujących i szturchających SMS-ach.

Umówiliśmy się, że spotkamy się w niedzielę w Skaryszewskim. Popołudniem, gdy Jerzy będzie już wolnym człowiekiem (widzisz, brak ślubu może być walorem).

Chyba jednak pójde spać. Chciałabym się obudzić za rok, Malinko.

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 19.07.2015

Temat: Dzień kulminacji

Jagodo!

Co za dzień kulminacji!... U Ciebie – wielkie przejście ku nowemu.

U mnie – wczoraj wieczorem, w przededniu randki z Wiktoorem po tak długiej przerwie (masz rację – testu ciążowego nigdy by nie zdał...), odebrałam – znów, znów... – telefon od jego żony.

Nieprzyjemność była mniej więcej taka jak za pierwszym razem.

– Witam, pani Luizo – zaczęła, a mnie, jak każdemu redaktorowi, od razu od tego „witam” ścierpła skóra. Do tego stopnia, że niemal bez wewnętrznych protestów łyknęłam omyłkę w imieniu. – Widzę, że nadal pani brnie w romans bez przyszłości, a nawet – dla lepszego efektu zrobiła mikropauzę – bez *teraźniejszości*... Nie wyraziłam się dość jasno czy pani umyślnie nie przyswaja faktów?... – Tu znów ten intonacyjny zawijas, od którego cierpło mi ucho. – Gdyby chciała pani wiedzieć, zaraz po tym, jak wróciłam z chłopcami z Oksfordu, *pełną* rodziną – zaakcentowała – otwarliśmy sezon w Juracie, w letnim domu moich rodziców.

Ona mówiła, a w mojej głupiej głowie w błyskawicznym tempie topniał i rozpadał się obraz zakochanego ekscentryka, który chadza samotnie po plaży (koniecznie w białej płóciennej koszuli i podwiniętych spodniach), zbierając bursztyny, by je potem wysuszyć i wsypać do koperty wraz z listem do odległej ukochanej.

Naraz zobaczyłam z całą wyrazistością absurdalność swoich rojeń. Dlaczego, do cholery, wyobrażałam sobie wokół niego *pustkę*?! Na plaży, w lipcu!!! A tu, nie dość, że żadna pustka, to jeszcze *pełna* rodzina. Gdyby wiedziała, jak głęboki zadała mi cios...

Ewa, nie wiadomo, świadoma czy nie głębokości rany, dalej obracała w niej

sztylecik.

– Czy Wiktor wspominał, że przez dwa tygodnie noc w noc zdradzał panią z własną żoną? Kimże pani jest, żeby się zadowalać tak żenującymi odpryskami jego uwagi? Bo całą resztę zachowuje dla rodziny, zwłaszcza teraz, odkąd na powrót razem mieszkamy...

Och, gdybyś tylko słyszała ten głos. Przesyconej dumą dziedziczki, posiadaczki dóbr ziemskich, *pełnej* rodziny i *męża*; głos Fortunaty, głęboki, niski, pełen pretensji i modulowanej intonacji przy zadawaniu bolesnych pytań retorycznych. Intonacji, która w jakiś sposób kojarzyła mi się ze zdobnym pismem Wiktora.

W skroniach łupały mi podawane raz za razem sensacje. Musiałam się skupić na czymś drobnym, czymś zwykłym, czymś innym, niechby tylko przestała...

– Dlaczego pani nazywa mnie Luizą?

Nie spodziewałam się od losu tak wiele, a jednak – dama po drugiej stronie linii od razu straciła kontenans.

– A... nie ma pani na imię Luiza?

– Nie... – Tryumf będzie bardzo krótki, tym bardziej prędko się nim cieszymy.

– W takim razie jest was co najmniej dwie – orzekła Ewa, otrząsnąwszy się z nowiny niczym mokry pies. – W Juracie wysyłał naszyjnik z bursztynem jakiejś Luizie. Mężczyźni są tacy zabawni, gdy sądzą, że udaje im się robić cokolwiek w konspiracji...

„Lu!” – otworzyło się w mojej głowie nagłe skojarzenie. „Słodka Lu...”. Żadne tam zasrane ciasteczka, tylko kobieta z krwi i kości, z tyłka i cycków, piękna i „jedyna”. Trzecia. By wypełnić pustkę, kiedy się zawzięłam i przestałam spotykać. A może odwrotnie? Może to ona była pierwsza, a ja wypełniałam luki po niej? Lub między nią a żoną? Lub była *cały czas*?... Lub jest nas jeszcze więcej???

Pieprzony *buhaj*.

– Myli się pani. – Moje usta zaskoczyły mnie nagłym przemówieniem, opanowanym, spokojnym i pewnym. – Jest już tylko ona.

– Oby tym razem udało się pani rzucić nałóg zwany Wiktorem – rzekła równie opanowanym głosem Ewa. – Żegnam.

Wciąż jestem z nim, Jago, umówiona na dziś wieczór.

Powiem więcej: nie odwołam tego spotkania. Za to mu zdrowo – i definitywnie końcowo! – wygarnę.

Albo uderzę.

A naszyjnik z robaczywym bursztynem wcisnę mu w tyłek.

Ścisk!

Malina Bojowa

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 19.07.2015

Temat: Między słodyczą a potępieniem

Malinko,

nie sądziłam, że ten weekend się kiedyś skończy. Ale za dwie godziny wybije północ i rozpocznie się nowy tydzień. Jeśli nie zejdem na serce przez ten czas

i nikt mnie nie zaciuka (chętni musieliby grać w marynarza, żeby ustalić, kto ma mnie wyeliminować z tej rzeczywistości), to będzie to znaczyło, że nic mnie w życiu już nie zmoże.

Spałam do południa. Piotra wciąż nie było – nie ma go i teraz. Nie wiem, co robi. Czy opłakuje gdzieś smutki (może u rodziców?), czy obmyśla zemstę. Byłam tak naładowana emocjami, że musiałam je rozładować. Sprzątałam więc – obsesyjnie. Myłam podłogi, odurzając się konwaliowym zapachem płynu do terakoty i obcierając kolana (z mopem poszłoby mi zbyt szybko), zbierałam kurze, podnosząc i przesuwając z półek każdą ramkę na zdjęcia, doniczkę z kwiatkiem, wazonik, świecę, odkurzałam z taką zapalczywością, jakbym chciała pozbawić dywany nie tylko zalegających w nich najdrobniejszych paprochów, ale i włosów. I cały czas się zastanawiałam, czy Jerzy już rozmawia z Dorotą...

Późną sobotą Jerzy przysłał mi kilka zdjęć z wesela Marysi. Ojcowska duma i wzruszenie, którymi chciał się podzielić. Marysia wyglądała przepięknie – odcień złamanej bieli sukienki, niezwykle prostej, ale podkreślającej walory sylwetki, idealnie pasował do jej opalonej skóry i delikatnych herbacianych różyczek w jej bukietcie i butonierce jej już męża. Fotka Marysi z Jerzym – ona promiennie uśmiechnięta, on – przytulający ją jakoś tak kurczowo, mocno. Podobni: tak samo wykrojone brwi, ten sam stalowy błękit oczu, kąciki ust identycznie podniesione do uśmiechu. Jeśli drobinka we mnie okaże się dziewczynką, to co wyjdzie z połączenia tych genów z moją blado-pięgowatą skórą, kasztanoworudymi falami i zielenią oczu? I ostatnie zdjęcie – grupowe. Na pierwszym planie młoda para, a dokoła biel koszul i kalejdoskop kolorowych sukienek. Z czarną plamką, która po powiększeniu obrazu okazała się Dorotą. Weselić się w czerni? Wydało mi się to tak symboliczne i jakoś przejmująco smutne (na moment zapomniałam o lżeniu mnie), że aby odepchnąć od siebie poczucie winy, poszłam pucować fugi w łazience szczoteczką do zębów.

O szesnastej telefon piknął. Aż podskoczyłam z nerwów. Wymoczonymi w wodzie i detergentach palcami przejechałam po ekranie. Jerzy. „Lubelska, za godzinę? Kocham Cię, Groszku”.

Dwa groszki, pomyślałam. Włożyłam sukienkę w optymistycznej zieleni i pojechałam.

Na końcu uliczki zobaczyłam samochód Jerzego – wzrusza mnie, że on zawsze czeka przed czasem. Taki szarmancki sznyt. Tym razem trochę przełamany nerwowością ruchów – spacerował wąskim chodnikiem – od kościoła kamionkowskiego do fabryki Wedla. Z jednej strony monumentalna bryła świątyni i mrok okalającej ją zieleni, z drugiej – duszący, lepki zapach słodczy. Dlaczego ja zawsze muszę sobie wszystko symbolizować – to już się robi manieryczne...

Podeszłam. Przez krótką chwilę staliśmy naprzeciwko siebie, bez ruchu. A potem się przytuliliśmy. Mocno, bardzo mocno. Wszystkie sobotnio-niedzielne emocje znalazły ujście w tych uściskach.

Jerzy opowiedział mi o rozmowie z Dorotą. Po męsku oszczędnie, a ja, taktownie, nie dopytywałam o szczegóły. Więc wiem, że było spokojnie (co akurat nie dziwi, bo to nie był dla niej news), kulturalnie i – uważaj – lekceważąco. Dorota dała czas Jerzemu, by „ochłonał, spojrzął z dystansu na łączące ich lata, podobieństwa, wiek i majątek. I dopiero wtedy niech podejmie decyzję”. Podobieństwo z Wiktorową żoną widzisz? W podobny sposób zarządzają swoimi związkami. Przeczuję, że koniec będzie rozciągnięty w czasie.

A potem powiedziałam Jerzemu, że jestem w ciąży. Właściwie to nie powiedziałam, bo struny głosowe miałam już napięte i zeszywniałe z emocji. Wyciągnęłam z torebki test z wymalowanymi grubymi różowymi kreskami.

– Co to jest? Czy to?... – Jerzy po raz pierwszy został ojcem w czasach, gdy potwierdzenie brzemienności było bardziej skomplikowane, więc jego niepewność nie dziwiła. Wzruszała za to. Cholera, Malinko – to jest ten prawdziwy test na związek: przypatrz się, jak zareaguje mężczyzna, gdy powiesz mu, że będziecie rodzicami! Jerzy zachował się tak, że w tym całym przeokrutnym bałaganie, nerwach, emocjach nagle spłynął na mnie spokój. Ręce mu się trzęsły, oczy zaszklily. Przygarnął mnie do siebie i tulił, lekko kołysząc. „Mamy wszystko, żeby budować nowe życie. Będzie dobrze” – powtarzał mantrycznie.

Trzymam się tej myśli, Malinko.

Całuję



Jaga w trakcie przejść

PS. Nie wierzyłam, gdy czytałam o Twoich planach wobec wiekowej żywicy i Wiktorowego zwińczenia przewodu pokarmowego. Nie znałam Cię takiej – hm... wzburzonej. Rzeczywiście, już czas, by opuścić redakcję katolicką i przejść do świata prawdziwych kobiet.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 21.07.2015

Temat: Zemsta *jest* słodka

Kochana Jago!

Wiem, że w swej uroczej wredności przynajmniej połową siebie czekasz na scenę finałową z Wiktorem. Natomiast druga połowa Ciebie jest teraz spięta od wszelkich przejść we własnym życiu. Przyda się jej nieco komizmu.

Zatem – *voilà*, Jagoda! – nie oszczędzę Ci szczegółów!

Umówieni byliśmy z Wiktorem – no cóż, myśl, co chcesz – na późny wieczór.

Nie wiedzieć czemu do ostatniej randki szykowałam się w szampańskim nastroju. Ku wieczorowi kroczyłam niespiesznie. Wykąpałam Irenkę w potokach matczynej troski, wycesałam Carlosa, aż stał się jedwabisty. Gdy już spali, ubrałam się ponętnie, zrobiłam makijaż. Niewiele brakowało, bym w tym rozdwojeniu jaźni naszykowałam jeszcze kolację pełną afrodyzjaków.

Scenariusza nie obmyśliłam. Nie przemyślałam sobie nawet, w jakie słowa ubiorę to, co mam wiarołomcy do powiedzenia.

Punktualnie z wybiciem dziesiątej do drzwi zadzwonił mister W. Ubrałam twarz w ładną minę i otworzyłam.

Oto stał – na mojej wycieraczce. Ten amant, kłamca, łamacz niewieścich serc. Po dwóch tygodniach w nadmorskim kurorcie odmienił nieco *image*. Zgodnie z obecnymi trendami środkowe pasmo włosów nastroszył do góry, boczne ciut wygolił. Oprawki okularów zmienił na „sportowsze”. Szpakowate boki bezwstydnie grały z ogorzałym czołem, dziwnie gładkim. Zęby – jakby bielsze. Czyżby aż tak się wyszykował na ten turnus z żoną?... A może Luiza jest młodką? Ubrany był, jakby właśnie wrócił z sesji do letniego katalogu Tommy’ego Hilfigera. Wszystko gładkie, jak pierwszy raz włożone, kupione za trzycyfrowe kwoty, z należycie widocznymi logo. W rękach trzymał belgijskie czekoladki w kształtach owoców morza.

Ohyda. Każdy wie, że belgijskie czekoladki są przesłodzone.

Gdy przekroczył mój próg, nozdrza zalała mi mocna fala perfum. Ile ich na siebie wylał, całą fiołkę?! Co ma ukrywać taki zapach?... Nie wiadomo skąd na chwilę przemknął mi przez jakąś „pamięć nosową” zapach włóczegowatego Staszka – i wyelegancony Wiktor z całym swoim sztafażem wydał mi się wprost kuriozalny w swej sztuczności, stylizacji i lansie. Do tego stopnia, że... wypełził mi na twarz mimowolny uśmiech.

– Cieszysz się? – natychmiast poszukał we mnie oznak zachwyty. Istny władca zaszczycający swój harem.

To mi nasunęło pewną myśl...

Odłożyłam czekoladki na komodę i zrobiłam unik przed objęciem.

– Chodź – powiedziałam i poprowadziłam go za rękę prosto do łóżka. Tam przysiadłam. Zrobił to samo. Starłam się wyglądać na tajemniczą i wygłodniałą zarazem.

– Zabawimy się?

Wiktorowi rozbłyły oczy.

– Jak?

– W kogoś innego. Będiesz mnie brał, nazywając coraz to innym imieniem. Będiesz mnie traktował bez szacunku, jak dziwkę, jak jedną z wielu. Albo odegram je wszystkie. Chcesz?

Pożerał mnie zachłannym wzrokiem, usiłując ocenić, czy naprawdę chcę to zrobić. Aż miło było patrzeć na tak zachwyconego faceta!

A ja się nakręcałam! Nie, nie erotycznie.

– Najpierw się rozbierz. Nie. – Zatrzymałam jego ręce, które odruchowo wyrwały się do mnie. – Tylko ty. Ja później. Będę ci mówić po kolei, co dalej.

Zrobił, co kazałam, nie spuszczać ze mnie wzroku. Gdy już wszystkie hilfigery leżały dość porządnie złożone na łóżku (amok amokiem, a pognieść lub co gorsza wytarzać koszulę w psiej sierści to jednak przykrostka), naga prawda wychynęła na jaw. *Był podniecony*. Patrzył na mnie łapczywie oczyma jak w gorączce. Źrenice zalały mu niemal całe tęczówki.

– Teraz chodź tu. – Klepnęłam kapę swego porządnie pościelonego łóżka – i mów do mnie Ewa. Jako Ewa będę twoją żoną. Będiesz mną trochę znużony, spętany konwenansem, będziesz mnie posuwał z powinności i bo to ci się z różnych względów opłaca. Okazuj mi tę wzgardę, łaskawość, jednocześnie nie dając się złapać na jawnej niechęci...

Przez moment zdawał się przyswajać nowe dane mojej gry.

– Co ty, do cholery... – sapnął chropawo, ale nie dopuściłam go do głosu.

– Potem mów do mnie Luiza. – Obnażyłam zęby w niegrzecznym uśmiechu.

– Luizę traktuj ostrzej, nie wahaj się przed niczym. Niech ci da, tak jak sobie marzysz, w końcu po to jest!

Wiktor płonął już na dwa sposoby. Jeśli umiesz sobie wyobrazić kogoś podwójnie pąsowego, w niemożliwej, nie do zniesienia mieszance

podniecenia, zdenerwowania, wstydu, gniewu – to zrób to teraz. Zdrajca wykonał jakiś chaotyczny gest, którym chciał mnie uciszyć, ale ja odsunęłam się kawałek dalej i puściłam oko.

– Czasami nazywaj mnie Magdą. Bądź wtedy stęskniony, zmysłowy i romantyczny. Cackaj się, bądź arcycierpliwy, rozbieraj powoli. Bądź nieskazitelny jak elf, ideał, zjawa; jakbyś się wyłonił wprost z babskich rojeń albo z jakiegoś odrealnionego filmu.

– Magda, posłuchaj... – Rozum Wiktora gwałtownie trzeźwiał, lecz ciało twardo obstawało przy swoim.

– A może zaprosimy je wszystkie na żywo? Czyż nie każdy facet marzy o seksie zbiorowym? Dlaczego miałbyś sobie żałować? Przecież jesteś tak stuprocentowym mężczyzną...!

– Co to za cholernie głupia gra!!! – Teraz wygląd fizyczny Wiktora z szybkością komety rozjeżdżał się ze stanem psychicznym. Podniecenie samca już niemal całkowicie ustąpiło miejsca pozostałym uczuciom z wybuchowej mieszanki.

– Nie poznajesz, kochanie?... Przecież to *twoja* gra! Dlaczego tak źle mówisz o swoim życiu? No ale skoro nie chcesz – udałam, że się dąsam – to zmykaj.

Na chwilę zawisła cisza.

– Tobie zupełnie odbiło – orzekł w końcu.

– Tak, tak, właśnie – potaknęłam uprzejmie. – Odbiło mi i właśnie cię wyganiem. No! – Klasnęłam w rączki jak psotna gejsza. – To ubieraj się szybciotko i znikaj.

– Ty zwariowałaś. – Wiktor nagle złapał trop. – Z samotności. Z tęsknoty za mną, z miłości...

Nie wierzysz, że to powiedział? A jednak, Jago, ha! Okazuje się, że u tego typu mężczyzny miłość własna przetrwa wszystko, *wszystko!*

– Z czego znów się śmiejesz?

– Z ciebie, Wiktoru. Powiedz, pamiętasz jeszcze, co to znaczy zachowywać się przyzwoicie i naturalnie?

– O co ci znowu chodzi?! – wybuchnął w końcu. – Przecież ja jestem naturalny! Wszystko, co robię, to *ja!* Sama mówiłaś, że nawet moje mieszkanie jest jak ja sam. To *jest* naturalne!

(Zauważyłaś, jak zręcznie wyparł wątek o przyzwoitości?).

– Dobrze. – To znów gejsza. – Jest naturalne. Jest piękne. A teraz, z łaski swojej, wkładaj ubranko i spadaj.

– W dupach wam się poprzewracało, ot co! – poskarżyło się książątko. – Chcecie mieć faceta męskiego, ale schludnego, dzikiego, ale nieskazitelnie kulturalnego, ma jednocześnie zarabiać, gotować, dbać o muskulaturę i o czytanie...

– No właśnie ja nie chcę. – Gejsza Malina, oaza spokoju, złożyła ręce w małdrzyk. – Idź swoją drogą, wracaj do rodziny. No. Pa, pa, pa.

Wiktor w końcu pojął, jak ma się skończyć ta scena. Ubierał się bez słowa, z trudem hamując wściekłość. Bokserki. Spodnie. Szarpanina z paskiem. Małe guziczki koszuli niechące przechodzić przez niewyrobite jeszcze dziurki.

Trochę ze sobą walczył, czy jeszcze coś mówić, czy już nic. Woń jego perfum drażniła mnie tak samo jak na początku tego spotkania. „Jak wyjdzie, będę musiała wywietrzyć”, pomyślałam, powstrzymując się przed zrobieniem tego od razu.

Raz czy dwa łypnął na mnie złym okiem. Trafiał jednak niezmiennie na moją niezmaconą uprzejmość.

Są sytuacje, w których nic tak nie drażni jak niezmacona uprzejmość.

Gdy wydawał się już całkowicie gotów do odwrotu, wstałam, by odprowadzić go do drzwi.

– Mogło być jeszcze pięknie – rzekł na koniec jakby z wyrzutem.

– Ukłony dla małżonki – odparłam pogodnie.

Równie pogodnie Cię teraz pozdrawiam, Moja Droga – a jest mi od tych dwóch dni lekko i wesoło – wierząc, że i Tobie uda się doprowadzić wszystkie Twoje – Wasze zamierzenia do szczęśliwych finałów.

Jednego tylko trzeba, pamiętaj.

Niezmałconej, upartej uprzejmości.

Całuję Cię, wierząc na powrót w radosne zakończenia!

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 22.07.2015

Temat: Wszystko razem

Malinko,

jestem z Ciebie taka dumna! Fircyk w zalotach dostał kosza – i to w jakim stylu! Czuję wprawdzie pewien niedosyt – bardziej spektakularne byłoby wywabienie rozochoconego i roznegliżowanego Wiktora z mieszkania pod przykrywką harców na łonie natury lub choćby klatki schodowej i porzucenie go tam bez spełnienia i odzieży. Ale nie narzekam – teraz Ci mogę szczerze napisać, że były chwile, kiedy się obawiałam, że słodycz i lepkość Wiktorowych zagrywek wobec Twego ciała i umysłu tak na Ciebie będą

działać, że się od nich nie odkleisz.

U mnie nerwówka i niewiadoma. Piotr wrócił w niedzielną noc. Próbowaliśmy rozmawiać, ale zupełnie nam nie szło. Ile jest słów i sposobów, by okazać komuś swoje uczucia. I w dodatku nie trzeba ich uzasadniać. Mówisz: kocham cię i już. Wystarcza za wszystko. Nie musisz podawać powodów, dla których rzucasz się komuś w ramiona, tracisz dla niego głowę i oddajesz mu serce. A kiedy chcesz wykonać ruch w odwrotną stronę... No bo jak tu komuś wyłuszczyć, dlaczego już się nie chce z nim być, żeby go jeszcze bardziej nie zranić? Miotalam się więc, mówiłam, że to wszystko we mnie siedzi, że to ja się zmieniałam. Piotr był już bardziej racjonalny. Sucho dopytywał o codzienność: opiekę nad dziećmi (kaśliwie: „A może już nie będziesz miała dla nich czasu, skoro tyle się w twoim życiu dzieje?”), podział domu (pragmatycznie: „Rozumiem, że się wyprowadzisz?”). Na koniec tej rwanej rozmowy usłyszałam:

– Niech twój wybranek powie tej pani, żeby mnie już nie nękała. Podziękuj jej za rady i informacje. Sugeruję, żeby się zajęła swoim życiem, bo zdaje się, że ma niezły bałagan do sprzątnięcia.

Wygląda na to, że Dorota jest równie obrotna jak żona Wiktora i będzie chciała za wszelką cenę zatrzymać przy sobie Jerzego. Na to się właśnie zanosz – był kolejny SMS: „Rozwód będzie mniej zabawny niż romans. Odradzam”.

Jerzy przyjechał dziś po mnie do pracy. Po fali czułości i tuleń przeszedł do konkretów (mężczyźni, Wiktora wyłączywszy, są jednak zadaniowi i racjonalni).

– Musimy poszukać jakiegoś domu. – Znacząco i z rozrzewnieniem spojrzął na mój brzuch.

– Ale przecież niczego nie ustaliłam z Piotrem. Nie wiem, jak się będziemy dzielić, to potrwa...

– Sprawy będą się toczyć swoim torem, nie przyspieszysz niczego. A mieszkać gdzieś musimy.

– A twój dom?...

– Nie wiem. Dorota nie podejmuje rozmowy. Zachowuje się tak, jakby nic się nie stało. Taka taktyka.

(Matko, jęknęłam w duszy).

– Zresztą wiem, że leśne ostępy nie stoją wysoko na twojej liście wymarzonych lokalizacji.

Przytaknęłam.

Okazało się, że Jerzy już dokonał przeglądu mieszkań i domów w mojej okolicy („żeby tak całkiem nie wyrzucić dzieciom życia do góry nogami i nie zmieniać im otoczenia”). Od jutra, korzystając z tego, że Jeremi i Matyśka jeszcze u dziadków, zaczynamy objazdówkę – w poszukiwaniu wspólnego (wciąż nie wierzę, że to się dzieje naprawdę!) lokum.

W przyszły poniedziałek idę do pani prawnik. Beata mi ją naraiła. Kiedy się dowiedziała, że jestem już po rozmowie z Piotrem, stwierdziła: „No to trzeba pozamiatać. Dam ci telefon do dobrej prawniczki. Dorastałyśmy na jednym podwórku w Sokołowie i wciąż się kumplujemy. Świetna babka. A jaka fachura!”.

Chyba się jej boję, Malinko. Choć przeczuwam, że może być skuteczna.

Jagoda w malignie Cię całuje

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 26.07.2015



Temat: Niedziela nie dzieli

Jagodo Błogosławiona,

masz rację. Wyjaśnienie, dlaczego już się nie kocha, musi być nieznośne. Właściwie odkąd przeczytałam Twój mejl o tym, inaczej zaczęłam myśleć o Macieju. On też gdzieś w Londynie, pośród nowych wyzwania, pięknych koleżanek, lepszych możliwości wytracił miłość do mnie. Czy naprawdę można za to winić? Może można się baczniej pilnować, strzec temperatury swego uczucia. Ale czy znów na skrupulatnym pilnowaniu ma kochanie polegać?... Tak... Dałaś mi do myślenia. A potem – co ciekawe – ja dałam w swojej głowie i sercu jakieś finalne rozgrzeszenie byłemu mężowi.

Gdybym była Twoją czytelniczką, w tym miejscu podziękowałabym Ci i podpisała się:

Pogodzona.

Ale jestem Twoją przyjaciółką! Dlatego opowiem Ci coś jeszcze.

Przez cały tydzień, od pamiętnego wyzwolenia od W., noszę w sobie głównie wesołość i lekkość. Nadal lubię wspomnienia dobrych chwil z nim. Nie zapomnę mu nigdy tego, że jako pierwszy mężczyzna w moim życiu sprawił, że czułam się bezkresnie kobieca, seksowna, pożądana. Wydobył mnie z okowów fałszywej skromności, nikomu do niczego niepotrzebego wstydu, oddawania moich niespełnień walkowerem. W pewnym sensie mnie, Magdę M. po trzydziestce, stworzył od nowa Kobietą. Za to pozostanę mu dożgonnie, choć dyskretnie wdzięczna. Co nie znaczy, że kiedykolwiek wejdę jeszcze raz do tej samej wody jakiegokolwiek z nim kontaktu!

W takim to nastroju – wesoła, pogodna, a zarazem przepełniona kobiecością, która wszak we mnie została (i bardzo się w niej rozsmakowuję!) – poszłam wczoraj na mszę.

Ojczulkowie tradycyjnie kombinowali z akcjami pomocowymi. Tym razem była mowa o jednym z warszawskich domów dziecka oraz zapowiedź, że po mszy, przed kościołem, jego wychowankowie wraz z opiekunami będą zbierać na wakacje, sprzedając swoje rękodzieła.

Irysek jest pies na rękodzieła i wszelkie artystyczne badziewie. Ledwieśmy się więc, po odśpiewaniu ostatniej pieśni, zwróciły w stronę drzwi, puściła moją rękę i dała szczupaka w tłum, by dotrzeć do cudowności z gliny, tektury, masy solnej i cekinów, zanim inni wykupią najlepsze sztuki.

Ja się nie spieszyłam. Ani nie prześlizgnęłam się tak gładko między ludźmi, ani nawet nie zamierzałam nigdzie truchtać na obcasach, w zwiewnościach i kapeluszu.

Tak, dobrze przeczytałaś! Sprawiałam sobie ka-pe-lusz. Na upały – doskonały, a jego słomkowość i szarfa do kremowego lnu sukienki – no powiadam Ci, Scarlett!

Kroczyć więc sobie godnie, ciesząc się z samej przyjemności kroczenia i ładnego wyglądu oraz bawiąc się myślą, co też pięknego będę musiała za chwilę kupić. W efekcie do stoiska dotarłam jakieś dwie minuty po Irysie. Wierni uprzejmie kłębili się wokół stołów z barwnym ustrojstwem; podoba mi się, że tak można na nas liczyć w tych różnych odpalach ojczulków.

Niestety Ircia nigdzie się nie kłębiła.

Część mnie mówiła: spokojnie, jest tu gdzieś przecież, nie poszłaby nigdzie sama, druga podszeptowała, że po raz drugi w ciągu miesiąca niefrasobliwie tracę ją z oczu w tłumie.

Przepchnęłam się do blatów z nadzieją, że skoro tak wypruła, to będzie gdzieś u samego żłobu. I...

I owszem, była. Po drugiej stronie stołów, w najlepszej komitywie ze Staszkiem i jego liczną gromadą. Nawet mnie nie spostrzegła, zajęta szczebiotaniem. Lecz on tak.

– Witamy i mamę! – Pomachał.

– Dzień dobry – odpowiedziałam bezpłciowo.

– Znowu nas znalazła. – Wskazał ruchem głowy na moją marnotrawną. – Tylko mama jakby oporniej się do nas garnie...

– Dlaczego miałyby się garnać?

– Ponoć warto ufać nieskażonej intuicji dziecka. – Mrugnął.

– Ty dajesz się prowadzić wszystkim swoim?

Stach pokręcił głową.

– W naszym przypadku to raczej my mamy ich prowadzić. – Machnął ręką w stronę szczupłej blondynki przy drugim stole, wokół której kłębiła się kolejna gromada dzieci.

A więc jest i matka...

– Macie rodzinny dom dziecka?

Wyszczrzył zęby.

– Nie słuchało się zbyt pilnie ogłoszeń parafialnych, he?... Żaden tam rodzinny. Zwykły, państwowy dom dziecka. Ponura placówka z mnóstwem trosk i tylko odrobiną jasnych stron.

– Jesteś... – Informacja powoli wślizgiwała się pod mój kapelusz.

– Wychowawcą. Grupy chłopców w przedziale od dziewięciu do dwunastu. Stanu wolnego – dodał tonem autopromocji.

Żachnęłam się. Przystawianie faktów zupełnie mnie zawiodło. Stałam przez chwilę w milczeniu, nie mając pomysłu, co dla odmiany rozsądnego mogłabym powiedzieć.

– Co dla pani? – zagadnął naraz fachowo piegowaty szatynek, na oko dziesięcioletni. – Broszka z modeliny, filcowe korale, kwiatek z bibuły?

– Kwiat, koniecznie! – ożywił się Stach. Wyjął z glinianego wazonu wielki żółty goździk na długim drucie i wyszedł zza stołu. Zwinął drut, uformował z niego coś w rodzaju wsuwki i przypiął mi kwiat do szarfy kapelusza.

A potem przyjrzał się długo, uważnie najpierw swemu dziełu, potem mojej twarzy. Złowił moje spojrzenie i przez chwilę trzymał je w szachu,

powodując we mnie, w środku, jakieś dziwne topnienie, na które kompletnie nie byłam gotowa. Coś we mnie zatrzepotało. A coś innego skrzętnie odnotowało, że ma ładne oczy – orzechowe, z zielonkawymi plamkami; lśniące i spokojne. Oczy-ostoja.

– Bardzo ładnie – orzekł w końcu. – Jesteś odmieniona.

– Tą ozdobą?

Pokręcił głową z – nie znajduję lepszych słów – poważnym uśmiechem.

– Wreszcie jesteś spokojna. Teraz już możemy zaczynać.

– Co zaczynać?...

– Naszą historię – odparł po prostu.

Och, Jago. O czym będę Ci pisać za tydzień, za miesiąc, za rok?...

Całuję Cię mocno

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 27.07.2015

Temat: Powrót duszy czyścicowej. Remake

Malinko,

powinnam się złapać Twojego wywodu o rozgrzeszaniu byłych i godzeniu się na rzeczywistość jak brzytwy, ale poczucie winy trzyma mnie w szachu. Twoje wybaczenie Maciejowi jest szlachetne, bo czynione z pozycji ofiary. Ja ofiarą nie jestem – no chyba że własnych nieupilnowanych uczuć...

Zaczynam już lubić tego Twojego (?) Stacha. Mądry facet – rozgrzeszyłeś byłego wiarołomnego męża, przegnałeś zdradliwego kochanka; nie czujesz żalu, bez bagażu idziesz w przyszłość. Dopiero w takim stanie ciała i ducha można pogodnie spojrzeć na świat. I otworzyć się na miłość. Z kimś normalnym, tak dla odmiany. Przejrzał Cię Stachu na wylot!

W piątek pojechaliśmy obejrzeć pierwszy dom. Jerzy wypatrył go w agencji Nasza Chata. Nazwa powinna być solidnym znakiem ostrzegawczym, ale ciekawość zwyciężyła. Potęgował ją fakt, że choć agent Zbyszek miał zdjęcia posesji, to były one tak poetyckie, że właściwie nie było na nich widać budynku. Wypstrykano za to mnóstwo nieokiełznanej zieleni w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca. Opis wystylizowano romantycznie: „Domek w klimacie dworkowym. Piękne zdobienia w drewnie, przeszklony ganek, zaadaptowane na cele mieszkalne poddasze. Urokliwa część Radości w bezpośrednim sąsiedztwie parku krajobrazowego”. Pojechaliśmy więc za fordem pana Zbyszka do naszej chatynki. Z asfaltu zjechaliśmy na kocie łby, by po krótkim czasie opuścić je dla szutrowej dróżki. Chwila i już. Ford parkuje pod starym dębem, więc my też. Wysiadamy.

– To tu – informuje pan Zbyszek uniżenie.

– Czyli... – Jerzy nie wstydzi się swojego nierozgarnięcia i podobnie jak ja bezradnie rozgląda się za domem.

– No tu. O, tu właśnie. – Pan Zbyszek wykonuje zdecydowany ruch ręką w kierunku furtki, którą maskują kładące się na niej gałęzie krzaków. – Trzeba wyciąć. – Uśmiecha się nerwowo.

No trzeba. Myślę, że dwóch roślących facetów pracujących po osiem godzin dziennie uporałoby się z tym już w tydzień. To był istny gąszcz! A w nim wysiepana wąziutka dróżka od furtki do ganeczku (zdrabniam, bo tam wszystko było takie tycie, tycie). Domek urokliwy. Bledziuchny seledynowy kolor tynku, poszarzała biel stolarki. Angielskie klimaty, które oboje

z Jerzym uwielbiamy. Tylko wykonanie bardziej krajowe. Pan Zbyszek staje przy drzwiach. Przekręcił już klucz w zamku, ale jakby nie miał śmiałości prowadzić dalej.

– Ludzie są różni – zaczyna sentencjonalnie. – Tu mieszkała samotna, starsza pani. Jej siostra jest w Stanach i nie zdążyła się uporać z posprzątaniami.

Bałagan, wielkie mi co, myślę. Ogarniemy.

Wchodzimy.

I... Malinko, to powinien być dom dla kogoś z Twojej redakcji katolickiej. Najlepiej dla siostry zakonnej. W progu powitała nas naturalnej wielkości Matka Boska. Nad nią wisiał krucyfiks. Wielgachny, w otoczeniu wielu, *naprawdę* wielu innych krucyfiksów, udekorowanych od czasu do czasu różańcem. W salonie powitał nas Pan Jezus – obraz wielkości fototapety na centralnej ścianie. W zakurzonej biblioteczce Biblie, hagiografii, śpiewniki kościelne i stopy obrazków z podobiznami świętych. Na parapecie kolekcja świec Caritasu.

Pan Zbyszek, widząc naszą konsternację, wyjaśnił:

– Pani Danusia mieszkała tu sama. Kiedyś, dawno temu, z mężem. Ale kiedy on odszedł, zaczęła z tej samotności zwracać się ku religii.

– Biedna. A mąż kiedy zmarł? – zapytałam.

– E, nie zmarł. Zostawił ją. Dla innej głowę stracił, choć już był po pięćdziesiątce. Wyprowadził się i tyle go było. Dzieci nie mieli, to i pani Danusi nie było się czym zająć. No i tak się biednej na głowę rzuciło.

Pokręciliśmy się jeszcze trochę (do łazienki i sypialni bałam się zajrzeć), podziękowaliśmy i pojechaliśmy.

– Okropna historia – zaczęłam. – Mąż ją kantem puścił, została sama, tylko drzewa mając za towarzystwo. – Urwałam, bo historia zaczęła się niebezpiecznie zbliżać do życia.

Do Jerzego też dotarło podobieństwo, choć w innych rejestrach:

– Już po pięćdziesiątce! Jakby była jakaś granica, do kiedy możesz żyć, a potem to już tylko wegetacja.

Tego domku nie kupimy. Dwa inne były ładne, choć jakieś bezpłciowe. Na szczęście za drogie, więc nie musimy się nad nimi zastanawiać.

We środę jeszcze jeden dom i pani prawnik.

Ten zamęt i pośpiech dobrze mi robią, mimo wszystko.

Weekend był paskudny. Piotr przywiózł dzieci od dziadków. Stęsknione, klejące się do nas, rozgadane. Złaknione nas pojedynczo i jako rodziny. Dzisiejszy wspólny obiad był katogą. Uciekanie wzrokiem od siebie, starania, by się przypadkiem nie dotknąć przy kuchennym blacie, szukanie wymówek od gromadnego wyjścia na lody.

Powiedzenie dzieciom, że już niedługo będą miały dwa domy, to kolejny punkt z listy paskudnych czynności do wykonania.

Ściskam, moja M.

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 28.07.2015

Temat: Uroki herbaty

A my, Jago, wypiliśmy razem herbatę.

Sensacja na miarę *Pań z Cranford*, nie? Samej chce mi się śmiać, że oto po niemal roku pisywania Ci o nieprzespanych nocach, różanych łożach, bezceństwach, burzeniach kolejnych tabu – teraz mam dla Ciebie scenkę z herbatą.

A było to tak:

Niedzielny kiermasz sztuki w słusznej sprawie dobiegał końca. Irysek niósł już całe naręcze okazów z gatunku „coś pięknego i niedrogo”, ja, jak pamiętasz, przystrojona byłam żółtym kwieciem – i pomału zbierałyśmy się do odwrotu. Wtedy to Stach po męsku przeszedł do konkretów:

– Mam wytropić, gdzie mieszkasz, czy dasz mi swój numer telefonu?  
A może po prostu zaprosisz mnie na herbatę?

Spłoszyłam się. Bardzo adekwatnie do stroju z kapeluszem.

– A... To nie będzie za szybko jakoś?

– Znamy się już miesiąc... – westchnął Stach. – No dobra, daj ten numer.

Dałam. I pożegnałam się płochliwie.

Nie uszłyśmy z Irenką dwustu metrów, kiedy zagrała mi komórka.

– To mogę dziś wpaść na herbatę?

Tak dostałam za swoje. Formalności stało się zadość, a Stach i tak załatwił, co chciał, bez ceregieli.

Wpadł wieczorem – dla odmiany niepóźnym – z torebką jagodzianek i chyba wystrojony. To znaczy miał mniej obrzępolone spodnie, mniej pogniecioną koszulę oraz nieco mniej zarostu. Mój sprzedajny pies natychmiast przyniósł mu sznur do szarpania – a skoro gość uprzejmie i fachowo się poszarpał, Carlos, by okazać mu wdzięczność, już do końca wizyty drzemał z łbem na jego stopach. Kto powiedział, że labrador nie potrafi unieruchomić człowieka?...

Wniósłszy imbryk (a jakże!), zadałam pytanie, które mnie nurtowało:



– Dlaczego akurat do mnie na herbatę?

– Siedzenie obok siebie w kinie nic by nam o sobie nawzajem nie powiedziało. Twojego gustu teatralno-koncertowego nie znam. Kawa w mieście, na neutralnym gruncie, pograżyłaby nas w sprawach nieistotnych. Komentowaniu wystroju. Muzyki. Domysłach: „Dlaczego zaprosił mnie akurat tu, a nie tam?”. Po co tracić na to czas?

Wypiliśmy zatem herbatę przy moim stole, z moją córką mlaszczącą nad jagodzianką, z moim psem już wiadomo gdzie, gawędząc może nie o sprawach nadzwyczajnych – ale w miłej, dobrej atmosferze.

Do tego – piękna cecha! – wiedział, kiedy wyjść! Mówiłam Ci, jak zawsze się stracham gości bez granic, którzy nadal siedzą, mimo że rozmowa straciła kleistość w przeciwieństwie do oczu gospodarza, klejących się z nudy. Na tym tle Stach jawi się jako człowiek konkretny. Dopiął swego, wypił herbatę, pogadał, posłuchał – a potem po prostu odniósł do kuchni naczynia, pożegnał się z nami i poszedł.

Może to będzie przyjaciel rodziny? W sumie w męskiej obsadzie mam wakat.

Trzymaj się i pisz, co u adwokatki. Ja jutro wpadnę do Was do redakcji z różnymi papierami. Spotkamy się na chwilę?

Po brzuchu Cię głaszczę, na szczęście

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 28.07.2015

Temat: Re: Uroki herbaty

Malinko,

będę tylko rano, do jedenastej. Potem pani prawnik, po niej konferencja na temat równouprawnienia kobiet i mężczyzn, a prosto po niej z Jerzym na oglądanie domu.

J.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 29.07.2015

Temat: Adwokatka diabła

Malinko,

mam nadzieję, że poradziłaś sobie wczoraj w redakcji, a może nawet już się ciut wdroszyłaś w nową pracę?

Pojechałam do kancelarii, by oddać swój los w ręce adwokat rozplątującej losy małżonków. Kiedy zobaczyłam panią Marzenę, oniemiałam. Nigdy nie korzystałam z usług prawnika; nie spodziewałam się, że przyjmie mnie w todze, ale wydawało mi się, że będzie taka poprawnie schludna. Tymczasem... Adwokat Marzena miała długi blond warkocz, zarzucony nonszalancko na lewe ramię, bajecznie i teatralnie gęste doklejane rzęsy, krwistoczerwone paznokcie współgrające z podeszwą szpilek na niebotycznych obcasach. Ubrana była w obcisłą trykotową sukienkę i obwieszona drogą biżuterią. Z trudem maskując zdziwienie, wyłuszczyłam, że jestem od Beaty i przychodzę się rozwodzić.

– No jasne, już wiem. Zdecydowana jest pani?

– Tak.

– No to piszemy pozew. – Pani adwokat usadowiła się za wielkim stołem i sięgnęła po notatnik. – Rozwód z jego winy?

– E, no nie. To ja chcę...

– Pani Jagodo. – Pani prawnik spojrzała na mnie karzącym wzrokiem. – Kiedy kobieta chce rozwodu, to dlatego, że mąż ją do tego zmusza: swoim zachowaniem, zaniedbaniem, niedopasowaniem. Ona po prostu nie ma wyboru!

– Ale to jednak nie do końca oddaje stan faktyczny... – próbowałam dalej żyć w prawdzie.

– Proszę mi zaufać. – Adwokat Marzena już była w swoim świecie, gdzie mężczyzna zawsze stoi na przegranej pozycji.

Opisałam jej całą sytuację, szczerze, jak na spowiedzi. Wzdychała, notowała, dopytywała. Na koniec wyjawiałam, że jestem w ciąży.

– No to się spieszymy! Jak nie zdążymy przed porodem, w świetle prawa ojcem dziecka będzie obecny jeszcze mąż.

Więc się spieszymy, Malinko. Nieodwołalnie i nieodwracalnie.

Ustaliłam z Piotrem, że w weekend on zabierze Jeremka do rodziców, a ja zajmę się Matysią. Chcę pojechać do Drohiczyzna. Mam poczucie, że w podróży, z dala od domu, łatwiej mi będzie z nią porozmawiać o przyszłości.

Twoja Jagoda

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 30.07.2015

Temat: Przy nadziei

Ładne to jest określenie, prawda? „Być przy nadziei” – takie spokojne i ciepłe...

A teraz Ci powiem, w jakim kontekście przyszło mi wczoraj go użyć.

Przywiozłam do Was do sekretariatu rozmaite papiery do zatrudnienia. Krysia przyjęła moją tekę, zajęła się kserowaniem dyplomu i tak dalej, przy okazji zabawiając mnie miłą rozmową. Miałaś rację – szalenie fajna ta Krysia.

Wtem do pomieszczenia wtargnęła – wierz mi, trudno to inaczej nazwać – *femme fatale*. Zamaszysty krok, powłóczysta szata, błędne spojrzenie. I – ni mniej, ni więcej – pyta o *Jadwigę Jabłońską*.

Jako że czytam uważnie Twe mejle, pamiętam, kto nazwał Cię Jadwigą. Włosy stanęły mi dęba. A przed oczyma stanęła mi Dorota we własnej osobie.

Krysia, nieświadoma niebezpieczeństw, poczęła uprzejmie wyjaśniać, że chwilowo jesteś poza wydawnictwem, może coś przekazać, chyba że pani zechce poczekać na kogoś innego z działu, wtedy może coś do picia?... – wiesz, cały ten wachlarz biurowych możliwości.

Ale Dorota była nabuzowana – jakby musiała z siebie wypluć określoną porcję jadu *już*.

Zwróciła się zatem do przemilej Krysi i sapnęła:

– Czy pani wie, co to jest za osoba?!...

Niedobrze.

Nie przemyślawszy sobie tego nijak, wypaliłam impromptu:

– Przede wszystkim jest to osoba przy nadziei, która potrzebuje dużo spokoju.

W istocie potrzebujesz spokoju, ciesz się więc, że Cię tam nie było. Ujrzałabyś w praktyce, co to znaczy mienić się na twarzy, tracić impet, purpurowieć, odwracać się na pięcie, syczeć coś niepochlebnego.

Na szczęście Cię tam nie było.

Gdyby atmosfera w Twoim domu była teraz lepsza, namawiałabym Cię na pracę zdalną. A tak – to nie wiem... Kiedy już będę u Was sekretarzem, postaram się stać na straży.

W każdym razie Krysia z wieści bardzo się ucieszyła – czuję, że jeszcze urządzi Ci jakiś capstrzyk.

Doprawdy. Szalenie fajna ta Krysia.

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 30.07.2015

Temat: Zagadki

Malino, Malino, Malino.

Przed chwilą przeczytałam Twój mejl. Już w pracy. I już po tym, kiedy Krysia, porozumiewawczo mrugając okiem, wyszeptła:

– Gratuluję, Jadwiniu! Cudowna wiadomość. Który to miesiąc?

Skonsternowana, niedobudzona, odparłam, że chyba lipiec. Krysia szturchnęła mnie z łobuzerskim uśmiechem:

– Żarty się ciebie trzymają. Na kiedy masz wyznaczoną datę porodu?

– Ale skąd wiesz?... – wykrztusiłam. No i Krysia powiedziała skąd.

O matko, Malinko. Pal sześć Krysia, która zresztą w przedślubnym amoku łaskawie obiecała zachować tę fascynującą wieść w tajemnicy. Ale Dorota!... Zadzwoiłam więc do Jerzego, by go uprzedzić o nieuchronnej – jak mi się wydawało – konfrontacji. I kolejne zdziwienie. Bo kiedy Jerzy wrócił wieczorem do domu, Doroty nie było. Dla odmiany było jej auto. Dziwne? Bardzo dziwne. Przecież w tej dziczy nie ma metra, które cię zawiezie, dokąd chcesz. Ba, nawet do rozklekotanego pekaesu jest pewnie z pięć kilometrów – na skrót, przez chaszczce. Samochodu w tej okolicy nie potrzebują tylko wiewiórki i sarny. Albo leśniczy.

Jutro pani adwokat da mi pismo do akceptacji.

W domu złowroga cisza.

A mnie zaczynają męczyć mdłości.

Ja.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 2.08.2015

Temat: Przemyslenia

Ach, Jago, biedulo w mdłościach i niepokojach...

Nastał sierpień – czas mojego powrotu na ostatni miesiąc do starej pracy. Ciekawe, czy od września będzie nam się zdarzało do siebie pisywać, skoro będziemy mijaly się na co dzień w Twojej redakcji?... Sztuka epistolarna może podupadnie, ale zyska na tym kontakt żywy i bezpośredni. Wiesz, mam czasami pokusę, by wyciągnąć całą naszą pisaninę od pamiętnego listopada 2014 i poczytać o tym zwariowanym roku, co wyrócił w naszych życiach (zwłaszcza Twoim!) fikołka niczym przed laty komendant Maik, który na koloniach, nierad z kontroli czystości w pokojach, wywracał nam posłania z mocą tajfunu.

Jak sobie teraz pościelemy? No i – wzorem porzekadła – jak się w tym wyśpimy?

Do wczoraj trochę się bałam powrotu do „On Żyje”. Wiem, wiem, co mówią – taki krótki czas to i na pędzącym jeżu... Ale jak sobie przypomnę tę konfuzję zespołu „On Żyje”... Niedowierzanie pomieszane z tylko troszkę skrywaną diagnozą, że zwariowałam. Rzucac pracę w tak zacnym miejscu?... A uprzednio: *rozwieść się?!...* „A taka się wydawała porządna...”.

Jak teraz dowieść, że wcale nie przestałam być porządna? Nadal mam wiarę i wartości, chodzę na mszę, pomagam biednym, nie krzyczę na dziecko, płacę podatki – tyle że nie chcę żyć w udawaniu. W fikcyjnym małżeństwie bez zbliżeń i bliskości, bez dzielenia się i wspólnoty.

Dziś jednak Stach, który wpadł na obiad, obśmiał się, gdy podzieliłam się z nim tą wątpliwością.

– Dlaczego chcesz komukolwiek cokolwiek udowodniać? Bóg Cię widzi. A tobie dał sumienie, wiesz, jak z niego korzystać. Co ludziom do tego?

I wiesz? On ma rację! Idę więc jutro z zamiarem naturalności. Nie będę się wdawać w wypytywania. Zrobię, co do mnie należy – a po czterech

tygodniach się pożegnam.

Na pierwszy z nich Irenka wędruje do rodziców Macieja – on sam też zjeżdża do Polski i będzie ojcował. Później moi rodzice oraz wakacyjny dyżur przedszkolny.

A potem już wrzesień i my!

Piszmy więc – póki jeszcze jest na to pora.

Pozdrawiam Cię w mowie i piśmie

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 4.08.2015

Temat: Jolka

Nie, żadna nowa osoba dramatu. Jolka krzyżówka, Malinko. Puste pola, dużo niewiadomych, intuicja niezbędna.

W piątek Jerzy odebrał mnie z pracy – chciał choć godzinę powrotnej drogi do domu spędzić ze mną, wiedząc, że w weekend będę z Matysią podróżować. Z troską dopytywał o samopoczucie, ze smutkiem konstatawał, że te pierwsze tygodnie wspólnego życia spędzamy w diasporze. Mówił o poszukiwaniach domu – na razie bryndza: albo tanie i szkaradne (a często i w ruinie), albo drogie (i też gargamelowate). Na ten tydzień umówił kolejne spotkania z agentami. Oby.



Dorota się odnalazła. I do tego ponoć w całkiem dobrym humorze. Zapowiedziała weekendową nieobecność – spakowała walizkę i w sobotni poranek oddaliła się od leśnego domu – tym razem wraz z samochodem. Co się kryje za tą zmianą strategii?

A ja pojechałam do Drohiczyzna z Matysią. Wyruszyliśmy w zachmurzeniu i chłdzie, dopiero przed samym miasteczkiem zza obłoków wyszło słońce. Wzięłam to za dobry znak. Zaparkowałyśmy w centrum. Zabrałam nasz kosz piknikowy z prowiantem, koc i ruszyliśmy w kierunku plaży miejskiej. Wąską asfaltówką schodziłyśmy ku zakolu rzeki. I w pewnym momencie zobaczyłyśmy mnóstwo kolorowych kropek na Bugu – żółciutkie, czerwone, niebieskie, brązowe – jakby ktoś wsypał gigantyczne lentilki do wody. A to gromadny spływ kajaków (500!) do Grannego – cykliczna, coroczna impreza. Matysia była zafascynowana. Kiedy ostatnia łódka zniknęła z pola widzenia, poszłyśmy rozłożyć się na plaży. Matysia brodziła w rzece, co chwila coś do mnie wołając, a ja nerwowo obmyślałam, kiedy i jak opowiedzieć jej o zmianach. Jak zwykle życie samo podsunęło rozwiązanie. Matysia usiadła przy mnie na kocu, by się osuszyć.

– Ale tu fajnie. I tylko my dwie. Nie wszystko musimy robić całą rodziną – oznajmiła zadowolona.

Uczepiłam się tej myśli. I powiedziałam, że to prawda i od teraz tak to będzie, ponieważ postanowiliśmy z tatą zamieszkać oddzielnie.

– Nie lubisz już taty? – zapytała Matylda.

– Lubię. Ale już nie tak bardzo jak kiedyś. Już nie przyjaźnimy się tak mocno.

– Ale dlaczego?

– A pamiętasz, jak w zeszłym roku opowiadałaś, że Kamila jest twoją najlepszą przyjaciółką, a na wiosnę oznajmiłaś, że już się nie kumplujecie, bo ty wolisz grać w gumę i jeździć na rowerze, a Kamila lubi oglądać filmy i siedzieć przed komputerem? I teraz umawiasz się z Magdą, a Kamila się zakolegowała z Pauliną.

– Tak – przytaknęła Matysia.

– To dorośli też tak mają.

Matysia zamilkła. Przesypywała piasek między palcami i patrzyła na pola po drugiej stronie Bugu.

– Ale mnie nigdy nie przestaniesz lubić? – zapytała w końcu, odwracając buzię w moją stronę.

– Przenigdy! – Głos mi zadrżał i spłynęła na mnie kaskada macierzyńskich uczuć z taką mocą, jaką potrafią wyzwolić tylko hormony ciążowe. Przygarnęłam Matysię do siebie i siedziałyśmy dłuższą chwilę wtulone w siebie.

Teraz zastanawiam się nad rozmową z Jeremkiem. Jak objaśnić czterolatki taki skomplikowany świat?...

Całuję

Jagoda

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 6.08.2015

Temat: Pochwała żywota spokojnego

Dobrze to obmyślaś z Matyldą, wiesz? Wyjazd we dwie, odniesienie do zmiennych dziecięcych przyjaźni. Cieszę się, że wyszło tak spokojnie. Za jakiś czas będziesz jej musiała wyjawić jeszcze jedną rewelację – tę o nowym

życiu w Tobie. Ale doskonale sobie poradzisz. Macie dobry kontakt.

U mnie w pracy nomen omen *święty* spokój. Upał podziałał na wszystkich otępiająco. Bożena urlopuje. We mnie, po długiej nieobecności, wstąpiła nagle werwa. Sypnęłam parę udanych artykułów. I wiesz? Skupienie się na pracy, a nie na SMS-owaniu, knowaniach, jak uszczknąć parę chwil na romans, snuciu domysłów, czy znajome auto już stoi w umówionej uliczce, bardzo mi się podoba. Po pracy zaś – bez knucia, snucia i długiego SMS-owego podgrzewania temperatury – widuję się ze Stasiem.

Ciekawe są to spotkania. Nie ma w nich tego erotycznego żaru, co z W., obłapianek, kąsań w ucho – jest natomiast rozmowa, co sama się plecie, szczery śmiech i wciąż rosnące zaufanie. Nadal nie czuję się gotowa na fizyczność i on to jakimś cudem zdaje się wyczuwać – bo chybaby chciał, a zarazem czeka, żebym ja także chciała.

Nie żeby mu czegoś brakowało. To tylko... głupi rozdźwięk między rozumem i sercem a ciałem. Rozum i serce już uzgodniły definitywny odwrót od W., ciało – tępe jakieś, czy co?... – wciąż trzyma się pamięci tamtego konkretnego ciała, dotyku, pieszczoty.

Głupia pamięć ciała.

Irenka z dziadkami i ojcem nad morzem. Co dzień dzwonię na chwilę dowiedzieć się, jak jest – a jest ponoć fantastycznie, i nie dziwota. Czegóż chcieć więcej latem niż morza i słońca? Kwoka we mnie gdacze więc tylko napomnienia: pamiętajcie, by ją smarować kremem z filtrem. I żeby nosiła kapelusik. I żeby nie siedziała bardzo długo w wodzie – a oni uprzejmie to znoszą i chyba się stosują.

Jestem, Jagodo... *Spokój* to wspaniały stan ducha. Gorąco polecam.

Twoja M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 8.08.2015

Temat: Rodzina. Rekonstrukcja.

Moja Malino,

mnie już całkiem nie potrzeba ekscytacji! Teraz moje marzenia zdominował następujący obrazek: przytulny salon, miękki wełniany dywan, szeroka kanapa obłożona poduchami, zdolna pomieścić całą rodzinę, Jerzy głaszczący mnie po wybujającym brzuchu, gdy nalewam pomidorową do rustykalnej wazy, którą zaraz postawię na dużym stole z jasnego sosnowego drewna. Spełnienie w najprostszej formie; niby tak zwyczajne, a zarazem tak o nie trudno, co obie dobrze wiemy, prawda?

Póki nie zamieszkamy razem, ów obrazek jest niemożliwy do odmalowania w rzeczywistości. Nie dane nam na razie wspólne obieranie ziemniaków i polegiwanie na kanapie pod jednym pledem. Zalegliśmy więc we czwartek zgoła gdzie indziej. Te hotelowe schadzki wciąż wywołują we mnie drżenie, ale dużo bym dała, żeby móc zasnąć przy Jerzym spokojnym snem i mieć go przy sobie, gdy się obudzę.

W ten weekend Dorota także zapowiedziała swoją nieobecność. W sprawie przyszłości, czyli planów mieszkaniowych i majątkowych, nie powiedziała nic, ale – uwaga! – już nie dlatego, że wciąż wierzy w siebie i Jerzego jako parę, lecz potrzebuje czasu do namysłu. „Czyżby ci się spieszyło, Jerzy? W twoim wieku spokój się już zaleca” – to zamiennik SMS-ów, które do mnie przestały przychodzić.

Skoro zaś Doroty nie będzie i nie ma też Piotra, który wziął długi weekendowy dyżur, jutro jadę z dziećmi do Jerzego. Na razie przedstawię go po prostu jako znajomego. Pójdziemy na spacer, zjemy razem obiad, spędzimy wspólnie prerodzinnie czas. Chyba się tym denerwuję.

Całuję, Malinko

Jaga

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 9.08.2015

Temat: Deklaracja zainteresowania

Ty na spacer z dziećmi (trzymam kciuki!), a mnie dziś po południu Maciej przywiózł z powrotem Irenkę. Wyściskałyśmy się mocno i długo; uwielbiam takie powroty! Jest opalona w sam raz, nie za mocno (czytaj – wklepywali filtry!), szczebiotliwa, jakby wyższa na swoich mocnych nóżkach i doroślejsza. Aż do jej pójścia spać bawiłyśmy się i gadałyśmy, od jutra – lato w mieście, czyli dyżur przedszkolny. I tak przez najbliższe dwa tygodnie.

Natomiast w sobotę, korzystając z ostatniego dnia mojej wolnej chaty, urządziłyśmy z sąsiadkami u mnie sabat. Wreszcie wszystkie powróciły z różnych wyjazdów – szmat czasu minął od ostatniego naszego zlotu! Z nowin – wyobraź sobie, Danka pozdawała jakieś tam egzaminy, uzyskała certyfikaty i otworzyła gabinet refleksoterapii! Dopięła swego, ma pierwsze klientki. Jestem z niej taka dumna! Idź do niej koniecznie, poczujesz się fenomenalnie!

Opowieści z cudzych wakacji Ci oszczędzę, ciekawy natomiast okazał się pewien wątek, który znienacka podjęła Karolina. Otóż jeśli myślałam, że mój nowy odwiedzający pozostaje niezauważony – jakże się myliłam!

– Ty, Madzia, a kto to jest ten miły szatynek, co do ciebie wpada? – zagadnęła mnie nagle gdzieś przy drugim dużym kieliszku dobrze

schłodzonej sangrii.

„O ho!” – pomyślałam. A głośno powiedziałam:

– Znajomy z kościoła.

– Ale nie ksiądz? Ani nie kleryk? – Karolina jest kobietą praktyczną, nie ryzykowałaby straty czasu na wplątanie się w coś bez przyszłości.

– Nie, nie.

– Stanu?

– Wolnego – przyznałam niechętnie.

Nieznacznie kiwnęła głową z aprobatą.

– Miły i uczynny – podjęła znowu.

– Taak?... – Cała skupiłam się nad wyłowieniem z sangrii śliskiej cząstki mandarynki.

– Spadł mi raz łańcuch, gdy już prawie dojeżdżałam do bloku. On się zainteresował, pomógł mi go nałożyć, utyłł się przy tym, że hej! A jednocześnie taki był uważny, skupiony, wcale mu nie chodziło o to, żeby wyrwać babkę na numer z troskliwością... A potem widzę go na twoim balkonie, jak coś tam mocije...

– Kwietnik... – uściśliłam.

– Kwietnik. Skąd ty ich bierzesz, cicha wodo? – Parsknęła nad własnym żarcikiem. – I czy panowie kłębią się równolegle z tym drugim? Bo jeśli nie byłabyś zainteresowana, to może byś mi go odpaliła?...

Pies trącał mandarynkę, co znowu mi się wymknęła. Wyprostowałam się.

– Jestem zainteresowana.

Niespodziewanie poczułam się jak chodząca deklaracja niepodległości czy

coś takiego. Nawet przed samą sobą nie byłam dotąd w tej kwestii na tyle szczerą, żeby powiedzieć, że mi zależy. Naraz proszę – sytuacja tudzież sąsiadka żąda wyjaśnień i musisz się w try miga opowiedzieć po którejś stronie. Tak, nie. Chcesz, nie chcesz. Zatem jestem. Zostało powiedziane...

– Szkoda – westchnęła Karolina i dopiła sangrię. – Ja tak lubię, jak facet ma miły głos, ładny muskuł i nie lepi się do mnie obcesowo. No, ale trudno, sąsiadce nie będę podbierać!

Także dopiłam swoją. Z ostatnim haustem mandarynka w gratisie wpadła mi prosto do ust.

Powiedz mi, dlaczego czasem doceniamy kogoś lub coś dopiero w obliczu utraty? I to niekoniecznie realnej, jak nagłe problemy ze zdrowiem, lecz nawet hipotetycznej, po takiej rozmowie jak ta moja? To jak sukienka w sklepie, której nie rejestrujesz wzrokiem, do chwili gdy inna kobieta nie ściągnie jej z wieszaka. Albo piosenka, która nie zwraca twojej uwagi dopóty, dopóki ktoś ci nie rozkmini, o czym ona jest i dlaczego to jest fajne.

Wyartykułowane dziś „tak, jestem zainteresowana” uświadomiło mi, że nie chcę go stracić. A nie jest mi przecież dany bezwarunkowo. Może więc czas też się trochę postarać?...

Hm.

Redakcjo, jak uważasz?

Niestarająca się – lecz zainteresowana

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 11.08.2015

Temat: Nauka poszła w las

To mechanizm, który nam towarzyszy przez całe życie. Kiedy Jeremi weźmie lalkę Matysi – od dwóch lat wciśniętą w ten sam róg regału – nagle się okazuje, że to najukochańsza przytulanka, którą Matylda musi właśnie teraz, już-i-buch-po-Jeremkowych-plecach mieć przy sobie. Opatrzona wieloletnia żona nagle wyda się niezwykle ponętna, jeśli pojawi się przy niej obrotny adorator. Albo dorosła już córka jedynaczka przyzwyczajona do niedzielenia się tatą, która nigdy nie musiała się obawiać braku jego zainteresowania, zupełnie niespodzianie dowie się, że już niedługo pojawi się przyrodnia konkurencja. Tak, Marysia już wie. Kilka dni temu wróciła z podróży poślubnej (Bali! – byłabym zachwycona, gdyby udało nam się z Jerzym wyjechać jeszcze w tym roku na kilka dni – choćby i do Ostródy). Wczoraj wieczorem postanowiła zrobić niespodziankę Jerzemu i wpaść z niezapowiedzianą wizytą. Siurpryza rzeczywiście była. Najpierw stroskana twarz taty i złowieszcza mina prawie macochy. Po krótkim powitaniu informacja Doroty, że „tata przygotował niespodziankę. Kilka niespodzianek właściwie”, i pozostawienie zdziwionej Marysi i zdenerwowanego Jerzego we dwójkę. Potem opowieść o tym, że namiętność i miłość to siły mocne jak huragan i zostawiają po sobie zgliszcza, na których buduje się od nowa – ale już z innych klocków. Dużo rewelacji. Były więc łzy, pytania i szok. Skoro Jerzy poznał już swoich pasierbów, teraz czas na mnie i Marysię – w przyszły weekend. I znowu się denerwuję. Moja wyprawa z dziećmi do lasu była udana, choć muszę Ci wyznać, że patrzeć na swoje dzieci, którymi zajmuje się mężczyzna inny niż ich ojciec, jest osobliwym doświadczeniem. Jerzy bardzo się starał; z czułością patrzyłam, jak pomaga Jeremkowi wdrapać się na hamak, a Matysi delikatnie wyjmuję drzazgę z palca. Widać jednak było, że niepewnie czuje się w roli, w której nie występował od kilkunastu lat.

Tak, tak – trzeba się starać. Zarówno wtedy, kiedy dostajemy coś bez wysiłku, jak i wtedy, gdy spełnia się nasze największe marzenie.

Ten rok nauczył mnie więcej niż ostatnia dekada.

Całuję mocno



Jagoda po szkole życia

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 14.08.2015

Temat: Wnętrza

Uśmiechnęłam się, Jago, nad Twoją wizją szczęścia z kanapą i pledem zamiast gonitwy za ekscytacjami. Ona mi otworzyła klapkę z takim wspomnieniem, jak to wiele lat temu, jako nastolatka, trafiłam do pierwszej w życiu Ikei.

Spędzałam ferie u ciotki w Wiedniu. Pewnego dnia, pod koniec pobytu, ciotka zarządziła wyprawę do Ikei po jakiś pled – „a ty przy okazji będziesz mogła kupić mamie jakiś drobiazg”.

W tym sklepie innym niż wszystkie w PRL-u literalnie, Jago, oniemiałam. Wcześniej, owszem, zaskakiwały mnie wiedeńskie muzea, ulice, parki i kawiarnie, torciki i woń grzanego wina – ba, nawet detergenty pachniały szlachetniej, a mydła i pasty do zębów lepiej się pieniły! – lecz takiego zaskoczenia po, było nie było, sklepie z meblami się nie spodziewałam. Chodziło i o stylistykę tak różną od naszych meblościanek i półkotapczanów, i o estetyczną spójność dekoracji – ale przede wszystkim chyba o aranżacje wnętrz. U nas nikt nie robił ceregieli – wyimaginowanych salonów, kuchni i pokoiów dziecięcych. Chciało się szafę, była szafa – to się ją kupowało. Tam urządzono pokazowe przestrzenie z najdrobniejszymi detalami: na półkach ułożono prawdziwe książki (nie atrapy – sprawdzałam – dociekliwe dziecko PRL-u), w garderobianych szafach wisiały ubrania i stały rzędy butów, lampy omiatały łagodnym światłem stoły, na których na powrót niby-

domowników już czekała dobrana do całej reszty zastawa. Na ścianach obrazy, w oknach firany i zasłony, na podłogach – koniecznie drewnianych – mięsiste dywany lub fikuśne sznurkowe chodniczki. Na fotelu gazeta, na półkach fotografie w ramkach (z tyłu dyskretnie dyndające ceny i wskazówki, gdzie można je znaleźć w magazynie). Plus wszelkie „uwygodnienia”: zagłówki, podnóżki, wyginane lampki, pledy.

Aż mnie bolało z wrażenia. Jeśli dotąd udawało mi się trzymać fason ubogiej krewnej z jako taką godnością – tam poległam zupełnie.

Niemal na koniec, po ciągu pokoiów dziennych, sypialni, kuchni, łazienek i garderób, dotarliśmy z ciotką do czegoś w rodzaju biblioteki czy też gabinetu. I o ile wszystkie wcześniejsze obrazy do dziś zupełnie mi się zatarły, pozostawiając jedynie ogólne wrażenia – o tyle ten ostatni zapadł mi głęboko w pamięci, choć przecież nie odbiegał wcale od reszty.

Była to niewielka izdebka ze skośnym dachem (sugerującym, że to poddasze jakiegoś domku). Meble w niej w sumie były brzydkie – jakaś żółta kanapa w dużą kratę, takiż fotel – ale wraz z małym okienkiem, dużymi deskami na podłodze i bukietem najprawdziwszych żółtych róż na małym stoliku tworzyły wrażenie tak wielkiej przytulności, że obiecałam sobie solennie, iż kiedyś, w dorosłym życiu, choćby nie wiem co będę miała takie poddasze, sofę, deski – i mężczyznę gotowego przynosić mi róże.

Od tamtej pory minęło ponad dwadzieścia lat. (Swoją drogą – zauważyłaś moją słabość do Ikei?...). I to, co Ci teraz opowiem, wyda Ci się nieprawdopodobne. Ale jeśli nie Tobie, to komu mam opowiedzieć?...

W piątek Staś wracał rano z nocnego dyżuru – postanowił więc dla odmiany zaprosić mnie i Irenkę na obiad do siebie. Wiem, że punktujesz różnice: nie po paru miesiącach, lecz tygodniach, nie mnie samą, lecz nas obie, i nie na numerek, lecz na posiłek.

Okolica i wnętrze także się różniły. Mieszka sam, nie licząc dwóch kotów, w malutkim domku po rodzicach w Falenicy. Wyglądało to na spokojne siedlisko – miałam jednak w pamięci dramatyczne wydarzenia, o których mi opowiadał niejako w odpowiedzi na pytanie, dlaczego wybrał sobie za miejsce pracy akurat dom dziecka. Otóż rodzice odeszli, gdy miał piętnaście

lat – fatalny wypadek zimą, na śliskiej drodze. Po tym sam trafił na długie trzy lata do domu dziecka – gdy tymczasem jego rodzinnemu domowi przypadła rola mieszkania komunalnego dla obcych ludzi. Odliczał dni i tygodnie, gdy będzie mógł tam wrócić i wszystkim się zająć. Z konieczności odbył trzyletni przyspieszony kurs z dorosłości i odpowiedzialności. Był świadom, że aby utrzymać dom i siebie w nim, będzie musiał mieć pracę. Opiekunowie, wiedząc o jego zamiarach, trochę mu pomogli: gdy przekroczył osiemnastkę, załatwili mu część etatu w instytucji, której przez trzy lata był wychowankiem – funkcję, którą można by określić jako „chłopiec do wszelkich prac”. Nie bez perturbacji odzyskał dom, skończył szkołę i studia – a funkcja pomału ewoluowała w stronę wychowawcy – zarazem jednak nadal pozostaje tam kimś „po trosze od wszystkiego”.

Wróćmy do naszej upalnej terażniejszości. Przyjechałyśmy z Irenką pod wskazany adres. Przywitało nas obejście schludne, lecz ewidentnie męskie: w ogródku tylko drzewa (stare, owocowe), pnące herbaciane róże, po rozmiarach sądząc, chyba kilkudziesięcioletnie, i trawa. W środku – dwa pokoje i kuchnia – a wszędzie ta sama oszczędność wyrazu: parę sosnowych regałów, szafa, stół, krzesła, materac ze stosikiem książek. Jasno, czysto i miło. Taki dom bez tajemnic, skrytek, schowków. Wszystko widać jak na dłoni – tak jak i w samym właścicielu.

Uśmiechnęłam się ciepło na tę spójność. A gdzieś w środku zachichotałam na nieodległe wspomnienie domyślasz się czego i kogo.

Nad piecykiem w kuchni unosiła się ziemniaczano-serowo-pomidorowa woń dochodzącej zapiekanki, Irysek z zapałem oddał się obłaskawianiu kotów, koty z lubością oddały się pieszczotom chętnych Iryskowych łapek – a mnie Staś wskazał wąskie drewniane schody.

– Jest jeszcze małe poddasze – zapowiedział. – Chcesz zobaczyć?

– Pewnie!

Po kilku skrzypnięciach dotarliśmy na górę – ja pierwsza, on za mną.

Uniósłszy głowę, oniemiałam jak wtedy, przed laty, w wiedeńskiej Ikei.

Nie było dokładnie tak samo. Żółtawa wersalka (bez kratki), takiż (wysłużony) fotel. Lampa z miodowym abażurem, drewniana podłoga z grubych dech. A w kompotowym dzbanku na stole – bukiet herbacianych róż, które w ten upalny dzień, na dusznym poddaszu, rozaczały mocną, słodką, obłądną woń, jaką wydać z siebie potrafią tylko nieokrzeseane, ogrodowe, świeżo ścięte róże.

– To dla ciebie. – Staś się uśmiechnął.

A ja zachodziłam w głowę, jak mu to wszystko przekazać? Skojarzenie, wspomnienie, nastoletni miraż, który gonię od lat, moje natręctwo odczytywania znaków... Jak to wszystko przekazać w jedną chwilę?

Czy to w ogóle jest przekazywalne?

I czy ten pragmatyczny mężczyzna naprawdę potrzebuje mojego długiego wywodu?

I... czy zapiekanka się nie spali, zanim skończę?

Zakręciło mi się w głowie od duszności, zapachu, wrażenia i motyli, których chmarę – *chmarę!* – nagle poczułam w brzuchu. Zachwiałam się, on mnie złapał – i przytuliliśmy się mocno, żarliwie, czule, jakbyśmy czekali na to sto lat.

Teraz, gdy do Ciebie piszę przy moim wciśniętym w kąt biurczku, choć jest noc, upał zelżał tylko trochę. Róże pachną z całą mocą, motyle wariują, a mnie chce się śmiać i płakać, i wybiec gdzieś albo schować się pod kołdrę i całować poduszkę ze wspomnieniem Tego Właściwego pod powiekami...

Czy nastolatka w nas nie umiera nigdy?...

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 15.08.2015

Temat: Nastolatka po przejściach

Malinko,

nie wiem, czy to nastolatka. Raczej druga młodość...

Ta pierwsza musi się wyszumieć – oczywistą, jak się okazuje, prawdę pominęłaś, dzielnie i odpowiedzialnie wychodząc za mąż. Potem równie odpowiedzialnie się rozwiodłaś. No i przyszedł czas na odrabianie zaległych szaleństw – z mężczyzną, który nigdy nie dorośnie, więc hula, że hej. Było, minęło. Teraz wszystko jest tak... jak być powinno. Aż się boję zapeszyć!

Uff, jak gorąco. Dobrze, że już weekend i chwila odpoczynku. Ten tydzień dał mi się we znaki. Poranki nieodmiennie do siebie podobne – bliskie spotkania z muszlą klozetową. Organizm się buntuje przeciwko małemu intruzowi, który się w nim urządza. W połączeniu z oblepiającą duchotą jest to trudne do wytrzymania. A jeśli dodasz do tego starania, by nikt – ani w domu, ani w pracy – nie zauważył twojej kondycji, to po tygodniu takiego wysiłku padasz na twarz. Pomijam różne drobiazgi, jak skondensowana praca, bo muszę o siedemnastej odebrać Matysię z „Lata w mieście”, więc z wydawnictwa powinnam wyjść godzinę wcześniej. Jak porozumiewawcze uśmiechy Krysi, która chyba pęknie – z takim trudem przychodzi jej dochować tajemnicy, że pączkuję. Jak nerwowe oczekiwanie na moment, gdy Piotr dostanie zawiadomienie z sądu o terminie rozprawy. Jak pat w dyskusjach o przyszłości – Dorota i Piotr zawiązali tu chyba sojusz – z mściwą satysfakcją sugerują cierpliwość i oznajmiają, że oczywiście się wypowiedzą, ale jak będą mniej zajęci, bo akurat teraz są bardzo. Jak poszukiwania domu, które uświadamiają, że żyjemy w kraju obfitującym w architektoniczne monstra, i to w horrendalnych cenach. Jak tęsknota za Jerzym, która ostatnio doskwiera mi bardzo mocno. Jak lęk przed nieznanym, który dobija się do świadomości mimo całej mocy pozytywnego nastawienia i wiary w przyszłość.

W niedzielę spotykamy się z Marysią. Czuję się nieswojo – trochę jak dziewczyna, którą chłopak przedstawia rodzicom. I która jest nieoczekiwana, a w dodatku w ciąży. Czego nie nabroiłam w młodości, odrabiam w wieku średnim – patrz początek listu.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 15.08.2015

Temat: Matki Boskiej Zielnej

Tegoroczne Matki Boskiej Zielnej spędziłam inaczej niż kiedykolwiek. Oto pojechaliśmy sobie na całodzienną wycieczkę rowerową przez łąki i lasy w stronę Otwocka. Było cudnie, *cudnie!* Staś wioził fotelik z Irenką, ja kosz piknikowy. Wiatr w uszach łagodził żar z nieba, sośnina pachniała żywicznie, łąki całe w kwiatach, właśnie jak na dzisiejsze święto przystało. Mszę zaliczyliśmy w niezwyklej kapliczce szensztackiej, ukrytej pośród falenickich lasów. Jakie życie może być piękne w swej prostocie!...

Trzymam kciuki za spotkanie z Marysią. W sumie fajna z Ciebie babka; wierzę, że Cię polubi!

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 18.08.2015

Temat: Córka w pakiecie

Malino,

proste przyjemności są doceniane, gdy nastają po okresie burzy i naporu. Ceniłabym je równie mocno jak Ty, gdyby i mnie już było dane ich zaznawać.

Dobrze, że te wszystkie zmiany dzieją się w wakacje, kiedy życie biegnie ciut leniwszym rytmem. W redakcji – do której dołączysz już za dwa tygodnie! – też w miarę spokojnie. Krysia porządkuje papiery, przegląda teczki, powoli zabiera swój biurkowy i szafkowy dobytek do domu. Na wczorajszym kolegium, pierwszym po dłuższej urlopowej przerwie, omawialiśmy tematy do grudniowego numeru. Jednym z nich – coś dla nas – będzie rodzina patchworkowa. Życie wyprzedziło artykuł: w niedzielę zebrałam kolejną porcję materiału. Z Marysią i Jerzym umówiliśmy się w herbaciarni na Saskiej Kępie. Denerwowałam się; wszyscyśmy się denerwowali. Kiedy przyjechałam, Jerzy już siedział przy stoliku i popijał biały napar z filizanki. Chwilę później w drzwiach stanęła Marysia. Opalona, drobna, efektowna. W sposób właściwy tylko młodym łączyła niepewność i wahanie z nadmiernie eksponowaną otwartością: podeszła do nas energicznym, sprężystym krokiem, mocno uściśniła mi dłoń, uśmiechnęła się szeroko. Dopiero gdy usiadła, zobaczyłam, że drżą jej kolana. Rozmowa była trochę nerwowa, trochę rwana, ale dobra. Nie zdziwiłabym się, gdyby było inaczej: Jerzy po raz trzeci zaczyna nowe życie. Wiek, ludowa mądrość przysłów i nasz zapał są dobrymi prognostykami na przyszłość, lecz zrozumiałabym, gdyby Marysia podeszła sceptycznie do kolejnej wolty ojca.

Podsumowując plusy: Marysia przyjęła wiadomość o macosze i pasierbicy dzielnie; są szanse, że się polubimy; Marysia jest jednak trochę ode mnie młodsza. No i Jerzy zdąży zostać ojcem, nim będzie dziadkiem. Trzeba szukać pozytywów w życiu – to powinno być hasło przewodnie dla wszystkich patchworkowców!

Całuję

Przyszywana J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 22.08.2015

Temat: Dziecięca intuicja

Uff, dobrze, że Twoje ważne spotkanie poszło w miarę gładko. Nieźle wyczuwasz ludzi – więc gdyby była Ci niechętna, spostrzegłabyś. A że nic takiego nie odczułaś, mamy prawo myśleć, że najtrudniejsze za Tobą. Popatrz, jak to wszystko się pomaleńku rozplątuje!

My przez cały tydzień widywaliśmy się niemal codziennie (z wyjątkiem dwóch dni, kiedy Staś miał dyżur od popołudnia lub od wieczora). Rytm tych spotkań jest mniej więcej przewidywalny: obiad, spacer na plac zabaw z Irenką i Carlosem, jakieś drobne domowe sprawy. Kilka sprzętów w mojej kuchni i łazience zostało niepostrzeżenie naprawionych, pies dostaje codzienną porcję szarpaniny, Irenka na placu zabaw może liczyć na pomoc w trudniejszych wyzwaniach (ścianka wspinaczkowa, wiszenie na drabinkach, fikołki na drążku). Niby to nic nadzwyczajnego – ale popatrz, ile lat marzyłam o takiej zwyczajności?... Do tego ciepłe rozmowy i mikromuśnięcia – sygnały: jesteśmy swoi, jesteśmy razem.

Ciągłe towarzystwo Irenki nie sprzyja, niestety, wyraźniejszym karesom – dlatego chodzę zarazem z głową w chmurach i rozdygotana, szczęśliwa i niespełniona. Nie chcę wyrywać się pierwsza, a Staś chyba czeka, aż załatwię jakoś tę sprawę z Irenką.

A dziś odwiedziłyśmy go w domu dziecka.



Boże, jakie to straszne miejsce. Na pozór pełne barw i dziecięcych akcentów, jak przedszkole czy podstawówka – gdy jednak zajrzysz do pokojów z łózkami, dociera do ciebie, że to jest całe życie tych dzieci – że nikt po nie po południu nie przyjdzie i nie zabierze do domu.

Bezbrzeżnie to smutne.

Na umówione krótkie odwiedziny przyjechałyśmy po mojej pracy i Irci przedszkolu (całkiem przyzwoity ten wakacyjny dyżur). Irenka bawiła się z tymi dziewczynkami od niepokalanego Zająca, my wypiliśmy razem herbatę na patio.

Gdy wróciłyśmy do domu po odwiedzinach, zakupach i spacerze z psem, usiadłyśmy do małej kolacji. Wtedy to, nad grzanką z serem, niewinnie dłubiąc widelcem w pomidorach, Irenka dowiodła, że wszystko, co mówią dorośli nad głową dziecka, nawet jeśli się zdaje, że ono nie słucha, zapada w tę głowę jak ziarenko. Na kiełkowanie czasem trzeba trochę poczekać, ale nadchodzi niezawodnie.

– Staś jest fajny – zaczęła z cicha pęk.

Przytaknęłam z ustami pełnymi twarogu. Irenka kontynuowała dziobanie pomidora.

– I cię lubi...

Uniosłam brwi, by okazać zainteresowanie.

– Grzebał w uchu Carlosowi, kiedy zachorował, a przecież to jest obrzydliwe.

– Może lubi Carlosa? – podsunęłam podchwytiliwie.

– Tobie też by grzebał, jakbyś zachorowała.

Twaróg jakoś napęczniał mi w ustach.

– I jest dobry dla mnie – orzekła moja córka. – Nigdy dotąd nie przeszłam całych drabinek, a teraz przeszłam, bo wiedziałam, że mnie złapie, jak będę spadać.

No tak.

– I woział mnie na rowerze, chociaż to jest ciężar.

Ano woział.

Po wyłożeniu wszystkich faktów Irenka przeszła do ofensywy:

– On jest takim przyszywanym tatą dla wszystkich dzieci?

– No, nie wszystkich. Tych z domu dziecka, które ma w swojej grupie. Można tak powiedzieć – wyjaśniłam.

Wtedy Irenka uznała, że czas na łupnięcie z grubej rury:

– A mógłby być też przyszywanym tatą dla mnie?...

Piszę się na ten artykuł o rodzinach patchworkowych. Możesz ze mną zrobić wywiad. Albo ja zrobię z Tobą.

Pozdrowienia, Macoszko!

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 23.08.2015

Temat: Wyszło szydło z lasu

Malina, chcesz sensacji? Czuję, że zaniedbałam Cię ostatnio na tym polu,

upřednio przyzwyczajaiwszy do wysokiego c. A teraz tylko dzieci, wiele dzieci, place zabaw, psy, herbaciarnie lub herbaciane róże. Słowem – nuda. No to przełamuję.

Już wiadomo, gdzie Dorota znikaa w weekendy. I dlaczego smutek oraz zaborczość wobec Jerzego zmieniała na metodyczne wymierzanie kary.

A było tak: w piątek Jerzy został w domu – w ostatniej chwili odwołano spotkanie, na które miał w południe wyjechać, by z niego powrócić sobotnim wieczorem (Poznań, tym razem naprawdę Wielkopolska, a nie Wybrzeże). Wobec czego Jerzy pozostał w lesie, szukając domu, w którym moglibyśmy długo i szczęśliwie żyć. Szło mu nieskoro, nic porywającego nie wypatrzył. Zszedł więc do kuchni, by ochłodzić ciało i rozgrzać mózg kubkiem herbaty. I przeżył *déjà vu*. Kiedy postawił nogę na ostatnim stopniu i spojrział przed siebie, czyli przez długość korytarza kończącego się drzwiami balkonowymi, zobaczył nie chude pnie sosen, lecz dość zaokrągloną twarz z potarganymi włosami częściowo zakrytymi kapelutkiem w barwach ochronnych. Różnica była taka, że tym razem Jerzy był odziany, a Daniel nie odszedł w knieję. Chwila konsternacji; Jerzy podszedł do drzwi, otworzył je i dołączył do Daniela na tarasie.

– Dzień dobry – powiedział Daniel. – Przepraszam, ale w zamku jest klucz i nie mogłem otworzyć drzwi wejściowych.

Logiczne wyjaśnienie, choć tylko częściowe.

– Ale dlaczego chciał pan otwierać drzwi w moim domu? – Jerzy się taktownie zdziwił.

– Bo Dorota zapomniała biletów ze swojego biurka. A wieczorem idziemy do teatru – wyjaśnił Daniel.

No i się okazało, że to Daniel płynnie zajął puste miejsce po Jerzym. Kiedy nas zobaczył w miłosnych ćwiczeniach, chwycił się myśli, że może uda mu się zbliżyć do Doroty, w której się durzył. Zaczął się więc pojawiać pod pretekstem ogrodowych prac i dbałości solidnego leśniczego o podległe mu tereny. Coraz bardziej się zachwycał Dorotą, jej zamiłowaniem do głuszy i stylem bycia to zamiłowanie odzwierciedlającym. Dorota przyjmowała

hołdy – i na tym się kończyło. Zdesperowany Daniel wyjawiał jej więc, co widział. Skrupulatne śledztwo Doroty obejmujące także laptop Jerzego potwierdziło te rewelacje. *Voilà*, jesteśmy w domu! Tak to się odbyło.

Daniel był podobno trochę zawstydzony tą rozmową – w jego prostym do tej pory życiu takie wielkowiejskie fikołki się nie zdarzały. Jerzy wydał bilety, życzył miłego spektaklu, a potem zadzwonił z tą rewelacją do mnie. Po pierwszym szoku nawet zadowolony – poczucie winy stymulowane wizją Doroty w samotności odgarniającej hałdy śniegu sprzed domu, rąbiącej drwa na opał i mającej za towarzystwo jedynie nornice mocno skarłało. Moje też.

Gdyby i życie Piotra tak bardzo nie znosiło próżni...

Całuję

Protokolantka Jagoda

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 24.08.2015

Temat: Sekretne życie lasu

Ja cię kręcę, ale historia!

To tylko kolejny dowód na to, że przyroda nie zna pustki, prawda? Zwłaszcza, jak widać, leśna przyroda. To naprawdę dobrze się układa, wiesz? Już trzy osoby Waszego dramatu zostały „zagospodarowane”. Pozostaje życzyć Piotrowi jak najlepszego scenariusza...

A teraz Cię przepraszam, lecę prasować, szykować i pakować – wyprawiam

Irenkę w góry, z dziadkami i Joanną z rodziną, na tydzień.

Plotka poprawiająca humor – no proszę!

M.

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 26.08.2015

Temat: Dziwnych trafów ciąg dalszy

Malinko,

zawsze sądziłam, że prawo serii dotyczy tylko nieszczęśliwych wydarzeń. A tu – proszę – te o pozytywnym wydźwięku też mogą się hordami przemieszczać.

Najpierw wydawało mi się, że rozpoczęcie nowego życia nie będzie niczym trudnym, jeśli wola i wiara będą wystarczająco silne. Życie szybko zrewidowało tę odważną myśl, która miała jeden zasadniczy defekt – nie uwzględniała bowiem tych, którzy, chcąc nie chcąc, załapią się na karuzelę zmian. Potem, dla odmiany, zobaczyłam czarną dziurę – niemoc i kac moralny. By wreszcie ujrzeć światełko w tunelu. Wczoraj na końcu ciemnego korytarza pojawiła się kolejna lampka.

Wieczorem Piotr wyraził wolę rozmowy. Po kilku przemilczanych dniach znowu poczułam panikę, bojąc się tego, co mogę za chwilę usłyszeć. Tymczasem Piotr był spokojny i opanowany. Powiedział, że przyjął do wiadomości moją wolę rozstania. Nie potrafi jednak jej ani zrozumieć, ani zaakceptować. Potrzebuje czasu i oddalenia, by poukładać klocki na nowo.

I dlatego wyjeżdża. Na trzy miesiące, do Timoru Wschodniego. Z Lekarzami bez Granic. W tym czasie w opiece nad dziećmi (trzy dni w tygodniu) zastąpią go rodzice, którzy się do niego (tak to ujął) przeprowadzą.

Więc i tu próżnia zostanie zapełniona, choć, przyznasz, bardzo niestandardowo.

Piotr wyjeżdża 27 września. Dobrze, że Jerzy wynalazł kolejny dom do oglądania, który – jak ostrożnie stwierdził – może rokować. W piątek robimy inspekcję.

Całuję z zamętu wydarzeń

J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 28.08.2015

Temat: Plotek ciąg dalszy

Jago, zaczynam myśleć, że w końcu trafiłyśmy na jakieś właściwe tory życia. Popatrz, wszystko się układa!... I to w jakim tempie! Gdy przeczytałam o decyzji Piotra, to jakby jakiś puzzel, który długo czekał na kupce z niedopasowanymi, wreszcie trafił w puste pole, w którym leży jak ulał! Zamknięty, oddany pracy jak misji Piotr wydaje się niemal stworzony do takich akcji. Och, życzę mu jak najlepiej. I w pewnym sensie się wzruszyłam.

Do mnie z Kudowy zadzwoniła mama i powiedziała, że Irenka rozplywa się w opowieściach o przyszywanym tacie i że będziemy razem mieszkać w jego ślicznym domku. (?!... – nie pytaj). Mama wydała się po równo urażona, że

nic dotąd nie wiedziała, i podniecona nowinami. Domagała się szczegółów (udzieliłam – częściowo) i kategorycznie zaprosiła nas na niedzielę po powrocie z gór.

– Koniecznie w komplecie! – zaznaczyła surowo. Choć pod tą surowością słychać było ekscytację i nadzieję.

Hi, hi! Mama też nosi w sobie nastolatkę!

Ściskam!

Nastolatka Magda

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 29.08.2015

Temat: Słoneczny brzeg

Malino,

ja się boję. Ta seria spraw, które się pozytywnie załatwiają, nie może być aż tak długa!

W piątek po pracy pojechaliśmy z Jerzym oglądać kolejny dom. W dobrych nastrojach – mimo wszystko. Bez dużych pieniędzy (pocieszam się, że gdybym była w wieku Jerzego, to miałabym już oszczędności, ale to chyba nie tylko kwestia stażu pracy, lecz także charakteru, niestety), z widmem duszącego kredytu, pod presją końca września, ale ciut oswobodzeni z poczucia winy wobec Doroty i Piotra.

Adres znowu w Radości, z której – jak już wiesz – całkiem blisko do Falenicy! Nie dość, że razem w pracy, to jeszcze sąsiadki. Tak, mamy nasz wymarzony dom!

Właściwie nic nie zapowiadało sukcesu. Pani Jola z otwockiej agencji nieruchomości nieszczególnie nam zachwalała tę posesję. „Przyjemna działka, solidny budynek, no trochę w dawniejszym stylu, takim jak dla starszych osób, bez nowoczesnych rozwiązań. Rośliny, to znaczy drzewa, też wiekowe. Ale (tu się ożywiła) jest kosteczką wyłożona ulica, woda, kanalizacja, gaz i oświetlenie”. Staroświecki dom otoczony takimi zdobyczami cywilizacji!

Podpisaliśmy papiery w biurze i udaliśmy się na Słoneczną 11. Pierwszy optymistyczny znak taka nazwa – owszem, wracam do swojego konika i wypatruję zwiastunów dobrych wydarzeń. Parkujemy pod ogrodzeniem szczelnie porośniętym bluszczem. Za wielkim cyprysem widać żółtą ścianę – adres zobowiązuje. Bardzo przyjemna bryła. Gdybym poprosiła Jeremka, żeby narysował dom, na kartce pojawiłby się właśnie taki budynek: prostokątny, z większymi oknami na parterze i mniejszymi na piętrze, z dostojnym dachem pokrytym czerwoną dachówką i kominem z cegły. Weszliśmy. Przywitała nas pani Teresa – właścicielka, niedawno owdowiała. Przeprowadza się do córki, bo nie potrzebuje już takiego metrażu (170 metrów). No i bez Tadzia każdy kąt boli wspomnieniami. Wzruszający wstęp, prawda?

Dom – jak dla nas. Urzekły nas te same rzeczy – ogromna oddzielna (żaden tam aneks) kuchnia z wielkim oknem i drewnianymi szafkami, salon z ciemnozielonym piecem kaflowym, skrzypiący dębowy parkiet, mała spiżarenka, schowki pod schodami, wysokość pomieszczeń i biel ścian. No i ogród – śmiesznie wygięty w literę L, zagospodarowany starymi śliwami i jabłonią, sześćdziesięcioletnim cyprysem groszkowym i kolorowymi wysepkami kwiatów malowniczo porozrzucanymi po całej działce. A przy ogromnym, na południe skierowanym tarasie rosną malwy. Kto dziś sadi malwy, Malino?

Spędziliśmy na Słonecznej prawie dwie godziny. Wyszliśmy po lemoniadzie z miętą, placku ze śliwkami i po słowie. W poniedziałek jedziemy do notariusza podpisać umowę przedwstępną. Potem jeszcze tylko kredyt, ale –



skoro to taki ciąg pozytywów – musi się udać!

Całuję

Sąsiadka J.

@ @ @

Od: m.malinowska@mailbox.pl

Do: jaga.jablon@gmail.com

Data: 29.08.2015

Temat: I żyli długo i szczęśliwie

Szczęśliwa Posiadaczko Domu!

Gratuluję z całych sił! I zapowiadam srogo – jeśli w ciągu doby nie prześlesz mi zdjęć swego nowego domu, nie przestąpię jego progu!!!

Wy w piątek zwieńczyliście sukcesem poszukiwania domu, ja zwieńczyłam pracę w „On Żyje”. Muszę Ci powiedzieć, że pokój serca to wspaniały stan do wszystkiego – także do pracy. Odnoszę wrażenie, że przez ten pełen słońca na niebie i w sercu miesiąc napisałam więcej dobrych tekstów niż przez kilka, może wiele, poprzednich.

Ksiądz dyrektor najwyraźniej podzielał tę opinię.

– Niezmiernie żałujemy, pani Magdo – huknął płomiennie niczym z ambony, długo ściskając mi dłoń. – Taka utalentowana dziennikarka! I to z wiarą i wartościami, których nie dała sobie wydrzeć życiu, nawet kiedy ono nie szczydziło jej ciosów! – zwrócił się do zespołu, a Bożena potarła nerwowo nos. – A tu, żeby nas pani dobrze wspominała... – Półobrót się i zdjął z regału dużą złotą torbę – coś dla ducha i, hm... coś, co się, prawda,

zawsze może przydać.

Papierowe złoto skrywało Pismo Święte w nowym przekładzie, w pięknej skórzanej oprawie oraz... kopertę z bardzo hojną premią uznaniową za miesiąc sierpień. Słyszał kto kiedy, żeby na odchodne dostać premię?... Zaiste niezbadanymi prawidłami rządzą się redakcje katolickie!

Podziękowałam, poczęstowałam wszystkich kruchym ciastem z wiśniami, które pieczołowicie drylowałam cały wczorajszy wieczór – i wyszłam z poczuciem godnego – a wbrew obawom także przyjemnego – dotrwania do końca.

Pod Świętym Florianem czekał na mnie Staś. Poszliśmy na spacer – niby do parku Praskiego, ale od niechcienia skierowaliśmy się w stronę Wisły. Chyba zresztą nie tyle „się” skierowaliśmy, ile Staś tak nami wymanewrował, bo ja na taki spacer po chaszczach nie byłam zbyt dobrze przygotowana. Obcasy zapadały mi się w kamienisty piasek ścieżki, cienkie pończochy mogły się podrzeć o pierwszy lepszy wystający badył. Na drugim, „lepszym” brzegu Wisły jedne po drugich zapalały się światła miasta – i wnet odbijały się widowiskowo w rzece. Od wody ciągnął chłód. Staś otoczył mnie ramieniem i prowadził wolno w sobie tylko znanym kierunku.

Skupiłam się na niezahaczaniu o badyle.

– Tak sobie myślę – odezwał się nagle – jako kto ja mam wystąpić pojutrze przed twoimi rodzicami?

– Jak to: jako kto? – Zmarszczyłam brwi.

– No: kim wobec ciebie jestem, żeby mnie zaraz przedstawiać rodzicom. Jeśli dobrze myślę, to rodzicom nie przyprowadza się pierwszych lepszych znajomych. Narobimy im więc nadziei na jakiś ciąg dalszy...

Zadrzałam. Czy mi się wydaje, czy ktoś się tutaj wycofuje rakiem?...

– Nie chcesz tam pójść? – wysiliłam się na zwyczajny ton, choć w dołku rósł mi dziwny niepokój.

– Nie w tym rzecz. Tylko zanim tam pójdziemy, chciałbym wiedzieć, kim dla siebie jesteśmy, co do siebie czujemy, czego chcemy.

A w razie złej odpowiedzi zadźga mnie w tych krzakach i zepchnie do wody?

Przez myśli przemknęły mi strzępki różnych zdań: „tak, jestem zainteresowana” – to ja do Karoliny. „Lubi cię” – Irenka do mnie. Na poddaszu jego domu wydawało mi się, że wszeptał mi we włosy różne czułości – ale właśnie, wszeptał czy mi się wydawało?

Milczałam. A Staś przystanął i zwrócił mnie ku sobie.

– Bo jeśli chodzi o mnie – zaczął poważnie – to ja cię kocham. Najpierw czekałem strasznie długo na taką dziewczynę jak ty, a potem jeszcze miesiąc, aż się ogarniesz i pozamykasz jakieś stare sprawy.

Niepokój w dołku przemienił się w łomot serca i rumieniec na policzkach.

– Ale pomyślałem – ciągnął dalej – że może zamiast przyprowadzać do rodziców zakochanego znajomego, byłoby ci zreczniej przedstawić narzeczonego? – Ujął moją dłoń do ust, a potem położył w jej wnętrzu mały pakuneczek. – Rodzice lubią, kiedy ich córeczki nie prowadzą się z kimś przypadkowym. A ja chciałbym, żebyś została moją żoną. – Uśmiechnął się krzepiąco, a w oczach zagrały mu wesołe ogniki. Jakim cudem nic a nic się tym wszystkim nie stresował?!

– Więc jeśli by się tak złożyło, że podzielasz moje uczucia... – Zawiesił głos, dając mi szansę się wypowiedzieć.

– Podzielam – wychrypiałam.

– A da się to wyrazić odrobinę romantyczniej? – Wciąż dobrze się bawił tą sceną!

– Kocham cię – wyznałam bezradnie.

– Miałem na myśli pocałunek – szepnął z uśmiechem i sam wziął się do rzeczy.

Wyznam Ci, Przyjaciółko, że pierścionek pasuje jak ulał – i do mojego palca, i gustu.

Ale w dowód naszej dozgonnej przyjaźni zdradzę Ci szeptem coś jeszcze: Staś w sferze najintymniejszej też pasuje do mnie jak ulał. I jestem pewna, że będzie najlepszym mężem i przyszywanym tatą pod słońcem!

A tymczasem – do zobaczenia w biurze!!!

Twoja

szczęśliwa

zaręczona

Malina

@ @ @

Od: jaga.jablon@gmail.com

Do: m.malinowska@mailbox.pl

Data: 31.08.2015

Temat: Zaimki

Malinko,

pasuję. W kategorii pozytywy i niespodzianki już Cię nie przebiję. Masz pierwszą lokatę. A w nagrodę jakiś miły prezent ślubny.

Gratuluję! Bardzo się cieszę.

Ostatni dzień sierpnia spędziłam poza wydawnictwem – miałam dziś urlop

od pracy. Na przedpołudnie zaplanowaliśmy notariusza. W roli kupującego wystąpił tylko Jerzy, który i praktycznie, i formalnie jest stanu wolnego. Pieczołowicie jednak za każdym razem podkreślał wspólnotowość, mówiąc „nasz dom”. Po złożeniu swojego podpisu na akcie ścisnął mnie mocno za rękę i tak trwał, póki notariusz nie wydał nam wszystkich dokumentów. Pani Teresa miała zostać dłużej, by omówić inne sprawy. Pożegnaliśmy się więc, ustalając, że za dwa tygodnie przyjedziemy na Słoneczną, by odebrać klucze i przejąć ważne dokumenty. Pani Teresa delikatnie położyła mi rękę na ramieniu. Uśmiechnęła się, wzburzając siateczkę zmarszczek na twarzy: „Będziecie tam szczęśliwi. To taki dom”.

Nie ma mowy, by było inaczej!

Transakcję poszliśmy uczcić do naszej kawiarenki na Saskiej. Do tej pory kojarzyła mi się z romansowymi obłapiankami pod przykrywką kawy. Teraz siedziałam tu jako przyszła żona i matka w toku.

Na piętnastą miałam umówioną wizytę – USG. Jerzy powiedział, że mnie zawiezie, poczeka, a potem odstawi na Sosnową (od piątku domem nazywa tylko słoneczny budynek w Radości). Na parkingu pod kliniką zmienił zdanie:

– A może ja bym z tobą poszedł? Czytałem w internecie, że ojciec może być przy tym badaniu.

– Tak, jasne. – Wzruszył mnie ten przejaw troski.

Poszliśmy więc.

W gabinecie Jerzy musiał się czuć jak na statku kosmicznym. Przyciemnione wnętrze, ultranowoczesny sprzęt. Wygodna leżanka, na niej ja z odsłoniętym brzuchem (dobrze, że już może nie być płaski). A na brzuchu ręka pana doktora z głowicą. Najpierw sprawdzanie, czy strategiczne organy są na miejscu – w powiększeniu wyglądały jak biało-czarna sztuka nowoczesna. Potem obraz 3D – coś niezwykłego. Ludzka drobinka – 4 gramy i 28 milimetrów. Mała łódeczka na dnie macicy. Jerzemu zaszklily się oczy. A potem nagle głośne: „tuch-tuch-tuch-tuch”. Bicie serca naszego dziecka, tak mocne i tak szybkie, jakby razem połączyć moje i Jerzego serce.

Ja, my, nasze – zaimki nigdy nie miały dla mnie tak metafizycznego wymiaru jak w tym momencie.

Do jutra, Przyjaciółko

Jagoda